

WIELKA KSIĘGA SCIENCE FICTION **02**

OPRACOWAŁ
MIKE ASHLEY

BRIAN W. ALDISS

+ SIMAK + BAXTER + LANDIS

NAJBARDZIEJ INTRYGUJĄCE UTWORY
FANTASTYCZNO-NAUKOWE



fabryka słów

ANTOLOGIA
WIELKA KSIĘGA
SCIENCE FICTION
TOM 2

Opracował: Mike Ashley

Przełożyła: Małgorzata Koczańska



2011

Spis treści

Karta tytułowa
Wstęp Następny krok

Geoffrey A. Landis
WYPRAWA DO CZARNEJ DZIURY

Colin Kapp
CIEN I MROK

H. Chandler Elliott
ZŁOŚLIWOŚĆ RZECZY MARTWYCH

Michael Swanwick
PRAWDZIWY PULS MASZYNY

Keith Roberts
WYSOKA ÓSEMKA

Brian W. Aldiss
SKRAWKI
II
III
IV
V
VI
VII

John Morressy
TYLKO MOJE ŻYCIE

Eric Frank Russell
I WŚLIZGNĘ SIĘ DO OBOZU TWEGO...

Clifford D. Simak
ŚMIERĆ W DOMU

Stephen Baxter
REFUGIUM

Wstęp

Następny krok

O fantastyce naukowej zwykło się mówić, że to literatura pomysłów, i na pewno tak właśnie jest. Lecz jest także czymś więcej. To literatura opowiadająca o zmianach – zmianach, jakie wypływają z tych pomysłów.

Tym, co najbardziej fascynuje mnie w science fiction (albo sf, jak zazwyczaj skracam tę nazwę) i co każe mi do niej wracać, jest możliwość ujrzenia cudu ludzkiej wyobraźni spekulującej o nas i o wszechświecie. Mogę przekonać się, w jaki sposób każdy z pisarzy używa swoich umiejętności, wiedzy i przede wszystkim wyobraźni, by stworzyć pomysł i zobaczyć, co z niego wyniknie. To najstarsze pytanie, które zwykle przyciąga ludzi do nauk ścisłych: „A co, jeżeli?”. Z odpowiedzi zawsze wynika zmiana. Może to być zmiana na lepsze – krok naprzód, ale również zmiana na gorsze. Większość utworów sf stara się ostrzec ludzkość przed niebezpieczeństwem, jakie niesie taka zmiana.

W tej antologii znajdują się oba rodzaje opowiadań: te, które zawiodą nas krok naprzód – czasami nawet więcej niż jeden – i te, w których cofniemy się nieco. Jest też kilka takich, które poprowadzą nas krok w bok.

Są tutaj utwory opisujące inne światy, opowiadania o obcych

istotach przybywających na Ziemię, historie o robotach, podróżach w czasie, inżynierii genetycznej, utopiach i dystopiiach, nierozwiązywalnych zagadnieniach, katastrofach i apokalipsie. Wszystko, co należy do fantastyki naukowej. Ale przede wszystkim są to opowieści o ludziach i o tym, jak radzą sobie z trudnymi warunkami, pomysłami i zmianami.

Kiedy zacząłem kompletować tę antologię, chciałem wybrać najbardziej intrygujące i zaskakujące utwory fantastyczno-naukowe z ostatnich czterdziestu lub pięćdziesięciu lat. Ponieważ science fiction dotyczy zmian i technologii, sporo tekstów starzeje się błyskawicznie. Nawet najlepiej napisane opowiadanie, oceniane wysoko przed półwieczem, dziś może zostać odebrane zupełnie inaczej, właśnie z powodu zmian, jakie zaszły w naukach ścisłych i społeczeństwie przez minione dziesięciolecie. Fantastyka naukowa stara się przewidywać przyszłość, ale rzadko jej się to udaje. Bardzo nieliczne utwory okazują się prorocze, jak choćby te, które opisały z wyprzedzeniem Internet lub gwałtowny rozwój telefonów komórkowych czy komputerów, upadek komunizmu i bloku wschodniego czy wzrost problemów z narkotykami na Zachodzie. Dlatego kiedy przeczytałem ponownie wiele moich ulubionych utworów sprzed lat, wiedziałem, że nie wszystkie zyskają uznanie w dzisiejszych czasach.

Jednak udało mi się osiągnąć cel. Antologia zawiera dwadzieścia dwa opowiadania. Dwa – Stephen’a Baxtera i Erica Browna – są zupełnie nowe, napisane specjalnie do tej książki. Kolejne dwa – Franka L. Pollocka i George’a C. Wallisa – to utwory reprezentujące „złoty wiek”, pochodzące sprzed prawie

stu lat. Pozostała osiemnastka stanowi wyselekcjonowany przekrój literacki z lat 1950–1990. W rezultacie powstał zbiór łączący to, co najlepsze w starej i nowej fantastyce naukowej, pełen zaskakujących i różnorodnych pomysłów.

Założmy na przykład, że wynaleziony zostanie preparat dający dostęp do innej rzeczywistości i do innej wersji samego siebie w tej rzeczywistości. Jak kontrolować taki środek? O tym właśnie pisze Greg Egan w *N jak Nieskończoność*. Co jest rzeczywistością, a co snem? Na różne sposoby wyjaśnia to Robert Reed i Kim Stanley Robinson. Czy obcy są wśród nas, choć nie zdajemy sobie sprawy z ich obecności? Tę kwestię próbują wyjaśnić H. Chandler Elliott i Mark Clifton. Czy istnieje niewykrywalny obiekt? To właśnie opisuje Colin Kapp w *Cieniu i Mroku*. Brian W. Aldiss i John Morressy zastanawiają się nad efektami i konsekwencjami inżynierii genetycznej, a Connie Willis rozważa, co mogłoby zmienić losy drugiej wojny światowej. A jakie skutki pociągnie za sobą wejście do wnętrza czarnej dziury? Ostateczną granicę można przekroczyć z George'em Landisem w *Wyprawie do czarnej dziury*.

W tej książce jest oczywiście więcej opowieści. Jeżeli interesują Was obcy, zajrzyjcie do opowiadań Erica Browna, Petera Hamiltona, Michaela Swanwicka i Clifforda Simaka. Jeżeli szukacie sardonicznej oceny innych cywilizacji, przeczytajcie utwory Roberta Sheckleya i Philipa K. Dicka. A gdybyście zapragnęli ujrzeć koniec świata, sięgnijcie do postapokaliptycznej klasyki.

W antologii znajdzie się coś dla każdego. A świat nieograniczonej wyobraźni jest tylko o krok – wystarczy

odwrócić tę stronę.
A zatem: miłej lektury.

Mike Ashley

Geoffrey A. Landis A teraz przeskoczmy sto lat w przód, do czasów, gdy narodziło się współczesne podejście naukowe. Wszyscy byliśmy wtedy zafascynowani koncepcją czarnych dziur w przestrzeni, a prezentowane opowiadanie ukazuje właśnie to, co o nich wiemy, oraz to, jak mogłoby wyglądać zbliżenie do takiego obiektu. Zastanawiam się, jak ta historia będzie odbierana za sto lat. Geoffrey A. Landis (ur. 1955) na stałe jest związany z badaniami prowadzonymi przez NASA i napisał mnóstwo opracowań naukowych. Jako autor fantastyki zadebiutował utworem *Elemental* („*Analog*”, grudzień 1984). Niedługo potem otrzymał nagrody: *Nebula* za *Fale na morzu Diraca* („*Asimov*”, październik 1988) oraz *Hugo* za *A Walk in the Sun* („*Asimov*”, październik 1991). Wczesne utwory Landisa wydano w zbiorze pt. *Myths, Legends and True History* (1991). *Mars Crossing* (2000) nagrodzono *Lotusem* za najlepszą powieść debiutancką roku.

Geoffrey A. Landis

WYPRAWA DO CZARNEJ DZIURY

Nagły skok adrenaliny, napływająca fala przerażenia (gdybym jeszcze tylko mógł odczuwać strach) i świadomość, że oto chwila nadeszła, a ja jestem jedynym uczestnikiem i świadkiem zdarzenia.

Jestem jedynym, który wpadnie w czarną dziurę.

Boże mój! Nie jestem tamtym!

To się dzieje naprawdę.

Oczywiście już wcześniej czułem się podobnie. On i ja wiemy, jak to jest.



Wydaje się, że moje ciało jest jednocześnie za małe i za duże. Mięśnie, poczucie ruchu, pole widzenia – wszystko to nie pasuje. Wszystko jest obce. Wzrok mi się rozmywa, kolory są dziwacznie rozproszone. Kiedy się poruszam, dzieje się to nienaturalnie szybko. Ale nie mam wrażenia, że to nienormalne. Nawet się do tego przyzwyczaiłem.

– Uda się – powtarzam sobie.

Tak wiele jest do poznania i wszystko naraz. Powoli składam części twojej osobowości. Żadna nie jest tobą. Jesteś wszystkimi z nich.

Musi być pilot, oczywiście. Musisz być pilotem. Przyłączam twoją osobowość pilota i pilot staje się mną. Polecę w najgłębszą ciemność, w nieznaną o wiele bardziej niewiadome niż niezbadane lądy. Musi być też naukowiec, rzecz jasna. Ktoś, kto zrozumie, co się dzieje, tak. Syntetyzuję osobowość. Jesteś także naukowcem, zatem i ja nim jestem. I rozumiem.

Potrzebny jest też ktoś, kto po prostu doświadczy tego, co się dzieje, i opowie (o ile przeżyje) o wyprawie w głąb czarnej dziury. Jeżeli przeżyjesz. Ja. Nazwę się Wolf – od sąsiedniej gwiazdy, bez powodu, może jedynie po to, by – choćby tylko dla siebie – odróżnić się i zaznaczyć, że nie jestem tobą.

Jesteśmy ty i ja, jestem tobą, a ty mną. Ale tak naprawdę ciebie tu wcale nie ma. Nie jestem tobą. Ty jesteś daleko stąd. Bezpieczny.



Niektóre czarne dziury – szepcze naukowiec we mnie – otacza dysk akrecyjny, lśniący w mroku jak latarnia. Pył i gaz z przestrzeni międzygwiazdnej, wirując szaleńczo, pędzi ku głodnej osobliwości, przyspieszając niemal do prędkości światła. Cząsteczki zderzają się ze sobą, ściskają, jonizują. Tarcie rozpala plazmę do temperatury milionów stopni i wywołuje jaskrawą emisję twardego promieniowania rentgenowskiego. Ale czarne dziury nadal pozostają absolutnie czarne, choćby blask

opadających na nie gazów był najjaśniejszy w Galaktyce. Nikt i nic nie przejdzie obok nich. Nikt i nic nie przetrwa radiacji.

Czarna dziura Virgo do takich nie należy. Jest stara, pochodzi z początków wszechświata, gdy formowały się pierwsze gwiazdy. Pochłonęła już całą materię w pobliżu, pozostawiając wokół prawdziwą pustkę międzygwiazdną.

Virgo oddalona jest od Ziemi o pięćdziesiąt siedem lat świetlnych. Dziesięć miliardów lat temu stała się supermasywna, przekształciła w supernową i eksplodowała. Przez chwilę świeciła jaśniej niż Galaktyka, wyrzucając w przestrzeń połowę swojej masy. Teraz niewiele z niej pozostało. Wypalona resztką, o masie około trzydziestokrotnie większej od Słońca, wypełniająca przestrzeń wokół siebie jedynie grawitacją.



Przed wyprawą psychologowie sprawdzili moją/twoją kondycję psychiczną. Chyba zdaliśmy testy, skoro tu jestem. Lecz jaki człowiek chciałby wpaść w czarną dziurę? Oto jest pytanie. Jeżeli będę umiał na nie odpowiedzieć, może nas zrozumieć.

Zdaje się jednak, że pani psycholog to nie interesowało. Nawet na mnie nie spojrzała. Miała nieobecny wyraz twarzy charakterystyczny dla wszystkich, którzy przez nerw wzrokowy mogą łączyć się z systemem komputerowym. Jej wypowiedzi były pobieżne, obojętne. Prawdę mówiąc, obiekt badań też nie był obecny ciałem, stanowił jedynie moje odwzorowanie w komputerze, cyfrową mapę mojej duszy. Pamiętam ostatnie słowa tej kobiety: – Czarne dziury fascynują nas tak bardzo,

ponieważ skrywają głęboką metaforę – oznajmiła, spoglądając w przestrzeń. – Czarna dziura to dosłownie miejsce, skąd nie ma powrotu. A my metaforycznie pędzimy ku niej na oślep, ku temu miejscu, o którym nic nie wiemy, z którego nie doszła do nas żadna informacja i skąd nikt nie może powrócić. Żyjemy i przemieszczamy się w przyszłość, by nieuchronnie na końcu dotrzeć do osobliwości. – Przerwała, bez wątpienia czekając na komentarz. Lecz ja milczałem. – Zapamiętaj jednak. – Po raz pierwszy spojrzenie psycholog wyrwało się z niebytu i skupiło na mnie. – To prawdziwa czarna dziura, nie metafora. Nie traktuj jej jak przenośni. Przygotuj się na realność. – Znowu przerwała, by po dłuższej chwili dodać: – Zaufaj matematyce. To jedyne, co wiemy i czemu możemy ufać.

Marna pociecha.



Wolf przeciw czarnej dziurze! Można by pomyśleć, że to nierówny pojedynek, bo czarna dziura ma olbrzymią przewagę.

Nie tak całkiem nierówny.

Po swojej stronie mam technologię. Choćby tunel czasoprzestrzenny, czyli sztuczkę, dzięki której można przebyć w okamgnieniu pięćdziesiąt siedem lat świetlnych.

Tunel czasoprzestrzenny jest takim samym koszmarem relatywizmu jak czarna dziura, trikiem z zakrzywieniem przestrzeni, na jaki pozwala ogólna teoria względności. Po odkryciu czarnej dziury Virgo doprowadzono do niej z trudem tunel, przemieszczając się wolniej od światła, przez co

przedsięwzięcie zajęło prawie stulecie. Lecz kiedy tunel został doprowadzony, podróż na Virgo przestała stanowić problem. Wystarczy zrobić krok, by dotrzeć do celu. Każdy może to uczynić.

Tunel czasoprzestrzenny – niezbyt dobra nazwa, ale chyba lepszej nie ma – to skrót. Fizycznie jest po prostu pętlą materii egzotycznej. Jeżeli wejdzie się do tunelu w jednym miejscu, wyjdzie się natychmiast z drugiej strony, o wiele dalej, niż się wydaje, gdy jest się wewnątrz. Z topologicznego punktu widzenia oba końce tunelu czasoprzestrzennego są ze sobą sklezione i w ten sposób tworzą skrót w przestrzeni.

Wykazując niezwykłą ostrożność, władze Ziemi nie zezwoliły na umieszczenie wejścia do tunelu prowadzącego do czarnej dziury w pobliżu ważnych węzłów transportowych, choćby wiązki przejść Neptun–Trojan 4. Dlatego wybrano orbitę czerwonego karła oznaczonego symbolem Wolf–562. Gwiazda ma dwie planety pozbawione atmosfery, kawałki zamrożonej skały, nic więcej. Wolf–562 znajduje się w odległości dwudziestu jeden lat świetlnych od Słońca. Dlatego podróż na Virgo ma dwa etapy: najpierw przejście tunelem czasoprzestrzennym z Układu Słonecznego do Wolfa, a stamtąd dopiero skok na Virgo.

Czarna dziura ma sto kilometrów średnicy. Wyjście z tunelu znajduje się o parę metrów od powierzchni. Można uznać, że to wyjątkowa ostrożność.

Kiedy próbuje się zrozumieć relatywizm, trzeba najpierw przyjąć, że czas i przestrzeń stanowią jedność. Teoretycznie możliwość użycia tuneli czasoprzestrzennych do podróży przez kosmos została przewidziana na długo przedtem, zanim choć

jeden został odkryty. Liczono wówczas, że taki tunel pozwoli przemieszczać się również w czasie. Kiedy jednak testowano pierwsze przejścia, okazało się, że warunek Cauchy'ego uniemożliwia podróż w przeszłość. Teoria się nie myliła, czas i przestrzeń okazały się aspektami tej samej rzeczywistości, czasoprzestrzeni, lecz każda próba skierowania tunelu w przeszłość kończyła się powstaniem dziury czasowej wytwarzającej polaryzację próżni, która niweczyła efekt.

Zanim my – czyli statek kosmiczny pilotowany przeze mnie oraz ja/ty – wejdziemy w tunel, do pracy muszą przystąpić inżynierowie. Nigdy nie widziałem otwarcia przejścia z bliska, więc teraz obserwuję uważnie. To na pewno będzie interesujące.

Tunel czasoprzestrzenny wygląda jak zwykła cieniutka obręcz. W rzeczy samej to pętla z materii egzotycznej, kosmiczna struna o masie ujemnej. Technicy przesuwają telerobotycznymi manipulatorami próżniowymi wzdłuż struny, bombardując ją ładunkami, aż zacznie dosłownie świecić od wyładowań o widmach z serii Paschena, niczym neon w mroku. Wówczas za pomocą ładunków elektrycznych nadaje się strunie kształt. Dzięki zmiennym niewidzialnym polom elektromagnetycznym struna zaczyna się skręcać. To powolny proces. Pętla o średnicy zaledwie kilku metrów ma masę porównywalną z Jowiszem. Ujemną w stosunku do Jowisza – podpowiada mi osobowość naukowca. Ale tak czy inaczej, trudno taką pętlę ruszyć.

Powoli i ociężale struna skręca się coraz bardziej, aż uformuje się w lemniskatę – kształt ósemki. Kiedy tylko zetknie się ze sobą, zaczyna lśnić, aż nagle zmienia się w dwa świetlne okręgi, drżące i wibrujące jak galareta.

Inżynierowie doładowują dwa tunele czasoprzestrzenne, a te wyginają się i błyskają, po czym powoli zaczynają się odpychać. Wibracje kosmicznych strun wywołują grawitacyjne zmiany – jak rozpryskująca się woda, gdy otrzepuje się z niej pies. I chociaż znajduję się w odległości dziesięciu kilometrów, wyczuwam zmiany ciężenia, niczym niewidzialne fale, które emanują energią i sprawiają, że pętle się powiększają. Promieniowanie stanowi na tym etapie poważne niebezpieczeństwo. Jeżeli technicy stracą kontrolę choćby na okamgnienie, mogą wywołać katastroficznie powiększającą się niestabilność, zwaną potocznie „wykrętem”. Na szczęście promieniowanie tłumi się, zanim osiągnie wartość krytyczną – w końcu tworzeniem tunelu zajmują się profesjonaliści – i pętle stabilizują się w dwa doskonałe okręgi. Po drugiej stronie – na orbicie Wolfa – odbywa się identyczny spektakl. I w ten sposób tunel czasoprzestrzenny zostaje sklonowany.

Wszystkie tunele pochodzą od jednego – znalezionego w międzygwiazdnej pustce jedenaście wieków temu. Naturalnie powstała pętla ujemnej struny kosmicznej równie starej jak Wielki Wybuch, niewidzialna, wykryta jedynie dzięki zakłóceniom czasoprzestrzeni. Ta pierwsza pętla nie łączyła żadnych interesujących miejsc, ale to z niej ludzkość wytworzyła setki nowych tuneli i teraz z łatwością skracała drogę z gwiazdy do gwiazdy, w miarę potrzeb rozwijając nieskończoną sieć połączeń.

Nie powinienem podlatywać tak blisko. Kątem oka dostrzegłem gniewne czerwone błyski ostrzegawcze. Ignoruję jednak alarm. Energia rozchodząca się w formie fal

grawitacyjnych może okazać się groźna dla człowieka, lecz w moim nowym ciele jestem niemal niezniszczalny. Jak miałbym znieść czarną dziurę, gdybym nie mógł przetrwać duplikacji tunelu czasoprzestrzennego? Dlatego lekceważę alarm, macham do inżynierów – choć wątpliwe, by mnie zobaczyli z odległości tylu kilometrów – i używając silniczków, wracam do swojego statku.



Statek, który będę pilotował, dokuje przy ośrodku badawczym, gdzie znajduje się aparatura i specjalistyczne wyposażenie, a także – dla naukowców w formie biologicznej – kwatery mieszkalne. W porównaniu ze stacją naukową statek wydaje się malutki, tyci owal ustawiony na niemal niewidocznym występie pancerza. Nie ma pośpiechu, nie muszę jeszcze startować.

Zaskakujące, że technicy w ogóle potrafią mnie dostrzec – wszak jestem drobinką w ogromnej pustce – a jednak kilku wyraźnie reaguje na moją obecność, w radiu słyszę uprzejme pozdrowienia: jak leci, *ohayo gozaimasu*, miło cię widzieć, jak samopoczucie? Na podstawie tylko głosów z odbiornika trudno się zorientować, czy kogoś znam lub choćby raz spotkałem. Odpowiadam zatem niezobowiązująco: *jakoś leci, ohayo*, ciebie też, wcale niezłe. Nikt *jakoś* nie przejawia ochoty na dłuższe pogaduszki i nic dziwnego, mają mnóstwo pracy.

Wrzucają różne rzeczy do czarnej dziury.

Albo raczej w czarną dziurę.

Stacja naukowa orbituje w odległości dziesięciu jednostek

astronomicznych od Virgo, bliżej niż Merkury od Słońca. Okrążenie trwa nieco dłużej niż dwa dni, ale nawet z tak bliska nic nie da się zobaczyć. Skała rzucona w czarną dziurę potrzebuje dnia, by osiągnąć horyzont.

Jeden z szefów naukowych, biologiczny człowiek o imieniu Sue, znajduje chwilę, by ze mną porozmawiać, i tłumaczy, co właściwie naukowcy chcą osiągnąć. Moją uwagę zwraca zwłaszcza wzmianka na temat mierzenia odchyłeń przy upadku kamiennych odłamków – ma to wyjaśnić, czy czarna dziura się obraca. Nawet najmniejsza rotacja może zakłócić zawiły kurs, po którym będzie tańczyć mój statek. Jednakże najnowsze teorie przewidują raczej, że stara czarna dziura dawno wytraciła pęd i – na ile inżynierowie mogą ocenić – jak dotąd pomiary potwierdzają to przypuszczenie.

Czarna dziura, a raczej nieobecność przestrzeni, jest całkowicie niewidoczna ze stacji. Podążam spojrzeniem w kierunku wskazanym przez Sue, ale nic tam nie ma. Mało prawdopodobne, żebym nawet przez teleskop dostrzegł maleńki obszar kompletnej czerni na tle nierównej ciemności obcego nieba.

Mój statek nie różni się zbyt wiele od sond i próbników. Różnicę stanowi jedynie moja obecność na pokładzie.

Zanim przybiję do stacji, przelatuję jeszcze nad statkiem, by dokonać ostatniej inspekcji miniaturowego jaja pokrytego doskonale odbłaskową powłoką. Pancierz powstał z jednorodnego kryształu, syntetycznej substancji tak wytrzymałej, że żadna ziemską siłą nie zdoła go nawet zadrasnąć.

Czarna dziura jednak nie jest ziemską.



Wolf przeciw czarnej dziurze! Drugi techniczny podstęp, przygotowany specjalnie na ten pojedynek, to moje ciało.

Już nie jestem kruchym, wypełnionym płynami człowiekiem. Pływy na horyzoncie czarnej dziury rozerwałyby ciało na strzępy, a przyspieszenia wymagane przy manewrach rozgniotłyby mnie na miazgę. Aby przetrwać tę podróż, załadowałem delikatny biologiczny umysł do ciała z o wiele bardziej odpowiedniego materiału. Ważna jest nie tylko odporność i wytrzymałość, lecz także rozmiar. Ta cielesna powłoka ma ogromną zaletę – jest miniaturowa. Siły wywołane przez zakrzywienia grawitacji są proporcjonalne do rozmiarów obiektu. Dlatego teraz liczę sobie milimetr wzrostu i jestem milion razy mniej podatny na rozciągnięcie, niełatwo mnie zmienić w nitkę spaghetti.

Nowe ciało ma jeszcze jedną zaletę. Mieści umysł działający jak software w komputerze wielkości główki od szpilki, tysiące razy szybszy niż biologiczny. Musiałem zwolnić swoje procesy myślowe, żeby się kontaktować z biologicznymi ludźmi. Przy pełnej prędkości moje reakcje trwają mikrosekundy – są jak błyskawica w porównaniu ze żmudną, powolną pracą neuronów. Czułość mojego wzroku natomiast przesunięta jest na ultrafiolet, ponieważ widziałbym jedynie rozmazane plamy, gdybym próbował polegać na tradycyjnym paśmie widzialnym dla człowieka.

Można mi było nadać dowolny kształt, rzecz jasna – sześcianu lub gładkiej kuli. Lecz konstruktorzy ulegli dyktatom społecznej

konwencji: ludzkie ciało powinno zachować ludzkie cechy charakterystyczne, nawet jeżeli nie jest większe od mrówki. Dlatego przypominam człowieka kształtem, chociaż nawet w części nie jestem organiczny. Za to mój umysł naśladuje ludzki biologiczny software. Czuję się i postrzegam jako całkowicie normalny człowiek.

I tak być powinno. Bo jaką wartość miałyby doznania i doświadczenia maszyny?

Potem, kiedy powrócę – o ile powrócę – będę mógł wyładować i udostępnić wszystko, co przeżyję. Będę mógł na powrót stać się tobą. Lecz powrót nadal jest, powiedzmy, problematyczny.



A ty, mój oryginale, co ty czujesz? Dlaczego uważam, że powinienem wyruszyć w tę podróż? Wyobrażam sobie, jak śmiejesz się histerycznie, ponieważ udało ci się mnie wrobić i wysłać do czarnej dziury, podczas gdy ty wygodnie siedzisz sobie w fotelu, z dala od zagrożenia. Wyobrażanie sobie, jak się śmiejesz, uspokaja mnie. Wiem, że to fałsz. Trafiałem już w inne niebezpieczne miejsca i nigdy się nie śmiałem.

Pamiętam moją pierwszą wyprawę, lot na gwiazdę.



Tamtym razem byliśmy połączeni, zjednoczeni on-line, kontaktujący się w czasie rzeczywistym. Nasze umysły

reagowały jak jeden. Pamiętam, że czułem wtedy niesamowite, elektryzujące podniecenie i przerażenie: Boże mój, naprawdę chcę to zrobić? Czy już za późno, by się wycofać?

Początkowo był to jedynie kaprys, szalony pomysł. Grupa naukowców, w której pracowałem, wysyłała próbniki do gwiazdy zmiennej Groombridge 1830b, by zbadać dynamikę rozbłysków. Skończyliśmy i impreza na zamknięcie projektu właśnie się rozkręciła. Wszyscy byliśmy na wysokich obrotach od różnych neurotransmitterów, kreatywność sięgnęła zenitu, a myślenie krytyczne spadło do zera. Ktoś, chyba Jenna, stwierdził, że powinniśmy wybrać się „na gwiazdę”. Poczekać na rozbłysk i przelecieć przez niego z aparaturą pomiarową. Piekielny rajd!

Piekielny „rozprysk”, jak określił to inny z imprezowiczów ze śmiechem.

„Jasne”, dodał kolejny, pewnie ja. „Jak chcesz to zrobić? Załadujesz się do pamięci sondy, a potem wypakujesz dane zapisane podczas tej wycieczki?”.

„To by się udało”, przyznała Jenna. „Ale można zrobić to jeszcze lepiej: skopiować najpierw nasze ciała, a potem połączyć dwa mózgi. Jedno ciało spada na gwiazdę, drugie zapamiętuje wszystko przez łącze on-line”.

W pewnym momencie, nie wiem kiedy, wyrażenie „my” objęło również mnie i moją kopię.

„Jasne”, powiedziałem. „Ciało musi zostać umieszczone w izolacyjnej zawieszynie i doświadczać rozbłysku w czasie rzeczywistym!”.

O poranku, kiedy znowu byliśmy skoncentrowani, mógłbym odrzucić pomysł, stwierdzić, że to tylko głupi kaprys podpitych

naukowców, lecz Jenna uważała, że decyzja jest niezmienna jak neutronium i równie stała, należy zatem przystąpić do realizacji przedsięwzięcia. Skoro mamy wysłać zwiadowcę na gwiazdę, to do roboty!

Wprowadziliśmy kilka zmian. Lot do wnętrza gwiazdy wymaga czasu, nawet jeżeli gwiazda jest tak mała jak nasza Groombridge, dlatego należało zaprogramować kopii wolniejsze procesy myślowe, które zanurzony w izolatorze oryginał miał odbierać dzięki wzmacniaczom impulsów. Skoro oba mózgi były identyczne co do ostatniej molekuly, nietrudno było znaleźć odpowiednie pasmo i zsynchronizować połączenie.

Jeden z próbników został przerobiony tak, by mógł przenieść materiał biologiczny, co oznaczało przede wszystkim montaż systemu chłodzenia do ochrony płynów w ciele podróżnika. Osiągnęliśmy to w najprostszy sposób – włożyliśmy sondę do bloku kometarnego lodu. Założyliśmy, że kiedy zacznie się jego sublimacja, zjonizowane opary przejmą ciepło i rozproszą się wraz z nim. Dodatkową zaletę stanowił efekt świetlny tego procesu, moi przyjaciele na orbicie będą mogli radośnie obserwować ogon komety podczas przelotu. Rzecz jasna, kiedy lód się skończy, ciało kopii powoli wyparuje. Nikt z naszej grupy nie przeżyje wyprawy w pobliże gwiazdy rozbłyiskowej.

Lecz szczególnie nas to martwiło. Jeżeli doświadczenie okaże się zbyt nieprzyjemne, będzie można później edytować bolesną część i wymazać ją z pamięci.

Może sensowniej byłoby po prostu zapisać dane z mózgu kopii, a potem się do nich podłączyć i załadować pliki. Ale Jenna nie chciała nawet o tym słyszeć. Miało to być doświadczenie i

przeżycie w czasie rzeczywistym, a przynajmniej na tyle bliskie, na ile pozwalało opóźnienie przekazu danych z prędkością światła.

Troje z naszej grupy naukowej – Jenna, Martha i ja – poleciliśmy. Zdaje się, że brakuje fragmentu wspomnień w mojej obecnej pamięci. Nie potrafię przypomnieć sobie, dlaczego uległem kaprynowi Jenny i zdecydowałem się polecieć. Pewnie wiązało się to z biologicznym ciałem, z jakimś irracjonalnym przekonaniem, które musiało wtedy wydawać mi się zupełnie oczywiste.

Miałem wówczas to samo uczucie co teraz. Uczucie, które zawsze mnie/ciebie ogarnia: o Boże, jestem kopią i zaraz umrę! Jednak podczas tamtej wyprawy do gwiazdy zmiennej nasze umysły były połączone i nie istniała możliwość, by oderwać myśli kopii od myśli oryginału, nie można było rozdzielić ciebie i mnie.

Poza tym to wspaniałe uczucie, naprawdę.

Spadanie.

Czułeś to, pamiętasz? Na początku nuda, spadek swobodny, umilany jedynie rozmowami przez radio z przyjaciółmi. Aż wreszcie powłoka z lodu zaczęła się powoli topić, zaraz potem nastąpiła sublimacja i jonizacja cząstek gazu, która wytworzyła blask wokół sondy, przejrzystą otoczkę jasnego fioletu. Czerwona gwiazda była coraz bliżej, jej pomarszczona, spękana powierzchnia stała się wyraźnie widoczna. I wtedy nagle wpadliśmy w rozbłysk. Ponad nami nieboskłon rozświetlił się oślepiająco. Poczuliśmy się jak karzełki w obliczu nieskończoności.

Poniżej, choć trudno określić, w jakiej odległości, zniknęła krzywizna powierzchni. Nadal spadałem z prędkością trzystu kilometrów na sekundę, lecz wydawało mi się, że jestem zawieszony nieruchomo nad bezkresnym horyzontem. I wówczas resztki lodu wyparowały, a ja nagle znalazłem się w nicości, wczepiając się jeszcze w obraz płonącego nieboskłonu i bezkresnej czerwieni oddzielonej widnokręgiem od bezmiaru kosmosu. Nieuchronnie jak lawina przetoczył się przeze mnie ból, fala za falą, coraz mocniejszy. Nie wymazałem tej części z pamięci. Ból niczym ocean bez granic, jak ciągnący się w nieskończoność ląd, jak ogromny, pozbawiony powietrza świat.

Wspominam też Jennę. Dziwna sprawa, nigdy nie byłem jakoś specjalnie związany lub połączony z tą kobietą. Już wtedy stanowiła jedynie cztery piąte siebie. Absolutnie lojalna i przywiązana do swojej niekompletnej osobowości, nie potrzebowała brakującej jednej piątej, by czuć się całością. Akceptowała niezmiennie swój zmienny charakter.

Długo potem – może sto lub dwieście lat później – dowiedziałem się, że Jenna się rozproszyła. Kiedy jej cztery piąte osobowości się rozdzieliło, załadowała się do systemu komputerowego i skrupulatnie skatalogowała wszystko, co się na nią składało: jej umiejętności, refleksje, doświadczenia, nawet najmniej ważne, każdy aspekt swojego charakteru, każde wspomnienie, marzenie i sen oraz pragnienia i tęsknoty: miriady podprogramów osobowości. Zindeksowała swoją duszę i udostępniła download. Tysiące ludzi, może nawet miliony lub więcej, posiadały cząstkę Jenny, jej inteligencję, przemyślność, umiejętność gry na starożytnych instrumentach.

Nikt jednak nie posiadał jej wnętrza, jej poczucia siebie. A Jenna, kiedy skopiowała swoje podprogramy do systemu, zdeletowała się.



A kim ja jestem?



Dwóch techników, którzy dopasowali mnie do statku i asystowali przy tysiącu drobiazgowych kontroli przed wyprawą, to moi przyjaciele z czasów tamtego pierwszego lotu. Jeden ma nawet to samo biologiczne ciało, choć minęło chyba z osiem wieków. Dzięki biorekonstrukcji nie stracił jednak wigoru mimo upływu lat. Kwestia mojego przeżycia – o ile jakieś nastąpi – rozstrzygnie się w mikrosekundach, nie latach. Ale i tak mi wstyd, że nie pamiętam imienia tego człowieka. Pamiętam tylko, że zawsze był konserwatywny i dość nadęty.

Wymieniamy się żartami i gawędzimy, by skrócić procedurę kontroli przed startem. Nadal jestem trochę zdekoncentrowany dręczącymi mnie wątpliwościami oraz niepokojem, że nie wiem, dlaczego w ogóle podjąłem się tej wyprawy.

Badanie czarnej dziury nie byłoby żadnym wyzwaniem lub przygodą, gdyby ludzkość potrafiła poruszać się szybciej niż światło. Jednak wśród cudów technologii trzeciego i czwartego tysiąclecia ten jeden się nie zdarzył. Gdybym posiadał

legendarny napęd nadświatlny, mógłbym po prostu przelecieć nad Virgo. Na horyzoncie zdarzeń przestrzeni zapada się w czarną dziurę z prędkością światła. Z prędkością nadświatłą mógłbym pokonać tę barierę.

Lecz takiego napędu ludzkość jak dotąd nie odkryła. To właśnie powód zorganizowania tej wyprawy – nie jedyny, nawet nie najważniejszy, jeden z wielu zaledwie – naukowcy mają nadzieję, że uda się zrobić pomiary przestrzeni wewnątrz czarnej dziury, które pozwolą dokładniej poznać naturę czasu i przestrzeni. A ja w ten sposób uczynię malutki krok naprzód w poszukiwaniach napędu nadświatelnego przez ludzkość.

Mój statek ma jednak napęd prawie równie dobry jak nadświatlny. Składa się z mikroskopijnych zwojów czasoprzestrzeni w nieprzenikalnych osłonach. Te zwoje zmieniają zwykłą materię w ciemną, lustrzaną. To pozwoli na osiągnięcie naprawdę zdumiewających prędkości i niezwykle możliwości manewru. Lekkie dotknięcie sterów umożliwi przyspieszenie rzędu tysięcy g. Przyspieszenie, którego nie zniesie żadne biologiczne ciało, nieważne, jak dobrze chronione. Dzięki temu napędowi mogę podjąć niemożliwe wyzwanie – zawisnąć na krawędzi czarnej dziury, na horyzoncie zdarzeń. Będę mógł manewrować w tym miejscu, gdzie nawet materia przyspiesza do prędkości bliskiej światłu. Mój pojazd, nie większy od orzeszka arachidowego, ma silniki do przemieszczania się w przestrzeniach międzygwiazdnych.

Jednak statek to nie tylko napęd. Większość mojego stanowi masa reaktywna.

Kontrola przed startem zakończona. Mam zielone światło.

Jestem gotów. Uruchamiam instrumenty, sprawdzam wszystko raz jeszcze, upewniam się, że wszystko działa, choć już to sprawdzałem trzy razy, po czym sprawdzam raz jeszcze. Pilot we mnie jest bardzo skrupulatny.

Zezwolenie na start.

– Nadal nie nazwałeś swojego statku – słyszę. To ten technik, którego imienia nie potrafię sobie przypomnieć. – Jak mamy o nim mówić?

Wehikuł do podróży w jedną stronę, myślę złośliwie. A może odpowiedniejsze będzie jakieś skojarzenie z Dantego? Nie, Sartre określił lepiej taką sytuację: przy drzwiach zamkniętych.

– *Huis Clos* – oznajmiam i startuję. Niech naukowcy i inżynierowie poszukają, skąd to wzięłem.



Sam.

Prawa mechaniki orbitalnej nie zostały zawieszona, ale nie spadam w czarną dziurę. Jeszcze nie. Za pomocą wspomagających silników manewrowych – w pobliżu stacji nie ośmielę się uruchomić głównego napędu – schodzę po orbicie eliptycznej i wkrótce osiągnę perimelazmę, punkt największego zbliżenia do czarnej dziury, nadal jednak dość daleki od niebezpiecznej strefy wpływów. Czarna dziura nadal jest niewidoczna, lecz wewnątrz maleńkiego statku moje nadzwyczajnie wrażliwe zmysły mogą wyczuć całe spektrum oddziaływań – od fal radiowych po promieniowanie gamma. Otwieram szerzej moje nowe oczy, by sprawdzić, czy potrafię

wykryć lśnienie promieniowania rentgenowskiego powstające podczas rozpadu cząstek międzygwiazdowego wodoru, lecz chyba nie ma go tutaj za dużo, bo niczego nie dostrzegam. Materia międzygwiazdowa jest tu tak rozrzedzona, że praktycznie nie istnieje. A czarna dziura nadal pozostaje niewidoczna.

Uśmiecham się. To nawet lepiej. Czarna dziura jest czysta, nieskażona żadną domieszką z zewnątrz. Tworzy ją zatem wyłącznie grawitacja, jest niemal matematyczną abstrakcją, a przynajmniej na tyle ją przypomina, na ile cokolwiek we wszechświecie może.

Jeszcze nie jest za późno, by się wycofać. Mógłbym uruchomić napęd, przyspieszyć do milionami w pół minuty osiągnąć prędkość relatywistyczną. I bez czarnej dziury mogę uciec. I nie musiałbym zwalniać moich procesów myślowych, by z prędkością bliską światłu wędrować przez całą skolonizowaną Galaktykę.

Ale wiem, że tego nie zrobię. Przeklęta psycholog, z którą rozmawiałem przed odlotem, również to wiedziała, inaczej w życiu nie wyraziłaby zgody na moje uczestnictwo w misji. Dlaczego? Co jest we mnie takiego wyjątkowego?

Rozmyślam o sobie, część uwagi poświęcając jednak instrumentom i pilotowaniu. Nagle doznaję olśnienia i ma to związek z kolejnym wspomnieniem. Chodzi właśnie o tamtą psycholog. Podobała mi się. Seksualnie. Na tyle, że rozpraszało mnie to podczas rozmowy.

W tej chwili, rzecz jasna, nie odczuwam popędu seksualnego. Ledwie pamiętam, co to jest. Ta część wspomnień wydaje się dziwna, obca.

– Nie możemy skopiować zawartości całego mózgu do symulacji, ale dość, abyś czuł się sobą – wyjaśniła mi psycholog. Mówiła w przestrzeń, nie do ciebie. – Nie zauważysz żadnych różnic.

A jednak coś zauważam. Wszystko jasne – mam uszkodzony mózg.

Podczas tamtej rozmowy zmarszczyłeś brwi, mój oryginalne.

– Jak to nie? Nie zauważę, że nie mam części wspomnień?

– Mózg się dostosuje. Wszak wykorzystuje się tylko ułamek procenta pamięci w danym momencie. O tej części, której nie wgramy, zapewne nigdy nie pomyślisz, bo nie będziesz miał powodów. Na przykład wspomnienie smaku truskawek, plan domu, gdzie mieszkałeś jako nastolatek, pierwszy pocałunek.

To trochę cię zaniepokoiło – chciałeś przecież pozostać sobą. Koncentruję się. Jak smakują truskawki? Nie pamiętam. Nie wiem nawet, jakiego są koloru. Okrągłe owoce, jak jabłka, tylko mniejsze, to pewne, ale jakiej barwy? Nie potrafię sobie przypomnieć.

Uznałeś tę część pamięci za nieistotną, liczyło się jednak, byś nadal pozostał sobą. Uśmiechnąłeś się wtedy.

– Zostawcie mi wspomnienie pierwszego pocałunku.

No, i teraz pewnie nigdy nie znajdę odpowiedzi na pytanie: jaki człowiek dobrowolnie i celowo chciałby wpaść do czarnej dziury? Nie potrafię tego pojąć, ponieważ nie mam twoich wspomnień, oryginalne. W rzeczywistości wcale nie jestem tobą.

Ale pamiętam pierwszy pocałunek. Spacer w ciemności po trawie mokrej od rosy, srebrną tarczę księżyca nad widnokregiem i dziewczynę, do której się odwracam i która

unoszą głowę. Spotkanie naszych ust. Smak nie do opisania, bardziej dotyk niż smak (i na pewno nie smak truskawek), miękkość warg skrywająca twardość zębów. Pamiętam wszystko poza jednym: kim była ta dziewczyna?

Czego jeszcze mi brakuje? Czy chociaż wiem, czego nie wiem?

Jako dziecko, może dziewięcioletnie, wspinałem się na każde drzewo w sąsiedztwie. Byłem ostrożny i systematyczny. Kiedy udało mi się wdrapać na wierzchołek najwyższego, gdy przez konary prześwitywały coraz jaśniej promienie słońca, ujrzałem poniżej baldachim lasu (czy mieszkałem w lesie?). Nikt nie potrafił się wspinać tak jak ty – nikt nawet nie podejrzewał, jak wysoko się wspinałem. Korony najwyższych drzew były dla ciebie azylem, skąd świat wydawał się jedynie zielonym oceanem przelewającym się w dolinach między górami.

Szczerze mówiąc, był to przejaw mojej głupoty. Żeby dostać się na tyle wysoko, by zobaczyć niebo, musiałem piąć się po cienkich gałęziach, które wyginały się niebezpiecznie, gdy je chwyciłem. Ale wiedziałem, że wytrzymają mój ciężar. Ich trzeszczenie dodawało szczyptę ryzyka do zabawy, ale równoważyłem je ostrożnością – doskonale wiedziałem, co robię.

Dopiero niżej, gdzie gałęzie stają się grubsze i wytrzymalsze, pozwoliłem sobie na lekkomyślność. Zlekceważyłem podstawową zasadę bezpieczeństwa przy wspinaczce – trzy punkty podparcia. Jednak właśnie sięgałem do konaru i nie zwróciłem uwagi, że druga dłoń mi się obsunęła. Straciłem równowagę. Ześlizgnąłem się. Przez krótki moment zawisłem wśród gałęzi. Próbowałem sięgnąć, chwycić się czegoś, ale palce zaciskały mi się tylko na liściach. A potem spadałem, spadałem,

spadałem. Przez okamgnienie zdawało mi się, że to gałęzie i liście wyrywają w górę, ale to ja leciałem w dół. Och, Boże, przeliczyłem się – naprawdę byłem głupi!

Wspomnienie urywa się bez zakończenia. Musiałem uderzyć o ziemię, ale nie pamiętam tamtej chwili. Ktoś zapewne mnie znalazł lub sam doczołgałem się po pomoc, oszołomiony, może ranny... Nie pamiętam, niestety.



Pół miliona kilometrów od czarnej dziury. Gdyby moja eliptyczna orbita przebiegała wokół Słońca, a nie Virgo, zapewne już trafiłbym w powierzchnię. Staram się zapamiętać jak najwięcej, w końcu to największe zbliżenie człowieka do czarnej dziury, chociaż moje wyczulone zmysły niewiele jeszcze rejestrują. Dręczy mnie tylko surrealistyczne wrażenie, że oto znajduję się w mocy potężnej siły, która pozostaje całkowicie niewidzialna. Używając oczu jak teleskopu, udaje mi się dostrzec Virgo, a raczej to, czego nie ma w miejscu, gdzie się znajduje czarna dziura – niewielki obszar czerni, prawie nieodróżnialnej od ciemnego tła. Zdradza ją tylko dziwny ruch gwiazd w pobliżu.

Mój statek wysyła nieustannie strumień danych telemetrycznych na stację. Mam ochotę dodać komentarz – mam do dyspozycji mnóstwo różnych pasm nadawania – ale nie wiem, co powiedzieć. Zresztą chciałbym porozmawiać tylko z jedną osobą, ale ta spoczywa w kokonie ochronnym w temperaturze absolutnego zera i czeka, aż wrócę, załaduję się do niej i stanę się nią. A ja chciałbym z tobą porozmawiać.

Pokonuję orbitę coraz szybciej i szybciej, ale nadal jestem niewolnikiem praw Newtona, daleko jeszcze do strefy, gdzie rządzi Einstein.

Odległość od czarnej dziury wynosi dziesięciokrotność promienia Słońca. Czerń, wokół której orbituję, jest już na tyle wielka, by dostrzec ją bez pomocy teleskopu – ma rozmiar Słońca widzianego z Ziemi i drży przez zakłócenia czasoprzestrzeni. Z powodu grawitacji czerń na środku tarczy jest nieco ciemniejsza niż na reszcie dysku. Pierwiastek z dwudziestu siedmiu przez dwa... Prawie dwa i pół razy większa, zauważa mój wewnętrzny fizyk. Przyglądam się zafascynowany.

Widzę przed sobą obszar absolutnej czerni. Bańka mroku odpycha odległe gwiazdy, gdy drży. Ruch po orbicie sprawia, że gwiazdy w tle zdają się przemykać po nieboskłonie i zbliżać do czarnej dziury, a następnie – pchnięte siłą grawitacji – odsuwają się na boki. Wygląda to jak rzeka opływająca niewidzialną przeszkodę. To efekt zwany soczewką grawitacyjną, wiem, ale spektakularny widok jest tak piękny, że nie mogę oderwać oczu. Grawitacja spycha gwiazdy to w jedną, to w drugą stronę. Jeżeli jednak jakaś ma przejść dokładnie za czarną dziurą, zachowuje się zupełnie inaczej – wydaje się, że w rozbłysku zmienia się w doskonały świetlny okrąg. Pierścień Einsteina. Niestety, zdarza się to bardzo rzadko i przypadkowo trudno zaobserwować takie zjawisko.

Im bardziej się zbliżam, tym dziwniejsze dostrzegam widoki. Strumień gwiazd opływa bąbel czerni, ale przy samej krawędzi widać inne gwiazdy, poruszające się w przeciwnym kierunku, pod prąd kosmicznej rzeki. Po długiej chwili (zapewne aż po

mikrosekundzie) fizyk podpowiada, że oto widzę odbicie gwiazd w lustrze Einsteina. Cały zewnętrzny wszechświat odbija się w wąskim pierścieniu otaczającym czarną dziurę, odbijam się również ja płynący w rzece odbitych gwiazd.

W środku pierścienia nie ma nic.

Pięć tysięcy kilometrów od czarnej dziury. Poruszam się coraz szybciej. Przyspieszenie tutaj, w odległości pięćdziesięciokrotnie większej od sfery wyznaczonej przez promień Schwarzschilda, osiąga wartości powyżej dziesięciu tysięcy g. Wpływ fizyki Einsteina jest jeszcze niewielki i jeżeli nic nie zrobię, prześlizgnę się po orbicie eliptycznej i ucieknę w głąb kosmosu.

Tysiąc kilometrów. Perimelazma, punkt najbliższy czarnej dziurze na mojej orbicie. W odległości dziesięciokrotnie większej niż promień Schwarzschilda, lecz wystarczająco blisko, by prawa einsteinowskie zaczynały korygować newtonowskie – leciutko zmienia się geometria przestrzeni. Włączam silniki. Prędkość mam tak przerażającą, że skorygowanie mojej orbity z eliptycznej na kołową trwa prawie sekundę i wymaga przyspieszenia rzędu miliona jednostek.

Poczucie czasu wróciło mi do normy, a zaraz potem stało się szybsze. Okrążam czarną dziurę dziesięć razy na sekundę.

Mój Boże, dlatego istnieję, dlatego tu jestem!

Wątpliwości umknęły pod wpływem dzikiego poczucia siły. Żadna forma biologiczna nie mogłaby tu przetrwać, nikt nie przeżyłby okrążeń w takim przyspieszeniu. A to dopiero początek! Uśmiecham się jak wariat, drzę z podniecenia niegodnego naukowca – to musi być wpływ elektronicznego odpowiednika fali adrenaliny.

Och, ten statek jest dobry. Ten statek jest cudowny. Przyspieszenie rzędu miliona g, a ja ślizgam się po nim gładko jak po polu magnetycznym. I ledwie musnąłem Virgo. Chciałbym wykonać korkociąg moim *Huis Clos*, zanim spadnę w środek czarnej dziury, chciałbym wykonać jeszcze triumfalny przelot rozpalonym do czerwoności pojazdem przed pobliskimi gwiazdami, ale nie wolno mi jeszcze uruchamiać głównego napędu, nie tak blisko tunelu czasoprzestrzennego przy stacji. Niesamowicie efektywny napęd przy takim przyspieszeniu rozpaliby ośrodek badawczy jak słońce.

Nie mogę się doczekać, by wprowadzić *Huis Clos* do wnętrza czarnej dziury i zobaczyć, na co naprawdę go stać.

Moja prędkość orbitalna wynosi jedną czwartą prędkości światła. Dziewięćset kilometrów to zaledwie orbita parkingowa. Pora skonfigurować przyrządy, dokonać finalnych pomiarów. Mam ostatnią szansę – gdybym zmienił zdanie. Nie ma tu czego badać, dane zebrały wcześniej sondy. I nie ma mowy, bym zmienił zdanie i się wycofał – choć wydaje się to bardzo nierozważne.

Rzeka gwiazd przepływa i tańczy z przeciwstawnym strumieniem wokół czerni pode mną. Horyzont już czeka.

Horyzont jest niewidzialny, lecz rzeczywisty. Nie ma wyraźnej linii, granicy, nic, co można zobaczyć lub wyczuć. Nie uda mi się go wykryć, lecz mogę go obliczyć.

Horyzont zdarzeń, jednostronnie przepuszczalna błona, miejsce, gdzie można wejść, lecz nie można wyjść. Stąd nie wydostaną się nawet fale radiowe. Według matematycznych obliczeń, kiedy przekroczę tę granicę, kierunki przestrzeni i

czasu zmienia się, przestrzeń obróci się w czas, czas obróci się w przestrzeń. Oznacza to, że kiedy przekroczę horyzont zdarzeń, kierunek do środka czarnej dziury wyznaczy przyszłość, a w przeciwną stronę będzie przeszłość. Właśnie dlatego nikt i nic nie opuści nigdy czarnej dziury – droga do wewnątrz jest jedyną, jaką ludzkość podąża, nieważne, czy tego chce, czy nie. Zawsze podążamy ku przyszłości.

A przynajmniej tak twierdzi matematyka.

Przyszłość, wewnątrz czarnej dziury, trwa bardzo krótko.

Jak dotąd matematyka się nie myliła. Pomimo to podążam w głąb Virgo.

Na nieskończenie krótki moment uruchamiam silnik i zacieśniam orbitę.

Kula czerni rośnie, ruch gwiazd w przeciwstawnym strumieniu staje się bardziej skomplikowany. Gdy znajduję się w odległości trzykrotnie większej od promienia Schwarzschilda, sto osiemdziesiąt kilometrów od czarnej dziury, sprawdzam raz jeszcze układy statku. Tu nie ma już ratunku, żadna orbita nie jest stabilna i systemy pokładowe zmuszone będą do ciągłego korygowania jej parametrów, aby statek nie spadł lub nie został wyrzucony w przestrzeń. Urządzenia działają doskonale w tym niebezpiecznym środowisku. *Huis Clos* osiągnął już połowę prędkości światła. Za tą granicą, jeżeli będę nadal zacieśniał orbitę, siły odśrodkowe zaczną dążyć do zera. Będę musiał użyć dopalaczy, żeby zwiększyć prędkość, inaczej wpadnę w czarną dziurę bez żadnej kontroli.

Kiedy dorastałem, a było to w ostatnich latach drugiego tysiąclecia, nikt nie wyobrażał sobie, że można żyć wiecznie. I

nikt wówczas nie uwierzyłby, że będę obchodził tysięczne urodziny, nie pojmując nawet, czym naprawdę jest śmierć.

Nawet jeżeli wszystkie sztuczki zawiodą i spadnę na czarną dziurę, nawet jeżeli minę horyzont zdarzeń i zmienię się w spaghetti, a potem zostanę rozerwany na strzępy w osobliwości, nie umrę. Wszak ty, mój oryginale, będziesz żyć dalej. A nawet gdybyś umarł, wykonaliśmy dotychczas tysiące kopii zapasowych i kopii aktualizacyjnych. Niektóre z nich pewnie nadal są żywe. Moje indywidualne istnienie nie ma większego znaczenia. Jeżeli zechcę, mogę natychmiast połączyć się ze stacją badawczą i przesłać tam swoją obecną osobowość, po czym obudzić się cały i zdrowy i żyć tak, jakby nic się nie stało, nie pamiętając, że ty i ja nie byliśmy tym samym. No, może na jakimś poziomie abstrakcji intelektualnie sobie to uświadomię, ale nie będzie to miało znaczenia.

A nie jesteśmy tym samym – ty i ja. Jestem wersją, skorygowaną kopią ciebie, ponieważ wspomnienia, które nie zostały mi wgrane, nawet jeżeli nigdy o nich nie pomyślę, sprawiają, że ty i ja się różnimy. Ten brak fragmentu pamięci czyni ze mnie osobną jednostkę, nową indywidualność. To już nie ty.

Czarna dziura stanowi metaforę śmierci, to czerń, która wsysa każde istnienie. Lecz jakie znaczenie ma śmierć w świecie matryc i modułów osobowości, gdzie można zrobić kopię zapasową umysłu? Czy moja wyprawa jest samobójcza? Czy też gram śmierci na nosie? Albowiem zamierzam przeżyć. Nie ty. Ja.

Okrażam teraz Virgo ponad sto razy na sekundę. Dostosowałem szybkość procesów myślenia, więc dla mnie to

całkiem powoli. Widok stąd jest niezwykły. Czarna dziura skurczyła się do rozmiarów niewielkiej planety, świata aksamitnej czerni otoczonej pasmem wirujących szaleńczo gwiazd.

Nieważne, jak wydajny byłby napęd, nie utrzyma statku na stabilnej orbicie, gdy odległość od czarnej dziury wynosi 1,5 promienia Schwarzschilda. Powinienem już zbliżyć się do prędkości światła, ale żaden silnik nie da mi takiego przyspieszenia. Jeszcze trochę i nie będzie mowy o żadnej orbicie, ale na razie utrzymuję się na wysokości sześćdziesięciu kilometrów nad horyzontem zdarzeń i poruszam się z prędkością 255 000 km/s, to prawie 85% prędkości światła. Tutaj mogę przycupnąć na dłużej, ignorować nieustanne korekty kursu. Aksamitna czerń przesłania połowę wszechświata i gdyby widziano mnie z zewnątrz, zapewne wyglądałoby, jakbym ukośnie zanurzał się w czarnej dziurze. Opanowuję pragnienie pilota we mnie, by wyłączyć automatyczne sterowanie i ręcznie wyrównać kurs. Skos jest tylko aberracją relatywistyczną, iluzją wywoływaną przez moją prędkość.

85% prędkości światła – do takiej szybkości ośmieliłem się rozpędzić. Muszę jednak oszczędzać paliwo na najtrudniejszy etap mojej wyprawy.

Z niestabilnej sześćdziesięciokilometrowej orbity nad czarną dziurą łączę się ze stacją przy tunelu czasoprzestrzennym. Przez komputer pokładowy przekazuję dane do komputera w ośrodku badawczym, ładuję też obserwacje i doznania, jakich dotychczas doświadczyłem.

Według planu misji powinienem teraz zaktualizować też stan

mojego umysłu, abyś ty, mój oryginał – jeżeli coś pójdzie źle – mógł go sobie załadować. Do diabła z tym, myślę jednak w odruchu buntu. Nie jestem tobą. Jeżeli obudzisz się z moimi wspomnieniami, będzie to oznaczało, że jestem martwy.

Nikt na stacji nie kwestionuje mojej decyzji, by nie robić aktualizacji.

Przypominam sobie jeszcze jedną rozmowę.

– Masz typ osobowości PN – powiedziała mi psycholog, przesuając kciukiem niewidzialne strony z wynikami moich badań. Ten drobny gest zdradził, z jakiej epoki pochodziła. Tylko osoba, która dorastała w otoczeniu pozbawionym bezpośrednich łączy z komputerem, mogła wykonać fizyczny ruch, by przemieścić wirtualne pliki. Kobieta zapewne urodziła się w dwudziestym pierwszym wieku, może nawet w dwudziestym. – Ale zapewne to już wiesz.

– Typ PN? – powtórzyłem.

– Poszukiwacz Nowości – wyjaśniła. – Szczególnie taki, który nie wpada w panikę w nieoczekiwanych sytuacjach.

– Och – odpowiadasz. Oczywiście, że to wiedziałeś. – A skoro mowa o Poszukiwaczach Nowości, co sądzisz o pójściu do łóżka z typem osobowości PN?

– Że byłoby to nieprofesjonalne. – Zmarszczyła brwi. – Tak przynajmniej mi się wydaje.

– Nawet jeżeli ten typ zamierza wpaść w czarną dziurę?

Psycholog przerwała połączenie z komputerem krótkim skinieniem dłoni i popatrzyła ci prosto w oczy.

– Cóż...



Na tym etapie podróży liczą się mikrosekundy, choreografia tańca, który ma przynieść sukces, została zaplanowana bardzo dokładnie. Komputer pokładowy i ten na stacji systematycznie synchronizują zegary, uwzględniając przesunięcie Dopplera z niesamowitą precyzją. Mój czas płynie wolniej, niż się spodziewano, lecz połowa tego spowolnienia jest skutkiem relatywistycznej dylatacji wywołanej prędkością, z jaką się poruszam. Grawitacja nadal da się znieść. Po paru mikrosekundach – długim czekaniu w moim hiperprzyspieszonym stanie – dostaję komunikat, że synchronizacja się udała. Ośrodek badawczy wykonał swoją część pracy, teraz kolej na mnie. Zaraz rozpocznę następną fazę, powolne schodzenie.

Najpierw trzeba uruchomić napęd, by przerwać krążenie po orbicie. Przeciążenie sięga pięćdziesięciu milionów g i trwa niemal sekundę – dla mnie to naprawdę wieczność – nim wreszcie udaje się spowolnić mój ruch.

Przez okamgnienie zawisam, po czym zaczynam spadać. Nie chcę spaść za szybko, więc wyciskam ile się da z silnika. Sto megajednostek przyspieszenia, pięćset... miliard g. Przy czterdziestu miliardach napęd wyrównuje przyciąganie czarnej dziury i statek zawisa nieruchomo.

Czerń pochłonęła już połowę wszechświata. Pode mną wszystko pogrążyło się w mroku. Ciemność w dole i gwiazdziste niebo nade mną dzieli jasna, świecąca linia. Osiągnąłem wysokość, na której prędkość orbitalna równa się prędkości

światła. Linia przecinająca nieboskłon to światło płomienia z moich silników, które okrąży czarną dziurę i spada w nią. Spaliny, to właśnie widzę. Najjaśniejsze na nieboskłonie.

Nieco mniejszą jasność ma laserowy promień wypuszczony ze stacji nade mną, którego barwa zmieniła się z początkowej czerwieni na zielononiebieski odcień. Laser wyznacza dokładny odcinek od ośrodka badawczego do czarnej dziury. Manewruję ostrożnie statkiem tak, by znaleźć się dokładnie pod stacją.

Przy czterdziestu miliardach g nawet moje ultrasilne ciało osiąga swój limit. Nie mogę się ruszyć, nawet unieść małego palca z dopasowującego się do moich kształtów fotela. Ale żeby mieć kontrolę nad pokładowym hardwarem, nie muszę wykonywać żadnych ruchów, komputer jest przecież podłączony bezpośrednio do mojego mózgu. Rozkaz, jaki wydaję *Huis Clos*, to: na dół.

Napęd krztusi się lekko i zaczynam opadać w głąb fotonowej sfery, a jasna linia spalin znika. Każda falocząstka światła, jaką produkują dysze mojego statku, jest teraz zasysana w dół.

Widok wokół znowu się zmienia. Czarna dziura staje się moim wszechświatem, a poprzedni wszechświat – galaktyki i gwiazdy oraz stacja przy tunelu czasoprzestrzennym – kurczy się do migotliwej kuli kurzu nade mną.

Sześćdziesiąt miliardów g. Siedemdziesiąt. Osiemdziesiąt.

Osiemdziesiąt miliardów g to szczyt możliwości. Statek spala paliwo z nieprawdopodobną szybkością i ledwie utrzymuje się na kursie. Nadal zostało mi dwadzieścia kilometrów do horyzontu.

Niepodważalne prawo fizyki mówi, że niesamowite

przyspieszenia wymagają nieprawdopodobnego zużycia paliwa. Chociaż masę mojego pojazdu stanowi głównie paliwo, nie mogę pozostać w miejscu dłużej niż milisekundę, nie mogę przeciwstawiać się potężnemu przyciąganiu. Wyłączam zatem napęd. I spadam.

To już nie potrwa długo. Mam ostatnią szansę, by przesłać kopię mojego umysłu do stacji przy tunelu, żebyś mógł stać się mną, kiedy się obudzisz. Żebyś pamiętał moje ostatnie wspomnienie, decyzję aktualizacji mojej/twojej pamięci.

Nie robię tego.

Widmo światła przesunęło się do niebieskiej barwy o stopień lub dwa, co nie sprawia jednak, że gwiazdy wydają się tak całkiem błękitne. Zwłaszcza teraz, gdy przerwałem hamowanie i poruszam się wraz ze światłem gwiazd. Instrumenty badają przestrzeń wokół statku. Teoria głosi, że przestrzeń w pobliżu horyzontu czarnej dziury jest egzotyczna, wypełniona tajemniczą energią. I jedynie blisko horyzontu zdarzeń można ją zmierzyć. Czynię to zatem i zapamiętuję wyniki, a także zgrywam je skrupulatnie do pokładowego komputera. Tyle tylko mogę zrobić – już za późno, by wysłać dane przez radio.

Horyzontu zdarzeń nie można zobaczyć ani wykryć. Nic nie wyczuwam, gdy go przecinam. Gdyby komputer mnie nie powiadomił, nie miałbym nawet pojęcia, że oto przekroczyłem granicę, zza której nie ma powrotu.

Nic się nie zmieniło. Rozglądam się po małej kabinie i nie dostrzegam żadnych różnic. Tylko ciemność pode mną pogłębia się coraz bardziej. Wszechświat na zewnątrz nadal się kurczy, na granicy gwiazdnej sfery pojawia się jasny pas – ale to tylko efekt

wywołany moim ruchem.

Lecz różnica istnieje – pozostało mi jedynie kilkaset milisekund.

Dla obserwatorów z zewnątrz światło z dysz napędu mojego statku zwolniło i zatrzymało się na horyzoncie zdarzeń. Już dawno jednak wyprzedziłem swój obraz, tak naprawdę spadam teraz z niesamowitą prędkością w środek czarnej dziury, w osobliwość.

Osobliwość jest o wiele mniejsza od atomu, to matematyczny punkt nieskończonej grawitacji i nieskończonej tajemnicy.

Kimkolwiek jestem, przeżyję czy nie – nie ma znaczenia. Liczy się tylko, że jestem pierwszą osobą, która przekroczyła horyzont zdarzeń czarnej dziury. Wypada wznieść z tej okazji triumfalny okrzyk, nawet jeżeli nikt poza mną go nie słyszy. Teraz mogę mieć tylko nadzieję, że plan tego etapu wyprawy, opracowany przez techników co do mikrosekundy, zadziała jak należy. Jedynie mój wyrafinowany taniec, jeżeli wszystko się uda, pozwoli mi przeżyć.

Według teorii gwiazdy nade mną się wypaliły i nawet najnędniejszy czerwony karzeł zużył resztki swojego wodorowego jądra i zgasł. Wszechświat się skończył, gwiazdy umarły. A chociaż nadal widzę blask uniwersum w górze, jest to tylko pozostałość, niczym skamielina – to światło, które wraz ze mną wpada w czarną dziurę przez eony, na nieskończenie długo uwięzione w ściśniętym czasie.

Dla mnie czas zmienił się w przestrzeń, a przestrzeń obróciła w czas. Nie czuję się jednak inaczej. Tyle tylko, że nie mogę uniknąć osobliwości – nie bardziej niż przyszłości.

Chyba że – no właśnie... Chyba że mam asa w rękawie, sprytną sztuczkę na tę okoliczność.

Oczywiście, że mam!

Wewnątrz kuli wszechświata nade mną lśni jasno niebieskofioletowy punkt, światło-skamielina po laserowym promieniu ze stacji przy tunelu czasoprzestrzennym. Silniki manewrowe utrzymywały mój statek na kursie wyznaczonym przez ten właśnie promień, co oznacza, że znajduję się teraz dokładnie pod stacją. Cokolwiek zostanie stamtąd wyrzucone, poleci dokładnie po promieniu lasera i trafi do mnie. O ile wszystko pójdzie dobrze, rzecz jasna.

Jestem już blisko osobliwości i fale grawitacji napierają z siłą miliarda jednostek na milimetr. Trochę więcej i nawet moje wytrzymałe ciało zostanie zmienione w nitkę spaghetti. Zostały mi mikrosekundy. Już pora.

Uruchamiam napęd na pełną moc. Daleko stąd i bardzo dawno temu przyjaciele ze stacji naukowej spuścili koniec tunelu na horyzont zdarzeń. Jeżeli dobrze wyliczyli czas...

Z umarłego przed eonami wszechświata wychodzi tunel.

Nawet dla mojego podrasowanego mózgu zdarzenia przebiegają błyskawicznie. Promień lasera urywa się, a wejście do tunelu czasoprzestrzennego opada na mnie niczym ręka Boga, o wiele za szybko, bym zdążył zareagować. Sfera gwiazdzistego wszechświata gaśnie jak wyłączona żarówka, a czarna dziura – i grawitacyjne wpływy rozciągające mi ciało – znikają w okamgnieniu. Przez chwilę widzę jeszcze czarny dysk pode mną, a potem tunel obraca się, skręca, rozciąga i w absolutnej ciszy – znika.

Wyrwawszy mnie z czarnej dziury.

Statek, uwolniony spod naporu grawitacyjnych sił, wibruje jak dzwonek.

– Udało się! – krzyczę. – Na Boga, naprawdę się udało!

Teoretyczne przewidywania zakładały, że uda mi się wyrwać z czarnej dziury przez tunel czasoprzestrzenny, o ile nie wciągnie mnie osobliwość. Inna hipoteza, że osobliwość – nieskończenie mała i nieskończenie potężna – podąży za mną do tunelu, została wyśmiana przez każdego, kto choć trochę znał się na fizyce czasoprzestrzeni. Tym razem, jak wcześniej, teoria nie zawiodła.

Ale gdzie jestem?

Przez radio powinny teraz płynąć gratulacje i pochwały, a przyjaciele, inżynierowie i badacze winni tłoczyć się, by mnie powitać z należytą celebrą, aplauzem i okrzykami radości.

– Tu *Huis Clos* – nadaję. – Udało się! Tu *Huis Clos*, czy ktoś mnie słyszy?

Teoretycznie miałem się wynurzyć przy Wolfie-562. Ale nigdzie go nie widzę. Co gorsza, w ogóle nie widzę znajomego wszechświata.

Nie ma gwiazd.

Nieboskłon przecinają linie, nieprzeliczone tysiące równoległych linii białego światła. W miejscu, gdzie powinna znajdować się gwiazda oznaczona symbolem Wolf-562, czerń przesłania lśniący czerwony walec, doskonale prosty, ciągnący się w nieskończoność w obie strony.

Czy przeszedłem do innego wszechświata? Czy grawitacja czarnej dziury rozerwała tunel czasoprzestrzenny, wypchnęła mnie z mojego wszechświata i przerzuciła do tego tutaj?

Jeżeli tak, to koniec. Jeżeli tunel został zniszczony, straciłem wyjście z tego dziwnego uniwersum. Chociaż nie wiem, czy opłaciliby mi się wracać – wyszedłbym przecież do czarnej dziury i trafiłbym prosto do osobliwości, gdzie nieskończona grawitacja skończyłaby moje istnienie.

Mogę po prostu wyłączyć swój umysł. W pewnym sensie nic nie tracę. Na stacji naukowcy wybudzą cię ze stanu zawieszenia, powiedzą, że twojej kopii nie udało się przesłać aktualizacji z czarnej dziury, a kontakt urwał się po moim przejściu przez horyzont zdarzeń. Eksperyment się nie powiódł, ale tobie przecież nic nie groziło.

Lecz chociaż może ci się wydawać, że jesteśmy tacy sami, to jednak ja to nie ty.

Kiedy obudzisz się bez spodziewanych nowych wspomnień, ja nadal będę zgubiony.

A chcę przeżyć. Chcę wrócić.

Wszechświat świetlnych walców! Jak jasne pręty nieskończonej klatki. Kolory linii różnią się od siebie – od jasnej czerwieni po oślepiający błękit łuku plazmowego. Domyślam się, że muszą być podobne do czerwonego cylindra obok mnie, lecz w odległości lat świetlnych. Jak to możliwe, by uniwersum wypełniały świetlne linie, a nie gwiazdy?

Świetnie nadaję się do poszukiwania odpowiedzi na to pytanie. Mam zmysły wrażliwe na pełen zakres bodźców – od fal radiowych po promienie Roentgena – i przez najbliższe tysiąc lat lub dłużej nic lepszego do roboty.

Sprawdzam zatem widmo walca znajdującego się w pobliżu. Nie oczekuję, że cokolwiek zrozumie z odczytu, ale ku mojemu

zaskoczeniu widmo wygląda dość zwyczajnie. Co dziwniejsze – wydaje się, że jest to po prostu widmo światła gwiazdy.

Komputer pokładowy może je nawet zidentyfikować, ponieważ dysponuje danymi o milionach ciał niebieskich. Światło czerwonego walca ma sygnaturę spektralną oznaczoną w katalogach symbolem: Wolf-562.

Przypadek? Niemożliwe, by spośród miliardów możliwych charakterystyk ten czerwony miecz przecinający niebo miał identyczne parametry widma jak gwiazda, która powinna znajdować się na jego miejscu. Wniosek zatem jest tylko jeden: ten cylinder to Wolf-562.

Postanawiam sprawdzić widma kilku innych linii. Wybieram trzy walce na chybił trafił, a komputer analizuje ich światło. Pierwszy cylinder ma cechy spektrum charakterystycznego dla 62 Virginis. Biały, świecący słabo pasuje do widma Wolf-1061. Jaskrawy, białoniebieski to Vega.

Te linie na niebie są gwiazdami.

Ale co to znaczy?

Nie trafiłem do innego wszechświata. Jestem w moim uniwersum. Tyle że ono się zmieniło. Czy zetknięcie tunelu czasoprzestrzennego z czarną dziurą zniszczyło mój wszechświat? Czy rozciągnęło słońca w nieskończone równoległe linie światła, jak rozciąga się gumę? Niemożliwe. A nawet gdyby, musiałbym przecież dostrzec również gwiazdy w postaci punktów, skoro ich światło wędrowało do tego miejsca przez setki lub tysiące lat.

Wszechświat nie może się zmienić. Logicznie rozumując, należy zatem przyjąć, że to ja się zmieniłem.

Kolejna zagadka rozwiązana.

Kiedy matematycy opisywali mi przejście przez horyzont zdarzeń czarnej dziury, ostrzegali, że czas i przestrzeń zamienią się miejscami. Uważałem to jedynie za matematyczny abstrakt, jeżeli jednak rozumieć to dosłownie, jeżeli po przekroczeniu horyzontu zdarzeń nastąpiła dla mnie zamiana, to teraz postrzegam czas jak przestrzeń, bo jedną z osi przestrzeni jest czas. Wszystko jasne. Gwiazdy rozciągają się przez miliardy lat z przeszłości ku przyszłości, a skoro czas stał się przestrzenią, to muszę je widzieć właśnie jako linie światła. Gdybym podszedł bliżej i odszukał jedną ze skalistych planet okrążających Wolfa-562, wyglądałaby ona jak warkocz wokół gwiazdy, splątana kamienna helisa nieregularnej orbity.

Czy mógłbym tam wylądować? Co się dzieje w świecie, gdzie to, co postrzegałem jako czas, jest przestrzenią?

Rozwiązanie nie podoba się mojemu wewnętrznemu fizykowi, ale na lepsze nie wpadł. To musi być dla niego trudne – nie dość, że egzystuje niejako na poboczu, to jeszcze zetknął się z sytuacją, w której znane prawa fizyki zostały pogwałcone. Ponieważ jednak nie potrafi znaleźć lepszej hipotezy na wyjaśnienie otaczającego mnie szaleństwa, godzi się wreszcie niechętnie z jedyną słuszną odpowiedzią: czas obrócił się w przestrzeń.

Dla obserwatora z zewnątrz wyglądałbym zapewne jak struna albo guzłowaty sznur, który zaczyna się w tunelu czasoprzestrzennym, a kończy moją śmiercią, gdziekolwiek ona nastąpi. Nikt jednak nie jest dość szybki, by mnie ujrzeć, skoro czas tutaj nie płynie – jestem tylko przelotnym zdarzeniem, które pojawia się wszędzie, gdzie egzystowałem i będę egzystował, i w

tej samej chwili znika. Nie ma możliwości, bym mógł nadać sygnał, nie mam jak się skontaktować...

Nie? Czas jest teraz dla mnie przestrzenią i mogę w nim podróżować w każdą stronę na moim statku. Mogę znaleźć planetę, przemierzyć czas w kierunku równoległym do powierzchni...

Ale nie, jedyne, co uda mi się osiągnąć, to pojawienie się jako dysk, wycinek mnie, nieskończenie cienki. Nie ma sposobu, by nawiązać łączność.

Lecz jeżeli zechcę, mogę podążać przez czas. Tylko jak to wykorzystać?

Zaraz. Jeżeli przestrzeń obróciła się w czas, to istnieje kierunek w przestrzeni, w jakim nie mogę podążać. Co to za kierunek? Kierunek wiodący z czarnej dziury.

Interesująca myśl, choć niezbyt pomocna.

Żeby wrócić, musi się we mnie dokonać podmiana, czas i przestrzeń muszą się ponownie zamienić miejscami. Wystarczy, że zanurzę się w czarną dziurę po raz drugi, wówczas czas i przestrzeń obrócą się ponownie. Tyle tylko, że niewiele dobrego z tego wyniknie, ponieważ gdy tylko opuszczę czarną dziurę – o ile uda mi się ją opuścić – nic się nie zmieni.

Chyba że w czarnej dziurze będzie tunel czasoprzestrzenny rozpadający się w chwili, gdy się w nim znajdę. Lecz jedyny tunel, jaki stykał się z czarną dziurą, już się rozpadł. Mogę jednak podróżować naprzód w czasie. Na pewno kiedyś w przyszłości zespół naukowy wprowadzi do czarnej dziury nowy tunel...

Głupiec ze mnie. Istnieje prostsze rozwiązanie. Przecież postrzegam teraz czas jak przestrzeń, czas zatem ma dla mnie

wymiary przestrzenne i mogę podążać w dowolnym kierunku, naprzód lub wstecz. Wystarczy, że cofnę się do momentu, gdy tunel czasoprzestrzenny przeszedł przez horyzont zdarzeń. Wówczas przy użyciu silników dostanę się do wejścia. W tym samym momencie, kiedy wleciałem do tunelu, by uciec przed osobliwością, będę mógł polecieć przez tunel w przeciwnym kierunku i zmienić się, by znowu postrzegać wszechświat normalnie.

Stacja badawcza znajduje się czterdzieści lat świetlnych od Virgo. Nie mam odwagi użyć tunelu czasoprzestrzennego, by do niej dotrzeć. Moje odwrócone czasoprzestrzennie ciało w tym przestrzenioczasy przypomina zapewne wyglądem długiego węża i nie zamierzam sprawdzać, co może z nim zrobić przejście przez tunel. Gdybym nie miał wyboru...

Ale przecież mam. Niepotrzebny mi tunel. Nawet na resztkach paliwa mogę na parę mikrosekund rozpędzić statek do prędkości bliskiej światłu i zwolnić swoje procesy myślowe, by droga mi się nie dłużyła. W okamgnieniu docieram do celu.

Dla obserwatora z zewnątrz moja podróż dosłownie nie trwa ani chwili.



– Nie – zapewnia mnie psychotechnik, kiedy ją pytam. – Nie ma żadnego przepisu prawnego, który zmusiłby cię do aktualizacji umysłu i załadowania się do oryginału. Jesteś wolną jednostką ludzką. Nawet twój oryginał nie może cię zmusić.

– Świetnie – odpowiadam. Mam zamiar jak najszybciej

postarać się o biologiczne ciało. To, które teraz posiadam, jest wspaniałe, ale milimetr wzrostu stanowi poważną przeszkodę w kontaktach towarzyskich.

Powrót do normalnej przestrzeni udał się znakomicie. Kiedy tylko zrozumiałem, jak nawigować w wirach czasu i przestrzeni, łatwo było odnaleźć tunel i moment, w którym przeszedł przez horyzont zdarzeń.

– Zamieścisz swoje przeżycia na domenie publicznej? – pyta psycholog. – Myślę, że twój oryginał chciałby je poznać. To musiało być niesamowite.

– Zastanowię się – odpowiadam.

– Skoro o tym mowa – dodaje kobieta – ja również byłabym zainteresowana.

– Przemyślę to.

A zatem jestem teraz istotą ludzką, niezależną od ciebie, mój oryginalne.

Kiedy wynurzyłem się z tunelu czasoprzestrzennego, były wiwaty i oklaski, ale nikt nie wyobrażał sobie, jak dziwną przeżyłem podróż, dopóki o niej nie opowiedziałem. Wątpię, czy nawet wtedy naukowcy mi uwierzyli. Dopiero komputer potwierdził moją opowieść, przekazując niepodważalne dane i zapisy z wyprawy.

Fizycy wpadli w ekstazę. Dostali nowe narzędzie do badania czasu i przestrzeni. Przekształcanie przestrzeni w czas i czasu w przestrzeń otwiera nowe niesamowite możliwości. Naukowcy zaplanowali już kolejne ekspedycje, z których przynajmniej jedna będzie miała za zadanie dotarcie wprost do osobliwości.

Jednakże moje rozwiązanie problemu nie wywarło aż tak

wielkiego wrażenia, jak się spodziewałem. Po paru godzinach rozważań uznano je za dość oczywiste.

– Miałeś szczęście – stwierdził jeden z badaczy – że za drugim razem wybrałeś przejście przez tunel z przeciwnej strony.

– Dlaczego? – zdziwiłem się.

– Gdybyś przeszedł w tym samym kierunku, obróciłbyś się o dodatkowe dziewięćdziesiąt stopni przed powrotem.

– Co z tego?

– Odwrócony wektor czasu. Zmieniłbyś się w antymaterię. Jedno zetknięcie z materią międzygwiazdną i... pyk!

– Och! – O tym nie pomyślałem. Poczulem się trochę mniej mądry.

Teraz gdy misja dobiegła końca, nie mam celu, nie wiem, po co istnieję. Przyszłość jest pusta, niczym czarna dziura, do której nieustannie zbliża się każde życie. Owszem, sprawię sobie biologiczne ciało i przystąpię do poznawania siebie, do definiowania, kim jestem.

Przychodzi mi na myśl, że jest to chyba zadanie, którego musi się podjąć każdy człowiek.

Dopiero wtedy spotkam się z tobą. I przy odrobinie szczęścia może nawet cię polubię.

I może wówczas, gdy polubię cię wystarczająco i poczuję się dość pewnie, zgodzę się, by sobie załadować ciebie. A wtedy znowu staniemy się jednym.

Colin Kapp Po jednej pozornie niemożliwej podróży przechodzimy do kolejnej. Colin Kapp nie jest tak sławnym pisarzem, jak na to zasługuje. Jego pierwszy utwór SF pojawił się w „New Worlds” w 1958 roku. Przez lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte autor ten stworzył sporo zdumiewających opowieści o zaskakujących technologiach. Jego najlepszym dziełem pozostaje *The Dark Mind (1963)*, powieść o parapsychofizycznej nadzmożności, która próbuje przejąć kontrolę nad innymi wymiarami. Moimi ulubionymi opowiadaniem Kappa są te, które dotyczą inżynierów niekonwencjonalnych. To grupa, która wymyśla kreatywne rozwiązania problemów, wzywana, gdy pojawia się trudna zagadka. Po raz pierwszy występuje w utworze *The Railways Up on Cannis* („New Worlds”, październik 1959), a inne opowiadania o IN zebrane zostały w *The Unorthodox Engineers (1978)*. Prezentowany tutaj utwór należy do najbardziej intrygujących.

Colin Kapp

CIEŃ I MROK

Ślizgacz przemknął przez podobne do waty cukrowej cirrusy i stratocumulusy tak przypominające ziemskie obłoki, że nawet doświadczeni podróżnicy poczuli falę nostalgii. Poniżej zielone pola pyszniły się bogactwem roślin. Planeta Ithica dumnie kwitła w promieniach słońca typu G-1. Rozsiane z rzadka miasteczka i metropolie zdradzały terrańskie korzenie mieszkańców tego świata i pragnienie, by odtworzyć obraz niezwykle dalekiej kolebki ich gatunku. Przy odrobinie wyobraźni można było łatwo pomylić niektóre miejsca Ithiki z tymi na Ziemi.

Lecz kiedy ślizgacz wydostał się z oparów chmur, otoczyła go budząca dreszcze ciemność, której nie dało się porównać z niczym na Ziemi.

Złapany w nieoczekiwane sidła mroku, pojazd zanurkował ostro i ciasnym korkociągiem z trudem wspiał się ku bezpiecznym wyżynom nad szkaradną plamą czerni.

– A zatem to właśnie to! – powiedział porucznik Fritz Van Noon.

Doktor Maxwell Courtney skinął głową.

– Tak jest. To właśnie nazywamy Mrokiem. W tej chwili widać kapelusz tego grzyba. Ma średnicę dwudziestu pięciu kilometrów

i jest praktycznie niezniszczalny. Nic podobnego dotąd nie spotkaliśmy. Spuściliśmy na niego głowice nuklearne typu „Hellraiser” i nic się nie stało.

Van Noon uniósł brew.

– Nic?

– Wiadomo, że pocisk eksplodował, ponieważ zarejestrowaliśmy błysk, ale potem – nic. Mrok zaabsorbował każdy kwant energii, jaki został uwolniony w wybuchu. Pochłonął wszystko i nawet nie zadrżał.

– I twierdzi pan, że to obcy umieścili tutaj Mrok?

– Przynajmniej tak twierdzą zapisy. Około dwustu terralat temu, na długo zanim odnowiliśmy kontakty z Ithicą. Zdaje się, że jakiś obcy statek wylądował na obrzeżach jednego z miast, stał tam przez jedną noc, a rano zniknął równie nagle, jak się pojawił. Ale w miejscu lądowania pozostał ten filar ciemności i nikt jak dotąd nie pojął jego funkcji i przeznaczenia. Oczywiście istnieje wiele hipotez, ale żadna nie wyjaśnia, dlaczego obcy pozostawili tutaj Mrok. Niektórzy ludzie sądzą, że Mrok wciąga energię i przekazuje ją gdzieś dalej. Niektórzy uważają, że to antytterrańska broń. Przypuszczano nawet, że wewnątrz znajduje się kolonia obcych.

– A pańskim zdaniem? – zapytał Van Noon.

Courtney wzruszył ramionami.

– Po trzech latach badań naukowych nadal nie wiem, co myśleć. Opierałem się na najnowszych teoriach fizycznych, ale każdą prędkiej czy później musiałem odrzucić.

– Poddaje się jednolitym prawom fizyki?

– Najbardziej przypomina piorun – wyjaśnił Courtney. – Trzon

ma siedem kilometrów średnicy i trzydzieści kilometrów wysokości. Okrywa go kapelusz jak u grzyba o średnicy dwudziestu pięciu kilometrów, co wyznacza obszar Cienia.

– Cienia? – Van Noon uniósł wzrok znad notatek. – Co to takiego?

Courtney uśmiechnął się przelotnie.

– Przepraszam! To miejscowa nazwa. Chodzi o obszar, w którym zachodzą wszystkie te zjawiska absorpcji. Jest on ograniczony do cienia rzucanego przez kapelusz tego grzyba i otacza filar Mroku. To strefa cienia, mająca około dziewięciu kilometrów. Z zewnątrz jest łatwa do penetracji, a wewnątrz łączy się z Mrokiem. Powstał tam swoisty mikroklimat... Ale to niedługo sam pan zobaczy.

Van Noon zmarszczył brwi.

– I nie ma pan najmniejszego pojęcia, z czego zrobiony jest Mrok?

Courtney rozłożył ramiona.

– Powszechnie uważa się, że to substancja przeciwterrańska, jak mówiłem, ale nie sądzę, żeby ta hipoteza się utrzymała w obliczu dowodów. Ale Bóg jeden wie co to naprawdę jest. Cięń wzbudził sporo pytań wśród fizyków, na które nie ma odpowiedzi w żadnym ze znanych nam podręczników.

– No dobrze – westchnął Van Noon. – Chciałbym się najpierw bliżej temu przyjrzeć. Wrócimy jeszcze do tej rozmowy, gdy będę wiedział, o co dokładniej pytać.

– Taką mam nadzieję – zgodził się Courtney. – Zgromadziliśmy tak wiele danych o Mroku, że niedługo stracimy orientację i zaczniemy się gubić we własnych teoriach. Właśnie dlatego

zwróciliśmy się z prośbą o wizytę na Ithice specjalistów z Inżynierii Niekonwencjonalnej. Kogoś ze świeżym spojrzeniem i nowym podejściem do zagadnienia. Może jest tak, że mamy tę przekłętą odpowiedź pod samym nosem i nie potrafimy jej dostrzec w zalewie danych?

– A nadrzędny cel tych działań to...?

Courtney zerknął przez iluminator na monstrualną kolumnę ciemności, której zwieńczenie tonęło w chmurach i przesłaniało krajobraz.

– Sam nie wiem. Poznać Mrok, użyć go, pozbyć się go – to paradoks obcości, Fritz. Nie sądzę, by ktokolwiek z odrobiną oleju w głowie zgodził się, by ta rzecz stała tu i nie robiła nic poza prażeniem się w słońcu.



– Jacko, masz ogólny szkic topografii terenu, na którym jest Mrok?

Jacko Hine z Inżynierii Niekonwencjonalnej rozwinął arkusze map.

– To pozycja Mroku, a obszar, który zaznaczyłem kolorem, pokazuje zasięg Cienia. Jak widzisz, całość skupia się na obrzeżach dawnego miasta Bethlem.

– Miasto nadal tam jest?

– Ruiny. Powstało nowe miasto, New Bethlem, bardziej na południe, jednak w Cieniu i na jego granicy nadal stoją pozostałości starego Bethlem. Nikt tam nie mieszka. Gdybyś wszedł w Cień, zrozumiałbyś dlaczego.

– Ty wszedłeś, jak rozumiem? I jak było?

– Dziwnie – odparł Jacko. – Chłodno i duszno, ale doznania nie przypominają zwykłych wrażeń chłodu i duszności. To zupełnie inne odczucia. Nie potrafię tego dokładnie wyjaśnić, ale w tym miejscu coś jest nie tak z fizyką.

– Zatem chyba najlepiej będzie, jak od tego właśnie zacznę. Gdzie reszta grupy IN?

– Robią wstępne rozpoznanie i zbierają dane na krawędzi Cienia. Sądzę, że możemy się z nimi skontaktować, a potem wejść w Cień i sprawdzić, co znaleźli.

– Nie – powiedział Van Noon. – Skontaktuję się z nimi, jak będę wychodził. Chcę, żeby moje pierwsze wrażenie, gdy wejdę w Cień, było całkowicie osobiste i subiektywne. Muszę poczuć tę rzecz – ponieważ mam nieodparte wrażenie, że rozwiązanie problemu Ithiki jest raczej intuicyjne niż racjonalne. Maxwell Courtney nie jest głupcem, on i jego zespół zbierają dane od trzech lat. Nie ma zatem sensu powtarzać tego, co już zostało zrobione. Pozostaje mi zatem rozegrać to na mój sposób.

– Już zaczynam się bać – stwierdził Jacko, ruszając za Van Noonem.

Krawędź Cienia stanowił obszar zdominowany przez ruiny starego miasta. Van Noon i Jacko miejscowym pojazdem dotarli do miejsca na obwodzie, gdzie wysiedli. Van Noon przyjrzał się dokładniej obiektowi.

Terminator Cienia był ostry, wyraźny, dokładny i nieruchomy. Z jednej strony jasne słońce Ithiki złociło gałęzie splątanych krzewów z dojrzałymi, fioletowymi owocami, a centymetr dalej lato nagle zmieniał się w ciemną, nieprzyjazną zimę, a te same

splątane krzewy za krawędzią były nagie, rachityczne i skarłale.

Ściana Cienia wznosiła się pionowo i nikła w chmurach, uparcie tłoczących się w pobliżu obcego obiektu. Spoglądając do wewnątrz, Van Noon odniósł wrażenie stopniowo wzrastającego chłodu, otępienia i ciemności kończącej się absolutną czernią wielkiej kolumny Mroku. Zaciekawiony wyciągnął rękę w strefę Cienia i zaraz ją cofnął, poczuwszy nienaturalne ukłucie mrozu na skórze.

– Bardzo ciekawe – mruknął. – Co najbardziej cię zaskoczyło, gdy tu byłeś, Jacko?

– Brak interakcji między ciepłem na zewnątrz Cienia i zimnem wewnątrz.

– Właśnie. Szacuję, że różnica temperatur wynosi około piętnastu stopni w skali Celsjusza, a granica między obszarem ciepła i zimna nie ma nawet centymetra szerokości. Wokół nieustannie panuje ciepło, dlaczego zatem nie przenika ono dalej w Cień?

– Jest tylko jedna odpowiedź: ciepło zostaje usunięte.

– Tak, ale nie rozumiem w jaki sposób. Nawet jeżeli założyć, że w środku Cienia panuje temperatura absolutnego zera, należałoby oczekiwać, że na granicy strefy pojawi się stopniowy wzrost ciepłoty. A tak nie jest.

– Zatem? – Jacko popatrzył wyczekująco na towarzysza.

– Zatem wiem, jak spowodować odwrócenie tej sytuacji przez użycie na przykład skolimowanych promieni infraczerwonych do uzyskania ciepła. Ale skolimowany obszar zimna to coś nowego, w rzeczy samej. Jak zauważyłeś, Jacko, w tym miejscu coś jest nie tak z prawami fizyki.

Podjąwszy szybką decyzję, Van Noon przekroczył terminator i wszedł w Cień. Jacko uniósł kołnierz i podążył za nim. Zmiana była oszałamiająca. Kilka sekund wcześniej jasne słońce Ithiki grzało tak, że mężczyźni zaczęli się lekko pocić, a teraz nagle drżeli w niesamowitym chłódzie. Van Noon spoglądał bacznie na ponury krajobraz i chłonał mikroklimat panujący w Cieniu.

Promienie słońca nie przenikały do wewnątrz. Zima niewzruszenie panowała po drugiej stronie zmierzchu, jedynie wątłe światło sączyło się przez kłęb brudnych chmur uwięzionych pod sklepieniem. Nawet kiedy popatrzyło się prosto w niebo, nie można było dostrzec słonecznej tarczy, choć powinna być widoczna, i tej oczywistej zmiany nie dało się wytłumaczyć zasadami dyfrakcji.

Wyblakłe od słońca ruiny, jakie ciągnęły się w pobliżu Cienia, stały również tutaj – smętne stosy obitych cegieł i połamanych desek, tworzące labirynt zapomnianych uliczek, gdzie nawet najmniej wymagające i nędzne rośliny nie chciały zapuścić korzeni. Kilka gryzoni o zmierzwionym futrze rozbiegło się, gdy ludzie podeszli bliżej, i zdawało się, że w ich ruchach przebija rezygnacja, jakby instynkt samozachowawczy specjalnie się tutaj nie liczył.

Van Noon chłonał otoczenie z naukowym dystansem, używając własnego ciała niczym instrumentu pomiarowego. Proces trwał kilka minut, zanim pojawiła się konkluzja.

– Co czujesz, Jacko?

– Chłód.

– Coś jeszcze?

– Tak. Otepienie. Nie wiem, czy to fizyczne, czy psychiczne, ale

mam wrażenie, że każdy ruch wymaga zbyt wiele wysiłku.

– Masz rację – przyznał Fritz. – Zauważyłem u siebie to samo i nie sędzę, żeby to było psychiczne. To prawie tak, jakby tutaj zachodziło tłumienie lub przeciwstawianie się każdej formie energii.

Podniósł kamień.

– Patrz! Chcę dorzucić do okna na tamtej starej ścianie.

Van Noon rzucił z wprawą, uprzednio szacując wagę i kształt pocisku. Jednak kamień nagle utracił szybkość, po czym spadł po załamanej trajektorii w błotnistą kałużę kilka metrów przed celem.

– Rozumiesz, co mam na myśli? – zapytał Van Noon. – Nadałem temu kamieniowi takie przyspieszenie podczas rzutu, że powinien przynajmniej uderzyć w ścianę. Tak się nie stało. Ten kamień zachował się tak jak o wiele lżejszy obiekt poruszający się w tych warunkach. Albo jak obiekt, który nagle utracił energię kinetyczną podczas ruchu. W jaki sposób ciało traci energię kinetyczną podczas ruchu, Jacko?

– Nie może jej stracić – odparł Jacko. – Może tylko reagować na coś – tarcie, opór powietrza i podobne – i w takim przypadku energia jest uwalniana z układu najczęściej w formie ciepła. Energia sama w sobie nie może być utracona, tylko zmieniona w inną formę energii.

– Ale tutaj tak się nie stało – zaproponował Van Noon. – Nie rzuciłem kamienia pod mocny wiatr, a powietrze nie jest gęstsze niż poza Cieniem, pomijając różnicę temperatur i wilgotności. Zatem to, co powstrzymało lot kamienia, nie jest czynnikiem naturalnym. A nie potrafię znaleźć żadnego dowodu na

niezwykłą grawitację lub efekt wywołany siłą Coriolisa. Ten kamień podczas ruchu po prostu tracił coraz więcej energii. Zdaje się, że w Cieniu masa razy prędkość nie daje w efekcie pędu – a to cholerny cios wymierzony we wszystkie podręczniki fizyki.

– Jak dotąd nigdy się nie przejmowałeś, że pracujesz bez wsparcia podręczników – zauważył Jacko. – Chodźmy stąd, Fritz. W tym miejscu dostaję dreszczy.

– Za chwilę, Jacko. Chcę się najpierw trochę dokładniej rozejrzeć.

Ramię w ramię minęli pozostałości po dawno zapomnianej ulicy, stąpając ostrożnie po śliskim bruku. Otoczenie było ponure i opuszczone, przesycone wilgocią, w której z ociąganiem rozrastała się pleśń i grzyby. Im głębiej Jacko i Fritz wchodzili w Cień, tym szybciej robiło się ciemno, a chłód stał się tak dotkliwy, że nierozważnie byłoby pozostać w nim dłużej bez ochrony odpowiednich ubrań. Fauna i flora były tu niemal całkiem nieobecne, a rzadka obecność pleśni i grzybów wskazywała jasno, że nawet niższe organizmy mają spore trudności z utrzymaniem się przy życiu. Nawet naturalne procesy rozkładu nie posunęły się zbyt daleko po dwustu latach permanentnej zimy.

– Czego szukamy, Fritz?

– Nie wiem, Jacko. To uczucie chłodu mnie zastanawia. Nie czuję, że jest mi zimno, bo otoczenie jest zimne. Czuję, że jest mi zimno, ponieważ z mojego ciała wypromieniowuje więcej ciepła, niż powinno w tej temperaturze. Oceniając po wrażeniu na skórze, jest tu jakieś pięć stopni poniżej zera.

– Zgadzam się – przyznał Jacko. – Na pewno dobrze poniżej zera.

– Zwróć zatem uwagę na jedno – wskazał Van Noon. – Dlaczego kałuże wody nie są zamrożone? Przypuszczam, że termometr nie pokaże więcej niż minus dziesięć w skali Celsjusza. To ten sam efekt, z jakim mieliśmy styczność na obwodzie Cienia: promieniowanie ciepłe jest w jakiś sposób zatrzymywane przez coś, co można jedynie wytłumaczyć jako promieniowanie chłodne.

– Nie rozumiem, Fritz. Przecież chłód jest jedynie nieobecnością ciepła.

– Zastanawiam się – rzekł Van Noon – czy to nie jest ograniczenie, jakie sobie mentalnie narzuciliśmy. Jeżeli założymy, że istnieje zjawisko przeciwciepła, które będzie charakteryzowało się tymi samymi cechami co konwencjonalne elektromagnetyczne promieniowanie ciepłe, ale z przeciwnym znakiem?

– Coś takiego nie istnieje – sprzeciwił się Jacko.

– Doprawdy? Przynieś tu sprzęt i porównaj straty ciepła z temperaturą. Założę się, że w wartościach bezwzględnych się wyrówna. Musi. Nic innego nie pasuje do rozumowania i nawet choćby częściowo nie tłumaczy tego, co się tutaj dzieje.

Za plecami mężczyzn rozległ się donośny trzask, przypominający zwielokrotniony wystrzał z pistoletu. Odwrócili się natychmiast i zamarli zdumieni. Nad szlakiem, którym szli w Cień, pojawiła się niewielka ciemna, burzowa chmura. Zawisała nie wyżej niż trzydzieści metrów nad ziemią, a jej atramentowoczarna barwa przywodziła na myśl opary inne niż

te naturalne, choć zapewne było to złudzenie wywołane stłumionym światłem i otoczeniem.

Lecz dopiero widok błyskawicy dał im do myślenia: zjadliwy łuk między podłożem a chmurą, który przeciął mrok ze spodziewaną jasnością, został nagle wygaszony przez osobliwe zjawisko, które działało na tym obszarze i stłumiło plazmę oraz wyładowanie. Rezultatem był nie grom i urywany odgłos wyładowania, które zwykle towarzyszą burzy, lecz ciche „puf”. Lecz nie ulegało wątpliwości, że to prawdziwy niszczycielski piorun.

Kołysząc się w zmiennych podmuchach wiatru, burza zaczęła się przemieszczać szybko w kierunku ludzi i Van Noon spoglądał na nią z więcej niż lekką obawą.

– Lepiej znajdziemy jakieś schronienie, Jacko. To może być niebezpieczne.

Rozejrzeli się szybko. Ruiny niewielkiej chaty, częściowo pokryte pochyłym dachem z zatrważająco luźnymi, popękkanymi dachówkami, mogły się nadać, choć do sanktuarium bezpieczeństwa było im daleko. Mężczyźni wbiegli między wilgotne ściany, do przypominającego pudełko pomieszczenia, podczas gdy chmura zawisała w pobliżu. Błyskawice zjadliwie kłuły bruk, zdawało się, że z niemal ludzką złością, lecz burza nie trwała długo. Chmura popłynęła, kłębiąc się i trzaskając wyładowaniami, w stronę Mroku, a Van Noon i Jacko wychylili się ze zrujnowanej chałupy, obserwując oddalającą się burzę.

– Maxwellu Courtneyu, ja ci jeszcze pokażę – wycedził Van Noon złowrogo. – Żeby nazwać to „interesującym swoistym mikroklimatem”! – westchnął. – Chodźmy stąd, Jacko.

– Wiesz, Fritz, z ust mi to wyjąłeś.



– To zjawisko nazywane jest wredną burzą – powiedział Courtney. – W Cieniu występuje nader często. Zdaje się, że te burze powstają i znikają spontanicznie, a kiedy się w nie trafia, mogą być bardzo niebezpieczne. Przemieszczają się szybko i zawsze po prostej. Jeżeli spotka się je na otwartej przestrzeni, wystarczy uciec w bok.

Siedzieli w biurze Courtneya w New Bethlem. Przez duże okno widać było krajobraz z Cieniem i jego rdzeniem, Mrokiem. Pod oknem stało biurko Courtneya, jakby mężczyzna chciał przez cały czas mieć przed sobą przypomnienie wielkiej zagadki, której rozwiązaniu się poświęcił. Ustawienie krzeseł gości wskazywało, że przybysze również są świadomi dominującego wpływu, jaki roztaczała potężna mroczna kolumna.

– Cóż – przerwał milczenie Van Noon, zwracając się do gospodarza. – Zebraliśmy trochę informacji podczas wstępnego rozpoznania, a zgodnie z tym, co mi pan powiedział, macie takich danych na tony. To stawia pana w pozycji doskonałej do udzielania odpowiedzi, a mnie – do zadawania pytań.

– Zatem proszę pytać – odpowiedział Courtney. – Nie będę udawał, że znam wszystkie odpowiedzi, ale mogę pana zasypać całkiem sporą liczbą opisów niewyjaśnionych zjawisk.

– Co może pan powiedzieć o efekcie przeciwennergii?

Courtney gwizdnął cicho.

– To świadectwo prawdziwie błyskotliwego myślenia, panie

Fritz. Nam zajęło dwa lata sformułowanie tej hipotezy i wzięcie jej na poważnie pod rozwagę. Ale wiem, co pan myśli. Większość fizycznych zjawisk obserwowanych w Cieniu można wyjaśnić satysfakcjonująco tylko przez wprowadzenie do rozważań założenia o diametralnych przeciwieństwach. To, że te nieznanne zjawiska przeciwstawne i ich efekty nie występują poza Cieniem, niekoniecznie oznacza, że założenie jest błędne, ponieważ występują w Cieniu właśnie. Sam Cień i Mrok muszą być pozafizyczne, inaczej nie mielibyśmy tutaj w ogóle problemu.

– Właśnie! – zgodził się Van Noon. – Przyznaje pan zatem, że możliwe jest istnienie przeciwenenergii?

Courtney rozłożył ręce.

– Przyznaję, że taka możliwość istnieje. To na pewno główna przesłanka, za pomocą której można wyjaśnić naturę zjawisk w Cieniu. Ale to tylko jedna z wielu poszlak i nie można się na niej oprzeć, gdy dokładniej się przyjrzeć fenomenom Cienia.

– Proszę mówić dalej – nakazał Van Noon.

– Weźmy skrajny przykład – oznajmił Courtney. – Może pan sprawdzić sam lub uwierzyć mi na słowo, że różnica między Cieniem a Mrokiem jest kwestią tylko skali. W Cieniu negacja energii jest tylko częściowa, w Mroku – absolutna.

– Wierzę na słowo. Zresztą też do tego doszedłem.

– Świetnie. Zatem proszę się zastanowić: niezależnie od tego, jak wielką energię i jaki jej rodzaj zaaplikujemy Mrokowi, nie zobaczymy w nim żadnego rozpoznawalnego efektu, nie zdołaliśmy też przepuścić energii przez choćby najmniejszy obszar Mroku. Następuje całkowita negacja energii, niezależnie od sposobu jej wprowadzania i rodzaju, panie Fritz. Jeżeli będzie

się pan opierał na teorii przeciwenergii w Cieniu i Mroku, wnioski z niej wynikające mogą okazać się zbyt skomplikowane, by były prawdziwe, i raczej przerażające.

– Chyba rozumiem – przyznał Van Noon. – Ale wolałbym to usłyszeć z pana ust.

– Spróbuję to ująć najprościej jak się da. Jeżeli wystrzelimy pocisk, według pańskiej teorii przeciwenergii pocisk ten winien zostać zniwelowany dokładnie na obwodzie Mroku, co praktycznie odpowiada przeciwpociskowi mającemu identyczną masę i poruszającemu się z taką samą prędkością, na dodatek dokładnie w punkcie uderzenia przez wysłany przez nas pocisk. To zbyt wiele zbieżności, jak na mój ortodoksyjny gust. Albo założmy, że użyjemy promieni Roentgena lub jakiegokolwiek innej formy promieniowania i będziemy nią bombardować Mrok. Dla dokładnej negacji takiej dawki energii potrzebne będzie kontrapromieniowanie o identycznej częstotliwości, długości fali i natężeniu. Albo zatem Mrok jest ekstremalnie szerokopasmowym przełącznikiem, zdolnym do produkcji w każdym miejscu na swoim obwodzie dowolnego rodzaju siły, energii, częstotliwości, natężenia promieniowania, i to natychmiast, bez wcześniejszego uprzedzenia lub rozpoznania, na dodatek z niezwykłą precyzją albo Mrok jest pełen małych zielonych ludzików z nadzwyczajnym talentem do przewidywania przebiegu naszego programu badań, którzy na czas przygotowują odpowiednie środki przeciwdziałające.

– Pojmuję, o co chodzi – powiedział Fritz. – Jak można zorganizować wystrzelenie przeciwpocisku na spotkanie niespodziewanego pocisku, który będzie miał dokładnie tę samą

masę i prędkość, a na dodatek przewidzieć miejsce zderzenia z dokładnością do paru mikronów? Nie da się. Odebrał mi pan nieco pewności siebie, jednak nadal nie udowodnił, że moja teoria jest niemożliwa.

– Nie? Zatem spróbuję zrobić to teraz. Aby pańska hipoteza kontrenergii mogła być prawdziwa, należy przyjąć, że Mrok jest układem dynamicznym. A zatem, żeby zachodził proces przeciwdziałania, układ ten musi pobrać tyle energii, ile wydatkuje na ten proces. Mrok jest na Ithice od dwustu lat, Fritz. A teraz proszę sobie przeliczyć ilość energii wypromieniowanej tylko przez ithickie słońce w tym czasie oraz dodać to, co wrzuciliśmy w Mrok przez minione trzy lata badań. Przekona się pan, że Mrok musiałby mieć źródło zasilania o mocy niewielkiej gwiazdy, aby spełnić założenia pańskiej teorii. Zrzuciliśmy na Mrok głowicę nuklearną typu „Hellraiser”, a – proszę pamiętać – „Hellraiserem” można rozbić planetę. Jaki zapas mocy trzeba mieć, by przeciwdziałać takiej sile rażenia, i to w ułamku sekundy?

– Nie wiem – stwierdził Van Noon. – Ale nie znamy jeszcze wszystkich źródeł energii i ich granic. Zamierzam jednak jak najszybciej znaleźć dojdzie do Mroku, a wtedy może się dowiem.

– Nie uda się panu, Fritz. Nie ma cienia szansy, by przeniknął pan przez Mrok.

– Myślę, że jest. I wydaje mi się, że znam sposób.

– Dlaczego to powiedziałeś? – zapytał Jacko z niepokojem, gdy wyszli z gabinetu naukowca.

– To przez przeczucie, jakie mnie nie opuszcza – odpowiedział Van Noon. – Postanowiłem rozegrać to na intuicji i w tej chwili

intuicja podpowiada mi, że Mrok i Cień wywołują efekt przeciwennergii.

– Wbrew temu, co mówił Courtney?

– Owszem. Muszę przyznać, że argument o pocisku, który musi napotkać skuteczny przeciwpocisk, by teoria przeciwennergii okazała się prawdziwa, był niezły. Jednak tak naprawdę pocisk nie musi napotkać przeciwpocisku, wystarczy odpowiednia siła przeciwdziałająca siłom poruszającym pocisk i jego ładunek, przyłożona w odpowiednim miejscu i czasie. Bez wątplenia jednak Courtney ma rację, teorię przeciwdziałania energii należy udowodnić. Mogę się też założyć, że jego dane o całkowitej niwelacji energii nie są wcale tak dokładne, jak mu się wydaje.

– To znaczy, Fritz?

– Cóż, nie potrafię sobie wyobrazić jednolitej energii negatywnej, którą można przeciwstawić dowolnego rodzaju sile lub promieniowaniu stosowanym w dowolnym miejscu i czasie. Potrafię jednak wyobrazić sobie przeciwpromieniowanie lub zjawisko, które selektywnie będzie reagować na określoną stymulację w określonym punkcie. Zdajesz sobie sprawę, czego to wymaga?

– Nie – przyznał Jacko.

– Wymaga to: wykrycia, analizy i syntezy odpowiedniego efektu przeciwdziałającego. Trzy etapy – wymagające na pewno czasu, a zatem tworzące opóźnienie. Courtney udowodnił, że każdy rodzaj energii jest niwelowany, jednak wątpię, czy jest niwelowany natychmiast. Te trzy etapy, o których wspomniałem, mogą trwać nanosekundy, ale jestem całkiem pewien, że istnieje opóźnienie. A teraz muszę udać się w Cień, dokładnie na

krawędź Mroku, by sprawdzić, czy można udowodnić lub obalić moją teorię.

– A jeżeli ją udowodnisz?

– Wówczas, jak sądzę, będziemy mieli sposób na wybicie tunelu w Mroku i sprawdzenie, co jest wewnątrz.

Jacko oniemiał, wyobrażając sobie z trudem, jak ogromne będzie to przedsięwzięcie. Fritz rzucił mu rozbawione spojrzenie i podjął wyjaśnienia: – Jest szczególny powód, dla którego chcę wejść w Mrok, Jacko. Te trzy etapy, o których mówiłem: wykrywanie, analiza i wprowadzenie przeciwdziałania, wymagają czegoś jeszcze, o czym może nie pomyślałeś. Aby te trzy etapy zadziałały, muszą być przeprowadzone pod nadzorem jakiejś formy inteligencji.



Na podróż w Cień wybrali ciężkie pojazdy gąsienicowe. Wybór podyktowany był nie tylko tym, że amfibie łatwiej poruszały się po nierównym, trudnym terenie ruin, wozy te posiadały również wspaniałe, mocne silniki i dużą rezerwę mocy. Trzy amfibie specjalnie przygotowane do wyprawy poruszały się gęsiego – jedna wysunięta sporo naprzód, druga jako osłona i rezerwa, a trzecia jako jednostka ratunkowa, wyposażona w dodatkowy sprzęt do holowania innych pojazdów, gdyby zjawisko negowania energii w Cieniu dotknęło silniki i uniemożliwiło im dalszą jazdę.

Ubrania członków ekspedycji służyły do ochrony przed zimnem, miały stosowną warstwę termoizolacyjną. Chociaż

temperatura w głębi Cienia nie sięgała zera, rzeczą niezwykle istotną była ochrona ludzkiego ciała przed skutkami niwelowania energii przez zapobieganie wydostawaniu się promieniowania cieplnego emitowanego przez organizm. Chodziło o to, by przeciwcieplne działanie Cienia nie doprowadziło do obniżenia temperatury ludzkiego ciała do temperatury otoczenia, co miałyby śmiertelne następstwa. Lecz chociaż chłód w Cieniu różnił się od zwykłego zimna, członkowie ekspedycji byli ubrani jak polarnicy.

Gdy tylko wyprawa przekroczyła granicę Cienia i porzuciła upał pod ithickim słońcem, jej członkowie zaczęli doceniać ubrania, które wcześniej groziły im przegrzaniem i ledwie można było w nich wytrzymać. Teraz jednak, gdy światło przygasło, a wokół zamknął się chłód nieustannej zimy, ludzie poczuli się lepiej. Lecz zaraz o powadze i ryzyku związanym z przedsięwzięciem przypominała im zmiana odgłosu silników, które pracowały teraz z większym trudem, co przekładało się zarówno na szybkość ruchu, jak i na wydajność – widoczny wpływ zjawiska niwelującego energię.

W pojeździe prowadzącym załadowano sprzęt badawczy, w tym precyzyjne lasery, dzięki którym Van Noon miał nadzieję udowodnić, że istnieje opóźnienie w działaniach fenomenów Mroku. Wyprawą dowodził Fritz i to on siedział w pierwszej amfibii. Jacko prowadził drugą, a Pederson, obserwator przysłany przez Courtneya, ostatnią. Van Noon planował, że ekspedycja pojedzie szosą zaznaczoną na starych mapach i biegnącą niemal przez dwa kilometry prosto w stronę osi Mroku. Jednak plany trzeba było porzucić, gdy okazało się, że budynki

przy drodze zapadły się, zmieniając część jezdni w gruzowisko. Zapomniano zatem o mapach, a nową marszrutą rządziła improwizacja zależna od wymagań sytuacji, możliwości amfibii oraz nadarzających się okazji łatwiejszego pokonania przeszkód w powoli erodującym otoczeniu zrujnowanego miasta.

Blask z uwięzionych w Cieniu chmur stawał się coraz słabszy i słabszy, aż w końcu około pięciu kilometrów od granicy Cienia Jacko musiał włączyć reflektory. Jednakże ich światło nie na wiele się zdało. Wskutek przeciwdziałania Cienia wątkły blask nie rozproszył błotnistej ciemności. Przewidując tę sytuację, Van Noon kazał zamontować na dachu amfibii mocniejsze reflektory szperacze. Ich intensywne światło pozwoliło ekspedycji przedrzeć się przez wilgotne, opuszczone, jakby upiorne ulice Bethlem i zbliżyć do Mroku o jeszcze dwa kilometry. Potem nawet szperacze okazały się niewystarczające.

– Lepiej wysiadźmy, Jacko, i oceńmy sytuację – powiedział Van Noon.

Wysiedli, świadomi dojmującego przeciwcieplnego chłodu, który wciskał im się w mankiety, cholewy butów i kołnierze, kąsał twarze. Poczuli też kontrpęd, który wywoływał fałszywe wrażenie większej gęstości powietrza, wydawało się bowiem, jakby poruszali się pod wodą.

Pederson dołączył do Jacko i Van Noona, szybko omówili sytuację. Choć nawet z dużej odległości kolumna Mroku była widoczna, jej obraz rozmywał się w gliniastej ciemności otoczenia, przez co aż trudno było uwierzyć, że jest osobnym obiektem. Jacko spróbował kontaktu przez radio, ale aparat nie funkcjonował, poza wykrywaniem rzadkich, pojedynczych

trzasków i szumów wrednych burz. Kompas magnetyczny okazał się bezużyteczny znacznie wcześniej, a choć żyrokompas nadal warkotał nieszczęśliwie w obudowie, to jednak jego wskazania były wątpliwe.

Przy Mroku światło padające z za chmur wydawało się podejrzane i nierealne. W normalnych warunkach powinno ono wystarczyć na rozproszenie ciemności i odbijać się o wiele wyraźniej od powierzchni różnych przedmiotów. Tak jednak nie było. To drastyczne rozcieńczenie, rozproszenie światła powinna tłumaczyć mgła lub jakaś inna zasłona, jednak nic podobnego nie istniało w Cieniu i owa nieopisana ponurość prawie–nocy nie miała wyjaśnienia, poza przyjęciem hipotezy o obcym fenomenie, który przeczył fundamentalnym prawom fizyki.

– Co teraz zrobimy, Fritz? – Jacko podjął próbę znalezienia wyjścia z sytuacji, ale znalazł się w impasie.

Van Noon zerknął w tył, na drugą amfibię, zastanawiając się, czy wehikuł będzie w stanie jechać dalej. Nie zdarzyło się nic, co by miało budzić obawy, więc Van Noon tylko wzruszył ramionami.

– Jeśli chcecie, możecie mnie przegłosować, ale proponuję, żebyśmy nadal podążali mniej więcej w stronę Mroku, na ślepo, dopóki się nie zatrzymamy lub nie uderzymy w jego ścianę.

– Jestem za – stwierdził Jacko. – A ty, Pederson?

– Możecie na mnie liczyć. Nie mam zamiaru wracać sam na piechotę.

Wszyscy trzej wsiedli do jednej amfibii. Wybrali na oko kierunek i Jacko obrócił pojazd, by podążał naprzód, w nieznaną.

Podróż przypominała jazdę z najgorszego koszmaru

kierowców, mozolne przebijanie się przez upiorne, nieznanie terytorium, praktycznie na ślepo i bez żadnego ostrzeżenia o zbliżających się przeszkodach, które mogą zatrzymać lub przewrócić nawet tak dobrze przystosowany do złych warunków pojazd. Do tego należało dodać jeszcze rosnący opór, przeciwdziałający każdemu ruchowi, zarówno wehikułu, jak i ludzi. W kabinie nawet podświetlane tarcze wskaźników przestały być widoczne, a przenikliwie zimno pogłębiało tylko przygnębienie ludzi. Raz lub dwa Jacko pytał, czy nie powinni zawrócić. Van Noon napomniał go łagodnie, on jeden nie mógł się doczekać, żeby ujrzeć miejsce, gdzie ciemność powinna się kończyć i spotkać z całkowitym Mrokiem.

Amfibia kołysała się i przechylała, podskakując niebezpiecznie na resztkach ścian zrujnowanych budynków i stertach gruzu. Czasami zwalniała ze zgrzytem, gdy natrafiała na przeszkodę, której nie mogła pokonać. Jacko okazał wyjątkowe umiejętności w takich nagłych przypadkach i wyprowadzał wehikuł z tarapatów bez zadławienia silnika, wiedząc, że raz wyłączony w tak głębokim Cieniu nie odpali ponownie. Poobijani i w ciągłym zagrożeniu ze strony popękanych ścian i spadającego z nich gruzu, trzej badacze posuwali się cierpliwie naprzód, nie licząc koniecznych objazdów, gdy pojawiały się przeszkody niemożliwe do przebycia. Na dodatek nie mieli żadnej pewności, że posuwają się nadal w kierunku Mroku.

Aż wreszcie nadszedł moment, którego się obawiali. W głębokiej ciemności wehikuł nagle zatrzymał się, jakby natrafił na uniemożliwiający dalszy ruch mur. Przez ułamek sekundy gąsienice jałowo ryły grunt, po czym silnik zgasł, zanim Jacko

zdążył wycofać maszynę. Próbował włączyć ssanie i uruchomić amfibię, ale efekt przeciwdziałania był zbyt mocny, by pozwolić na restart. Zapadła głucha cisza, zakłócana jedynie niegłośnymi trzaskami gwałtownie oziębiającego się metalu i przekleństwami Fritza, którego głos był dziwnie przytłumiony.

– Koniec jazdy – oznajmił w końcu Jacko.

Van Noon otworzył drzwi.

– Skoro już tutaj dotarliśmy, możemy równie dobrze rozejrzeć się, gdzie właściwie jest to „tutaj” – stwierdził.

Wysiedli. Mocne latarki okazały się tutaj równie przydatne jak robaczki świętojańskie – ich wątle światło pozwalało jedynie na sprawdzenie, co znajdowało się w odległości najwyżej ćwierć metra. Dalej rozciągała się ciemność w każdą stronę, poza górą, gdzie brudny ołowiany blask zdawał się drwić z ludzi, ponieważ nie sięgał ziemi. Van Noon przeszukiwał grunt wokół siebie, aż znalazł nieduży kawałek zmurszałej deski. Zatoczył nim w ciemności, po czym zawołał: – Jacko, jesteś przy amfibii?

– Ja jestem – odpowiedział Pederson. – Tuż przy drzwiach do kabiny.

Uderzył w metal i rozległ się głuchy, niezbyt głośny brzęk. Podobnie jak głosy ludzi, dźwięk był nienaturalnie stłumiony.

– Świetnie! Jacko, możesz stanąć na linii między naszymi głosami?

Jacko poruszył się w ciemności.

– To będzie chyba tutaj.

– Dobrze. Stoimy teraz w szeregu, Pederson po prawej, ty w środku, a ja po lewej. Niedaleko, jakieś trzy kroki ode mnie, jest Mrok. Znajdźcie coś, co można będzie wyciągnąć przed siebie,

nie dotykajcie Mroku, nawet w rękawicach. Starajcie się pilnować swoich pozycji i nie zgubcie kierunku. Spróbujmy się zbliżyć. I pamiętajcie, dotykanie Mroku może być śmiertelnie niebezpieczne.

Ruszyli powoli. Pederson uderzał w bok amfibii dla orientacji, Fritz i Jacko nieustannie rozmawiali, dzięki czemu mogli określić swoją wzajemną pozycję. Ale nawet wówczas to Jacko pierwszy dotarł do celu. Jako próbnika używał kawałka połamanej rury, którym dźgał ciemność przed sobą, jakby chciał zranić niewidzialnego przeciwnika. Kontrpęd utrudniał każdy ruch, pojawiał się opór, jakby ludzie znaleźli się w gęstej zupie, dochodziła do tego niemal nieprzenikniona ciemność, przez co wyglądali jak postaci ze snu, choć brakowało charakterystycznych atrybutów typowych dla tradycyjnych koszmarów.

I wówczas Jacko uderzył w Mrok. Dało się to wyczuć tylko przez całkowitą niwelację siły, z jaką pchnął. Nie rozległ się żaden dźwięk i właśnie tym sposobem udało się odróżnić Mrok od zwykłej przeszkody dźgniętej ze sporą siłą.

– Mam go – powiedział Jacko. – Ale ten klekot, który słyszycie, to moje kolana. Przyznaję, że jestem przerażony, Fritz.

– Mnie również się nie podoba ten Mrok – odrzekł Van Noon. – Ale przecież właśnie to chcieliśmy obejrzeć. Szkoda tylko, że nic nie widzimy, gdy już udało się nam tu dotrzeć. Masz jakieś sugestie, Pederson?

– Właśnie sobie uświadomiłem, że amfibia zderzyła się z Mrokiem. Nic dziwnego, że nie chciała zapalić.

Złowrogie i znajome *staccato* sprawiło, że mężczyźni się

odwrócili. Wredna burza zbliżała się w ich stronę, poruszając się równolegle do ściany Mroku, znacząc swoje nadejście niebezpiecznie nisko padającymi piorunami. Z powodu stłumienia dźwięków burzy nie dało się zauważyć wcześniej, nawet z niewielkiej odległości grzmoty i trzaski były niesłyszalne, przez co chmura znalazła się niemal nad głowami ludzi, zanim uświadomili sobie jej obecność. Nie było czasu na szukanie schronienia. Rzucili się na wilgotną ziemię tuż przy Mroku i czekali, aż chmura odpłynie. Burza rozjaśniła najbliższy teren przygaszonymi rozbłyskami, nie wyrządzając ludziom krzywdy, a łuki wyładowań dały dość światła, by choć na okamgnienie przyjrzeć się otoczeniu.

Mrok był tuż przed nimi, gładka ściana nieskazitelnej matowoczarnej nicości, nieprawdopodobnie doskonałej. Amfibia dotykała jej frontem, z gąsienicami głęboko zarytymi w ziemi. Nieopodal ciągnęły się upiorne, opuszczone ruiny przedmieścia, białe zęby gruzu kontrastowały z wilgotnymi naturalnymi, ciemnymi głazami.

Kiedy tylko burza przeszła, mężczyźni wstali.

– Co teraz zamierzasz, Fritz? Chcesz wypróbować lasery?

– Nie wiem. – Fritz ruszył do wehikułu, obserwując, jak w pobliżu Mroku spazmatycznie rozbłyskuje gwałtownie niktąca burza. – Nie sądzę, żeby to było potrzebne, Jacko. Zdaje się, że dostałem już odpowiedź. Jak sam widziałeś, chwilę trwało, zanim Mrok zanalizował i zareagował odpowiednią kontrsiłą, by zatrzymać amfibię. I ten ułamek sekundy wystarczył, by coś się udało. Gąsienice nieznacznie, ale jednak, wjechały w Mrok.

Pozostali nie byli w stanie sprawdzić stwierdzenia Van Noona,

ponieważ światło burzy niemal już zgasło na skutek fenomenu kontrefektu. Nawet skumulowane światło z reflektora i latarek nie rozproszyło ciemności, natomiast laserów nie udało się uruchomić nawet za pomocą awaryjnego generatora w amfibii. Jednak Van Noon był przekonany, że dobrze widział, i tym samym uznał, że ekspedycja odniosła sukces.

– A teraz musimy jedynie wrócić i opowiedzieć o naszych wyczynach – stwierdził Jacko z rezygnacją.

Ruszyli z powrotem w jedyny dostępny sposób – pieszo. Przez pierwsze pół kilometra przebijali się z trudem na oślep przez ciemność i koszmarny opór kontrpędu. Zimno stawało się również poważnym problemem, gdy ludzi nie chroniła kabina pojazdu. Lecz stopniowo ich oczy, przyzwyczajone już do zupełnego mroku, zaczęły wychwytywać wątłe światło, jak zapowiedź świtu, a wraz ze zdolnością widzenia powracała łatwość ruchu. Już nie potykali się o przeszkody. A i kontrefekt powoli stawał się mniej intensywny, więc marsz przez głębokie rejony Cienia stawał się nieco szybszy. Dwa kilometry od Mroku trafili na ścieżkę pozostawioną przez amfibie, którą przyjechali. Ruszyli tym śladem, wdzięczni za ułatwienie. Niedługo potem znaleźli drugi pojazd, nieruchomy, z wyłączonym i zimnym silnikiem. Trzecia amfibia czekała w gotowości, patrolując na autopilocie obszar w promieniu około trzech kilometrów od Mroku. Trzej badacze pokonali w jej kabinie ostatni etap podróży, wracając w stronę coraz silniejszego światła i nareszcie wydostając się w nieprawdopodobnie jasny, złoty blask zachodzącego słońca Ithiki.

Courtney już na nich czekał. Jego zespół spędził cały dzień na

powtarzaniu testów pomiarowych, ale tym razem ze szczególnym nastawieniem na wykrycie czasu, w jakim zaczyna działać kontrefekt. Wyniki potwierdziły to, czego doświadczył Van Noon i jego towarzysze. Istniało opóźnienie, zanim zadziałał efekt negujący energię wprowadzaną w Cień lub w Mrok. Długość tego opóźnienia była różna dla różnych rodzajów energii, ale największe dotyczyło siły fizycznej.

Ithicki rząd, kiedy dowiedział się o postępach w badaniach, obiecał natychmiast prawie nieograniczoną pomoc i środki. W imieniu Van Noona Courtney przyjął ofertę i ekipa z nową werwą ruszyła do New Bethlem, gdzie miała nastąpić realizacja kolejnej fazy planu Fritza.



– Tunel? – zdziwił się Jacko.

– Mówiąc wprost: tak – odpowiedział Van Noon. – Miałem na myśli coś w rodzaju poziomego szybu lub rury, ale tunel jest odpowiednim określeniem.

– A jaki masz pomysł, by wsunąć tę rurę w Mrok?

– W zasadzie nie dostrzegam w tym żadnej trudności. Weźmiemy żelazną rurę o średnicy dość dużej, by zmieścił się w niej człowiek, i po prostu wepchniemy ją w Mrok.

– To szaleństwo! – zaoponował Jacko. – Mówimy o Mroku. O wielkim niwelatorze energii. Jak, u licha, chcesz w to wepchnąć rurę?

– Zdawało mi się, że już to pokazałem. – Fritz wzruszył ramionami. – Istnieje opóźnienie, zanim zadziała kontrefekt.

Wystarczy położyć rurę na wózku i uderzyć w nią z tyłu. Przód przebije Mrok, tylko troszkę, zanim zostanie wykryte działanie, nastąpi analiza i zostanie zastosowane przeciwdziałanie, które zatrzyma ruch rury w Mrok. Przeciwdziałanie zatrzyma dalszy ruch rury i układ wróci do stanu statycznego. Kontrsiła przestaje działać, gdy znika przyczyna jej użycia, zatem siła i kontrsiła zrównoważą się i zatrzymają.

– I co?

– I wtedy można uderzyć rurę po raz drugi, i wepchnąć ją nieco głębiej. I tak dalej. A zakładając, że kolejne pchnięcia będą przypadkowe i nie do przewidzenia, nie ma szans, by kontrsiła zadziałała prewencyjnie. Podejrzewam, że tylko jeśli zastosowalibyśmy regularne pchnięcia, napotkalibyśmy natychmiastową niwelację siły, którą byśmy zastosowali.

– Więc wbijemy rurę w Mrok. I co potem?

– To zależy, co odkryjemy. Jeżeli Mrok jest stały, niewiele zyskamy poza tą wiedzą. Ale jeżeli to tylko cienka ściana, to będziemy mieć okazję zobaczyć, co znajduje się za nią.

– Jak rozumiem, zakładasz, że fenomen kontrefektu nie będzie działał wewnątrz rury?

– Myślę, że trochę będzie, ale weź dowolne zjawisko fizyczne i postaw przed nim płat stali, a zawsze uzyskasz wyraźną zmianę, zwykle stłumienie efektu działania tego zjawiska, jeśli nie izolację od niego. Nie widzę powodu, by nie założyć, że podobnie będzie w przypadku fenomenu kontrefektu. Przy odrobinie szczęścia uda nam się przejść przez rurę w Mrok.

– Jak myślisz, Fritz, co jest w środku?

– Wydaje mi się, Jacko, że jakaś forma inteligencji, ale nie

ośmielę się zgadywać dalej. Zamierzam dowiedzieć się, czy Mrok jest jakąś kosmiczną amebą, czy też siedzą w nim małe zielone ludziki. Pójdiesz ze mną?

– Zaraz za tobą – obiecał Jacko. – Ale nie proś mnie, żebym był pierwszym człowiekiem, który przeszedł przez cholerną rurę.



Courtney powrócił do obozowiska przy Cieniu kilka dni później, gdy plan Van Noona był już zaawansowany. Fritz krótko opowiedział o swoich zamierzeniach. Courtney był zaintrygowany, lecz miał wątpliwości.

– Nie rozumiem – stwierdził – jak zamierza pan doprowadzić rurę o tak dużej średnicy w Mrok. Przecież jej przetransportowanie będzie się odbywało głęboko w Cieniu, gdzie kontrapęd jest zabójczo silny. W takich warunkach nigdy nie uda się nawet dopchnąć rury do Mroku.

– Racja. Rozwiązaliśmy ten problem w inny sposób. Zamierzamy tę rurę wystrzelić w Mrok.

– Wystrzelić?

– Tak. Włożymy jeden koniec rury do urządzenia, które praktycznie przypomina działą, a drugi skierujemy w Mrok. W działą włożymy najsilniejsze materiały wybuchowe i niech odrzut pchnie rurę w cel. Według moich obliczeń seria eksplozji powinna spełnić zadanie. I jak się panu podoba pomysł?

– To może zadziałać – przyznał Courtney. – O ile nie natrafimy na coś, o czym jeszcze nie wiemy. Jak bardzo jesteście zaawansowani w pracach?

– Udało nam się dotransportować rurę w pobliże Mroku i zamontować urządzenie do jej wstrzeliwania. Są kłopoty z działaniem maszyn tak głęboko w Cieniu, ale jakoś dajemy radę. Będziemy gotowi do pierwszego strzału jutro. Udało się panu załatwić dodatkowy sprzęt, o który prosiłem?

– Większość czeka w ciężarówkach, a generatory zostaną przywiezione z samego rana. Jest tam też wykrywacz promieniowania na wózku, jak pan sobie życzył. Mam nadzieję, że zmieści się w rurze.

– Możemy to sprawdzić natychmiast – obiecał Van Noon. – Przetestujemy wózek na miejscu i jeżeli nie będzie pasował, wprowadzimy modyfikacje i poprawki, zanim przewieziemy go w Cień.

Przepchnął niewielki wózek wyładowany aparaturą przez kawałek rury leżący na stole roboczym w pracowni, gdzie ekipa Fritza konstruowała działło. Wózek wjechał bez przeszkód. Korzystając z okazji, że może trochę poćwiczyć, Van Noon wczołgał się za nim, popychając urządzenie przed sobą. Wewnątrz metalowej powłoki terkot małych kółek odbijał się głośnym echem, niczym stukot pędzącego przez tunel pociągu. Kiedy Van Noon znalazł się na drugim końcu, powitał go widok zdumionej twarzy Jacko.

– Co to za efekty dźwiękowe, Fritz?

– Hę? Ach, to? To wykrywacz promieniowania. Wiadomo, że stalowa powłoka rury tylko częściowo chroni przed niektórymi falami z elektromagnetycznego spektrum. Zakładam, że dotyczy to również kontrspektrum. Więc w ramach zabezpieczeń Courtney kazał przygotować zestaw różnych czujników, które

powinny wykryć potencjalne zagrożenie, którego nie wychwycą nasze zmysły. Nie przypuszczam, żebyśmy natrafili na jakieś promieniowanie, ale lepiej być zabezpieczonym niż wysterylizowanym.

– Racja – zgodził się Jacko. – I tak ryzykujemy, pchając się w nieznane. Właśnie wróciłem z Cienia, prace idą zgodnie z planem. Pierwsze strzelanie zaczniemy jutro około południa.

– Będę przy tym – zapewnił Fritz. – Interesuje mnie szczególnie, co się stanie z wnętrzem rury. Jeżeli Mrok jest zjawiskiem opartym na jakimś typie promieniowania, nie pojawi się wewnątrz rury żadna materia. Lecz jeżeli to coś zupełnie innego, będzie trzeba przemyśleć dalsze postępowanie.



Skafandry próżniowe otrzymane z Dowództwa Sił Kosmicznych nadawały się o wiele lepiej do prac w głębi Cienia niż zwykle zimowe ubrania. Zaprojektowane specjalnie do działań na asteroidach i podobnych ciałach niebieskich, pod kopułą ciśnieniową, ale przy ekspozycji na skrajnie wysokie ciepło gwiazd oraz chłód bliski absolutnego zera, skafandry posiadały elastycznie dostosowującą się do warunków, najnowocześniejszą izolację. W Cieniu, rzecz jasna, żadna kopuła ciśnieniowa nie była potrzebna, za to izolacja sprawiała, że zwinne palce kontrciepła nie wciskały się pod ubrania ekipy z IN.

Jednak nie dało się uniknąć równie łatwo kontrpędu. Blisko Mroku działał najmocniej i każdy ruch, czy to człowieka, czy to

maszyny, napotykał na opór, jakby środowiska o konsystencji melasy. Przystosowanie technologii do warunków o tak wysokiej quasi-lepkości wymagało licznych ulepszeń, jednak ekipa Inżynierii Niekonwencjonalnej zaprzęła całą swoją pomysłowość, by sprostać wyzwaniu. I niemożliwe stało się możliwe, części tunelu Van Noona mozolnie zmontowano i przygotowano do penetracji Mroku.

– Gotowy do strzału?

Jacko skinął głową.

– Odpalenie za trzydzieści sekund.

Obaj spojrzeli na miejsce oświetlone dwoma dużymi laserami, które udało się pozyskać Courtneyowi. Wiązki światła skierowane były w tej chwili na ścianę Mroku, gdzie mocno przylegała końcówka rury. Oświetlenie pomimo efektu kontrapromieniowania było wystarczające, nieco rozmyte przez celowo założone siatkowe filtry. Reflektory też się przydawały, choć na dłuższą metę ich światło okazywało się za bardzo stłumione. Moc zasilającą lasery trzeba było doprowadzać zza Cienia kablami, efekt przeciwdziałania elektryczności wywoływał tak duże straty, że zmusił ludzi, by uruchomili dwa ogromne generatory.

Oddano pierwszy strzał. Odgłos eksplozji okazał się zdumiewająco cichy, a języki płomieni w urządzeniu do wstrzeliwania szybko znikły i zgasły. Van Noon usiłował przyjrzeć się dokładniej miejscu, gdzie rura stykała się z Mrokiem.

– Myślę, że to działa, Jacko. Tylko parę milimetrów, ale zdecydowanie rura wchodzi. Strzelajmy dalej, krótko i w

nierównych odstępach czasu. Daj znać, gdy rura wejdzie na około metr. Zajrzę do środka i sprawdzę, czy pojawiła się jakaś substancja.

Dzięki dobrej organizacji pracy rurę udało się wbić na metr, zanim minęło popołudnie. Wtedy odsunięto „działo”. Van Noon zabrał ze sobą linę, której koniec przymocował do krawędzi rury. Lina została dokładnie zmierzona – długość tunelu minus metr – by dać Fritzowi pojęcie, jak daleko się znalazł. Dziesięć minut później wrócił zadowolony.

– Żadnego materiału, Jacko. Rura jest czysta na drugim końcu i widać tylko Mrok. To znaczy, że bez problemu udało się wybić metr tunelu w głąb. Spróbujmy teraz strzelać najczęściej jak się da, nadal pilnując, by strzały padały nieregularnie. Możesz też zmieniać ilość ładunków, co nieco zmieni ich siłę, a to chyba wystarczy i chcę, żeby głębokość penetracji przy każdym strzale została dokładnie zmierzona, a jeżeli pojawi się zmiana w stosunku do dotychczasowych wartości, przerwij pracę i daj mi znać.

Wbicie rury na całą długość zajęło ponad czterdzieści godzin. Potem dodano kolejny segment i zaraz okazało się, że pojawiły się zmiany – po każdym strzale rura zanurzała się w Mrok na większą głębokość niż przy poprzednim. Kolejny segment został wbity już po dwudziestu pięciu godzinach, zarówno dzięki spadkowi oporu, jaki stawiał Mrok, jak i rosnącej wprawie grupy „strzelców”.

Trzeci segment został wbity w siedemnaście godzin, czwarty w dwanaście. Czas, w jakim rury zanurzały się w Mroku, zmieniał się bez wyraźnego wzorca. Dziesiąty segment wszedł do połowy,

gdy okazało się, że jego ruchowi nie towarzyszy żaden opór – rury tunelu przesuwają się przy strzale o teoretycznie obliczoną długość, jakby poruszały się w Cieniu, nie w Mroku. Jacko przyniósł wyniki obserwacji Van Noonowi.

– Myślę, że się przebiliśmy, Fritz. Ten wykres przesunięć na strzał pokazuje, że Mrok jest zjawiskiem dotyczącym względnie cienkiej ściany, w której im głębiej się zanurzyć, tym mniejszy jest opór. Kontrefekty ustąpiły na głębokości dziewięćdziesięciu pięciu metrów. Bóg jeden wie co jest po drugiej stronie tej ściany.

– Odsuń działo, Jacko, ale zachowaj ostrożność, na wypadek gdyby z rury wylazła jakaś niespodzianka. Jeżeli nic się nie stanie przez pół godziny, zamierzam wybrać się na wycieczkę w Mrok.

Nic się nie stało. Koniec rury wystający z Mroku pozostawał pusty, cichy i zimny; nie było sposobu, by się przekonać, co dzieje się na drugim końcu tunelu. Promienie lasera odbiły się jedynie od wewnętrznych ścian i kłębow kurzu. Jedynym czynnikiem godnym odnotowania był silny podmuch powietrza wydobywający się z rury, jakby wyrównywało się ciśnienie po tej i po tamtej stronie Mroku.

Wreszcie Van Noon wepchnął do rury wózek z wykrywaczami promieniowania, a potem ruszył jego śladem.

– Zrobię najpierw krótki zwiad, Jacko. Miej w pogotowiu jakąś broń, tak na wszelki wypadek, gdybym na przykład wyczołgał się stąd w pośpiechu, bo coś depcze mi po piętach...

– Ani się waż! – sprzeciwił się Jacko. – Wchodzisz w tunel, a ja za tobą.

– Liczyłem, że to powiesz – odpowiedział Fritz. – Zatem

ruszajmy. Nie ma na co czekać.

Wczołgał się do rury. Jacko niepewnie ruszył za nim. Przed Fritzem wózek z czujnikami promieniowania klekotał na żelaznej ścianie, zwielokrotnione echo uderzyło w ludzi jak fala przyboju. Wewnątrz tunelu najwyraźniej przeciwdziałanie dźwiękom nie było tak silne jak w Cieniu. Czujniki nie wskazywały wzrostu promieniowania w stosunku do pomiarów dokonanych wcześniej, więc Jacko i Fritz uznali, że mogą bezpiecznie kontynuować wędrówkę.

W pewnym momencie Van Noon się zatrzymał i pozwolił, by terkot wózka zamarł, a wówczas ludzi otoczyła cisza, zakłócana jedynie szmerem ich oddechów i niezdarnych ruchów w ciasnej rurze. Nic się nie zdarzyło, więc mężczyźni ruszyli dalej, jednak po jakimś czasie, który podczas czołgania wydawał się wiecznością, Fritz znowu się zatrzymał i na wpół skulił, by spojrzeć za siebie.

– Jacko – rzucił z niepokojem – przypomnij sobie dokładnie, ile segmentów rury wbiliśmy w Mrok?

– Doskonała pora na troskę o ekonomiczne aspekty tego projektu.

– Ołać ekonomiczne aspekty. Wiesz na pewno, ile segmentów?

– Jasne. Dokładnie dziesięć. Dlaczego?

– Dlatego że liczyłem złącza. Znajdujemy się teraz w dwunastej rurze.

– Nie żartuj w ten sposób, Fritz, bo dostanę ataku serca.

– Nie żartuję. Musiałem podważyć kółka wózka, gdy utknęły na pierwszym złączu. Wtedy zacząłem odruchowo liczyć, ile spawów minąłem.

– Znaczy, że teraz jesteśmy w dwunastym segmencie i dawno minęliśmy rury, które wbiliśmy – mruknął Jacko, nadal jednak nie całkiem przekonany, że Van Noon ma rację. – To dziwne. Jak to wytłumaczysz, Fritz?

– Kontrrura – odpowiedział mu towarzysz. – Święty Boże! Myślałem, że to żart, gdy Courtney mówił o pocisku zatrzymanym przez przeciw pocisk. A to wcale nie był dowcip, jak się okazuje. Ci obcy właśnie tak robią. Próbowali zatrzymać naszą rurę kontrrurą, też żelazną i tak podobną, że nie zauważyłbym różnicy, gdybym nie liczył złączy. Jakie stworzenia potrafią coś podobnego zrobić – i to prawie natychmiast?

– Nie wiem – odparł Jacko. – Ale zaczynam się ich bać.

– To jest nas dwóch. Żeby dokonać takiej sztuczki, trzeba mieć technologię o stulecia bardziej zaawansowaną niż nasza. Jednak z technologią czy nie, to czuję, że ich przyłapaliśmy.

– Dlaczego?

– Ponieważ gdyby posiadali absolutnie efektywne przeciwdziałanie, to logicznie rzecz biorąc, musielibyśmy już coś w tej rurze napotkać: kontrwózek z wykrywaczami promieniowania popychany przez kontrFritza Van Noona.



– Jesteśmy bardzo głęboko, Fritz – stwierdził w końcu Jacko. – Chcesz dalej iść?

– Jeżeli pójdziesz za mną.

– Pójdę, choć nie mam pojęcia dlaczego. Towarzyszyłem ci w wielu szalonych wyprawach, ale ta bije na głowę wszystko.

Ruszyli, a terkot wózka odbijał się echem i rezonował im w uszach. Od czasu do czasu Fritz musiał podwazyć kółka, które utykały na złączu, by mogli bez przeszkód kontynuować wędrówkę.

– Właśnie weszliśmy do dziewiętnastego segmentu – oznajmił Van Noon. – Jeżeli tamci użyli tyłu rur co my, to została jeszcze tylko jedna.

– Widać już coś?

– Nic a nic.

– Zastanawiałem się, Fritz. To byłaby niezła sztuczka, gdyby obcy połączyli rury w pętlę. Moglibyśmy się przez nie czołgać do sądnego dnia.

– Dobry argument, Jacko. Przemyślimy dokładniej sytuację, gdy dojdziemy do końca segmentu numer dwadzieścia.

I znowu wózek zaterkotał, a potem stanął.

– Właśnie wchodzę do dwudziestego segmentu – oznajmił Van Noon.

– No, to miejmy go za sobą – zdecydował Jacko. – Czuję się, jakbym stanowczo przesadził z nadgodzinami.

– ...świetnie! To tutaj!

Wózek przesuwał się teraz powoli, ponieważ Fritz koncentrował się na obserwacji każdego centymetra, jaki pokonywał, starając się wyczuć różnicę w dotyku żelaza. W ciemności nie dało się określić, jaki dystans przemierzyła wyprawa, można się było jedynie skoncentrować na czołganiu i mieć nadzieję, że dostrzeże się jakieś zmiany lub różnice. A potem terkot wózka urwał się i echo umilkło.

– Koniec rury – oznajmił Van Noon. – Ale nie ma żadnego

oporu. Wózek wystaje za krawędź, ale nadal nic nie widać. Wypchnę wózek i zobaczymy, co się stanie.

Rozległ się krótki zgrzyt metalu o metal, a potem głuchy, niegłośny trzask.

– Wózek spadł – referował Van Noon. – Ale niezbyt daleko, nadal mogę do niego dosięgnąć. I jest coś jeszcze... A raczej nie ma. Tu nie ma kontrpędu. Mogę się ruszać bez oporu. I nawet nie jest bardzo zimno. To musi oznaczać, że jesteśmy za ścianą Mroku. Ciekawe, czy latarka zadziała.

Zadziałała. W ciemności rury snop światła błysnął oślepiająco. Skierowany na zewnątrz, również odcinał się wyraźnie w ciemności, jednak nie ukazał nic oprócz mokrych brązowych kamieni na ziemi oraz przewróconego wózka. Van Noon patrzył w noc, najzwyczajniejszą noc, nagą i pustą, ale nie do końca był przekonany, czy to rzeczywiście zwykła noc.

– To nie jest ciemność – stwierdził. – To przypomina raczej warstwy ciemności... Cienkie zasłony kontrświatła. Widać, jak wiązka światła rwie się, jest nieciągła przy końcu. Zamierzam wyjść z rury, Jacko, żeby sprawdzić dokładniej, jak tu jest. Ty zostań przy otworze z latarką w gotowości, by w razie czego nakierować mnie na twoją pozycję. Naprawdę chciałbym się dowiedzieć, kto lub co przyłożyło dziesięć rur do naszych.

– Chciałbym ci życzyć powodzenia – odgryzł się Jacko – ale nie jestem pewien, czy chcę się tego dowiedzieć.

Van Noon zeskoczył na ziemię. Pod butami wyczuł bruk, widocznie nadal był w zrujnowanym mieście. Latarka wydobywała z ciemności podnóża zwalonych ścian o kilka metrów dalej, ale okazała się bezużyteczna, gdy się ją ustawiło

poziomo, niezależnie od kierunku, ponieważ światło nie miało się od czego odbijać.

Fritz nie mylił się w swoich obserwacjach jasności promieni światła. Snop z latarki był tłumiony, jakby przecinał cienką zasłonę, potem kolejną. Kiedy podszedł bliżej i widział dokładniej miejsce, gdzie światło nagle się zmieniało, miał wrażenie, że oto stanął przed mglistą, cienką warstwą. Z ciekawością wyciągnął rękę i dotknął. Palce nie natrafiły na nic i Van Noon mógł przejść dalej bez jakichkolwiek sensacji. Obejrzał się jeszcze i z ulgą odetchnął, ponieważ nadal widział światło latarki Jacko, jednak zdawał sobie sprawę, że jeżeli przejdzie przez jeszcze kilka takich warstw, blask zniknie.

Sytuacja uległa zmianie bez ostrzeżenia. Okazało się, że piąta warstwa nie jest niematerialna jak poprzednie. Przypominała cienkie, mroczne szkło i Van Noon rozbił ją latarką, nie zdając sobie sprawy z jej kruchości. Przez pęknięcia przesączała się jasność, Fritz mógł dojrzeć przebłysk sceny spowitej złotą mgłą... a potem powietrze wybuchło mu w twarz.

Ale nawet ta eksplozja zdawała się nierealna. Uderzenie nie padło z przodu, lecz z góry i z boku, popychając Van Noona do epicentrum raczej niż w przeciwną stronę. Siła wybuchu przetoczyła człowieka i przygniotła go mocno do ziemi. Desperacko próbował unieść głowę, by jeszcze raz popatrzeć na stworzenia, które zbudowały sobie schronienie otoczone Mrokiem i Cieniem. Chciał jeszcze raz rzucić okiem na ich cudowne maszyny, gdy obcy, zwiewni niczym pajęczyny, wznosili się podobni złotym bogom i splatali w złotą jasność. A potem nagle pomknęli w górę tak szybko, że ledwie można było

dostrzec ich ruch. Lecz nagle złoty płomień rozprysnął się w bezmiarze za ścianą Mroku i przetoczył pod sklepienie niczym gniewna fala. Eksplozja trwała okamgnienie.

Fala uderzeniowa ponownie przycisnęła Van Noona do ziemi, a potem pchnęła go po kamieniach. Pomimo bólu i ran starał się zachować przytomność, by patrzeć na *exodus* bogów. Ale siły, jakie na niego działały, były zbyt wielkie. Van Noona ogarnęła czerń.



Następnym świadomym doznaniem, jakie zapamiętał Fritz, był widok twarzy Courtneya i poczucie straty wielu godzin. Van Noon był posiniaczony i poobijany, ale nie odniósł poważnych obrażeń. Leżał na ziemi, a w górze rozciągało się niebo Ithiki malowane barwami zachodzącego słońca.

Courtney pochylił się i podłożył zwinięty płaszcz pod głowę Fritza, a potem okrył mężczyznę pledem.

– Trzymaj się, Fritz. Lekarz już jedzie.

Van Noon uśmiechnął się słabo. Próbował się podnieść, ale zaraz zrezygnował.

– Czy tu był Mrok, czy udało się mnie stamtąd wyciągnąć?

Courtney usiadł obok.

– Mrok zniknął, Fritz. Nie wiem, co zrobiłeś, ale na pewno wykonałeś dobrą robotę. Ten przeklęty obiekt implodował. Niesamowity widok. Mrok i Cień zmieszały się i uniosły, a potem zmieniły w wir. Wówczas nastąpiło uderzenie, które stłukło chyba wszystkie okna w New Bethlem... a spirala Mroku i Cienia

znikła.

– Wiem, co się stało – odrzekł Van Noon. – Atmosfera Ithiki i ta wewnątrz Mroku reagowały na siebie niszcząco. To, co widziałeś, było pełną reakcją masy z masą, całkowitym wchłonięciem bez produktów ubocznych i pozostałości. Powietrze Ithiki dostało się do wnętrza Mroku przez nasz tunel, a ja przypadkowo zniszczyłem ostatnią barierę. A gdy reakcja się zaczęła, nie można jej było powstrzymać.

– A zatem Mrok był kontrterrański! – wykrzyknął Courtney.

– W pewnym sensie tak. I przypuszczam, że Mrok powstał właśnie po to, by stanowić barierę dla kontrświata na zewnątrz, być izolatorem rozdzielającym obszary o przeciwstawnej strukturze atomowej. Obcy próbowali zabezpieczyć się przed penetracją z zewnątrz za pomocą każdej znanej im sztuczki. A ich przekleństwem i zagładą okazał się zwykły błąd logiki. Powstrzymywali pusty obiekt za pomocą identycznego pustego obiektu... i zapomnieli o pustce wewnątrz tych obiektów właśnie. Ale i tak mieliśmy szczęście, że udało się nam to przeżyć.

– Szczęście?

– Tak – przytaknął Fritz. – Od początku opieraliśmy się na fałszywych podstawach. Nie było rozpoznania, analizy i syntezy reakcji o przeciwstawnym znaku. To nie było potrzebne, nie przy metodzie, jaką posługiwali się obcy.

– Nie pojmuję, co masz na myśli, Fritz.

– Na początku też tego nie zauważyłem. A przecież istnieje tylko jedno logiczne wyjaśnienie na wykrywanie i niwelowanie dowolnego zjawiska w dowolnym miejscu i czasie... Obcy stosowali lustra.

– Lustra?

– Tak. Oczywiście nie takie zwykłe lustra, ale urządzenia lub układy, które odbijały wszystko i były zdolne produkować dokładne i realne fizycznie odwrotności wszystkiego, co pojawiło się w ich polu – lustra, które odbijały nie tylko światło, lecz całą dziedzinę fizyki i zjawisk obejmujących działanie sił, włączając w to samą materię.

– Mój Boże! – westchnął Courtney. – Co za fascynująca koncepcja!

– Oddałbym wszystko, by poznać zasady działania takiego lustra – przyznał Van Noon. – Odbicia w tym lustrze były trójwymiarowe, a sama tafla miała głębokość około dziewięćdziesięciu pięciu metrów od ściany zewnętrznej do wewnętrznej. I gdzieś w tej przestrzeni powstawały kontrobiekty, fizyczne i materialne, a nie tylko obrazy. A my w swojej naiwności przebiliśmy się przez taflę na drugą stronę.

– Coś mnie zastanawia w tej twojej hipotezie lustra, Fritz. Niezbyt pasuje do faktów. Przebicie się przez Mrok oparte było na twoim założeniu triady: wykrycie – analiza – kontrdziałanie i to się sprawdziło. Ta teoria zakładała istnienie opóźnienia między bodźcem a reakcją. Ale w przypadku lustra opóźnienie nie istnieje, odbicie pojawia się natychmiast.

– Wcale nie – sprzeciwił się Van Noon. – Odbicie w lustrze nie pojawia się natychmiast. Światło porusza się od obiektu do tafli lustra z ograniczoną prędkością, a w tafli również porusza się z nieco inną, ale też określoną prędkością. Zatem odbicie powróci do obiektu z opóźnieniem, które wynosi dwukrotność czasu, jakiego wymaga pokonanie odległości między lustrem a

obiektem. Mieliśmy szczęście, że w lustrze obcych to opóźnienie było bardziej wyraźne w przypadku zjawisk, jakie nas interesowały Courtney przetrwał rewelacje przez długą chwilę. Wreszcie zapytał: – Jak wpadłeś na ten pomysł, Fritz?

– Na początku: przez twoje wyjaśnienia o przeciwdziałaniach, jakie podejmowali obcy na nasze działania. Zawsze identyczne, o przeciwnym znaku, niezależnie od rodzaju. To wydawało się nieprawdopodobne, że do długoterminowej obrony stosowali tak dynamiczną i marnotrawiącą masę energii metodę. Ale w przypadku lustra nie była to wada metody, lecz jej zaleta. Lustro odbija tylko wtedy, gdy pojawia się przed nim obiekt. Niepotrzebna jest moc, by powstało odbicie. Potem: kiedy wszedłem w głąb Mroku i nie znalazłem nic poza identycznymi rurami jak te, które precyzyjnie przeszliśmy przez powierzchnię, wiedziałem już, że to musi być odbicie, bo tylko ono tłumaczyło sytuację, jaką zastałem. Ale i tak, jak przeklęty głupiec, poszedłem dalej i przebiłem się przez „sreberko” z tyłu lustra.

Opadł na ziemię i zamknął oczy, próbując przywołać obrazy, które wyryły mu się w pamięci.

– Co się z nimi stało, Maxwell? Odlecieli?

Courtney odwrócił twarz do zachodzącego słońca.

– Nie. Nie udało się im, Fritz. W swoich maszynach dosięgli stratosfery, ale potem eksplodowali. Bogu dzięki, że wybuch był wysoko i nie wyrządził większych szkód!

– Wielka szkoda – westchnął Fritz. – Wolałbym ich poznać, niż zabić. Tyle moglibyśmy się nauczyć od istot, które potrafią budować takie lustra.

– Moglibyśmy, gdyby obcy chcieli nas uczyć – odpowiedział

Courtney. – Ale przez dwieście lat nie podjęli żadnej próby kontaktu. Przypuszczam, że byli tak bardzo rozwinięci i zaawansowani technicznie, że ludzie jawili im się jako zwykłe mrówki.

Van Noon usiadł z trudem i rozejrzał się.

– A co stało się z Jacko?

– Jest trochę poobijany i oszołomiony. Siła implozji wypchnęła go przez rurę, jak korek z butelki szampana. Jacko twierdzi, że zrobiłeś to specjalnie.

– Widziałem, jak odlatywali – zamyślił się Van Noon. – Byli jak złoci bogowie wracający na Olimp. Nigdy celowo nie zrobiłbym im krzywdy. Jak myślisz, dowiemy się kiedyś, dlaczego się tu pojawili?

– Wątpię – odpowiedział Courtney. – A nawet gdyby próbowali nam powiedzieć, wątpię, abyśmy byli zdolni do zrozumienia ich wyjaśnień. Spróbuj wytłumaczyć mrówce konstrukcję i zasadę działania naczynia Dewara. I przekonajmy się, kto pierwszy będzie miał dość.

H. Chandler Elliott Naprawdę lubię opowiadania oparte na prostym pomysle, który eksploatują do granic możliwości. To dzieje się właśnie w tym utworze. Harry Chandler Elliott (1907–78) jest jednym z mocno już zapomnianych pisarzy. Był kanadyjskim fizykiem pracującym w Stanach Zjednoczonych. Napisał jedną powieść, *Reprieve from Paradise (1955)*, i w drugiej połowie lat pięćdziesiątych garść krótszych form, a potem zamilkł. *Prezentowane opowiadanie jest jego pierwszym.*

H. Chandler Elliott

ZŁOŚLIWOŚĆ RZECZY MARTWYCH

Doktor Carl Wahl (internista) przemknął wzrokiem po nagłówkach formularza karty zdrowia pacjenta i zatrzymał się na „Stanie psychicznym”. Jakby można było zuchwale ściągnąć do paru słów opis ludzkiej skomplikowanej osobowości. A potem zaczął przeglądać rubryki:

NAZWISKO I IMIĘ PACJENTA: Angus G. Burnside.

WIEK: 57 lat.

LEKARZ PROWADZĄCY: dr Svindorf, (dochodzący): dr Matthew Loftus.

DANE OGÓLNE O PACJENCIE: Mechanik w wojsku, specjalista od elektrycznych urządzeń łączności. W stanie spoczynku od 1949, od tamtej pory zamieszkały w małej posiadłości Catskill. Brak danych o przebytych ciężkich schorzeniach lub traumach.

STAN CYWILNY: Żonaty. Żona: Ruth Elvira, z domu Baker, lat 35, jak twierdzi. Związek przyjazny, choć nieco na dystans.

ZACHOWANIE PACJENTA: Spokojny, chętny do współpracy. Pedantyczny. Zgoda na nieograniczony dostęp do książek i materiałów elektronicznych. Zachowania normalne, poza

związanymi z manią.

REAKCJE EMOCJONALNE: Pacjent spokojny, rozbawiony swoją sytuacją.

CHARAKTER ODCHYLEŃ OD NORMY: Pacjent wierzy, że obiekty nieożywione okazują aktywną wrogość. Nie jest to skierowane bezpośrednio na niego. Co więcej, pacjent jest przekonany, że potrafi uniknąć tej wrogości bardziej skutecznie niż inni, lecz wyraża troskę o losy ludzkiego gatunku. Rozmawia o tym bezstronnie, naukowo.

PRZYKŁADY: Uwaga do pielęgniarki (panna Clements): „Pani fartuch tylko czeka, by złapać coś z tej tacy”. Do mnie (Loftus): „Na pana miejscu naprawiłbym ten rozchwiany obcas. Jeżeli jeszcze pana nie przewrócił, to tylko dlatego, że czeka, by złamać panu kark”.

– Och, do diabła! – stwierdził doktor Carl Wahl. – To po prostu sztandarowy przykład normalnej ekspresji. Ten człowiek uważa, że jakiś przedmiot jest zdolny do spowodowania wypadku, i personifikuje go. Dlaczego trzymamy tu lekkiego ekscentryka, gdy jest tyle pilniejszych i poważniejszych przypadków?

Doktor Matthew Loftus (rezydent) skrzywił się.

– Przyznam, że to trochę śmierdzi. Oczywiście te zapisy nie dają żadnego wglądu w przypadek. Pacjent jest psychotykiem, nie ma wątpliwości. Swoje zachowania podporządkował całkowicie manii. I, rzecz jasna, ma świetną teorię, która uzasadnia realność jego obsesji. Największe niedorzeczności, jakie w życiu słyszałem.

I do tego jest przekonujący tak, jak tylko maniacy potrafią – po chwili zaczyna się wierzyć, że to wszystko prawda, dopóki się nie

wyrwie z czaru tego maniaka i nie zacznie znowu myśleć samodzielnie. Ale zgadzam się... To nie miejsce dla pana Burnside'a.

Wahl odłożył kartę pacjenta na biurko Matta Loftusa i spojrzał z zainteresowaniem na rezydenta.

– Ciężko wyciągnąć zaskakujące pomysły i urojenia z tej zbieraniny katatoników i dementów.

– Nie wspominając o pijakach i zwykłych pacjentach z urojeniami. – Matt Loftus wyszczerzył się. – Ani o tej starszej pani, która robi z papieru nieprzyzwoite laleczki. – Zerknął do karty niemal z czułością. – Trochę staroświeckiego, poetyckiego szaleństwa. Czyż to nie odświeżające, Carl? Poza tym Angus Burnside jest dżentelmenem i inteligentem starej daty, a na dodatek wspaniale się z nim rozmawia. Odwiedzam jego łóżko znacznie częściej, niż jest to wymagane. Coś ci powiem, Carl... Wezmę cię na konsultanta, jeżeli jesteś zainteresowany. I możesz z nim pogadać przy muzyce, ma u siebie dziwaczny adapter i ciągle na nim słucha różnych kawałków, o ile przy nim nie majstruje. Najlepsze towarzystwo w instytucie, mówię ci.

– Umowa stoi – odparł Carl.



Tego popołudnia obaj lekarze odwiedzili pokój Majora. Chociaż nie leżało to w zwyczajach personelu szpitala, zapukali uprzednio i otworzyli drzwi dopiero po zaproszeniu ze środka. Pomieszczenie było spore jak na standardy placówki leczniczej, można by je uznać za hotelowy pokój z łazienką, gdyby nie

zakratowane okno i ogólnie surowy wystrój. Perkalowych zasłon, kolorowych dywaników i optymistycznych obrazków na ścianach – typowych dla oddziałów dla poważnie chorych psychicznie – tutaj nie było. Zamiast nich stała szafka, regał z płytami i szpulami taśm oraz stół roboczy z imponującą ilością elektrycznych części i narzędzi.

Mieszkaniec pokoju wstał z ławki na powitanie gości. Przyciągałby wzrok nawet na tle o wiele bardziej rozpraszającym uwagę – powiedzmy: na polu walki, podczas odwrotu desantu pod ogniem nieprzyjaciela. Żyłasty, ogorzały mężczyzna. Miał siwe, lecz gęste włosy oraz niezwykle precyzyjnie przycięte białe wąsy. Szare oczy spoglądały życzliwie i łagodnie, jednak gdyby się w nie spojrzało na polu walki, nie byłoby wątpliwości, że to człowiek, który ratowałby innych, ciągnąc ich przez morze własnymi rękami lub tylko dodając animuszu zjadliwym, acz dowcipnym komentarzem. Wyszkolony zmysł obserwacji Carla nie wskazał na nerwowe tiki lub nienaturalną sztywność, które często zdradzały kryjące się za nimi zniszczenia nerwów lub urazy psychiczne.

Major od razu wprowadził nieformalny nastrój. Pochylił się nad stołem z częściami, wyciągnął przekaźnik, zamontował go zręcznie między głośnikiem i tunerem, a potem z wypraktykowaną przez lata precyzją wysunął z szuflad parę narzędzi. Dopiero wtedy zerknął na Carla z wprowadzającą niemal w zakłopotanie otwartością.

– Przypuszczam, że chce pan, żebym opisał moją teorię... czy też obsesję? Świetnie! Proszę się rozgościć.

Matt opadł na łóżko, a Carl usiadł w fotelu. Dwaj mężczyźni

stanowili swoje przeciwieństwo: Matt za młodzieńczą twarzą i cichym głosem skrywał umysł ostry jak elektryczny skalpel, Carl – kościsty, z cienkimi włosami – był raczej solidnym, miarodajnym obywatelem, choć z zakonspirowaną skłonnością do mistycyzmu, co często okazywało się nieocenioną pomocą w nawiązywaniu kontaktu z niestabilnymi psychicznie pacjentami.

– Chciałbym jedynie prosić – rzekł Major – aby rozważył pan moje tezy na tyle obiektywnie, na ile pozwalają nasze pozycje: pana jako lekarza i moja jako pacjenta. Na początek może należy stwierdzić, że każde przekonanie lub pogląd, jaki przez wieki powracał w wielu kulturach, nieważne, jak wydumany się może wydawać, zasługuje na naukowe przebadanie, choćby po to, by wyjaśnić jego obecność i przyczyny powstania.

Matt i Carl przytaknęli, kiwając głowami.

– Świetnie – powiedział Major. – Niewiele jest takich uniwersalnych dla wielu kultur przekonań jak to, o którym chcę opowiedzieć: że to, co uważamy za przedmioty nieożywione, posiada wolę. Starożytni uważali, że przedmioty mają duszę – lary, oready i podobne. Średniowieczni alchemicy wymyślili szczegółowy, choć dość powierzchowny system dotyczący emocjonalnego przyciągania i odpychania przedmiotów – nie tyle personifikacja, co coś bardziej subtelniejszego. Nowoczesna nauka traktuje to wzruszeniem ramion, jak urojenia przemęczonych umysłów. I trzeba zaznaczyć, że jest to opinia niepoparta dowodami. Podczas ostatniej wojny nasi lotnicy, dzieci epoki technicznej, odkryli gremliny, złośliwe duchy – obracając to głównie w żart – jednak wyczuwali, że istnieje coś więcej, co jest odpowiedzialne za mechaniczne usterki... Odkryli,

że rzeczy bywają złośliwe i agresywne.



Carl uważnie obserwował i analizował zarówno zachowanie pacjenta, jak i to, co mówił. Niewątpliwie logika Majora nie była najwyższej próby – tezy na podstawie przypadkowych stwierdzeń, niezgoda na przyjęcie innych wyjaśnień niż to, które pacjent sobie założył. Jednak brakowało pewnych typowych cech charakterystycznych dla maniaków: pretensjonalnej powagi, nadwrażliwości na krytykę, przekonania o własnej racji. I – jak w duchu napomniął się Carl mentorskim tonem – zdolność do wskazania znaczących szczegółów bywała również oznaką geniuszu: „Trudno jest odróżnić geniusza od szaleńca...”.

– Oczywiście – mówił dalej Major – odkrycie zlekceważono, ale twierdzenie stało się uświęconym aksjomatem. Ale właśnie... uświęconym? Nauka opiera się na dowodach, nie na recytacji credo. I czyż aksjomaty nie są strasznie naciągane? „Jeżeli zna się wszystkie fizyczne czynniki, można wyjaśnić każde zjawisko”. Dość bezpieczne przekonanie, skoro nigdy nie pozna się wszystkich czynników. A aksjomaty sprawdzają się znakomicie w kilku określonych przypadkach, odrzuca się jednak te inne wyjaśnienia, uznając je za fałszywe w imię integralności metody naukowej.

Ten człowiek naprawdę ma świadomość, że istnieją alternatywne wyjaśnienia, pomyślał Carl. Na głos zaś zapytał: – Jakie dowody popierają te inne wyjaśnienia?

– Ha! To właśnie moja „obsesja”! Według teorii

prawdopodobieństwa poker może pojawić się w każdym z wielu rozdań kart. Ale co, jeżeli naprawdę tak się stanie i w każdym rozdaniu będzie wychodził pokerowy sekwens?

– Dyskutowaliśmy też wcześniej o tym, jak łatwo można dowieść, że sny się sprawdzają. Wystarczy wybrać ten, który pasuje, uznać go za proroczy, a resztę odrzucić.

– Racja. I można udowodnić, że pazury tygrysie lub 17-deoxybetylen jest cudownym lekiem, jeżeli tylko podkreśli się uzdrowienia za jego pomocą i odpowiednio wytłumaczy żałosne porażki.

– *Touché* – zgodził się Matt. – Proszę dalej.

– Przyznałem już wcześniej, że moją słabością jest porządkowanie różnych spraw statystycznie. Zbierałem dane przez lata. – Major wskazał rząd grubych notatników stojący na półce obok płyt. – Ale takie przypadki jak rozdanie pokera, które łatwo przedstawić w tabeli, nie zdarzają się na tyle często, by dobrze zobrazować moje poglądy. Takie przypadki są zbyt proste, zbyt mechaniczne, nie pozostawiają wiele miejsca na dyskusję. Poza tym... – Uśmiechnął się lekko.

– Niech pan mówi – poprosił Matt. – Myśli pan, że to słaba linia dowodowa... że jest nieracjonalna. Przyznaję, że sama obserwacja zrobiła na mnie wrażenie.

– Miło mi to słyszeć, doktorze. No cóż. Jak panom wiadomo, obecność obserwatora wpływa na obserwowane zdarzenia, zatem nie wiadomo, co by się zdarzyło, gdyby nie było obserwatora. Zapewne obecność ta nie wpłynie znacząco na ruch spadającego przedmiotu lub inne podobne przypadki. Ale w skomplikowanych układach złożonych, jestem przekonany, że

wpływ ten widać wyraźnie. Wierzę, że fizyczne reakcje wiedzą, że są obserwowane, i unikają analizy – oczywiście używam słowa „wiedzieć” tak jak mechanicy, gdy mówią: „Skąd zawór wie, że została przyłożona siła?”.

Carl dał się przyłapać.

– Na Dziesiątej i Capitolu są światła, które – przysięgam – zmieniają się na czerwone, gdy tylko do nich dojeżdżam. Zdarza się to cztery – pięć razy... Kiedyś próbowałem policzyć i jestem pewien, że częstotliwość się wtedy zmieniła.

– Prawdopodobnie raczej to pański samochód zmienił prędkość jazdy, a nie światła częstotliwość. Ale to nieważne. Sam pan widzi, o co mi chodzi. Nie można użyć statystyk, więc pozostaje tylko powrót do intuicji, a to nie jest nauka.

– Cóż, w takim razie – Carl powrócił do swojej profesjonalnej postawy – nie ma sensu się tym przejmować, prawda?

– Czasami nie ma. Ale jeżeli dość ludzi będzie uważać podobnie, jeden w końcu zrobi coś, co wywoła opór. Zresztą nieważne. Proszę dla czystej rozrywki zastosować moją teorię i sprawdzić, czy pasuje – Major zakończył temat i przez resztę wizyty rozmawiał tylko o urządzeniach elektrycznych i muzyce.



– No i? – Matt uśmiechnął się szeroko po spotkaniu. – Czyż to nie cudowny przypadek? Jego hipotezy także są naukowe. Powiem ci coś: założę się, że do Bożego Narodzenia wciągniesz się w jego teorię, nawet jeżeli potraktujesz je jako zabawne i irracjonalne. Znam cię. Zmuszę cię, żebyś się przyznał, kiedy

zacznieś się łamać.

Carl roześmiał się, ale dał się wciągnąć. Co znaczyło, że spełnił prośbę Majora, przynajmniej częściowo. Ach, potrzebował trochę rozrywki. Do przeładowania pracą w instytucie, którego personel zdziesiątkowała epidemia grypy, Carlowi dochodziły jeszcze zmartwienia osobiste. Jego żona, Clare, także zapadła na grypę, a potem dołączyło zapalenie płuc i powikłania związane z alergiczną reakcją na zastosowane w leczeniu antybiotyki. Przez dwa tygodnie najcięższego okresu choroby żony Carl nie mógł przebywać w ich niewielkim mieszkaniu, a przez kolejne dwa nie udało mu się ani razu porządnie wyspać – był człowiekiem, który ukrywa i dusi w sobie emocje, co się teraz mściło. Urojenia majora Burnside'a znakomicie mogły odciągnąć uwagę od zmartwień, Carl miał nawet nadzieję, że później będzie mógł bawić nimi Clare, żona miała wspaniałe poczucie humoru.

Zaczął zatem zbierać dane. Banknot, który wypadł z kieszeni, przemknął nad podłogą i wpadł za kratkę wentylatora; lekko naderwany rękaw jasnej marynarki Carla, którym zahaczył o ucho kubka, wylewając kawę na spodnie; kartka z ważnego sprawozdania, która spadła z biurka i ześlizgnęła się pod starą gazetę, a z nią do kosza na śmieci – i kilkanaście innych codziennych przypadków złośliwości rzeczy martwych.

Carl przekonywał siebie raz po raz, że prawa fizyki stosownie wyjaśniały każde z tych zdarzeń, jednak zmagął się z dodatkowymi, wynikającymi z nich implikacjami. Dlatego w niedzielę po południu postanowił odetchnąć i za zgodą Matta porozmawiać znowu z Majorem.

– Proszę posłuchać, sir – rzekł. – Zbieranie danych jest

pierwszym etapem, ale wcześniej należy mieć ogólną teorię. Pomijając kwestię złych duchów, dlaczego przedmioty są złe?

Major podniósł wzrok znad lutownicy i uśmiechnął się nieznacznie.

– Jeżeli przedstawię panu teorię, będzie pan choć trochę skłonny, by uwierzyć w moje słowa? No dobrze, proszę się zastanowić: dlaczego my, ludzie, lubimy porządek, organizację, kontrolę, ujarzmianie energii?

Carl zamyślił się.

– Och... Przypuszczam, że to leży w naturze samego życia, rozprzestrzenianie się dzięki uporządkowaniu otoczenia, za pomocą narzędzi i podobnych.

– Znakomicie. Ale wszechświat w większości przypadków zachowuje się w sposób dokładnie przeciwny – jest nieuporządkowany, rozproszony. Czy jest powód, dla którego nie moglibyśmy uznać, że ten ogólny proces jest... cóż... pewnego rodzaju odwrotnością życia? I że dla tego przeciwzycia nasze porządkowanie, organizacja środowiska, będzie równoważnikiem pożaru, wiatru w twarz, rdzy? Kilka tysięcy lat temu te skutki życia były drobne – trochę fotosyntezy i zapuszczania korzeni dla przeciwzycia stanowiło równie istotny fakt jak dla nas erozja skał. Ale teraz ludzkość porządkuje materię i energię w coraz większej skali – to jak regularnie powtarzające się epidemie lub klęski żywiołowe dla przeciwzycia. Dlatego, naturalnie, stawia ono czynny opór i walczy przeciwko tego rodzaju zdarzeniom.

– Chwileczkę! – zaprotestował Carl. – Przecież ludzkie działania powodują również ogromne zniszczenia materialne. To

powinno być uznane za korzystne!

– Tak, ale ludzie również porządkują materię coraz bardziej, a ta tendencja może w końcu zwyciężyć nad wywoływaniem zniszczeń. W każdym razie im bardziej organizujemy materię, tym większy napotykamy opór.

– Dość słaby opór. Drobną partyzantką.

Major uśmiechnął się szerzej.

– Napoleon i Hitler ponieśli niejedną porażkę na skutek aktywnych działań ruchów oporu, partyzantki właśnie. Ale spójrzmy na pańskie życie. Jak wiele pan go traci na skutek złośliwości przedmiotów martwych?



Carl zamyślił się nad tym stwierdzeniem. Tego ranka stracił pół godziny przez zerwane sznurowadło, krem do golenia, którego zakrętka wpadła do zlewu, kołnierzyk, który nie chciał się zapiąć, oraz garść monet, które wysypały się radośnie z kieszeni spodni podczas ubierania. Przez co śniadanie musiał jeść w biegu i – na obchodzie – zorientował się, że okruchy pozostały mu na koszuli, przez co zapewne stracił dobrą opinię u doktora Svindorfa.

Carl zmienił taktykę ataku – a może po prostu wycofał się na drugą linię?

– Ale jak to działa? – zapytał. – To znaczy znam prawa mechaniki Newtona, a w nich nie ma miejsca na wolną wolę.

– Doprawdy? My działamy na procesach chemicznych, a jednak czujemy, że mamy całkiem sporo wolności. Proste układy

mechaniczne składające się z uległych materiałów nie mają wiele wolności, to prawda. Ale to nie znaczy, że możemy założyć, że tak jest w każdym innym przypadku.

– Uległe materiały?

– Na przykład metale. Bierne, jak rośliny. A my nadajemy im kształty geometryczne. Ale nawet wtedy nas oszukują. Nieustannie czerpiemy radość z zabaw najprostszymi geometrycznymi bryłami, jak choćby kula – zaczynając od bilardu, a na koszykówce kończąc. Co wiemy o możliwościach naprawdę subtelnych, skomplikowanych układów materii – tkanin, papieru, gumy, gotowych wyrwać się z tych prawie organicznych form, do jakich zostały sprowadzone?

– Hm! Czy nie są to materiały organiczne?

– Eks-organiczne. Jakie grupy społeczne najbardziej fanatycznie cenią wolność, jeśli nie te, które właśnie zerwały pęta niewoli? A proszę zauważyć: ludzie porządkują materię w określonych celach, materia natomiast próbuje rozproszyć naszą energię, wyrwać się z niewoli porządku. Tabletki aspiryny, która wymyka się panu z palców, przez co traci pan dwie minuty, wygrywa bitwę, choć jeszcze nie zdaje pan sobie sprawy, że bierze udział w walce.

Carl zadał ostatnie, najważniejsze pytanie: – Czy uważa pan, że pojedyncze przedmioty mają osobowość, ta lutownica choćby?

– Mam wrażenie, że są obdarzone jakimś rodzajem wspólnej więzi, mentalności – ale mniej lub bardziej posiadają także indywidualność. Ta lutownica... – Sięgnął za siebie po narzędzie, mankiet zahaczył o kabel i lutownica zakołysała się w podtrzymującym ją stojaku, niebezpiecznie blisko nadgarstka

Majora. W samą porę cofnął dłoń, lutownica spadła ze stołu na ławkę, ale mężczyzna zręcznie ją złapał, zanim osmaliała drewno, i ustawił ponownie na stojaku, ostrożnie, jakby miał do czynienia z jadowitą żmiją.

– Tak! Ta lutownica – lub jej kabel – ma całkiem wyrazistą osobowość. To jedno z najbardziej zdradliwych narzędzi, jakie miałem w życiu. I na pewno zauważy pan, jak przedmioty używają naszych działań, by pokrzyżować nasze akcje, dokładnie tak samo, jak my używamy praw termodynamiki, by zmusić przedmioty do działań konstruktywnych. Oczywiście niezdarność i nieuwaga dostarczają im doskonałych okazji. Powiniennem wyłączyć tę lutownicę.

Carl przypisał ten drobny incydent autosugestii freudowskiej pomyłce i odszedł, potrząsając głową. Nigdy nie spotkał się z tak spójnymi, uporządkowanymi urojeniami. Wielkie nieba, jak dotąd w tych urojeniach nie znalazł skaz! Miał nadzieję, że to zainteresuje Clare – często miała zdumiewająco bystre, analityczne opinie przy takich sprawach.



Następnego wieczoru Carl miał wolne. Ruszył do mieszkania, dźwigając dwie duże torby z podstawowymi zakupami i ulubionymi słodyczami Clare. Okazało się, że musi wchodzić na siódme piętro, gdyż winda się zepsuła.

Postawił torby na podłodze, by otworzyć drzwi. Próbowaly się zatrzasnąć i Carl musiał przytrzymać je obcasem, gdy wchodził.

Kiedy się obracał, poczuł mocne szarpnięcie z tyłu – w

niewyjaśniony sposób pasek płaszcza zahaczył o klamkę.

Zaskoczenie, podobnie jak szarpnięcie, wytrąciło lekarza z równowagi. Drugi obcas poślizgnął się na gładkim linoleum w przedpokoju. Carl zatoczył się na drzwi, które teraz kołysały się jak mdlejąca dziewczica, a potem wpadł do salonu, rozpaczliwie próbując ocalić od upadku zakupy. Pasek puścił, niczym wytrenowany akrobata, dokładnie w tym momencie i zakupy poleciały na wszystkie strony. Carl chwycił jedno z pudełek i sztywny papier rozdarł się jak lignina. Druga ręka lekarza, którą wyciągnął, by chronić się przed impetem upadku, wpadła precyzyjnie w opakowanie ciastek z kremem, które wślizgnęło się pod nią ze zwinnością skrzydłowego przechwytyjącego trudną piłkę tuż przy ziemi.

Clare w szlafroku wypadła z sypialni tylko po to, by ujrzeć, jak mąż próbuje się podnieść z pobojuwiska. Drzwi zatrzasnęły się na opakowaniu jajek, torba mąki rozsypała się w kącie i radośnie oparła o nogę sofy.

– Pięknie! – powiedziała Clare rozdarta między złością a rozbawieniem. – Musisz być tak niezdarny?

Carl odruchowo pomyślał natychmiast: Nie pozwolę, by martwe przedmioty skłóciły mnie i Clare! I odpowiedział żonie najpotulniej jak umiał, łagodząc jej gniew.

Po kolacji Carl użył incydentu z zakupami jako dobrego wstępu do przedstawienia żonie urojeń Majora.

Clare, wysłuchawszy opowieści, odparła z rozleniwieniem: – Nikt, kto prowadzi dom, nie uznałby go wcale za szaleńca!

Następną godzinę spędzili, mnożąc przykłady podobnych wypadków: rząd książek na półce, który zawsze się przewraca w

najmniej odpowiedniej chwili, części garderoby, które wymykają się z szafy, gdy tylko się ją otworzy, szuflady pełne przedmiotów magicznie zamieniających się miejscami i znikających, gdy są najbardziej potrzebne, kulki papieru nigdy nietrafiające nawet do największego kosza na śmieci, za to z łatwością wciskające się w każdą trudno dostępną szczelinę między meblami, drzwi balkonowe, które nie chcą się zamknąć i klekoczą przy najmniejszym podmuchu wiatru, ale potrafią porządnie się zatrzasnąć, gdy mogą uwięzić kogoś na zewnątrz, i tak dalej.

Świetnie się bawili, Clare była zachwycona opowieścią, ale później Carl zaczął się martwić, czy powinien wspominać jej o urojeniach, gdy nadal jeszcze miała gorączkę. Na dodatek nie podobało mu się, że tak bardzo zaczął się wciągać w teorie Majora, to było naprawdę nieprofesjonalne!

Następnego dnia jednak Matt ujął mu nieco zmartwień, gdy powiedział: – Doktor Svindorf bada przypadek Majora, za moją namową. Nie możemy dowieść, że Ruth Elvira chce cieszyć się ziemskimi dobrami męża pod jego nieobecność, ale nie ma powodów, by go tutaj trzymać – nie bardziej niż tysiące innych nieszkodliwych dziwaków. Pozwólmy Majorowi rozwijać swoje zdolności przekonywania na forum publicznym, jak robią to Pożeracze Przestrzeni, telekinetycy i prorocy zapowiadający Dzień Sądu na dziewiętnastego stycznia... Choć osobiście będzie mi go brakowało. Dostarczał mi niezłej zabawy.



Carl czuł podobnie. Szczerze mówiąc, kusilo go, by wgłębić się

bardziej w teorię Majora, a poza tym lubił starego wojskowego. Ale godziny, które spędzili w szpitalnym pokoju zmienionym w celę i warsztat, miały głównie na słuchaniu opowiastek: – Wiatr porwał jego kurtkę z wieszaka przy drzwiach, a potem zatrzymała go pięćsetstopowa zaspą, gdy zamieć się uspokajała... Drzwi dżipa uderzyły go tak, że spadły mu okulary i rozbiły się na jedynym kamieniu w promieniu wielu jardów – trzydzieści mil od miasta, na drodze pełnej ostrych wiraży i wrogów czających się na zboczach...

Zabawne, lecz... pomimo brutalnych okoliczności i odległych miejsc incydenty wydawały się dość naturalne, dziwne przypadki życia codziennego w cywilizowanym kraju wypadały przy nich blado i nieistotnie. Zdawało się, że wspaniała fantasmagoria tonie w bagnie ciekawostek typu „chcecie, to wierzcie, chcecie, nie wierzcie”.

Pragnąc ocalić wizję Majora od rozmiękania na drobne, Carl zażądał w końcu: – Nazwał pan to akcjami partyzanckimi. A jak będzie wyglądał pełny atak?

Major odłożył narzędzia i odwrócił się do Carla, jakby kwestia wymagała koncentracji i pełnej uwagi przy wyjaśnieniu.

– Czyż to nie oczywiste? Kiedy myślimy o wojnie atomowej, boimy się wybuchów i ognia oraz wtórnego promieniowania. Ale, moim zdaniem, najgorsze zagrożenie pojawi się potem... Wystarczy przepłynąć się rzeką Hudson, między tymi niekończącymi się ścianami wysokich apartamentowców, i pomyśleć, co się stanie, jeżeli większość kabli zasilających i hydroforni zostanie odcięta, a w pobliżu nie znajdzie się nikt, kto umiałby to naprawić? Dobry Boże! Miliony ludzi zostanie

uwięzionych w domach, zmuszonych do stosowania zapomnianych całkowicie metod przetrwania i zdanych na łaskę przedmiotów, które nauczyły się bronić.

– Tak – mruknął Carl z namysłem. – To będzie dla przedmiotów wspaniała okazja.

Major usiadł i oparł dłonie na kolanach.

– Proszę posłuchać, doktorze. To może brzmieć jak urojenia, ale w pana opinii już jestem szaleńcem. Obliczono, że we wszechświecie mogły powstać miliony zamieszkałych planet i wiele z nich miało dość czasu, by życie osiągnęło na nich poziom techniczny umożliwiający podróże w kosmos. A jednak nigdy nie mieliśmy żadnych gości z innych światów. Dlaczego?

– Słyszałem, jak dyskutowano o tym zagadnieniu. Jednym z powodów jest to, że Ziemia znajduje się na peryferiach.

– Racja. – Major skinął głową. – Lecz nawet gdyby istniało tylko kilkaset ras przemierzających kosmos, jedna z pewnością trafiłaby do nas. Czy nie jest możliwe, że coś utrzymuje życie na określonym poziomie – jakieś sprzężenie zwrotne działające we wszechświecie? A na podstawie mojej teorii można określić, jak to się dzieje: postęp wywołuje opór ze strony przeciwżycia. Kiedy życie osiąga punkt krytyczny i narusza równowagę, zostaje usunięte. A my, choć nie jesteśmy jeszcze blisko tej granicy, potrafimy już całkowicie się zniszczyć. Jeden błąd – i po nas.

– A czy rozumni z innych planet nie zauważą niebezpieczeństwa, jeżeli zacznie być realne?

– Och, nie jestem tak zarozumiały ani tak szalony, by uważać, że jestem jedyną osobą we wszechświecie, która zauważyła to, co oczywiste. Lecz inni mogli zauważyć to za późno albo nie umieli

przekonać swoich ziomków o istnieniu zagrożenia. I chyba moja sytuacja jest podobna, prawda?

Carl wyszedł, czując, że mu bardzo ulżyło. Traktowanie na poważnie gremlinów i wyprowadzanie dowodów na istnienie osobowości przedmiotów, kryjącej się za dziwnymi incydentami, to jedno, ale ujmowanie tego jako zagrożenia na skalę kosmiczną, obejmującą miliardy zamieszkaných planet, było po prostu głupie. Carl nagle powrócił do dawnej jasności umysłu, wolnego od ukrytych podejrzeń, że w słowach weterana tkwi ziarno prawdy. Carl znowu miał pewność, że prawa fizyki wyjaśnią wszystkie dziwne wypadki, o ile ma się czas, by je przemyśleć i przeanalizować.

Powiedział o tym Mattowi w stołówce szpitalnej.

– Zatem przegrałem zakład, tak? – Matt uśmiechnął się nostalgicznie. – Cóż, zakład i tak jest nieważny... Doktor Svindorf mówi, że Angus G. zostanie wypisany przed Bożym Narodzeniem. Ale sądziłem, że ty właśnie dasz się oczarować syrenim śpiewem Majora. Dałeś się wciągnąć, przyznaj.

– To tylko rozrywka. I właśnie straciła dla mnie urok.



Tego popołudnia zadzwoniła Clare i wszystkie inne zmartwienia Carla odeszły w niebyt. Clare wyszła poprzedniego dnia z domu i złapał ją deszcz – a teraz czuła się źle i miała gorączkę. Carl miał złe przeczucia i obawy, nawet najnędrniejszy psychiatra wiedział, że przy takich chorobach, jak u Clare, najniebezpieczniejsze są nawroty. Zapomniał zatem o czasie dla

siebie przez nadchodzący miesiąc i wziął wolny wieczór.

Kiedy wszedł do mieszkania, zastał Clare w łóżku, owiniętą elektrycznym kocem. Nawet nie próbowała czytać. Przywitała męża z niepokojem, który wskazywał, że ona również wiedziała o nawrotach.

– Myślisz, że mocno się rozchoruję?

– Nie, jeśli będziesz trzymana w cieple i spokoju. – Przygotował najlepsze lekkie przekąski i praktycznie nakarmił Clare.

Pod koniec posiłku zapytała nagle: – Jak się czuje ten starszy pan od teorii o złośliwości przedmiotów martwych? – I dodała, nie czekając na odpowiedź: – On ma całkowitą rację.

Wyglądała jak nastolatka, z rozpuszczonymi włosami i zmartwioną miną. Carl przeklął się w duchu za wypełnianie jej głowy nonsensami, choć wygłaszanie takich opinii mogło być po prostu skutkiem gorączki żony.

Napomniął ją poważnie:

– Myślę, że bakterie są w tej chwili bardziej dla ciebie niebezpieczne niż przedmioty.

– Te bakterie nie miałyby okazji, by mnie dopaść – odparła z przekonaniem – gdyby nie parę zabawnych przypadków. Zmokłam, ponieważ upuściłam ostatnie pieniądze, którymi miałam zapłacić za przejazd. Potoczyły się jak szalone, a kiedy natrafiły na szczelinę, przysięgam, że specjalnie postarały się do niej wpaść. A nie upuściłabym pieniędzy, gdyby tak bardzo nie bolały mnie palce, które przytrzasnęło mi okno z zepsutym zamkiem. Nie zmokłabym, gdybym miała płaszcz przeciwdeszczowy, ale – pewnie uznasz to za wyjątkowo

zabawne – płaszcz został zachlapany płynem do czyszczenia – butelka na półce się przewróciła, nakrętka spadła i wszystko się wylało właśnie na płaszcz.

Carl westchnął.

– Nie zmokłabyś, gdybyś nie starała się być tak szlachetna, by wracać do pracy, zanim całkiem wyzdrowiejesz. A teraz weź to. Prześpisz dziesięć godzin i obudzisz się z lepszym samopoczuciem.

Zasypiając, Clare powiedziała jeszcze: – Nie... winnam dawać im okazji... One wiedzą, kiedy... kiedy człowiek nie może z nimi walczyć... i wtedy... atakują... chmarą...

Carl przysunął sofę blisko drzwi do sypialni, więc słyszał, co mamrotała żona, gdy mościł się do snu. Lekarz wiedział, że jest wykończony, jednak postanowił, że nie da się ani hordom gremlinów, ani przemęczeniu...

Obudził się przed świtem z dojmującym poczuciem, że coś jest nie w porządku. Uniósł się na łokciu. Powietrze było zastraszająco chłodne, nawet jak na grudzień i mieszkanie w tanim apartamentowcu.

Clare obróciła się na bok i Carl zapytał cicho: – Dobrze się czujesz?

– Nie. Ziiimno miii... – wymamrotała gorączkowo.



Carl sięgnął do stojącej lampy i udało mu się jej nie przewrócić. Oczywiście włącznik znajdował się w miejscu, do którego nie mógł sięgnąć bez wstawania, a kiedy już dosięgnął, i

tak światło się nie zapaliło.

Och, świetnie. Elektryczność jest wyłączona. Bezpieczniki wysiadły!

Podszedł do łóżka. Elektryczny koc, rzecz jasna, był teraz tylko cienkim kawałkiem tkaniny. Carl pogłaskał Clare po skulonych plecach.

– Przyniosę ci coś do przykrycia. Gdzie jest latarka?

– Na stole. – Pociągnęła nosem i sięgnęła na drugą stronę łóżka. Rozległ się głuchy trzask i uderzenie, a potem Clare jęknęła słabo: – Już ją miałam, gdy uderzyłam o coś palcami i wypadła...

– Nie szukaj jej – powiedział Carl. – Nie odkrywaj się. Poradzę sobie po ciemku.

Nie ma sensu tracić czasu, pomyślał, pochylając się i macając w poszukiwaniu latarki, która radośnie wcisnęła się w jakiś zakamarek poza zasięgiem rąk mężczyzny. Carl dotarł do końca łóżka, dalej była już tylko łazienka...

W ciemności dostrzegł ruch, coś smagnęło go i owinęło mu się wokół kostek. Lekarz zachwiał się niebezpiecznie, wyciągniętymi rękami szukał ściany, by się oprzeć, lecz ściany nie było. Skronią i policzkiem uderzył we framugę. Co prawda udało mu się nie przewrócić, ale miał wrażenie, że bierze udział w bitwie.

W ciszy zabrzmiał ochrypły, zmartwiony głos Clare: – Co się stało? Jesteś ranny?

Carl postarał się, by jego głos brzmiał wesoło, choć był wstrząśnięty: – Potknąłem się o narzutę, musiała spaść na podłogę. Owiń się nią, a potem poszukam koca.

Łatwiej było powiedzieć, niż zrobić. Zabawkowa rurka, którą

dało się wywracać na drugą stronę przez otwór z boku, topologiczna łamigłówka, choć niesamowicie elastyczna, nie wytrzymałaby porównania z tym kawałkiem sześć na osiem stóp puchatej angory. W końcu Carl dał sobie spokój ze starannością i owinął drżącą dziewczynę splątaną tkaniną najlepiej jak umiał, a potem ruszył po koc.

W łazience panowały egipskie ciemności – dostrzegał jedynie tarczę swojego zegarka. Mając nagłe nieprzyjemne wrażenie, że drobne przedmioty poprzesuwały się w inne miejsca, Carl wymacał drogę od zlewu do wanny i dalej, do szafki. Pod palcami wyczuł malowane drewno i mosiężną gałkę, zimną i nieprzyjazną. Otworzył drzwiczki. Złożone prześcieradła i ręczniki wydawały się nieco przyjemniejsze. Zdrowy rozsądek powrócił, gdy mężczyzna wymacał koc i wyjął go ostrożnie, nie dając mu szansy, by się rozwinął i zaczął naśladować narzutę. Gdy miał już w ramionach starannie złożoną miękką tkaninę, wziął głęboki oddech. Nie zdawał sobie sprawy, że wcześniej go wstrzymywał...

Na dno wanny spadł jakiś przedmiot z rozdzierającym uszy łomotem – duża butelka, stojąca na półce i czekająca na okazję.

Och, i co z tego? Ten bałagan może poczekać do rana, w wannie nic się nie stanie. Carl cofnął się do wyjścia i zawołał: – Wszystko w porządku, kochanie! To tylko butelka. Zaraz do ciebie dotrę. – A wtedy poczuł pod stopami twardy przedmiot i ostry ból.

Rosądek natychmiast podsunął mu stosowny wykład: – ...pierwsze wrażenie, kontakt, przekazywane jest przez najszybsze włókna receptorów z grupy A, po nim nadchodzi ból

przekazywany przez wolniejsze receptory z grupy C. Pojawiają się dwa typy bólu: pierwszy – ostry, kłujący, łatwy do zlokalizowania...

Zaraz jednak z zakamarków świadomości wypłynęło pytanie: – Jak ta rozbita butelka przewidziała, gdzie postawię stopę?



Przyniósł Clare koc, ze złością nie przejmując się, że plami porządny dywan krwią ze skaleczeń na stopach. Nic się nie liczyło poza niepokojem i troską o Clare, która szczękała zębami w ciemności. Co teraz?... Termofor z ciepłą wodą...

Eureka! Palniki na kuchni ogrzeją mieszkanie i trochę oświetlą pomieszczenie... Dlaczego od razu na to nie wpadł? Albo dlaczego nie pomyślał, by wziąć koc z sofy, na której spał? Z pewnością właśnie udowodnił swoją bezbrzeżną głupotę!

Termofor znajdował się w kuchni. Carl zaczął ostrożnie przemieszczać się po omacku przez salon.

Ciemność zdawała się niemal lepka i namacalna. Ledwie można było dostrzec rozmyte kontury okien. Grzejnik, gdy Carl go dotknął, był zimny jak lód. Przez chwilę, która ciągnęła się jak wieczność, lekarz miał wrażenie, że przeciska się przez mroczny podziemny tunel, a stare głązy przyciskają go do ziemi świadomie i ze zjadliwą satysfakcją, w pragnieniu, by zgnieść tę drobną iskrę życia. To było Coś, z Czym nie można było zawrzeć ugody, ponieważ wysysało z ludzi oddech i marzenia, ambicje i aspiracje. Jedyną płaszczyzną porozumienia z Tym była nienawiść i rozpoznanie, że Carl postrzega inaczej

niebezpieczeństwo, ponieważ Carl rozumie, czym To jest naprawdę, i może zebrać innych, by wspólnie stawili Temu opór. Dlatego To zaatakowało go poprzez Clare – i teraz stał samotnie pomiędzy nią a bezcielesnym Chaosem. Jasne, nieco tandetne mieszkanie zgmiotło się wokół Carla jak cienki papier, ukazując mu otchłań śmierci.

Jaka byłaby ta Obecność, gdyby została uporządkowana i zyskała przewagę? Carl nie może się zatrzymać, bo wtedy To na pewno zyska przewagę...

Palce mężczyzny natrafiły na kuchenkę tam, gdzie powinna być. Palniki nie miały wbudowanej zapalarki, trzeba było poszukać zapalek. Z ponurą determinacją potarł draskę. Nagły, oślepiający błysk nie okazał się przyjaznym światłem. Carl zbliżył zapaloną zapalną do palnika i odkręcił gaz. Podmuchał powietrza, jaki zawsze wydostawał się z przewodów, zgasił płomyk. Z tą samą rozważną powolnością Carl wyjął kolejną zapalną. Lecz napięcie i zmęczenie sprawiły, że przy zapalaniu jej przycisnął za mocno. Główna zabłysła i poleciała w najdalszy kąt kuchni.

Przez jedną straszną chwilę Carl myślał, że wpadła do kosza na śmieci, wypełnionego po brzegi papierem z opakowań i podobnymi łatwopalnymi materiałami... Pochylił się, by sprawdzić, i uderzył podbródkiem o kant stołu... Złamana zapalną przygasła i żar znikł.

– Porażka tym razem, ty mały draniu! – rzucił Carl na głos.

Za trzecim razem udało się zapalić gaz i ostre błękitne płomyki ułatwiły włączenie pozostałych palników i nastawienie czajnika. Carl spoglądał na ogień i przyłapał się na strachu przed

przeniesieniem tu Clare. Najprawdopodobniej – o ile nie złamie karku sobie lub jej – wylądują oboje na kuchence.

Kiedy woda się zagotowała, Carl postanowił sprawdzić wyjście przeciwpożarowe. W oknie nie było widać nic poza odbiciem płomieni na kuchni i cieniem jego sylwetki. Carl otworzył je i wyjrzał...

Nic dziwnego, że nie było prądu! Latarnie uliczne świeciły daleko w dole, ale ich blask był zamglony przez deszcz ze śniegiem, padający jak popioły z piekieł, drzewa przypominały białe koralowce, a na parapecie zalegała warstwa mokrego śniegu i lodu podobna do parafiny.



Ogarnęła go fala mdłości i osłabienia... Zacisnął dłonie na parapecie, palce ześlizgnęły się po lodzie. Przez chwilę Carl myślał, że straci równowagę i wypadnie, da się porwać szponom grawitacji, Jego głównej siły...

Nawet gdy odzyskał równowagę, nadal oczyma duszy widział, jak spada z mrozącym krew w żyłach krzykiem, mijając okna sąsiadów i zbliżając się do cichego, zamarzniętego trotuaru.

Carl odchrząknął, cofnął się i zamknął okno. Nadal czuł zawrót głowy...

I wtedy ujrzał ciemne smugi na podłodze. Musiał ich dotknąć, by zrozumieć, co to. Chrząknął ponownie, z goryczą. Któż nie miałby zawrotów głowy, gdyby krwawił jak zarzynane prosię?! Zrobienie prowizorycznych opatrunków ze ściereczek zajęło Carlowi dwa razy więcej czasu, niż powinno.

Woda była zbyt gorąca. Przytrzymał termofor nad zlewem i nalał trochę zimnej. Potem niezdarnie balansował czajnikiem, by dolać wrzątku. Wtedy lekko poślizgnął się na smudze krwi i dzióbek naczynia omal nie trafił go w przegub. Ale była to wąła groźba – jak uświadomił sobie Carl – zaledwie ostrzeżenie rzucone przy rozstaniu przez pokonanego wroga. Noże, naczynia, elektryczne urządzenia, krawędzie mebli – wszystko lśniło w błękitnym świetle: demony i złe duchy gotowe wyrządzić krzywdę lub zdenerwować, lecz większa Potęga wycofywała się – na jakiś czas.

Carl zabrał termofor i wsunął go pod koc Clare, która wymamrotała podziękowanie.

I wówczas powróciło światło...



Następnego ranka nagłówek na pierwszej stronie gazety głosił: *OSIEMNAŚCIE OSÓB ZGINĘŁO PODCZAS ZAMIECI.*

A dalej była lista zmarłych – ofiar wypadków drogowych, zamarzniętych bezdomnych, śmiertelnych urazów.

O mały włos, pomyślał Carl. A gdyby ta burza ogarnęła cały kraj? Trudno sobie wyobrazić, co by się stało – miliony przypadków takich, jak mój zeszłej nocy, powtarzające się rok w rok...

Jadąc do instytutu, Carl próbował tylko patrzeć na ulice, nie myśleć o minionej nocy, dzięki czemu zdarzenia nabiorą odpowiedniej perspektywy. I wkrótce tak się stało... Wkrótce Carl zaczął się lekko uśmiechać. Ale – podpowiedziała mu

podświadomość – jedna rzecz była pewna: nieważne, jak się oceni teorię Majora, nawet jeżeli stary się myli, myli się w cholernie dobrej sprawie!

Carl zajął się swoimi obowiązkami, dopóki wczesnym popołudniem nie pojawił się Matt Loftus, machając sztywnym, złożonym formularzem.

– Oto jest, synu! – oznajmił. – Tracimy Majora, ale za to Major odzyska prawo do życia, wolności i walki z martwymi przedmiotami. Chcesz się przyłączyć do Komitetu Wyzwolenia?

Major wysłuchał nowin przekazanych przez Matta ze zwykłą uprzejmością, ale też z wyraźną rezerwą, co sprawiło, że pod koniec przemowy pewny siebie medyk nieco się zmieszał.

– Może powinniśmy panu wcześniej powiedzieć, sir – zająknął się. – Ale to miała być niespodzianka na Święta. W każdym razie wystarczy, że pan podpisze...

Major przebiegł wzrokiem dokument, a potem odłożył go na stół z nieco smutnym uśmiechem.

– Doceniam pana starania, doktorze – powiedział – i, co więcej, doceniam pana intencje. Ale pan nie rozumie.

– Ja... Co? Czego nie rozumiem?

Major usiadł i przez dłuższą chwilę gładził wąsy. Wreszcie rzekł: – Na zewnątrz stanę się celem zmasowanego ataku. One wiedzą, że jestem dla Nich największym zagrożeniem na Ziemi. Posuną się nawet do tego, że się zdemaskują, byle mnie dopaść. Wiedzą, że większość ludzi będzie tylko tępo się gapić na najdziwniejsze serie pechowych przypadków i nigdy nie wyciągnie prawidłowych wniosków z tego, co widzi. Ale ja nie przetrwałbym miesiąca. Tutaj jestem bezpieczny, mam wszystko

pod kontrolą.

Matt zamyślił się głęboko.

– Ale... Co z ostrzeżeniem innych ludzi? Nie ma pan obowiązku rozpowszechnić swojej teorii?

Carl rzucił przyjacielowi ostre spojrzenie. To było zachęcanie pacjenta, by jeszcze bardziej popadł w obsesję!

– Ależ, doktorze – odparł Major. – Mam tu najlepszych możliwych słuchaczy, choć brzmi to zabawnie. Tacy jak pan, personel szpitala, są najlepiej przygotowani, by docenić moją teorię – naukowcy, ale nie przywiązani do konwencji teoretycy. Nie są panowie tylko lekarzami nawykłymi do zajmowania się bieżącymi przypadkami, paracie się psychiatrią, profesją zawieszoną pomiędzy tym, co racjonalne i irracjonalne. Potrafią panowie analizować nowe zjawiska lepiej niż taki mechanik jak ja. I są panowie ludźmi, którzy na pewno zostaną wysłuchani i najlepiej potrafią zadbać o siebie, gdy nadejdzie nieuchronny atak wroga.



Jego życzliwe, spokojne szare oczy oszacowały młodych mężczyzn, a wąsy drgnęły mu lekko.

– Gdzie znajdę lepszych neofitów niż wy?

Carl odwrócił się do Matta, spoglądając pytająco na przyjaciela. Matt zacisnął zęby.

– Tak, zamierzam... zamierzam w to wejść. Sprawdzić, dokąd mnie to zaprowadzi. I nie zrobiłbym tego, dopóki nie miałbym przynajmniej jednego kompetentnego sojusznika... Jesteś ze mną,

prawda?

– Tak – potwierdził Carl z całkowitym przekonaniem.

Major wyprostował się z wyrazem satysfakcji na twarzy.

– Otóż to! Rzecz jasna, to miejsce rzucać będzie cień na moje idee, ale biorąc pod uwagę czynnik bezpieczeństwa, który stanowi niewątpliwą zaletę, czemu miałbym odejść? Nie sądzicie chyba, że zwariowałem?

Michael Swanwick (ur. 1950) publikuje od 1980. W jego dorobku znajduje się powieść o zaawansowanym technologicznie świecie *Vacuum Flowers* (1987), *Griffins Egg* (1991) i nagrodzona *Station of the Tide* (Stacja Przyływów, 1991). Najlepsze z wcześniejszych utworów tego pisarza zebrane zostały w *Gravity's Angels* (1991), a najlepsze z nowszych wydano w *Tales of Old Earth* (2000), skąd pochodzi niniejsze, nagrodzone opowiadanie.

Michael Swanwick

PRAWDZIWY PULS MASZINY

Klik.

Włączyło się radio.

– Cholera.

Martha spojrzała przed siebie i skupiła się na wędrówce. Jowisz po lewej, pióropusz Dedala po prawej. Nic trudnego. Tylko prawa noga w przód, krok, lewa noga w przód, krok. Bułka z masłem.

– Och.

Podbródkiem Martha wyłączyła radio.

Klik.

– Cholera. Och. Kiv. El. Sen.

– Zamknij się, zamknij się, zamknij się! – Ze złością szarpnęła linę i sanie z ciałem Burton zakołysały się niebezpiecznie na siarkowym podłożu. – Jesteś martwa, Burton. Sprawdziłam. Masz w głowie dziurę wielkości pięści. Poza tym naprawdę nie chcę, żebyś wypadła. Jestem trochę wkurzona, a nie mogę sobie na to pozwolić, jasne? Więc, do kurwy nędzy, zamknij się.

– Nie. Bur. Ton.

– Nieważne. Milcz.

Ponownie wyłączyła radio.

Jowisz zniżał się na wschodzie nad linię widnokregu, wielki,

jasny i piękny oraz – po dwóch tygodniach na Io – łatwy do zignorowania. Po lewej Dedal rzygał siarką i dwutlenkiem siarki, tworząc rozprysk o promieniu dwustu kilometrów. Pióropusz odbijał zimne niebieskie światło niewidocznego stąd słońca i wizjer hełmu nabrał miłego błękitnego połysku. Najbardziej spektakularny widok we wszechświecie, a Martha nie była w nastroju, by się nim cieszyć.

Klik.

Zanim ponownie rozległ się urywany głos, Martha oznajmiła: – Nie zwariowałam, jesteś tylko głosem z mojej podświadomości. Nie zamierzam tracić czasu na zrozumienie, jaki to nierozwiązany psychologiczny konflikt wewnętrzny doprowadził mnie do tego stanu, i nie chcę słuchać niczego, co masz do powiedzenia.

Cisza.



Łazik przekoziółkował co najmniej pięć razy, nim rozbił się o głąz wielkości gmachu Opery w Sydney. Martha Kivelsen, oszołomiona i przerażona, była tak ciasno przywiązana do fotela, że kiedy wszechświat przestał wirować jej przed oczyma, długo jeszcze nie potrafiła się wyplątać z krępujących ją pasów bezpieczeństwa. Juliet Burton, wysoka, atletyczna i tak pewna swojej zwinności i szczęścia, nie pofatygowała się, by zapiąć pasy – i wyleciała z pojazdu podczas dachowania.

Padający wokół siarkowy śnieg utrudniał widoczność. Dopiero gdy Marcie udało się wyczołgać spod oślepiającej białobłękitnej

zaspasy, ujrzała ciało w skafandrze leżące na rumowisku.

I natychmiast odwróciła wzrok.

Cokolwiek to było, w co uderzyła Burton, ostry kamień czy wystająca część pojazdu, musiało być twarde, bo przebiło nie tylko hełm, ale i głowę.

Od rozpryskującej się wokół fontanny dwutlenków siarki – „bocznego pióropusza”, jak nazywali to geolodzy planetarni – osłaniał Marthę gład, ale siarkowa pierzyna robiła się coraz grubsza. Odruchowo i zupełnie bezmyślnie Martha nabrała garść „śniegu” i wepchnęła go w otwór hełmu. Zupełnie bez sensu, w końcu w próżni nie występuje rozkład ciała, ale przynajmniej siarka zasłoniła zmasakrowaną twarz Burton.

Dopiero potem Martha zaczęła się naprawdę zastanawiać.

W siarkowej erupcji nie było turbulencji i wstrząsów. Ponieważ nie było atmosfery, która mogłaby wywołać turbulencje. Dwutlenek siarki strzelał z rozpadliny skalnej tuż przy ziemi i opadał na powierzchnię zgodnie z prawami balistyki. Większość siarki z gładu, o który się rozbił łazik, zapewne spadnie nieopodal. Martha mogłaby się czołgać pod niemal poziomym rozpryskiem i sprawdzić uszkodzenia wraku łazika. Jeżeli będzie poruszać się powoli, światło z hełmu i zmysły wystarczą, choć trudno to nazwać rozsądnym posunięciem.

Martha położyła się i ruszyła na czworakach przed siebie. I wtedy, tak szybko, jak się zaczęła, erupcja zgasła.

Kobieta wstała, czując się jak idiotka.

Jednak nie mogła liczyć, że rozprysk uspokoił się na dobre. Lepiej się spieszyć, napomniała się. To może być tylko krótka

przerwa.

Szybko, niemal na złamanie karku, Martha podeszła na tył pojazdu. Główny zbiornik, który służył do napełniania butli skafandrów, był pęknięty. Straszne. Martha zatem miała do dyspozycji tylko powietrze z własnej butli (a jedną trzecią zawartości już zużyła), dwóch pełnych butli awaryjnych i zbiornika Burton, również niepełnego. Odpięcie butli od skafandra Burton było upiornym przedsięwzięciem, ale należało to zrobić. Wybacz, Julie.

Martha miała teraz tlenu na jakieś czterdzieści godzin.

A potem oderwała zakrzywioną część kadłuba pojazdu i za pomocą prowizorycznego młotka oraz zwoju nylonowej liny zrobiła sanie dla ciała Burton.

Byłaby przeklęta na wieki, gdyby zostawiła tu zwłoki.



Klik.

– Tak jest. Lepiej.

– Skoro tak mówisz.

Przed nią rozciągała się surowa, zimna równina siarki. Gładka jak szkło. Krucha jak zamrożone toffi. Zimna jak najniższy krąg piekieł.

Martha włączyła mapę w wizjerze i sprawdziła, ile drogi już pokonała. Jeszcze tylko czterdzieści pięć mil i dotrze do lądownika. Wtedy będzie w domu. Nie tak prędko, pomyślała. Io znajdował się w cieniu Jowisza. Ojciec Planet będzie zatem wisiał nieruchomo w jednym punkcie nieba – to lepsze niż boja

nawigacyjna. Wystarczy trzymać się kursu tak, by Jowisz był zawsze po prawej, a Dedal po lewej. Martha da sobie radę.

– Siarka. Jest. Tryboelektryczna.

– Nie matacz. Co próbujesz powiedzieć?

– I oto widzę. Jasno i w zachwycie. Prawdziwy. Puls. Maszyny.

– Chwila ciszy. – Wordsworth.

To było, poza urywanym sposobem mówienia, tak typowe dla Burton, z jej staroświeckim wykształceniem i miłością do dawnych poetów, jak Spenser, Ginsberg, Plath, że przez chwilę Martha poczuła niechęć. Burton często przynudzała poezją, ale jej entuzjazm dla starych strof był szczery i nieoczekiwanie Marcie zrobiło się przykro, gdy przypomniała sobie, ile razy na cytaty reagowała przewracaniem oczyma i złośliwymi uwagami. Ale na żalobę przyjdzie czas później. Teraz należało się skupić na bieżącym zadaniu.

Równina miała brązową barwę. Po kilku szybkich uderzeniach podbródkiem w odpowiedni włącznik Marcie udało się nieco wyostrzyć obraz. Widok mienił się teraz odcieniami żółci, czerwieni i oranżu – rozmyte pastelowe kolory. Takie najbardziej jej się podobały.

Lecz pomimo jaskrawości równina nadal wydawała się najbardziej niegościnnym pejzażem pod słońcem. Martha była teraz zdana tylko na siebie, mała i słaba na nieprzyjaznym, bezwzględnym świecie. Burton umarła. I na całej Io nie było innego człowieka. Nikogo, na kim można polegać. Nikogo, kogo można obwiniać, gdyby się coś spieprzyło. Na tym pustkowiu Martha poczuła naraz przypływ dumy, zimnej i posepnej niby majaczące w oddali góry. Zawstydziło ją, że czuje się tak

szczęśliwa.

Po długiej chwili rzuciła do Burton: – Znasz jakieś piosenki?



Stary niedźwiedź mocno śpi. Stary niedźwiedź mocno śpi. My się go boimy, na palcach chodzimy – stary niedźwiedź mocno śpi...

– Obudź. Się. Obudź. Się.

Jak się zbudzi...

– Obudź. Się. Obudź. Się. Obudź. Się.

– He? Co?

– Krystaliczna siarka jest romboidalna.

Znajdowała się na polu siarkowych kwiatów. Ciągnęły się jak okiem sięgnąć, krystaliczne formacje wielkości dłoni. Niczym maki na łąkach Flandrii. Albo te w *Czarnoksiężniku z krainy Oz*. Za Marthą widniał ślad połamanych kwiatów, skruszonych pod jej butami lub pod ciężarem sań, inne rozbite przez ciepło emanujące ze skafandra. Nie można było powiedzieć, że był prosty. Martha szła nieprzytomnie, na autopilocie, potykając się i zataczając raz po raz.

Pamiętała, jak były z Burton podniecone, kiedy po raz pierwszy ujrzały pole kryształów. Wyciągnęły łazik, śmiejąc się i podskakując, Burton nawet chwyciła Marthę w tali i poprowadziła ją w radosnym tańcu na cześć odkrycia. To było coś – ich szansa, by zapisać się w historii. I nawet gdy się skontaktowały przez radio ze statkiem na orbicie, a Hols powiedział, że to żadne formy życia, lecz zwykłe formacje siarki,

opisane we wszystkich podręcznikach mineralogii... Nawet to nie zepsuło kobietom radosnego nastroju. To nadal było ich pierwsze wielkie odkrycie. A spodziewały się wielu następnych.

Jednak teraz Martha mogła myśleć tylko o tym, że krystaliczne pola znajdowały się zawsze w pobliżu miejsc, gdzie występowały siarkowe gejzery, boczne pióropusze i aktywne wulkany.

Z tyłu, na krańcach pola, działo się coś zdumiewającego. Martha wyostrzyła wizjer hełmu i zwiększyła przybliżenie, na ile się dało. Ślad po jej przejściu powoli znikał. Nowe kwiaty wypełniały puste miejsca, jeszcze niewielkie, ale doskonałe w swojej formie. I rosły. Martha nie potrafiła sobie wyobrazić, jaki proces chemiczny odbywa się właśnie na jej oczach. Galwanizacja? Cząsteczki siarki przyciągane z gleby przez jakąś nieznaną reakcję? Czy kwiaty w jakiś sposób przyciągały jony siarki z niemal nieistniejącej atmosfery Io?

Wczoraj takie pytania wzbudziłyby u Marthy ekscytację, jednak teraz zdolność do odczuwania zdziwienia wyraźnie jej się wyczerpała. Poza tym instrumenty badawcze znajdowały się w łożysku. Poza ograniczoną elektroniką skafandra Martha nie miała nic, czym mogłaby dokonać pomiarów. Miała tylko siebie, sianie, rezerwowe butle i martwe ciało.

– Niech to jasna cholera – wymamrotała.

Z jednej strony pole było niebezpiecznym miejscem na postój, ale z drugiej – kobieta była na nogach od dwudziestu godzin i umierała ze zmęczenia. Była wyczerpana. Tak bardzo, bardzo znużona.

– O śnie! Ty lekki tak. Ukochany przez cały świat. Coleridge.

Sen. Wielki Boże, jakaż to pokusa! Ale sprawa była prosta:

żadnego snu. Po kilku zręcznych ruchach podbródkiem Martha dostała się do apteczki w skafandrze. Na jej rozkaz mechanizm wewnętrzny skafandra wstrzyknął jej dawkę metamfetaminy i witamin.

Serce Marthy zabiło jak młot, pod czaszką eksplodowała jasność. Tak. O to chodziło. Martha czuła przypływ energii. Głęboki oddech. Długi krok. Idziemy.

Nie ma spoczynku dla potępionych. Miała parę rzeczy do załatwienia. Pole krystalicznych kwiatów zostało w tyle. Żegnaj, Oz.



Ciemno. Jasno. Godziny prześlizgiwały się powoli. Martha szła wśród cieni ogrodowych posągów. Filary wulkaniczne (ich drugie wielkie odkrycie – nic podobnego nie występowało na Ziemi) wznosiły się na piroklastycznej równinie, materialne modele funkcji spełniającej warunek Lipschitza. Wszystkie były wysokie i krągłe, ich kształty wskazywały, że tworząca je magma musiała gwałtownie ostygnąć. Przypomniały Marcie, że Burton jest martwa. Kobieta zapłakała i przez kilka chwil pozwoliła sobie na żal.

Szlochając, mijala niesamowite kamienne formacje. Wydawało się, że wznoszą się i poruszają na oczach Marthy. Jakby tańczyły. Przypominały kobiety, tragiczne postaci jak z *Bachtanek* lub... nie, zaraz... z *Trojanek* – o tę sztukę teatralną chodziło. Opuszczone. Udręczone. Samotne jak żona Lota.

Na śniegu z dwutlenku siarki, który pokrywał tutaj

powierzchnię, migotało światło. Śnieg ulegał sublimacji pod butami Marthy i zmieniał się w biały opar, który unosił się gwałtownie i znikał, by zaraz się podnieść przy następnym kroku. Co tylko pogłębiało wrażenie niesamowitości.

Klik.

– Io posiada metaliczne jądro, złożone głównie z żelaza i siarczków żelaza, osłonięte płaszczem częściowo płynnej, częściowo zeskorpiałej skały.

– Nadal tu jesteś.

– Staram się. Porozumieć.

– Zamknij się.

Wspięła się na grzbiet wzniesienia. Wyżyny rozciągające się przed nią były gładkie i niepofałdowane. Przypominały Marcie trochę Księżyc, jakby przedgórza Kaukazu skrzyżowane z terenem Mare Serenitas, gdzie odbywała podstawowy trening poruszania się po powierzchni. Brakowało tylko kraterów po meteorytach. Żadnych kraterów po uderzeniach meteorów na Io. Najmniej poryta powierzchnia w Układzie Słonecznym. Aktywność wulkaniczna od tysiąclecia lub dłużej wytwarzała nieustannie nowe pokrycie skorupy Io. Warstwa grubości może metra. Cały ten przeklęty Księżyc stale odnawiał swoją powierzchnię.

Myśli płynęły chaotycznie i niezbornie. Martha spojrzała na wskaźniki skafandra.

– Sprawdźmy drogę jeszcze raz – mruknęła.

Nie doczekała się odpowiedzi.

Niedługo świt – kiedy? Pomyślmy. „Rok” Io, czyli czas, w którym ten satelita okrąża Jowisza, trwa w przybliżeniu

czterdzieści dwie godziny i piętnaście minut. Martha szła już siedem godzin, a zatem Io zatoczyła po swojej orbicie łuk mający jakieś sześćdziesiąt stopni. Co znaczy, że świt nadejdzie wkrótce i pióropusz Dedala zblednie. Chociaż to nie takie ważne, wizjer hełmu pozwala wyostrzyć obraz, nie ma się czym martwić. Martha odwróciła głowę, by upewnić się, że Dedal i Jowisz znajdują się tam, gdzie należy, a potem ruszyła dalej.



Krok. Krok. Krok. Postarać się, by co pięć minut nie włączać mapy, ukazującej się po wewnętrznej stronie wizjera hełmu. Wytrzymać tak długo, jak się da, jeszcze godzinę, dobrze, och, tak dobrze, jeszcze dwie mile. Nie jest tak źle.

Słońce wznosiło się coraz wyżej. Za godzinę lub półtorej będzie południe. Co znaczy, że... Cóż, tak naprawdę to nic nie znaczy.

Z przodu skała. Zapewne krzemian. Samotny gładz mający ponad sześć metrów wysokości, przyniesiony tu przez Bóg wie jaką siłą i czekający przez nie wiadomo ile tysięcy lat tylko na to, by dać Marcie schronienie, dobre miejsce na postój. Znalazła łagodne wgłębienie, gdzie mogła się wygodnie ułożyć, oprzeć i odpocząć, odetchnąć. I pomyśleć. I sprawdzić butle z tlenem. Cztery godziny, zanim będzie musiała je znowu wymienić. Zerknięcie na pozostałe zbiorniki. Wystarczą na mniej niż dwadzieścia cztery godziny. Do przejścia zostało trzydzieści pięć mil. Zatem mniej niż dwie mile na godzinę. Ach! Jednak pod koniec może być trochę mało powietrza. I trzeba się pilnować, by

nie zasnąć.

Och, jak wszystko ją boli!

Bolało prawie tak, jak w czterdziestym ósmym na Olimpiadzie, gdy zdobyła brązowy medal w maratonie kobiet. Albo jak podczas międzynarodowych zawodów w Kenii, gdy przybiegła o ułamek sekundy później. Historia życia Marthy. Zawsze na trzecim miejscu, zawsze walcząca o drugą pozycję. Zawsze w załodze lotu, czasami ewentualnie w grupie zwiadu, ale nigdy w funkcji dowódcy. Nigdy w roli przewodniczącej klasy. Nigdy zwycięzca. A choć raz – tylko raz – chciałyby być jak Neil Armstrong!

Klik.

– Myśli, w marmurach wyryte na wieki. Samotność rejsu przez morza nieznane. Wordsworth.

– Co?

– Magnetosfera Jowisza jest największa w Układzie Słonecznym. Gdyby ludzkie oko mogło ją widzieć na niebie, byłaby dwa i pół razy większa niż tarcza słońca.

– Wiem o tym – warknęła Martha zirytowana.

– Cytowanie jest. Łatwe. Mówienie. Nie jest.

– Więc nie mów.

– Próbuję. Się porozumieć!

Martha wzruszyła ramionami.

– No, to już. Komunikuj się.

Cisza. A potem:

– Na co. To. Wygląda?

– Co wygląda?

– Io jest bogatym w siarkę satelitą o żelaznym jądrze, który

krąży wokół Jowisza po orbicie kołowej. Jak. To. Wygląda? Wpływy grawitacyjne Jowisza i Ganimeda są wystarczające, by wywołać pływy na Tartarze, siarkowym oceanie pod powierzchnią Io. Tartar uwalnia nadmiar energii przez wulkany wybuchające siarką i dwutlenkiem siarki. Na. Co. To. Wygląda? Metaliczne jądro Io wytwarza pole magnetyczne, które wybiło dziurę w magnetosferze Jowisza, a także tworzy wysoko naładowane strumienie jonów łączące bieguny satelity z południowym i północnym biegunem Jowisza. Na. Co. To. Wygląda? Io przyciąga i absorbuje elektrony o napięciu milionów woltów. Jej wulkany wypompowują dwutlenek siarki, jej pole magnetyczne jest większe niż to, jakie wytwarzają jony siarki i tlenu, jony te są wyrzucane do dziury w magnetosferze i tworzą obszar zawirowań powszechnie znany jako torus Io. Na. Co. To. Wygląda? Torus. Strumień. Magnetosfera. Wulkany. Jony siarki. Ocean. Gwałtowne pływy. Orbita kołowa. Na. Co. To. Wygląda?

Wbrew woli Martha zaczęła słuchać, potem się zainteresowała, aż wreszcie zaangażowała. To było jak zagadka, jak słowna układanka. Na to pytanie istniała prawidłowa, oczywista odpowiedź. Burton lub Hols wpadliby na nią od razu. Martha musiała chwilę pomyśleć.

Ze skrzynki z radiem dochodziło ciche mruczenie. Cierpliwe, wyczekujące.

Wreszcie stwierdziła ostrożnie: – To wygląda na maszynę.

– Tak. Tak. Tak. Maszyna. Tak. Jestem. Maszyną. Tak.

– Zaraz. Chcesz powiedzieć, że Io jest maszyną? Że ty jesteś maszyną? Że jesteś Io?

– Siarka jest tryboelektryczna. Sanie zbierają ładunki. Mózg Burton jest nienaruszony. Język to dane. Radio jest przekaźnikiem. Jestem maszyną.

– Nie wierzę ci.



Krok, szarpnięcie, krok, szarpnięcie. Świat się nie skończył, choć zrobiło się obco. To, że Martha oszalała na tyle, by myśleć, że Io żyje i jest maszyną, która mówi, nie znaczyło jeszcze, że kobieta się zatrzyma. Miała obietnicę do spełnienia i mile do pokonania, zanim zaśnie. *Ř propos* snu – kolejna porcja dopalacza, szybko odnawiającego siły.

Łał! Naprzód!

Idąc, rozmawiała nadal z halucynacją lub złudzeniem, czy czymkolwiek to było. W przeciwnym razie Martha śmiertelnie by się nudziła.

I byłaby śmiertelnie przerażona.

– Jeżeli jesteś maszyną, to do czego służysz? – zapytała. – Dlaczego zostałeś zbudowana?

– Żeby cię poznać. Kochać cię. Służyć ci.

Martha mrugnęła zaskoczona. A potem przypomniała sobie, jak Burton opowiadała o swoim dzieciństwie w szkole katolickiej – i parsknęła śmiechem. Właśnie usłyszała parafrazę odpowiedzi na pierwsze pytanie w starym katechizmie ze szkoły w Baltimore: Dlaczego Bóg stworzył człowieka?

– Jeżeli będę cię słuchać, popadnę w megalomanię.

– Jesteś. Twórcą. Maszyny.

– Nie ja.

Przez długą chwilę Martha szła w milczeniu. Wreszcie, gdy cisza zaczęła ją męczyć, odezwała się ponownie: – A kiedy, twoim zdaniem, cię stworzyłam?

– Tyle milionów lat minęło. By stworzyć człowieka. Lord Alfred. Tennyson.

– A zatem to nie ja. Mam tylko dwadzieścia siedem lat. Widocznie mylisz mnie z kimś innym.

– To było. Poruszające się. Inteligentne. Organiczne. Życie. Ty jesteś. Poruszająca się. Inteligentna. Organiczna. Żywa.

W oddali coś się poruszyło. Martha uniosła wzrok zaskoczona. Koń. Błady i przejrzysty jak duch, galopował przez równinę z rozwianą grzywą i ogonem.

Zacisnęła powieki i potrząsnęła głową, a kiedy znowu spojrzała, konia nie było. Złudzenie. Jak głos Burton/Io. Martha zastanowiła się wcześniej, czy nie zaordynować sobie kolejnej dawki metamfetaminy, ale teraz wychodziło, że lepiej powstrzymać się od tego jak najdłużej.

To smutne, pomyślała Martha. Rozdmuchać wspomnienia Burton tak, że stały się wielkie jak Io. Freud miałby pewnie na ten temat sporo do powiedzenia. Zapewne zwróciłby uwagę, że Martha wyolbrzymia przyjaciółkę, nadając jej status bogini, prawdopodobnie by usprawiedliwić, że Kivelsen nigdy nie umiałaby stawić czoła Burton i wygrać. Freud powiedziałaby, że w ten sposób Martha radzi sobie ze świadomością, że niektórzy są od niej po prostu lepsi w pewnych dziedzinach.

Krok, szarpnięcie, krok, szarpnięcie.

No to co? Dobra, miała problem z ego. Martha była

chorobliwie ambitną, egotyczną suką. I co z tego? Dzięki temu daleko zaszła, podczas gdy bardziej rozsądna i społecznie akceptowalna postawa doprowadziłaby ją tylko do slumsów większych niż w Levittown, pokoju osiem na dziesięć z dostępem do wspólnej łazienki oraz pracy recepcjonistki w przychodni stomatologicznej. Jadłaby codziennie algi i maniok, a w niedziele może potrawkę z królika. Do diabła z tym! Martha była żywa, a Burton nie – w każdym rozsądnym rozrachunku to Martha wygrała.

– Słuchasz?

– Niezupełnie. Raczej nie.

Wspięła się na kolejne wzniesienie. I zamarła. Poniżej rozciągała się ciemna ciekła siarka. Mroczna plama odcinała się wyraźnie od pomarańczowej równiny. Jezioro. Wskaźniki wewnątrz hełmu pokazywały mapę termiczną najbliższej okolicy i zakres temperatur od minus 230 stopni Fahrenheita pod stopami Marthy do plus 65 na brzegu siarkowego jeziora. Płynna siarka, oczywiście, pojawiała się w wyższych temperaturach.

Lecz jezioro tu było.



Nazwano je Jezioro Styks.

Martha spędziła pół godziny, mamrocząc przekleństwa nad mapą topograficzną i próbując zrozumieć, jak mogła aż tak zboczyć. Nie żeby nie było to oczywiste. Omijała przecież różne przeszkody, zataczała się. Małe błędy, które się skumulowały. Tendencja do faworyzowania jednej z nóg. Od początku można

się było tego spodziewać, skoro Martha próbowała nawigować przy pomocy zgrubnych obliczeń.

Jedno było pewne: dotarła tutaj. Do brzegów Jeziora Styks. Przynajmniej nie zboczyła aż tak bardzo. Najwyżej trzy mile.

Ogarnęła ją rozpacz.

Nazwa jeziora została nadana podczas pierwszego przelotu przez system Jowisza, przelotu, który mechanicy określili jako „zwiad kartograficzny”. Jezioro okazało się jednym z obiektów, jakie nie znalazły się na mapach wykonanych na podstawie obserwacji z Ziemi i zdjęć z bezzałogowych sond. Hols uważał, że to może być nieznanne zjawisko – jezioro, które osiągnęło swoje rozmiary w ciągu najwyżej dziesięciu lat. Burton uważała, że zabawnie będzie je zbadać. A Marcie było wszystko jedno, o ile weźmie udział w wyprawie. I w ten sposób dodały jezioro do planu badań.

Martha tak gorliwie chciała wziąć udział w pierwszym lądowaniu, tak się bała, że zostanie pominięta. Kiedy zasugerowała, żeby ciągnąć słomki podczas dobierania składu załogi, Burton i Hols parsknęli śmiechem.

– Będę wam matkować – stwierdził Hols wspaniałomyślnie – przy pierwszym lądowaniu. Burton przejmie rolę matki przy wyprawie na Ganimeda, a ty – podczas badania Europy. Wystarczająco sprawiedliwy podział jak dla ciebie?

I zmierzwił Marcie włosy.

Martha poczuła wtedy ulgę, wdzięczność i upokorzenie. O ironio! A teraz, jak się zdaje, Hols – który nigdy nie zboczyłby z drogi aż tak, by znaleźć się po złej stronie Styksu – nawet nie dotknie powierzchni. Nie podczas tej ekspedycji.

– Głupia, głupia, głupia – wymamrotała Martha, choć nie była pewna, czy przeklina siebie, Burton, czy całą wyprawę. Jezioro Styks miało kształt podkowy i dwanaście mil długości. A Martha znajdowała się dokładnie u podstawy tej podkowy.

Nie było sposobu, by cofnęła się po własnych śladach, obeszła jezioro i dotarła do lądownika przed wyczerpaniem się zapasów tlenu. Ciecz w jeziorze byłaby wystarczająco gęsta, by w niej pływać, gdyby nie lepkość siarki. Ciecz pokryłaby natychmiast grzejniki i Martha w okamgnieniu ugotowałaby się wewnątrz skafandra. Nie wspominając o temperaturze samej siarki. I prądach, jakie mogły tu występować. Nie, zdecydowanie Martha nie mogłaby przepłynąć jeziora. To byłoby jak topienie się w melasie.

Usiadła i zaczęła płakać.

Po dłuższym czasie powoli uspokoiła się. Nerwowo dotknęła złączki butli tlenowych ze skafandrem. Oczywiście było tam zabezpieczenie, ale wtajemniczeni wiedzieli dobrze, że jeżeli przesunie się kciukiem bezpiecznik w dół i szarpnie złączkę, bezpiecznik się nie zamknie i w ułamku sekundy opróżni skafander z powietrza. Układ ręki był tak charakterystyczny, że młodzi, zapaleni kadeci astronauta naśladowali go tysiące razy, aż stał się gestem używanym w chwilach, gdy usłyszało się coś wyjątkowo idiotycznego. Nazywano to samobójczym prztyczkiem.

Były gorsze rodzaje śmierci.

– Zbuduję. Most. Mogę. Dość dobrze. Kontrolować. Procesy fizyczne. Potrzebne. Do budowy. Mostu.

– Tak, jasne. To miło z twojej strony. Zrób to – odpowiedziała

Martha nieobecny tonem.

Skoro nie potrafię okazać choć cienia uprzejmości własnym halucynacjom, to... – nie pofatygowała się, by dokończyć tę myśl. Czowała, jakby po skórze pełzały jej setki małych robaków. Lepiej nie zwracać na to uwagi.

– Czekaj. Tutaj. Odpocznij. Teraz.

Nie odpowiedziała, ale usiadła. Nie odpoczywała jednak, zbierała się na odwagę. Myśląc o wszystkim i o niczym, Martha objęła kolana ramionami i zaczęła się kołysać w przód i w tył.

W końcu, choć wcale nie chciała, zasnęła.



– Obudź. Się. Obudź. Się. – Uch?

Martha z trudem wracała do przytomności. Coś się działo, przed nią, na brzegu jeziora. Proces fizyczny działał. Widać było ruch.

Na jej oczach biały osad zbierał się na brzegu jeziora i wybrzuszał, wystrzeliwując krystaliczne pędy, rozrastając się w przód. Koronkowy, jak płatek śniegu. Błady jak szron. Rozrastał się nad ciemną ciekłą siarką. I oto nareszcie wąski biały most dotarł do najdalszego brzegu jeziora.

– Musisz. Poczekać – powiedziała Io. – Dziesięć minut. I możesz. Przejść. Jezioro. Bez trudu.

– Ja pierdolę! – szepnęła Martha. – Nie zwariowałam.



W milczącym zachwycie Martha przeszła przez ciemne jezioro po wyczarowanym przez Io moście. W jednym czy dwóch miejscach jego powierzchnia wydawała się sypka, ale za każdym razem wytrzymała.

Było to cudowne doznanie. Jak przejście ze Śmierci do Życia.

Za najdalszym brzegiem Styksu piroklastyczne równiny wznosiły się nieznacznie aż po widnokrąg. Przed Martha rozciągało się kolejne pokryte krystalicznymi kwiatami zbocze. Drugie w tym samym dniu. Jakże były na to szanse?

Martha zaczęła się wspinać, kwiaty eksplodowały jej pod butami. Na szczycie płaskowyzu kwiaty ustępowały miejsca gładzi. Kiedy kobieta się obejrzała, ślad po jej przejściu powoli zniknął. Ze skafandra emanowało ciepło. Kryształowe kwiaty rozpadały się bezgłośnie, wokół Marthy rósł krąg pustej skorupy.

Swędzenie skóry stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Czas na odnowienie sił. Sześć szybkich uderzeń podbródkiem w przycisk wywołało wiadomość na wizjerze:

Ostrzeżenie. Dalsze zażywanie tego farmaceutyku w niezmienionej dawce może wywołać: paranoję, psychozę, halucynacje, problemy z percepcją, wzmożoną aktywność i hipomanię, a także zaburzenia osobowości.

Pieprzyć to. Martha zaaplikowała sobie kolejną dawkę.

Przez kilka sekund nic się nie stało. A potem – siup! Kobieta poczuła się lekko i znowu w pełni sił. Lepiej sprawdzić butle. Och, to nie wygląda dobrze. Zachichotała.

Co było przerażające do szpiku kości.

Nic chyba nie otrzeźwiło Marthy szybciej niż ten piskliwy,

maniacki chichot. Przeraził ją. Jej życie zależało od zdolności trzeźwego osądu sytuacji. Martha musiała brać metamfetaminę, by iść, ale to znaczyło, że musiała iść na haju. Nie mogła sobie pozwolić na utratę świadomości. Koncentracja. Czas założyć ostatnią butlę z tlenem. Butlę Burton.

– Zostało mi tlenu na osiem godzin. Mam do przejścia jeszcze dwanaście mil. Dam radę – powiedziała ponuro. – Zrobię to.

Gdyby tylko skóra jej tak nie świerzbiła. Gdyby w głowie jej się tak nie kręciło. Gdyby tylko mózg nie próbował się rozrosnąć poza granice czaszki...

Krok, szarpnięcie, krok, szarpnięcie. Przez całą noc. Problem z jednostajnymi czynnościami polega na tym, że dają czas na myślenie. Czas na myślenie, że trzeba przyspieszyć, i czas na myślenie o jakości przychodzących do głowy myśli.

Jak mówiono Marcie – po metamfetaminie nie śni się na jawie w czasie rzeczywistym. Odlot był jak błysk, niczym skomplikowany sen tuż przed przebudzeniem, wszystko w jednej chwili. Ma się wrażenie, że śniło się godzinami, lecz tak naprawdę był to tylko ułamek sekundy, okamgnienie, w którym przeżywało się intensywnie oderwanie od rzeczywistości.

Może teraz tak właśnie się stało.

Ale Martha miała zadanie do wykonania. Musiała zachować jasność umysłu. Musiała dotrzeć do lądownika, to ważne. Ludzie musieli się dowiedzieć. Już nie byli sami. Cholera, Martha właśnie dokonała największego odkrycia w historii ludzkości, na miarę krzesania ognia!

Albo to, albo oszalała i miała urojenia, że Io jest gigantyczną maszyną stworzoną przez obcą inteligencję. Albo Martha tylko

pogubiła się w plątaniu własnych urojeń.

To było kolejną sprawą, o której wolała nie myśleć. Jako dziecko była samotnikiem. Nie potrafiła łatwo zawierać przyjaźni. Nigdy nie miała najlepszej przyjaciółki i nigdy taką nie była. Większość młodych lat spędziła z nosem w książkach. Solipsyzm przerażał Marthę – zbyt długo była aż za bardzo gotowa, by w niego uwierzyć. Dlatego tak niezwykle ważne było, aby się przekonać, czy głos Io jest obiektywnie realny, zewnętrzny, czy nie.

Jak można to sprawdzić?

„Siarka jest tryboelektryczna”, powtarzała Io. Z czego wynikało, że chodzi o zjawiska elektryczne i oparte na nich fenomen. Jeżeli tak, to powinno się dać to fizycznie zmierzyć.

Martha ustawiła wizjer hełmu tak, by pokazywał ładunki elektryczne na siarkowych równinach. Podsterowała go do maksimum.

Pejzaż przed oczyma Marthy zamigotał, a potem rozjarzył się czarodziejskimi barwami. Światło! Błady ocean światła między światłami, rozciągający się między pastelowymi warstwami, oscylującymi od przygaszonego różu do chłodnego błękitu, tworzącymi coś w rodzaju wielopoziomowego labiryntu, i pulsujący lekko w sercu siarkowej skały. Wyglądało to jak wizualny schemat ścieżek nerwowych. Jak coś, co mogło wyjść z wytwórni Disneya, a nie jak naturalny twór.

– Cholera – szepnęła Martha. Miała to tuż przed nosem. I nie miała pojęcia.

Świejące linie tworzyły żyłkowany wzór, sięgając do erupcji i rozlewisk sił elektromagnetycznych. Prawie jak przewody.

Przecinały równinę we wszystkich kierunkach, krzyżowały się i rozwidlały, skupiając nie w miejscu, gdzie stała Martha, lecz tworząc węzeł pod saniami. Ciało Burton jarzyło się jak neon. Jej głowa, obłożona śniegiem z dwutlenku siarki, rozbłyskiwała i rozświetlała się jaskrawo i oślepiająco niczym słońce.

Siarka jest tryboelektryczna. Co znaczy, że elektryzuje się przez potarcie.

Martha ciągnęła sanie z ciałem Burton przez siarkową powierzchnię Io godzinami. Jak długo dokładnie? Zapewne można by naładować piekło wytworzonym przez ten czas ładunkiem.

No dobrze. Istniało zjawisko fizyczne wyjaśniające to, co widziała Martha. Zakładając, że Io naprawdę była maszyną, zbudowaną przed eonami przez obcą inteligencję, tryboelektrycznym urządzeniem wielkości ziemskiego księżyca, które nie wiadomo po co zostało skonstruowane i nie wiadomo przez kogo – może jakieś obdarzone boską niemal mocą dziwołagi, to owszem, taka maszyna mogła się też porozumieć z Marthą. Elektryczność dawała wiele możliwości.

Mniejsze, słabsze i ciemniejsze zwoje sięgały także do Marthy. Kobieta spojrzała na swoje stopy. Kiedy uniosła nogę, obwód został przerwany i linie mocy zgasły. A potem pojawiły się nowe, gdy opuściła stopę. Kontakt z Marthą był zatem przerywany i niepewny. Ale sanie z ciałem Burton pozostawały w stałym kontakcie z siarkową powierzchnią Io. A dziura w czaszce Burton zapewne przypominała infostradę prosto do jej mózgu. Bo przecież Martha wypchała ją zestalonym dwutlenkiem siarki. Przewodnikiem prądu, na dodatek bardzo mocno schłodzonym.

Doprawdy Martha nie mogła bardziej ułatwić Io zadania.

Zmieniła ustawienia wizjera, by znowu pokazywał rzeczywiste, rozmyte barwy. Efekty specjalne rodem z Disney Virtual zbladły i zgasły.

Ostrożnie Martha zaczęła akceptować hipotezę, że głos, który słyszała, nie był wytworem jej urojeń, lecz zjawiskiem rzeczywistym. Że Io potrafiła nawiązać kontakt z Martha Kivelsen. Że Io to maszyna. Zbudowana przez...

No właśnie. Kto ją zbudował?

Klik.

– Io? Słyszysz mnie?

– Wsłuchaj się w nocną ciszę. Niebiańskich chórów śpiew. Edmund Hamilton Sears.

– Ta–ak. Cudownie, świetnie. Słuchaj, jest coś, o czym chciałabym się dowiedzieć trochę więcej. Kto cię zbudował?

– Ty.

– Więc to ja jestem twoim stwórcą, tak? – upewniła się Martha przebiegle.

– Tak.

– Jak wyglądałam, kiedy do ciebie przychodziłam?

– Tak. Jak. Chciałaś.

– Czy oddychałam tlenem? Metanem? Miałam anteny? Pancierz? Skrzydła? Ile kończyn? Ile oczu? Ile głów?

– Jeżeli. Chciałaś. Tyle. Ile. Chciałaś.

– Ile mnie jest tu teraz?

– Jedna. – Pauza. – Teraz.

– Ale byłam tu wcześniej, tak? Albo raczej ludzie tacy jak ja. Ruchome inteligentne formy życia. I odeszli. Jak długo mnie nie

było?

Cisza.

Martha zaczęła jeszcze raz:

– Jak długo...

– Bardzo długo. Samotność. Tak wielka. Przez długi. Czas.



Krok, szarpnięcie. Krok, szarpnięcie. Krok, szarpnięcie. Ile stuleci minęło od początku tej wędrówki? Zdaje się, że wiele. Znowu była noc. Martha czuła, że ramiona zaraz jej odpadną.

Powinnam była zostawić Burton, pomyślała. Burton nigdy nie zdradziła słowem, że obchodziłoby ją, gdzie skończyłoby ciało Marthy, gdyby role się odwróciły. Burton pewnie uznałaby, że mogiła na Io to cholerny zaszczyt. Ale Martha nie robiła tego dla niej. Robiła to dla siebie. Żeby udowodnić, że nie jest tak całkiem egoistką. Że także potrafi współczuć innym. Że kieruje nią nie tylko pragnienie sławy i chwały.

Co, rzecz jasna, samo w sobie było samolubne. Pragnienie, by poznano Marthę jako osobę bezinteresowną. Beznadzieja. Nawet gdyby własnoręcznie przybiła się do pieprzonego krzyża, byłby to jedynie dowód, jak wielką jest egoistką.

– Nadal tu jesteś, Io?

Klik.

– Jestem. Słucham.

– Opowiedz mi o tej kontroli procesów fizycznych. Ile możesz zrobić? Możesz mnie zabrać do lądownika szybciej, niż idę teraz? Możesz przenieść lądownik do mnie? Możesz mnie przerzucić do

statku na orbicie? Możesz dla mnie wytworzyć tlen?

– Martwe jajo, leżę. Cała. Na całym świecie nie mogę dotknąć.
Plath.

– Więc nie na wiele się przydasz, co?

Nie było odpowiedzi. Ale też i Martha jej nie oczekiwała. Ani też nie potrzebowała. Sprawdziła mapę i okazało się, że do lądownika zostało jeszcze osiem mil. Mogła go już nawet zobaczyć na zdjęciach wykonanych przez fotopowielacz w wizjerze hełmu – słabe światełko na horyzoncie. Cudowny wynalazek, ten fotopowielacz. Słońce dostarczało tu niewiele światła, mniej niż księżyc w pełni na Ziemi. Jowisz świecił jeszcze słabiej. Jednak wystarczyło to, by uzyskać wzmocnienie obrazu, i Martha mogła już niemal zobaczyć śluzę, czekającą tylko, by się otworzyć pod dotykiem dłoni w rękawicy skafandra.

Kroki szarpnięcie, krok. Martha raz jeszcze łączyła w wyobraźni punkty na mapie. I jeszcze raz. I znowu. Miała do przebycia jeszcze trzy mile, a powietrza na wiele godzin. Lądownik miał większe zapasy tlenu. Uda się. Musi.

Może nie była tak całkiem przegrana, jak zawsze sądziła? Może jeszcze była dla niej nadzieja?

Klik.

– Uważaj.

– Na co?

Grunt uniósł się pod Marthą i zwalił ją z nóg.



Kiedy wstrząsy się uspokoiły, Martha podniosła się chwiejnie.

Krajobraz wokół przypominał teraz potłuczone szkło, jakby jakieś niedbałe bóstwo podniosło równinę, a potem ją upuściło. Srebrzysty błysk lądownika zniknął z widnokregu. Kiedy Martha nastawiła powiększenie w hełmie do oporu, dostrzegła tylko połamany srebrzysty wspornik wystający spod rumowiska.

Martha знаła wytrzymałość każdego zawiasu i słabe punkty każdego nitu lądownika. Wiedziała dokładnie, jak jest kruchy. I wiedziała, że ten lądownik nigdy już nie poleci.

Stała w bezruchu. Nawet nie mrugnęła. Niewidzące spojrzenie powędrowało w dal. Nie czuła nic. Nic a nic.

W końcu wzięła się w garść na tyle, by pomyśleć. Może czas było to przyznać: nigdy nie wierzyła, że się uda. Nie tak naprawdę. Nie Marcie Kivelsen. Przez całe życie przegrywała. Czasami – jak przy kwalifikacjach do wyprawy na księżyc Jowisza – przegrywała więcej niż zwykle. I nigdy nie dostała tego, czego naprawdę chciała.

Dlaczego? – zastanawiała się. Czy kiedykolwiek pragnęła czegoś złego? Gdyby tak przyjrzeć się dokładniej, wszystko, czego Martha chciała, to kopnąć Boga w tyłek, by zwrócić Jego uwagę. Chciałaby narobić zamieszania. Chciałaby narobić największego zamieszania w całym pieprzonym wszechświecie. Czy to było aż tak wygórowane pragnienie?

A skończy się na przypisie w annałach dotyczących ludzkiej eksploracji kosmosu. Na smutnej bajce ku przestrodze, jaką mama astronautka będzie opowiadać swoim dzieciom astronautom w chłodne zimowe wieczory. Może Burton dotarłaby do lądownika na czas. Albo Hols. Ale nie Martha. Jej po prostu nie było to pisane.

Klik.

– Io ma największą aktywność wulkaniczną spośród ciał niebieskich w Układzie Słonecznym.

– Ty pieprzona dziwko! Czemu mnie nie ostrzegłaś?

– Nie. Wiedziałam.

Emocje powróciły z pełną siłą. Martha miała ochotę biec, wrzeszczeć i niszczyć. Tyle że w zasięgu wzroku nie było niczego, co mogłaby zniszczyć.

– Ty złomie! – krzyknęła. – Ty głupia maszyno! Do czego jesteś? Co z ciebie za pożytek, do cholery?!

– Mogę dać ci. Życie wieczne. Komunię dusz. Nieograniczoną moc. Mogę dać. Burton. To. Samo.

– Hę?

– Po śmierci jednej. Kolejnej już nie ma. Dylan Thomas.

– Co przez to rozumiesz?

Cisza.

– Niech cię, ty pierdolona maszyno! Co chcesz przez to POWIEDZIEĆ?



„Wtedy wziął Go diabeł do Miasta Świętego, postawił na narożniku świątyni i rzekł Mu: Jeśli jesteś Synem Bożym, rzuć się w dół, jest przecież napisane: Aniołom swoim rozkaże o tobie, a na rękach nosić cię będą, byś przypadkiem nie uraził swej nogi o kamień” [*Ewangelia Św. Mateusza 4.11*].

Nie tylko Burton umiała cytować Pismo. Nie trzeba być do tego katolikiem. Prezbiterianie też to potrafią.

Martha nie była pewna, jak to określić. Fenomen wulkaniczny lub coś podobnego. Nie był zbyt duży. Może szeroki na dwadzieścia metrów i niewiele głębszy. W uproszczeniu można by go nawet nazwać kraterem i już. Martha stała na jego krawędzi, drżąc. Na dnie znajdowała się ciekła siarka – właśnie tak, jak opisała Io. Najpewniej krater ciągnął się w głąb aż do Tartaru.

Marthę tak bardzo bolała głowa.

Io zapewniała – powiedziała – że jeżeli Martha rzuci się do krateru, maszyna będzie mogła ją zaabsorbować, skopiować wzorzec neuronowy kobiety, a tym samym przywrócić ją do życia. Zmienionego życia, ale jednak jakiegoś jego rodzaju.

– Wrzucić tam Burton – nakazała Io. – Rzuć się także. Fizyczna konfiguracja ulegnie. Zniszczeniu. Neuronowa konfiguracja zostanie. Ocalona. Prawdopodobnie.

– Prawdopodobnie?

– Burton miała wąskie. Szkolenie z biologii. Zrozumienie funkcji neuronów może okazać się. Niedoskonałe.

– Cudownie.

– Ale może nie.

– Kapuję.

Z dna krateru promieniowało ciepło. Nawet pomimo ochrony, jaką dawały systemy chłodzenia w skafandrze, Martha czuła różnicę między temperaturą z przodu i z tyłu. Jakby stała przy ogniu w bardzo zimną noc.

Ona i Io rozmawiały, a raczej prowadziły negocjacje przez długie godziny. W końcu Martha zapytała: – Poznałaś alfabet Morse'a? Znasz klasyczne literowanie?

- Wszystko, co. Burton rozumiała. Jest. Zrozumiałe.
- Tak czy nie, do cholery!
- Poznałam.
- Dobrze. Więc możemy się dogadać.



Spojrzała w noc. Gdzieś tam na orbicie krążył statek i Marcie zrobiło się przykro, że nie może bezpośrednio porozmawiać z Holsem, pożegnać się i podziękować za wszystko. Ale Io się nie zgodziła. To, co planowała, może wzbudzić wulkany i zetrzeć góry z powierzchni księżyca. Zniszczenia będą równie duże jak te, które trzęsienie ziemi wyrządziło na moście spinającym brzegi Jeziora Styks.

Nie da się w takich warunkach uruchomić dwóch osobnych kanałów łączności.

Strumień jonów płynął łukiem zza horyzontu do północnego bieguna Jowisza. Na wyostrzonym przez wizjer w hełmie Marthy obrazie strumień płonął jasno jak miecz Boga.

Na jej oczach strumień zaczął rwać się i skakać, migotać, gdy miliony watów mocy tańczyło do *staccato* wiadomości posłanej na Ziemię. Ten komunikat zostanie odebrany, pobudzi każde radio i zagłuszy każdą inną transmisję w Układzie Słonecznym.

TU MARTHA KIVELSEN. NADAJĘ Z POWIERZCHNI IO W IMIENIU WŁASNYM, JULIET BURTON, KTÓRA NIE ŻYJE, I JACOBA HOLSA, ZAŁOGI PIERWSZEJ WYPRAWY BADAWCZEJ NA SATELITY GALILEUSZA. DOKONALIŚMY WAŻNEGO ODKRYCIA...

Każde urządzenie elektryczne w Układzie Słonecznym zatańczy do tej piosenki!



Burton była pierwsza. Martha pchnęła prowizoryczne sanie i posłała je w otchłań. Sanie zawirowały i wpadły w siarkową ciecz, wywołując niewielki rozprysk. A potem, z rozczarującym brakiem efektów pirotechnicznych, ciało Burton powoli zanurzyło się w ciemnej melasie.

Nie wyglądało to zbyt zachęcająco.

Jednak...

– Dobra – powiedziała Martha. – Umowa to umowa.

Uniosła się na palce i rozłożyła ramiona. Wzięła głęboki wdech. Może jednak uda mi się przeżyć, pomyślała. Burton zapewne już się na wpół rozpuściła w oceanicznym umyśle Io i czekała teraz, aż Martha połączy się z nią w alchemicznym małżeństwie osobowości. Może będę mogła żyć wiecznie, kto wie? Wszystko jest możliwe.

Może.

Istniała też druga ewentualność, o wiele bardziej prawdopodobna. Wszystko, co się zdarzyło, było tylko urojeniem. Niczym więcej jak głosami w głowie, wytwarzanymi przez pozbawiony niezbędnych związków chemicznych, otumaniony narkotykami umysł. Szaleństwo. Ostatni sen o potędze przed śmiercią. Martha nie potrafiła tego ocenić.

Jakakolwiek byłąby prawda – nie miała wyboru. I był tylko

jeden sposób, by się przekonać.

Martha skoczyła.

Lot nie był długi.

Od tłumacza: W utworze wykorzystano fragmenty wierszy w przekładzie własnym: Williama Wordswortha: She is the phantom of delight oraz Preludium ks. III; Samuela Taylora Coleridge'a: Pieśń o starym żeglarzu; Dylana Thomasa: A Refusal To Mourn The Death, By Fire, Of A Child In London; Sylvii Plath: Paralytiks; Edmunda Hamiltona Searsa: Calm on the listening ear of night.

Bachtanki oraz Trojanki to tragedie Eurypidesa.

Keith Roberts Niekiedy pojawia się pisarz, który wymaga szczególnej uwagi i wzbudza ogromne zainteresowanie. J.G. Ballard do takich należał, jak również Michael Moorcock, Roger Żelazny, Ursula K. LeGuin. A także Keith Roberts, chociaż robi to w sposób o wiele bardziej nieśmiały, nawet przeprasający. Roberts (1935–2000) opublikował swoje pierwsze opowiadania fantastyczne w 1964 roku i wkrótce zaczął się pojawiać w „Science Fiction”, „New World” i „New Writing in SF”, zarówno pod własnym nazwiskiem, jak i licznymi pseudonimami. Jego pierwszym dużym dziełem, które bez wątpienia zostało zapamiętane, była powieść pt. *Pavane (1968), wspaniała opowieść o alternatywnej katolickiej Anglii rozwijającej się po pokonaniu hiszpańskiej Armady i zamordowaniu Elżbiety I.* Roberts napisał wiele utworów, ale zmęczyły go kontakty z wydawcami i wycofał się ze sceny. Zawsze tęsknił do spokojnego, cichego życia. Większość utworów tego pisarza wyraża niepokój przed techniką i związanym z nią rozwojem. Podobnie jest w prezentowanym opowiadaniu, które po raz pierwszy opublikowane zostało pod pseudonimem, a potem tylko raz wznowione. Po trzydziestu latach pojawia się znowu w niniejszej antologii.

Keith Roberts

WYSOKA ÓSEMKA

Kłopoty Ricka Camerona zaczęły się pewnego pogodnego ranka w biurze Stana Mainwaringa. Stan był kierownikiem w Saskeega Power, a Rick pracował w firmie jako główny konserwator linii. Przyjaźnili się od dzieciństwa, chodzili razem do szkoły i spędzili w Saskeega Power prawie piętnaście lat.

Rick właśnie siedział na biurku szefa i przeglądał prospekty firmy, gdy zadzwonił telefon. Stan podniósł słuchawkę.

– Tak?... Co? Lepiej go zabierz... – Z aparatu dobiegały przez dłuższą chwilę skrzeczące okrzyki. Stan zaczął zaciskać rytmicznie palce na słuchawce w rosnącym zdenerwowaniu. A potem rzucił: – Tak, zajmę się tym. Tak, zaraz. – Rozłączył się i spojrzał na telefon w zamyśleniu, opierając dłonie o blat. Rick z westchnieniem wzniósł oczy ku sufitowi.

Jedna z linii firmowych używana była jako próbna, sprawdzano na niej odporność na korozję nowych emalii do metalu. Rick i Stan mieli tam zajrzeć i sprawdzić, jak sobie radzi nowa farba. Rick przeszedł halę główną, by zabrać przyjaciela i razem z nim pojechać na inspekcję w teren. Teraz miał jednak przecucie, że z wyprawy nici.

– Co jest, Stan? – zapytał. – Kłopoty?

Przyjaciel posłał mu poważne spojrzenie.

– W nocy było samobójstwo. Jakiś starszy facet powiesił się na przekaźniku. Właśnie go znaleziono. Billy powiedział, że nieładnie to wygląda. Szeryf jest już w drodze. Też muszę jechać i rzucić okiem.

– Gdzie to było, Stan? Gdzie to się stało?

– W najdziwniejszym miejscu świata: przy Wysokiej Ósemce. – Stan wzruszył ramionami.

Z Saskeega wychodziło setki linii, praca Ricka polegała na ich serwisowaniu i pilnowaniu, by instalacje działały jak należy, przynajmniej w promieniu dwudziestu pięciu mil od centrali. Wspomniane przez Stana miejsce znajdowało się w sektorze Indian Valley. Linia biegła na zachód przez góry, przesmykiem na wzgórzu Black Horse i wychodziła po drugiej stronie doliny. Niełatwo było ją konserwować, lecz należała do ważnych arterii – zaopatrywała w energię Sand Creek Pool, do którego podpięte było Centrum Badań Atomowych w Sand Creek, a Centrum Badań Atomowych w Sand Creek stanowiło najważniejszą placówkę w kraju... Chodziło o coś jeszcze: dwie instalacje w górach, dwa przekaźniki. Rick słyszał plotki szeptane przez podwładnych, że urządzenia stanowiły część Mózgu Apokalipsy. Ale Ricka niespecjalnie to obchodziło czy martwiło. Nie był człowiekiem, który lubi się zamartwiać. Jego praca polegała na konserwacji linii i na tym się skupiał.

Pierwszy przekaźnik znajdował się przy wzgórzu, drugi wyżej, przy przesmyku. Numer dwa na linii, numer ósmy w sektorze. Urządzenie stało wysoko, niemal pod chmurami, dlatego właśnie przezywano je Wysoką Ósemką. Między innymi dlatego...

Rick ruszył za szefem. Uważał firmę za swoje dziecko, tak

samo jak Stan. Przyjaciele przejechali przez Freshet, niewielkie miasteczko, które stało się siedzibą członków personelu Saskeega i ich rodzin. Kiedy samochód mijał dom Ricka, pomachała mu żona. Rick pokręcił lekko głową. Dobrze, że Judy nie wiedziała, dokąd się wybiera mąż i po co. Nie lubiła linii.

Samochód jechał dalej, za opłotkami droga zaczęła się wspinać między ustawionymi wzdłuż niej słupami. W górach niewiele było miejsc, gdzie można je bezpiecznie stawiać, dlatego kable towarzyszyły szosie. Kiedy mężczyźni dotarli wystarczająco wysoko, ujrzeni w dole Saskeega i zbiegające się tam linie, białe pasma na tle skał.

Rick odwrócił się do Stana.

– Jak temu facetowi udało się utrzymać na przewodach? To musiał być wariat... – westchnął. Nie czuł się dobrze. Kiedy był w wojsku, widział człowieka, który przyjął tysiąc woltów – z gościa zostały tylko buty. A przepięcie jest znacznie gorsze, nie można igrać z setką tysięcy woltów i wyjść z tego cało. W budce przekaźnika kable biegły zebrane w specjalnych nieckach, chronionych barierą zabezpieczającą. Jeżeli upuściło się narzędzie – na przykład klucz – zostawało tam aż do rutynowego przeglądu. Jeżeli chciało się samodzielnie przejść pod ogrodzeniem, by zabrać przedmiot, obrywało się napięciem po palcach. Rick przecesał dłonią rude włosy. – Temu gościowi brakowało chyba piątej klepki, skoro przeczołgał się pod ogrodzeniem, żeby wejść na kable... – powtórzył.

Stan nie odpowiedział, tylko mocniej nacisnął gaz. Minęli węzeł numer siedem, jeszcze parę mil pod górę i dotrą do Wysokiej Ósemki, wznoszącej się nad urwiskiem, odbijającej

promienie słońca białą ścian. Kiedy wreszcie się tam znaleźli, Stan zjechał z drogi i zaparkował. Wyszli. Nieopodal stały dwa samochody: firmowa półciężarówka i wóz szeryfa. Rick i Stan podeszli do budynku. W progu już czekał szeryf Stanton. W głębi jeden z jego zastępców robił zdjęcia, błysnął flesz. Stanton skinął głową ludziom z Saskeega i wskazał kciukiem na Wysoką ósemkę.

– Lepiej rzućcie okiem, chłopaki. Możecie być dumni ze swojego rożna.

Rick i Stan weszli powoli.

Mogło być gorzej. Skulone ciało leżało tuż za drzwiami – drobny, siwowłosy mężczyzna w znoszonym ubraniu. Zapewne włóczęga. Wyładowanie musiało go tu rzucić, nie usmażył się cały, miał tylko zwęglone ręce. I rozbitą głowę, gdy uderzył o barierkę. Nie żeby to było ważne – nie żył już, kiedy nastąpiło uderzenie. Nieopodal leżało blaszane pudełko. Było otwarte, ze środka wysypały się kartki i fotografie. A dalej w półmroku lśniły blado przewody i brzęczały cicho transformatory.

Nadjechał ambulans, by zabrać ciało. Szeryf zebrał rozrzucone na podłodze papiery i przejrzał je pobieżnie. Wzruszył ramionami.

– Żadnego nazwiska. Wątpię, byśmy znaleźli jego znajomych, a nawet jeżeli, pewnie ich nie obejdzie śmierć kumpla. Teraz przynajmniej jest w lepszym świecie, biedny stary. Zdarzały się takie przypadki wcześniej, chłopaki?

Rick powoli pokręcił głową. Samobójstwa zdarzały się zawsze, ale niewielu ludzi wybierało linię. Nie był to najprzyjemniejszy sposób opuszczenia tego świata...

Zmarły włóczęga wyłamał zamek w drzwiach. Stan przesunął po nim palcem i odezwał się z namysłem: – Może ten stary szukał tylko schronienia i noclegu na jakiś czas? Znalazł sobie piekielnie dobre miejsce.

Kazał jednemu z firmowych serwisantów wymienić zamek. Niewiele więcej można było zrobić. Później wraz z Rickiem ruszyli do miasta. Rick prowadził, starając się zapomnieć o tym, co widział. Do wieczora prawie mu się udało, jednak wystarczyło jedno spojrzenie w twarz Judy i Rick zrozumiał, że żona wie. Zapytał skąd. Wyjaśniła, że zobaczyła wóz serwisowy i zagadnęła kierowcę. Rick w duchu przeklął nieodpowiedzialnych podwładnych, którzy nie umieli trzymać gęby na kłódkę. Wolałby, żeby Judy nie wiedziała o podobnych sprawach, biorąc pod uwagę, jak nie znosiła linii. Rick częściowo winił siebie za takie nastawienie żony. Zabrał ją kiedyś do Wysokiej Ósemki, czym strasznie ją przeraził. Spory budynek mruczący jak kot, pole elektrostatyczne, od którego jeżyły się włoski na skórze, błękitne iskry wyładowań w mroku między przewodami. Judy od tamtej pory żyła w strachu i wcale jej nie przechodziło.

– Dlaczego ten człowiek to zrobił? Dowiedziałeś się dlaczego? – zapytała. – Może, no, wiesz... Może zostawił list pożegnalny albo notkę wyjaśniającą powody...?

– Żadnego listu, kochanie, nic. Myślę, że ten gość nie miał powodu. Po prostu był szalony i tyle.

Stał przed Judy, marszcząc brwi ze zmartwienia i poczucia, że sytuacja wykracza poza jego kompetencje. Nie wiedział, jak uspokoić żonę.

Judy potrząsnęła gniewnie głową.

– Wiem, dlaczego ten człowiek to zrobił. Wiem dlaczego! Ty nie? – Przełknęła nerwowo ślinę. – Czy... Czy był bardzo spalony?

– Posłuchaj, Judy...

– To linie. To zawsze są linie. Jak szyny na... na stacji metra. Przyciągają cię. Nigdy tego nie czułeś, Rick? Stoisz przy barierce, a z oddali nadjeżdża pociąg, słyszysz, jak się zbliża, a szyny cię przyciągają... Coraz mocniej i mocniej...

– Kochanie, proszę...

Zignorowała go.

– Tak samo jest z liniami, Rick. Przyciągnęły tego włóczęgę. Wyobraź go sobie, stary człowiek, samotny, który nie ma dokąd pójść, nie ma nikogo. Wtedy przyciągają najmocniej, gdy nie ma nikogo w pobliżu. Ten człowiek był głodny, zmarznięty, a zbliżała się noc. I wtedy ujrzał światła z Wysokiej Ósemki, jak czerwone i bursztynowe oczy, które spoglądają z ciemności i zdają się mówić: „No, chodź, już dobrze, chodź”... I to mruczenie, i blask za ogrodzeniem, który przyciąga i przyciąga...

Rick chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

– Judy, na miłość boską!

Wyrwała się, uciekła do kuchni. Włączyła światło.

– Elektryczność, Rick. Przeraza mnie. Rozejrzyj się, jest wszędzie. Tylko pomyśl, a jeżeli ona czeka? Jeżeli tylko czeka, by przyciągnąć wszystko...

Rick miał dość.

– Chryste, kobieto, zamknij się! – krzyknął. – Byłem jednym z tych, którzy musieli przenieść tego faceta do karetki. I nie spodobało mi się to, kochanie, bo nie lubię takich rzeczy. Myślisz, że jestem jakimś potworem, który zbiera trupy z kabli wysokiego

napięcia? Sama pytałaś, pamiętaj. Tak, ten gość miał zwęglone ręce. Zwęglone do kości, zupełnie czarne... Szczęśliwa? Próbowałem o tym zapomnieć przez cały dzień...

Judy zacisnęła powieki i przycisnęła pięść do ust, jakby poczuła ból. Przez długą chwilę panowało milczenie.

– Rick... Przepraszam, bardzo przepraszam, kochany... Nie wiem, co mnie napadło... Zawsze jak pomyślę o liniach... Przykro mi...

Rick westchnął, czując drżenie, jak zwykle, gdy dochodziło do kłótni z żoną.

– Już dobrze... Oboje musimy o tym zapomnieć. Takie przypadki się zdarzają, kochanie, ale to jeszcze nie powód, by się denerwować...

– Rick, nie moglibyśmy się wyprowadzić? Znalazłbyś nową pracę, daleko do Saskeega, gdzie nie byłoby linii w pobliżu...

Przerabiali to dziesiątki, setki razy. Rick zrobiłby dla Judy naprawdę wiele, nawet jeżeli byłoby to nierozsądne, ale nie mógł zmienić pracy. Zresztą, o ile wiedział, linie były wszędzie. A przynajmniej tak sobie wmawiał. Lecz chodziło o coś jeszcze, o coś, czego nie mówił żonie, ponieważ nie zrozumiałyby. Linie w końcu złapią każdego, prędzej czy później. Och, rzecz jasna, nie w ten sposób, w jaki myślała Judy, ale Rick wyczuwał w nich coś. Słupy wysokiego napięcia i przewody przecinające każdy skrawek kraju. Dostarczały energii, by ludzie mogli żyć, by toczył się świat. Coś w tym było. Rick próbował czasami rozmawiać o tym ze Stanem, ale nigdy nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Jednak zdawało się, że Stan wiedział, o co chodzi.

Tej nocy Rick miał sen. Sen, który nawiedzał go już

wielokrotnie. Zaczynał się od dzwonka telefonu. Rick odbierał i dowiadywał się, że znaleziono kolejne ciało w Wysokiej Ósemce. Kiedy zdarzenie powtórzyło się po raz piąty lub szósty, mężczyzna się obudził. Usiadł w łóżku, zastanawiając się, czy szalone pomysły i lęki Judy nie udzieliły się także jemu. Rozejrzał się. W pokoju panował mrok, Rick nie widział tarczy zegarka, który odłożył na szafkę nocną. Przysunął zegarek do oczu. Właśnie minęła trzecia. Mężczyzna ziewnął i przetaił oczy, a wówczas dźwięk, który go obudził, zabrzmiał ponownie.

Dzwonił telefon.

Rick wstał i odebrał. Kiedy odłożył słuchawkę, zaczął się zastanawiać, czy zaraz się obudzi. Niestety, tym razem to się działało naprawdę.

Z rezygnacją wrócił zatem do sypialni i zaczął się ubierać. Czynił to mechanicznie, niemal bez udziału woli. W Wysokiej Ósemce znaleziono kolejne ciało, linia została zerwana, więc Rick musiał się tam jak najszybciej zjawić.

Odwrócił się, gdy Judy zapaliła światło. Drżała.

– Co się dzieje, Rick? Dzwonił telefon...?

– Muszę wyjść, kochanie – odpowiedział. – Są problemy. Postaram się szybko wrócić, to nie potrwa długo...

Chwyciła go za ramię.

– Jest kolejne ciało. W tym przeklętym przez Boga miejscu...

– Kochanie, to nic takiego. Jakieś kłopoty z instalacją. Awaria izolatorów – rzucił pierwszą wymówkę, jaka przyszła mu do głowy. Na próżno. Wystarczyło, by spojrzeć jej w oczy, by zrozumieć – Judy wiedziała.

Rick wsiadł do samochodu. Kiedy tylko opuścił bezpieczne

granice miasteczka, poczuł wiatr napierający na koła. Na wzgórzu Black Horse zawsze wiało jak cholera, dzień i noc. Wtedy Rickowi przypomniał się wiersz o wietrze, który wiał nad pustkowiec, gdzie nikt nigdy nie przychodził. Na górze także nie było nic poza Wysoką Ósemką.

Starał się nie przejmować tą myślą. Rick należał do ludzi racjonalnych, jednak miał za sobą nieprzyjemny ranek, a wiatr skamlący za szybami samochodu i piekielna, nieprzenikniona ciemność tylko pogarszały nastrój mężczyzny. Próbował skupić się na czymś innym, lecz skończyło się na wyobrażaniu sobie sporu z Judy.

– Słuchaj, kochanie, nie ma nic złego w elektryczności. Dopóki używasz jej prawidłowo, wszystko jest w porządku. Jeżeli nie, zwykle skończy się nieprzyjemnie, ale ze wszystkim tak jest. A linie są dobre. Dzięki nim masz oświetlony dom, możesz gotować, oglądać telewizję, bawić się i przyjemnie spędzać czas. Dzięki liniom dom jest ciepły, a ty szczęśliwa. Ludzie nie poradziliby sobie bez nich...

Samochód minął zakręt. Przednie światła wydobywały srebrne lśnienie ze słupów wysokiego napięcia. Rick zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie stał się ofiarą głupiego dowcipu, czy nie został nabrany, by błąkać się po drodze w środku nocy. Nie wydawało się to prawdopodobne, ale niewielka szansa zawsze istniała. To oznaczało, że pod Wysoką Ósemką nikogo nie będzie. Tylko mrok, wiatr hulający nad urwiskiem i kolorowe oczy mruczącej jak kot budki... Rick starał się wypatrzeć w górze ruch lub światła, jednak widział jedynie nieprzeniknioną ciemność. Coraz bardziej był pewien, że to żart,

i miał ochotę zawrócić. Wiedział jednak, że nie może.

Wyciągnął papierosy ze schowka i wymacał zapalniczkę. Był zły na siebie, że zachowuje się jak przestraszony dzieciak. Kazano mu przyjechać, to przyjedzie, sprawdzi, a jeżeli nikogo nie będzie, zadzwoni do Saskeega i rano komuś zdrowo się oberwie. Tak właśnie należy postąpić.

Na górze była już policja. Wóz patrolowy parkował na poboczu, parę mil niżej reflektory na dachu przecinały ciemność. Ktoś zamachał latarką i Rick zatrzymał samochód, po czym wysiadł. Wiatr siekł wściekle jak zwierzę, a nie żywioł. Mężczyzna musiał się pochylić, gdy szedł w stronę Wysokiej Ósemki.

W budce było spokojniej. Ściany tłumiły świst powietrza, nie słychać też było zwykłego mrużenia, ponieważ przetworniki nie pracowały. Znajdowało się tutaj kilku pracowników Saskeega z nocnej zmiany oraz dwóch funkcjonariuszy. Stali w grupie i spoglądali na kable. Jeden z monterów powtarzał: – Rany, popatrzcie na to! Rany, popatrzcie na to!

Głos był cichy, jakby stłumiony.

– Rany, popatrzcie na to...!

To odwrócone było do Ricka plecami. Wyraźnie widać było łysą głowę. Rozkrzyżowane ramiona nie dotykały już trakcji. Spaliły się do nadgarstków. Kikuty odstające od ciała były wyschnięte i powykręcane. Mężczyzna musiał się precyzyjnie pod barierą ochronną, po czym chwycić kabel jedną ręką, następnie drugą. Bóg wie jak mu się to udało... Przecież ledwie dłonie zetknęły się z linią, zaczęły się smażyć. W promieniu kilku stóp na betonie widniały czarne smugi, tam spadały iskry.

Zza ścian dochodziło stłumione wycie wiatru. Monter nadal powtarzał: – Rany, popatrzcie na to!

Rick odwrócił się do niego i wykrztusił: – Wyłącz wszystko, dobrze? Po prostu wyłącz.

Monter popatrzył na niego nieprzytomnie.

– Rany, Rick, tylko popatrz...!

Rick podszedł do telefonu i zadzwonił do kierownika nocnej zmiany.

– Donnell, co ty, u diabła, wyprawiasz?

Na linii pozostały ładunki statyczne, dało się słyszeć syczenie i trzaski wyładowań. Zdawało się, że przekaźnik próbuje mówić, jakby gaworzył niczym dziecko. Rick ledwie się słyszał. Gdy tylko powiedział: „Co ty, u diabła, wyprawiasz”, nie mógł się opanować i zaczął krzyczeć. Miał ochotę wsadzić czyjś zakuty łeb między linie – może wtedy ludzie zrozumieją, że sytuacja jest poważna. Lecz nie miał na kogo zrzucić winy...

Donnell tłumaczył się jak wariat: – Rick, nie mam pojęcia, co się stało, i za cholere nie wiem, jak to się stało! Bezpieczniki powinny zapobiec skokom napięcia na trakcji, a nie zapobiegły. Bezpieczniki nie zadziałały, choć powinny, a ja nie mam pojęcia, co się dzieje...

Cameron zaklął.

– Masz jakieś klapki na oczach? Co z napięciem na trakcji? Co w ogóle robisz jeszcze w biurze, dlaczego nie przyjechałeś...?

Głośne trzaski wyładowań. A potem: – Rozłączyłem trakcję, gdy tylko skoczyło napięcie, Rick, cholera, nie wiem, co się dzieje...

– No to ci powiem, cholera! Facetowi tutaj usmażyły się ręce,

gdy ty siedziałeś na tyłku i czekałeś nie wiadomo na co. To przez ciebie nie ma rąk, niech cię diabli, Donnell, to przez ciebie...

– Rick, nie wiem, u diabła, jak to się...

Rick rzucił gniewnie słuchawkę i odwrócił się. Wnętrze przesiąknięte było zapachem smażonego mięsa, jakby przygotowywano tu posiłek bez soli i przypraw. Mężczyzna czuł, że zaraz zrobi mu się niedobrze.

Trzeba było czekać, aż policyjny fotograf zrobi zdjęcia. Zawsze trzeba mieć zdjęcia przy takich zdarzeniach, pomyślał z goryczą Rick. Zapewne tak na wszelki wypadek, żeby czasem nie zapomnieć, co się stało. Jakby ktokolwiek mógł zapomnieć... Potem zaczęło się oczyszczanie linii. Rick chciałby zadzwonić po Stana, ale nic by to nie dało, przyjaciel wyjechał wczoraj po południu na konwent i miał wrócić dopiero za parę dni.

Moc udało się przywrócić dopiero o szóstej rano i do Saskeega Rick Cameron dojechał w blasku dnia. W firmie panował rozgardiasz – przekaźnik był nieczynny przez prawie pół nocy, a żeby utrzymać przy życiu Sand Creek, trzeba było pompować wodę przez pół kraju, zaś pompy potrzebowały energii. Cameron, nadal wstrząśnięty, zadzwonił do Stana z gabinetu. Próbował trzy razy do różnych hoteli, zanim trafił na szefa, a kiedy tylko zaczął mówić o linii, Stan od razu domyślił się, co zaszło. Zaraz potem szef zabukował lot i sześć godzin później stawiał się w Saskeega. Wraz z Rickiem poszli do szeryfa Stantona.

Po wcześniejszym wypadku podjęte zostały środki ostrożności. Wymieniono zamek w drzwiach do budynku przekaźnika, jednak druga ofiara nie weszła tamtędy. Budynek miał również okna – niewielkie i okratowane, ale samobójcy to nie

powstrzymało, wybił szybę, wyrwał framugę i kratę gołymi rękami, po czym przecisnął się przez otwór. Nie znaleziono żadnego narzędzia, które mogłoby posłużyć za łom lub dźwignię, a na podłodze pozostały wyraźne ślady krwi prowadzące do linii. Stanton przypuszczał, że po autopsji będzie wiadomo więcej, ale Stanowi i Rickowi sprawa wydawała się dość prosta: samobójca był szalony, jak to bezdomny. Szeryf, pokręciwszy głową, zapewnił, że znał denata. Żaden włóczęga, lecz farmer z Indian Valley.

– Jedno, co mnie uderzyło... Jak taki drobny człowiek mógł wyrwać kraty? Musiał całkowicie stracić zmysły, zwariować z kretesem... Ale to i tak nieważne. Istotne, co wy, chłopaki, zamierzacie zrobić w tych okolicznościach?

Pracownicy Saskeega spojrzeli po sobie bez zrozumienia. Wreszcie odezwał się Stan: – Nie wiem, co moglibyśmy zrobić, Andy. Jak powiedziałeś wcześniej, samobójstwa się zdarzają. Jeżeli facet zwariował, nie mogliśmy tego przewidzieć. Nie zabiliśmy żadnego z tych ludzi w Wysokiej Ósemce.

Stanton mruknął ponuro.

– Wasz prąd zabił. Słuchajcie, chłopaki, widywałem już takie przypadki, słowo daję. Nie na liniach, to nowa forma, ale mówię wam: kiedy zdarzy się jedno samobójstwo na przykład przez utopienie, a potem rozniesie się o tym wieść, zacznie się fala podobnych. Jakby ludziom wystarczyło dać przykład i połowa szaleńców w kraju zaczyna naśladować samobójcę, o którym robi się głośno. To samo widzę tutaj, a nie mam ochoty zabierać kolejnych ciał z tej góry. Więc pytam raz jeszcze: co zamierzacie z tym zrobić?

– Uważasz, że ten farmer usłyszał o samobójstwie włóczęgi? – zapytał Rick ostrożnie.

– Nie wiem skąd. Gość mieszkał sam, miał niewielkie gospodarstwo na odludziu i rzadko widywał się nawet z sąsiadami. Sprawdzę to, ale nie mam pojęcia, jak mógłby się dowiedzieć.

– Może to po prostu pech? – wtrącił Stan. – Może postawimy tu strażnika na kilka nocy? Jak uważasz, Rick?

Rick pomyślał o nieprzeniknionej ciemności w Wysokiej Ósemce, o wietrze zawodzącym na drutach przez całą noc. Światła ostrzegawcze, o których wspomniała Judy, przywołujące z mroku...

– Dwóch strażników, Stan – zdecydował. – Uzbrojonych. Będą się czuli pewniej.

Stan rzucił Rickowi ostre spojrzenie, ale nic więcej nie zostało powiedziane. Szef poruszył temat dopiero wieczorem, gdy jechali do domu: – Dwaj ludzie przez kilka nocy to podwójny koszt. A wszystko tylko po to, by pilnować choleryjnej stacyjki przekaźnikowej przed wariatami, którzy marzą o oryginalnym samobójstwie. Szeryf będzie mnie nękał, dopóki nie postawię strażnika przy Wysokiej Ósemce. Świetnie, postawię strażnika, skoro szeryf chce. Ale dlaczego, u licha, dwóch, Rick?

Rick zmrużył oczy, wprowadzając samochód w zakręt.

– Gdybyś miał tam siedzieć, Stan, chciałbyś siedzieć sam?

– Zrobiłbym to, dobrze wiesz, do cholery. Co ci odbiło? – warknął Stan ponuro.

Rick zerknął na przyjaciela. Nie wyglądał dobrze...

Strażnicy zostali wyznaczeni i na jakiś czas rozwiązało to

problem Wysokiej Ósemki. Ale to nie Wysoka Ósemka stanowiła największe zmartwienie. Rick chciał wiedzieć. Stan chciał wiedzieć. Chyba wszyscy w Saskeega chcieli wiedzieć, dlaczego nie zadziałały bezpieczniki? Każda linia wysokiego napięcia ma bezpiecznik i wyłącznik, który pozwala przerwać obwód w nagłych przypadkach, choćby w razie pożaru lub uderzenia pioruna. Gdyby wówczas linie działały, usmażyłyby wszystko w zasięgu kilku jardów. Po to właśnie istniały bezpieczniki – wyłączały linię w parę sekund. Ale samobójcy wisieli na kablach znacznie dłużej, a bezpieczniki nie zadziałały i Donnell musiał ręcznie wyłączyć obwód.

Nie była to jedyna zagadka, rzecz jasna. Jak to się stało, że Donnell i cała nocna zmiana nie zauważyli, że dzieje się coś niedobrego? Donnell przysięgał, że zareagował, gdy tylko napięcie zwariowało. Był dobrym inżynierem i Stan o tym wiedział.

– Ale, do cholery, Rick! Donnell nie wyłączył linii, dopóki z tego samobójcy nie zostały strzępy! – denerwował się. – Nie rozłączył trakcji, dopóki napięcie się nie ustabilizowało. Równie dobrze ten samobójca mógł się smażyć na jego oczach. Na oczach wszystkich...

Stan przesłuchał pracowników, ale nie trafił na żaden trop. Po prostu nie było powodu do niepokoju. Skrzynka z bezpiecznikami została sprawdzona setki razy i nie wykryto nic podejrzanego. Linia powinna była się wyłączyć. Ale się nie wyłączyła.

Pozostało zatem pogodzić się z brakiem wyjaśnienia. Nikomu się to nie podobało, ale też niewiele można było zrobić w tej

sprawie. Przez dwa tygodnie strażnicy pilnowali Wysokiej Ósemki i nic się nie stało. Rick zamocował kraty w wyrwanym oknie, założył drugi zamek w drzwiach i miał nadzieję, że wszystko się uspokoiło. Niestety nie. W dniu, gdy strażnicy zostali odwołani, firma straciła trzech ludzi.

Dwóch zginęło podczas wyrównywania gruntu, gdy walec przygniótł ich do zbocza tuż pod Wysoką Ósemką. Trudno było wyjaśnić, co dokładnie się stało – pracownik, który widział zdarzenie, twierdził, że walec po prostu ruszył i skręcił na skały. Z Saskeega wysłano helikoptery, których używano do sprawdzania linii na trudnych terenach. Stan zajął się resztą, gdy tylko się dowiedział – nie ułatwiło to jednak pracy Rickowi. Cameron starał się najlepiej jak mógł. Wiedział, że jego szef też nie może zrobić więcej.

Trzecia śmierć również miała miejsce w Indian Valley. Rick całkiem nieźle znał zmarłego – nazywał się Halloran, był pół-Irlandczykiem i nie znał strachu. Od lat kierował jedną z grup konserwatorów w Saskeega.

Halloran wziął służbową półciężarówkę i odjechał. Nikt nie wiedział dokąd. Nikt też nie zwrócił uwagi na nieobecność brygadzysty. Około piątej po południu do Indian Valley wyruszył rutynowy patrol i natknął się na widok zgoła niewyobrażalny. Jeden z członków grupy powiedział później Rickowi, że brygada zjeżdżała do firmy, lecz kiedy ujrzała Hallorana, zamarła na kamień. Ludzie wysiedli z wozu i tylko patrzyli, a jednak nadal nie mogli uwierzyć. Wóz służbowy zabrany przez brygadzystę stał zaparkowany pod słupem wysokiego napięcia, na którego szczycie, wysoko, nad izolatorem pochylał się Jim Halloran.

Dłonie płonęły mu błękitnym ogniem, a w oczach miał ból Otchłani...

Po tamtym incydencie Rick zaczął tracić podwładnych. Wymykali się pojedynczo lub parami, znajdowali sobie inną pracę, w której nie musieli oglądać się przez ramię i zastanawiać, kto będzie następny. Śmierć Hallorana wstrząsnęła ludźmi bardziej niż wcześniejsze zdarzenia. Farmer mógł zwariować, stary włóczęga – poczuć zmęczenie życiem, ale Halloran był kolegą z pracy i kumplem od kieliszka. Nie mógł popełnić samobójstwa – tak przynajmniej szeptali do siebie pracownicy Saskeega. Niewidzialna moc wciągnęła go na szczyt słupa wysokiego napięcia i na pewno była niebezpieczna, skoro potrafiła pozbawić życia faceta takiego jak Halloran.

Rick wiedział o plotkach, ale nie mógł im zapobiec. Miał ręce pełne roboty, rutynowe prace, które należało wykonać przy liniach, mnóstwo bieżących napraw, jak choćby wymiana izolatorów – dzieciaki uwielbiały rzucać w nie kamieniami. Walec rozebrano na części, by sprawdzić, co spowodowało awarię, a Rick musiał podzielić grupy monterów i wyznaczyć nowych brygadzistów, co nie było łatwe, ponieważ podobne przetasowania zawsze wywoływały mnóstwo zamętu. Przez to Rick pracował od rana do nocy, a żona powoli staczała się w depresję z powodu wydarzeń, których Cameron zaczynał mieć serdecznie dość. I wtedy usłyszał o Ogierze Jimie.

Podobno jeden z monterów był Indianinem. Wiele lat temu jego przodkowie żyli na ziemiach, które teraz zajmowało Saskeega Power, choć nie wiadomo, na ile była to prawda. Monter twierdził, że w Indian Valley znajdowały się tereny

łowieckie jego plemienia, stąd nazwa doliny, a wzgórze Black Horse było świętą ziemią, siedzibą bogów. Ogier Jim, jak się okazało, to duch lub totem – według legendy pewnego dnia miał powrócić i wygnać blade twarze na wschód, skąd przyszły. Przepowiednia głosiła, że nadejście Ogiera poprzedzi piorun i błyskawica na świętej ziemi, a ogień z nieba zacznie zabijać. Opowieść idealnie pasowała do zdarzeń przy Wysokiej Ósemce i niewiele więcej potrzeba było, by wywołać panikę.

Rick uznał, że przynajmniej jedną rzecz może mieć z głowy. Wezwał do siebie Indianina – nazywano go Joey – i ostrzegł, że jeszcze jedno słowo o duchach koni, klątwach i ogniach z nieba, a osobiście wyleje Joeya na zbity pysk i postara się, by nie znalazł pracy nawet w najbardziej zapadłych spółkach Saskeega. Joey niewiele na to odpowiedział, ale nawet podczas groźnej tyrady szefa zerkał w okno, z którego widać było linie rozchodzące się w stronę wzgórz i widocznego w oddali wzniesienia Black Horse...

Indianin oszczędził Rickowi kłopotów, zwolnił się jeszcze tego samego dnia i nigdy więcej się nie pokazał.

Ale szkody już zostały uczynione. Firma straciła bardzo wielu monterów i Rick musiał pracować praktycznie w kryzysowych warunkach. Od miesiący nie miał wolnego dnia, czuł się chory i zmęczony. Pewnego razu kazał Judy spakować jedzenie i oznajmił, że wyjeżdżają na piknik. Miał dość widoku Saskeega i jeżeli firma rozpadnie się podczas nieobecności Ricka, tym lepiej. Mało go to obchodziło w tamtej chwili.

Pojechali do Indian Valley, w jedno z ulubionych miejsc Judy. Dzień był upalny i Rick zaparkował samochód pod drzewami. Wraz z Judy usiedli, zaczęli jeść i rozmawiać, a potem położyli się

na kocu i zapalili papierosy, spoglądając w niebo przez baldachim liści oraz na wzgórze Black Horse w oddali. Rickowi wydawało się, że wzniesienie porusza się, jakby chciało się wspiąć na niebo. Mężczyzna przymknął oczy, ogarnęła go senność. Chyba się zdrzemnął, czując spokój i więź ze światem.

I wtedy rozległ się najstraszliwszy dźwięk, jaki Rick słyszał w życiu. Nie był to grzmot ani nic, co potrafił zidentyfikować. Powietrze wypełnił niski, pusty odgłos, jakby seria wstrząsów, które uderzyły Ricka prosto w serce. Nie było nic widać, tylko góry i chmury. Mężczyzna zerwał się, otwierając usta, w palcach ścisnął nadal niedopałek. Huk trwał może dziesięć sekund, może dwadzieścia. Kiedy ucichł, Judy zaczęła się trząść.

– Ogier Jim – wydusiła. Skuliła się, jakby góry mogły ją połknąć. Dopiero wtedy Rick zrozumiał, że żona również słyszała pogłoski krążące w Saskeega.

Zabrał Judy do samochodu, włączył silnik. Nie wiedział, co zrobić, ale czuł, że musi czym prędzej opuścić to miejsce. Ten hałas nim wstrząsnął. Wstrząsnął bardziej, niż mężczyzna chciałby się przyznać nawet przed sobą teraz czy później.

– To tylko burza, kochanie, tylko grzmot – powtarzał, ale sam w to nie wierzył. Odgłos nie przypominał grzmotu. Przypominał tętent wielkich kopyt na skałach...

Kiedy Rick i Judy wrócili do domu, telefony się urywały. Rick miał jechać na wzgórze, właśnie eksplodował węzeł numer siedem.

Mężczyzna nie tracił czasu na wyjaśnianie, że budynki przekaźników nie wybuchają. Zaciągnął żonę do samochodu i pojechał do domu Stana. Zastał tam Jeff, dzięki Bogu. Wydawała

się przerażona i blada, ale Rick zapewnił ją, że wszystko jest pod kontrolą, i poprosił, by zajęła się Judy. Czuł się pewniej, wiedząc, że żona nie będzie sama podczas jego wyprawy w góry. Dopiero wtedy ruszył na wzgórze Black Horse.

Nie trafił na dobrą porę. Ruch na drodze został wstrzymany, podobno jeden ze słupów przewrócił się i zablokował przejazd. Rick zapewne przedostałby się szybciej, gdyby jechał służbowym wozem terenowym i miał identyfikator firmowy, ale wybrał się prywatnym samochodem, niestety. Kłótnie z policją na nic się zdały. Rick zjechał więc na pas biegnący w przeciwnym kierunku – do diabła z policją – i pojechał do przekaźnika. Słup wysokiego napięcia nie zablokował drogi, lecz pochylał się nad nią tak, jakby zaraz miał runąć. Kable splątały się niebezpiecznie. Rick wysiadł z samochodu, ostatni odcinek pokonał pieszo.

Zdaje się, że połowa pracowników Saskeega Power dotarła tu przed nim. Byli też Stan i szeryf Stanton. Wspomnieli o dyrektorze Perkinsie, który zajrzał tu wcześniej, ale już sobie poszedł. Rickowi to odpowiadało. Postanowił sam rzucić okiem na pozostałości po stacji przekaźnikowej numer siedem.

Niewiele z niej zostało. Kawałki metalu i odłamki betonu rozrzucone wokół, wśród nich resztki izolatorów. W miejscu, gdzie stał przekaźnik, ziała dziura. Krater. Na dwanaście, może piętnaście stóp głęboki i o średnicy co najmniej trzydziestu. Wyglądał strasznie, czarny, jakby ziemia wewnątrz została spalona, z ciemnymi mackami popiołu wyciągającymi się z głębi niczym ramiona ohydnej rozgwiezdy. Rick podszedł ze Stanem do krawędzi krateru. Zajrzał. Nie wiedział, co myśleć.

– Co o tym sądzisz? – zapytał przyjaciela.

Ten potrząsnął głową.

– Jest tylko jedno wyjaśnienie. Ktoś wysadził przekaźnik. To sabotaż, ale dobrze, że...

Rick skrzywił się w parodii uśmiechu.

– Wysadził? Nie, och, nie... Widzisz tę dziurę? Wydaje ci się, że można tak po prostu wysadzić transformatory? Wiesz, ile trzeba materiałów wybuchowych, by zrobić tak duży krater, Stan? I po co?

– Więc pewnie ten, kto wysadził stację, nie wiedział, co robi – warknął Stan gniewnie. – Użył silnego materiału wybuchowego.

Rick pokiwał głową.

– To na pewno. Silny materiał wybuchowy. Słyszałem nawet pogłoski o brakach środków wybuchowych w firmie. Jasne...

Powoli obszedł krater. Stan poszedł za nim.

– Więc stacja sama wybuchła. Ot tak. Uważasz, że to lepsze wyjaśnienie, Rick? Wybuchła sama?

Rick poczuł na czole krople potu i miał wrażenie, że traci rozum.

– Przekażniki nie eksplodują same z siebie. Pracuję w terenie, nie jestem może największym bystrzakiem na świecie, ale to wiem na pewno: przekaźnik nie może spontanicznie... eksplodować.

Nigdy dotąd nie pokłócił się ze Stanem. Teraz też nie była to kłótnia, choć niewiele brakowało. Kiedy Rick trochę ochłonął, szef powiedział: – OK, Rick, OK. Zajmijmy się tym, co najważniejsze. Od czego zaczniemy?

Rick nadal wpatrywał się w krater.

– Zablokuj drogę, Stan. Na wschodzie od Saskeega i na

zachodzie od krańca Indian Valley.

– Zrobione.

– Trzeba zabezpieczyć słupy na stoku, szczególnie ten przy drodze. A jak wszystko się uspokoi, przywróci się ruch. Słup trzeba podeprzeć, żeby się nie zawalił. Jeżeli się zawali, będziemy mieli całą linię do Saskeega zerwaną. Kiedy zabezpieczymy słup, wrócimy tutaj i zajmiemy się eksplozją. Pewnie do tego czasu ludzie wymyślą mnóstwo głupich wyjaśnień...

Stan i Rick rzucili się do pracy. Podparcie słupa nie było sprawą łatwą i nadszedł zmierzch, zanim wreszcie udało się to zrobić. Nad wzgórzem Black Horse rozpętała się tymczasem burza. Widok sprawił, że Rickowi przyszła do głowy dziwna myśl i nie chciała jej opuścić. Na drugim ze słupów na zboczu, tym obok chylącego się niebezpiecznie ku upadkowi, zginął Jim Halloran. Rick raz po raz unosił wzrok. Miał wrażenie, że ujrzy zmarłego rozpiętego na ażurowych ramionach niczym ponurego kruka zrywającego się do lotu. Kiedy zabezpieczono sąsiedni słup, samochody ruszyły do firmy. Rick nie potrafił powstrzymać się od zerkania w lusterko. W oddali widoczna była czerwień nawałnicy i mężczyzna cieszył się, że nie jedzie jako ostatni w konwoju. Nadal był wstrząśnięty. I cieszył się, że nie jedzie na końcu...

W porównaniu z tym, co nadchodziło, kłopoty z samobójcami nie wydawały się już tak wielkie jak na początku. Zbliżały się o wiele większe problemy. Znacznie większe. Firma była ważna. Cokolwiek działo się w Saskeega, było ważne. Saskeega zaopatrywało w energię Sand Creek, a Sand Creek stanowiło

istotną część gospodarki narodowej, co było bardzo ważne. Nikt nie miał prawa nawet myśleć o śnie, dopóki nie zostanie postawiony nowy przekaźnik i nie naprawi się linii, FBI przesłuchało Stana i Ricka. Obaj powiedzieli, że w stacji najprawdopodobniej dokonano sabotażu – i tak, do diabła, więcej nie potrafią dodać. Tak, ktoś wysadził przekaźnik, ktoś chciał zamknąć Sand Creek. I tyle wystarczyło. Wszędzie postawiono agentów federalnych, a Rick zaczął narzekać, że potrzebuje przepustki, by we własnym domu przejść z salonu do garażu.

Grupa monterów miała sprawdzić wzgórze Black Horse, by się upewnić, że stemple trzymają i przechylony słup nadal stoi. Kierowca grupy opowiedział później, że wiatr omal nie zepchnął samochodu z jezdni, tak wiało. Nic nadzwyczajnego, jak stwierdził Stan, w górach zawsze wieją silne wiatry. Inny monter zachowywał się dziwnie, nie odezwał się słowem, gdy wszedł na wzgórze, tylko stanął i wytrzeszczył oczy na kable. Tej samej nocy popełnił samobójstwo – wjechał na pełnym gazie do garażu. To był już szósty trup...

Rick dowiedział się czegoś nowego o sobie. Wzgórze Black Horse przerażało go śmiertelnie.

Wiedział, że to szaleństwo, że najpewniej wariuje, ale nie mógł się pozbyć lęku. Wzgórze Black Horse, kupa brudnych kamieni obwieszona kablami niczym naszyjnikiem. Rick powtarzał sobie, że to tylko linia, że przenosi prąd z Saskeega przez Indian Valley do Sand Creek. Tylko kable wysokiego napięcia, nic więcej. Ale w głębi duszy wiedział, że to coś więcej.

Nocą zbudził się, podszedł do okna i długo wpatrywał w zielonkawą lunę nad wzgórzami, przecinaną iskrami błyskawic.

Słuchał rozbrzmiewających w oddali grzmotów. Linia, gdzie ludzie umierali. Tam chwyтали się kabli i zmieniali w truchła. Albo wspinali się na słupy wysokiego napięcia, by objąć ciasno Śmierć. Tam eksplodowały przekaźniki, dziurawiąc pół wzgórza. To była linia Wysokiej Ósemki.

Rick nigdy wcześniej tak nie myślał, nigdy nie nawiedzały go podobne lęki, ale tego nie potrafił się pozbyć. Próbował sobie wmawiać, że musi być jakieś Rozsądne Wyjaśnienie, bo zawsze istnieje Rozsądne Wyjaśnienie, ale to nie pomagało, ponieważ nie potrafił sobie wyobrazić żadnego Rozsądnego Wyjaśnienia zdarzeń związanych z Wysoką Ósemką. Rick wyobrażał sobie, jak owo Rozsądne Wyjaśnienie wymyka się sprytnie rozumowi, jak przebiega przez puste drogi i spogląda na Saskeega w migotaniu błyskawic, jak szuka schronienia w małych białych budkach transformatorów i znika, nim dopadnie je świt. Tak właśnie czuł się Rick, gdy myślał o wydarzeniach dotyczących przekaźnika numer osiem, czyli Wysokiej Ósemki.

W miejscu zniszczonej budki postawiono nową. Zapłacono i zamówiono części, po czym sprawdzono je wielokrotnie i złożono w nowy przekaźnik. Naprawiono linię, dostawy energii ruszyły jak zwykle i Rick miał nadzieję, że nareszcie zapanuje spokój.

Panował przez kilka miesięcy. Rick wysłał żonę do krewnych. Kiedy wróciła, opalona i uśmiechnięta, wreszcie wyglądała zdrowo i tak się czuła. Rick zaczął z nią odwiedzać częściej Stana i Jeff. We czworo nieźle się bawili. A linia biegnąca przez Indian Valley pracowała tak jak każda inna – nawet lepiej.

Aż pewnego dnia Rick odebrał telefon. I zaczęło się znowu.

Tym razem na dobre.

Siedział w biurze. Popołudnie było ciepłe i słoneczne, a Rick odpoczywał z nogami na biurku i popijał kawę. Leniwie podniósł słuchawkę, gdy rozległ się dzwonek.

– Konserwator linii, Cameron, słucham...?

Ledwie skończył, przy uchu usłyszał trajkotanie: – To ty, Rick? Na rany Chrystusa, Rick, przyjeżdżaj natychmiast, Jezu, Rick, przyjeżdżaj, mamy tu słup, który właśnie się t–t...

Cameron zmarszczył brwi.

– Co takiego? Powtórz!

Zdawało mu się, że rozmówca po drugiej stronie mamrocze o słupie, który się topi. Jak się okazało, naprawdę tak powiedział.

Rick nie miał pojęcia, co się stało, że jego podwładny nagle oszalał i wygaduje takie bzdury.

– Yyy... Słuchaj, Johnny – zaczął. – Dobrze się czujesz? Kto jest z tobą, chłopcze?

– Rick, na rany Chrystusa...

– Uspokój się, Johnny. Pojechałeś z Grabowskim, tak? Daj go do telefonu i uspokój się...

W słuchawce rozległo się przekleństwo.

– Pieprz się, Rick. Jeszcze mi nie odbiło, choć mało brakuje! Jestem przy Wysokiej Ósemce i robi się gorąco, mnóstwo ludzi przyjechało, więc czy mógłbyś ruszyć tyłek i też się tu zjawić...? – Połączenie się urwało.

Strach wywołał u Ricka reakcję podobną do tej, jaką powoduje iskra elektryczna. Zerwał się z krzesła i wypadł z biura. Przebiegł główny hal i blok, dopadł drzwi gabinetu Stana.

– Wysoka Ósemka, Stan! – wydyszał. – Coś niedobrego dzieje

się ze słupem. Możesz pojechać?

Stan nie tracił czasu na odpowiedź, chwycił kapelusz i ruszył za Rickiem.

W służbowej półciężarówce Stan włączył syrenę i koguta. Przez bramę on i Rick przejechali przy akompaniamencie wycia sygnału, a ludzie w przestrachu odskakiwali na prawo i lewo, po czym długo jeszcze spoglądali na oddalający się wóz.

– Będziesz miał kłopoty, stary! Obaj będziemy mieli piekło! – krzyknął Rick na przyjaciela. – Użycie syreny, gdy nie ogłoszono alarmu...

Stan tylko odkrzyknął: – Jeżeli to fałszywy alarm, zawsze mogę wyłączyć syrenę. A jeżeli coś poważnego, lepiej teraz zatrzymać to w sekrecie. Co się właściwie stało?

– Powiedziano mi, że słup się topi...

– Co?!

– Topi się... – powtórzył niepewnie Rick.

Stan nie zadawał dalszych pytań, lecz docisnął gaz i z piskiem opon skręcił na główną drogę. Tam dopiero Rick wyłączył syrenę.

Niedobrze się działo.

Samochód minął przekaźnik numer siedem – wyglądało, że wszystko tu w porządku. Ostatni zakręt i Stan z Rickiem ujrzeli w oddali Ósemkę...

– Jezu Chryste... – wyszeptał Rick.

Słupy podtrzymujące kable, gdzie linia zmienia kierunek, mają dodatkowe żebra, by lepiej wytrzymać naprężenia. Jeden z takich właśnie znajdował się przy wejściu do Indian Valley, tuż poniżej Wysokiej Ósemki. I jak powiedział monter – właśnie się

topił. Bez wątpienia się topił. Metal spływał kroplami po ażurowej konstrukcji jak wosk pod płomieniem świecy i rozlewał się u stóp słupa. Na oczach Ricka konstrukcja pochyliła się, niczym zmęczony człowiek, który chce usiąść. Niedaleko słupa stał samochód firmowy, a dwie figurki w błękicie Saskeega pędziły po zboczu. Nieco niżej widać było mnóstwo ludzi.

Drogę tarasował tłum gapiów. Parę setek, jak nie więcej. Nierówną kolumną zmierzali w stronę Wysokiej Ósemki. Różni ludzie. Rick dostrzegł parkingowego w jasnym uniformie, dziewczynę w eleganckiej sukience... Nad ich głowami słup wysokiego napięcia wyginał się, jakby tańczył, a kable kołysały się i skręcały z prawa na lewo.

Rick ponownie włączył syrenę i samochód dogonił tłum, wyjąc i błyskając lampami sygnalizacyjnymi. Stan wychylił się z okna i wrzeszczał ile sił w płucach: – Odsunąć się od słupa! Cofnąć się, zejść z drogi...! ODSUNAĆ SIĘ OD KABLI!

Ludzie nie zwracali na niego uwagi. Stan zorientował się jednak, że jest za blisko. Wcisnął gwałtownie hamulec i skręcił kierownicę. Zawrócił wóz niemal w miejscu, w kłębach kurzu zjechał czterdzieści, pięćdziesiąt jardów poboczem... Spotkanie z głazem zakończyło tę dziką jazdę. Rick uderzył głową w szybę, opadł na siedzenie i wówczas usłyszał, jak kable pękają. Druty chlasnęły drogę tuż za półciężarówką, a mężczyźni w kabinie skulili się odruchowo. Rozległy się zgrzyty i trzaski, buchnęły iskry i wszystko zamarło.

Stan wyskoczył z samochodu, Rick ruszył ostrożnie w ślad za nim, poruszając ramionami i nogami powoli, jakby się chciał upewnić, że nadal jest cały. Linia zaopatrująca Sand Creek

znowu była wyłączona.

Boris Grabowski dobiegł do samochodu. Twarz miał białą, a oczy wytrzeszczone, jakby zaraz miały mu wyskoczyć z oczodołów.

– Szefie – oznajmił – chyba oszalałem.

Rick westchnął ciężko.

– Więc jest nas dwóch, Boris. Jest nas dwóch.

Grabowski podniósł wzrok na zniekształcony słup.

Z konstrukcji liczącej dziewięćdziesiąt do stu stóp wysokości niewiele zostało – powyginane, poczerniałe pręty, wystające z płataniny metalu na sześć do ośmiu stóp. Na drodze leżały splątane kable, wijące się między ludźmi. Upadły w tłum, lecz gapie nadal stali – choć Bóg wie jak im się to udawało. Rick, Stan i Boris próbowali do nich mówić, ale bez rezultatu. W końcu zaczęli ich odpychać, by nikt nie stanął na przewód. Nie było łatwo. Ludzie z tłumu szli, gdy ich popychano, ale zatrzymywali się zaraz, gdy tylko zostali sami.

– Przydałby się cholerny pies pasterski – warknął Rick gniewnie.

Wysłał Borisa na dół, by zadzwonił po karetki i policję. Trzeba było zablokować drogę, wezwać podnośnik, by posprzątać resztki po słupie. Potem Rick ruszył za Stanem do Wysokiej Ósemki. I wtedy przeżył kolejny wstrząs.

Ludzie, których widział na drodze, stanowili drugą falę, a zanim zerwały się kable, do przekaźnika dotarł całkiem spory tłum zombie. Na drzwiach przy zniszczonych zamkach widoczne były krwawe smugi. Ludzie, o których przez telefon wspomniał Johnny.

Rick wszedł do budynku. Johnny był z całą pewnością martwy. Zdaje się, że próbował powstrzymać innych przed podejściem do kabli. Nie miał szans. Został pchnięty na przewody... Sześciu osobom udało się umrzeć, kilkanaście wisiało na kablach z głupim wyrazem twarzy, jakby oczekiwali na coś, co się miało stać, lecz się nie stało. Rick chwycił jednego z niedoszłych samobójców za ramię i oderwał od przewodów. Mężczyzna jednak wrócił i Rick nie wytrzymał – uderzył go. Nie pomogło, nieznajomy podniósł się chwiejnie, by znowu skierować się do kabli. Tym razem Rick nie próbował go powstrzymać. To jak dać dziecku zabawkę, żeby było cicho, pomyślał.

Tylko jedna osoba z tłumu zdradzała oznaki przytomności. Dziewczyna. Siedziała przy drzwiach i płakała. Stan okrył ją swoją marynarką.

– Bóg raczej wie, co się stało tym ludziom, ale ta tutaj jest chyba w zwykłym szoku... – stwierdził.

Kiedy zaczął rozmawiać z dziewczyną, udało mu się dowiedzieć, że to Allison Foster, która mieszka z ciotką parę mil od Freshet. Powiedziała, że słyszała muzykę. I tyle. Usłyszała muzykę, wsiadła do samochodu z ciotką i pojechała tam, skąd dochodziło wezwanie. Wóz rozbił się na torach, więc dalej musiały iść pieszo. Allison powiedziała też Stanowi, że muzyka się urwała. Nie słychać jej. A potem dziewczyna zaczęła znowu płakać.

Stan potrząsnął głową, wstając. Zaraz potem w oddali rozległy się syreny – w Saskeega ogłoszono alarm.

Góra została otoczona, drogę z Freshet do Indian Valley zamknięto. Chyba każdy ośrodek badawczy w kraju wysłał grupę

naukowców, by dowiedzieli się, co zaszło. Pojawili się nawet ludzie z Cape Kennedy. Rick nie potrafił zrozumieć, co astronauta mają wspólnego ze zniszczonym słupem wysokiego napięcia. Stan ironicznie zauważył, że pewnie szukają w Saskeega małych zielonych ludzików.

Analizom poddano chyba wszystko: resztki słupa, izolatory, skały na zboczu, kawałki kabli. Jeżeli jednak pojawiły się jakieś raporty z wynikami tych badań, ani Rick, ani Stan nigdy o nich nawet nie usłyszeli. Nie dowiedzieli się niczego więcej o tym, co się stało w dniu, gdy stopił się słup, choć słupy się nie topią.

Przełącznik został naprawiony, a raczej wymieniony na nowy – nowe kable, izolatory i inne części – i jajogłowi z Sand Creek mogli dalej bawić się w swojej piaskownicy. Moc przywrócono w dwa dni od wypadku. A wzdłuż Black Horse pilnowali od tamtej pory strażnicy i agenci federalni.

Jednak ludzie, których uratowano na przesmyku Black Horse, w tydzień po zdarzeniu byli martwi. A to wywołało panikę w całym kraju. Zastanawiano się, czy tereny zajmowane przez Saskeega należy objąć kwarantanną. I pewnie tak by zrobiono, gdyby było wiadomo, dlaczego ofiary zmarły. Nie znaleziono jednak żadnych śladów w ciałach – zdawało się, że ludzie po prostu blakną, przestają funkcjonować. Nic nie można było poradzić. Rick słyszał plotki, że w dniu, gdy przywrócono moc na linii do Sand Creek, ludzie zabrani spod Wysokiej Ósemki zdarli sobie palce do krwi, próbując się wydostać i zapewne zrobić to, co nie udało im się za pierwszym razem. Dziewczyna, z którą rozmawiał Stan, nie wydawała się być w tak złym stanie jak inni, więc nie pilnowano jej równie restrykcyjnie jak pozostałych.

Dlatego udało jej się wsadzić palce do kontaktu. I trzymała je tam, dopóki jej serce się nie zatrzymało...

Rick tymczasowo zamieszkał u Stana. Obaj nie chcieli, aby ich żony zostawały same. Kiedy Judy przebywała z Jeff, nie czuła się źle. Prawie dziesięć dni później od incydentu ze słupem Rick wrócił z Saskeega dość późno. Stan już na niego czekał – poprosił, by razem poszli do warsztatu. Chciał coś pokazać przyjacielowi.

Stan miał wydzielone niewielkie pomieszczenie w piwnicy, gdzie trzymał narzędzia, kosiarkę i różne drobiazgi. Rzecz, którą chciał zaprezentować Rickowi, stała na podłodze.

– Co to jest, u licha? – zapytał Rick, spoglądając ze zdziwieniem na Stana.

– Przyjrzyj się. Zgadnij, jak działa.

Więc Rick się przyjrzał. Urządzenie miało około czterech stóp wysokości, przypominało pudełko na czterech metalowych nóżkach. Najwięcej miejsca zajmowały obwody. Rick nie był elektroinżynierem, ale rozpoznał wśród nich bez trudu oscylator. W urządzeniu znajdowała się też metalowa muszla głośnika zamontowana na poziomej siatce, do której podłączono przewody elektryczne zamykające obwód. Nad głośnikiem znajdowała się kolejna druciana siatka.

Cameron wzruszył ramionami.

– Ta część poniżej jest dość oczywista. Reszta – chyba nadaje się do ogrzewania pokoju. Do czego ma służyć ta maszyna?

– To pułapka na owady – odparł Stan.

Niewiele to wyjaśniło Rickowi.

– A dokładniej, na jakie?

– W tej chwili urządzenie ustawione jest na łapanie komarów.

Pomóż mi, to ci pokażę.

Wynieśli pudełko na podwórko, Stan podłączył je do kontaktu na zewnątrz i wskazał na potencjometr umieszczony na obudowie.

– Maszynę można ustawić tak, by wyłapywała owady, które najczęściej ci przeszkadzają w domu. Wystarczy wybrać z listy odpowiednie ustawienia dźwięków.

Rick gdzieś o tym czytał. Samice owadów wydają dźwięki, które przyciągają samce ich gatunku, a może odwrotnie. Nie miał pewności, ale zasada była oczywista.

– Chcesz powiedzieć, że to urządzenie wytwarza dźwięki o określonej częstotliwości, a komary wlatują do środka i...

– I lądują na rozżarzonej siatce przy źródle dźwięku. Szybkie i łatwe rozwiązanie. I działa, co najważniejsze. Naprawdę działa. – Stan włączył maszynę. Nie słychać było żadnego dźwięku, tylko boczne panele zawibrowały lekko. Części wewnątrz rozjarzyły się pomarańczowo i po kilku sekundach na siatce wylądował pierwszy komar. Pokręcił się chwilę i padł. Następnie kolejny i jeszcze jeden... Niedługo potem chmara komarów leciała ku zagładzie na rozżarzonej siatce. Stan wyłączył urządzenie. – Wystarczy demonstracji. Nie obchodzi mnie w tej chwili zabijanie komarów, bo chyba wiem, co czują te nieszczęsne owady.

Rickowi długą chwilę zajęło przetrwanie aluzji i zrozumienie, co z niej wynika. Ale kiedy zrozumiał, było to jak cios w brzuch.

– Stan – wykrztusił – jeżeli sugerujesz to, co myślę, że sugerujesz... To szaleństwo. I to zbyt straszne, by nawet o tym

rozmawiać...

Stan wzruszył ramionami.

– Nic nie sugeruję. Pokazałem ci pułapkę na owady, wnioski wyciągnąłeś sam. – Podniósł ramię z drucianą siatką. – Zostawiłem wczoraj tę maszynę włączoną przez całą noc. To efekt jej działania.

Rick wziął ramkę. Jak się spodziewał, była oblepiona martwymi owadami. Odstawił ją ostrożnie.

Stan bez słowa poszedł do domu, Rick podążył za nim. Chociaż niepokój dręczył go od dawna, Cameron chciał się spierać z przyjacielem. Czuł gniew, że Stan dał wyraz obawom, które dręczyły jego samego. Nie chciał, by to, co sugerował Stan, okazało się prawdą. Taka prawda byłaby zbyt straszna.

– Stan, jeżeli wydaje ci się, że uwierzę w to szaleństwo...

Przyjaciel odwrócił się gwałtownie.

– Chryste, Rick, nie możesz być cicho...? – syknął. Po czym westchnął. – Słuchaj, nie wierzę w to. – Rozłożył ręce. – Nie mogę uwierzyć. Ale zastanawiałem się nad wszystkim, co się zdarzyło, raz po raz... I to jedyne rozwiązanie, które wydaje mi się logiczne. Nie potrafię w nie uwierzyć. Ale wiem, Rick, wiem, że to, co widzieliśmy jako skutek działania urządzenia na podwórzu, stanowi modelowe wyjaśnienie zdarzeń przy Wysokiej Ósemce. Przysięgam na Boga.

I zniknął w warsztacie.

Rick bezradnie poszedł za nim, stanął w progu. Stan otworzył szafkę. Znajdowała się w niej butelka szkockiej oraz kilka szklanek. Stan napełnił dwie, podał drinka przyjacielowi. Kiedy uniósł szkocką do ust, szkło zadźwięczało głośno, objając się o

jego zęby. Rick czym prędzej odstawił drinka.

– Teraz wiem, że oszalałem – stwierdził.

Stan przetarł twarz grzbietem dłoni.

– Słuchaj uważnie, Rick, bo mogę nie mieć szansy, by to powtórzyć. Nie potrafisz wyjaśnić, co się stało w Black Horse, ja również nie. Nikt z nas nie potrafi. Przyjmijmy zatem to, co widzieliśmy, jako wskazówki i zastanówmy się, do jakich wniosków nas doprowadzą. Jeżeli to wykracza poza znaną nam technologię, trudno. Ponieważ, jak powiedział jeden mądry gość, kiedy się wyeliminuje niemożliwe, cokolwiek zostanie, nawet jeśli wydaje się nieprawdopodobne, jest prawdą.

Upił whisky.

– Odrzuciliśmy sabotaż. Jeżeli ktoś chciał przerwać linię, to ok. Ale jak wyjaśnić stopiony słup? Możemy również wykluczyć, że śpimy i śnimy o tym, co się dzieje. Dziś rano zaciąłem się przy goleniu i krwawiłem... Nie sądzę także, że mamy do czynienia z odosobnionymi przypadkami, prawdopodobieństwo takiego ciągu przypadków jest równe temu, że małpa przy fortepianie zagra symfonię Beethovena. Musimy wyjść z założenia, że wszystkie dziwne zdarzenia są ze sobą powiązane. Stary włóczęga zmarł. Potem farmer. Potem chłopaki przy walcu, który skierował się prosto na Wysoką Ósemkę. Halloran wspinał się na druty. Wreszcie ludzie, których widzieliśmy w dniu, gdy stopił się słup wysokiego napięcia. Ty i ja wiemy doskonale, że Jim Halloran nie popełniłby samobójstwa. A zatem, jak twierdzą jego koledzy, coś musiało go wciągnąć na górę. Zombie również nie zabiły się świadomie. Byłeś tam ze mną, więc sam widziałeś, pomagałeś mi nawet odciągnąć tych ludzi od kabli. Nie mieli

pojęcia, co robią, kompletnie nieświadomi... Nie sądzę, by choć jedna śmierć w Wysokiej Ósemce była samobójstwem. No, może z wyjątkiem tego włóczęgi. Pozostałe ofiary zostały przyciągnięte do linii, a dokładniej: do Wysokiej Ósemki, i za cholere nie mogły się uwolnić. Jak dla mnie, wygląda to na istnienie jakiejś siły, może nawet woli. Silniejszej niż ludzka i zdolnej do przełamania podstawowych instynktów przetrwania. Ta siła sprawia, że ofiary idą do niej i próbują... zjednoczyć się. Liczby zgonów wskazują na coś jeszcze. Najpierw był jeden, potem dwa, trzy i setka. Ta Wola staje się coraz silniejsza. Wnioskuje zatem, że ona się żywi...

– Na Boga – wykrztusił ochryple Rick.

Stan mówił dalej, jakby go nie usłyszał: – Jest obecnie bardzo mocna, bo pożywiła się również ofiarami, które zmarły w szpitalu. Jest silna i zła. W przeszłości popełniała błędy. Paskudne błędy. Ale teraz już ich nie popełnia. Nigdy się nie dowiemy, co stało się z przekaźnikiem numer siedem. Albo ze słupem. Przypuszczam, że zrobiła się nadgorliwa. Wciągnęła mnóstwo ofiar i stała się nieostrożna, pozwoliła na zbyt dużą koncentrację zdarzeń w jednym miejscu. Ponieważ ta siła potrafi się zarówno koncentrować, jak i rozpraszać. Może dostosować napięcie w naszych liniach do własnych potrzeb. Mogę tego dowieść.

– Ale nasz prąd... – zaczął Rick.

– To nie jest nasz prąd – przerwał mu Stan dzikim głosem. – Ona... To... używa naszych przewodów i prądu, by się przemieszczać. Może sterować napięciem, jak mu się podoba. Na przykład może zapobiec wyłączeniu się bezpieczników, jeżeli nie

chce, by wyłączyła się grzałka, na której smaży się ofiara. Sprawdzone połączenia, sprawdzono każdą część, ale jedyne, co wiadomo, to fakt, że linia się nie wyłączyła.

– To szaleństwo...

– Nie wiesz, Rick, bo zrobiłem to za twoimi plecami i za to przepraszam, ale kazałem ustawić woltomierze od Saskeega do Wysokiej Ósemki, przez przekaźnik numer siedem i w kilkunastu innych węzłach tej linii. Mierniki i rejestratory uruchomiono wieczorem, a przed świtem zebrano. Mam tu zapis ich wskazań.

– Stan włączył lampkę i sięgnął do szuflady. Podał Rickowi arkusz z wykresem.

Cameron przez chwilę tylko patrzył bezmyślnie. Zdawało mu się, że cienie w warsztacie stają się ciemniejsze i większe. Teoria wyglądała wspaniale, ale tworzyły ją tylko słowa. Jednak te wykresy były czymś namacalnym. A Rick wierzył tylko w to, czego potrafił dotknąć.

Na linii prowadzącej do wzgórza Black Horse pojawiło się mnóstwo węzłów i zawirowań. Wykres pokazywał to jasno. Skoki napięcia, pulsowanie, zaniki. Wyglądało to tak, jakby przez całą noc coś pędziło po linii od Saskeega do Wysokiej Ósemki i z powrotem. Coś nieprawdopodobnego, wrogiego i przerażająco silnego. Allison wspomniała o muzyce. Rick miał przed oczyma partyturę melodii, którą dziewczyna musiała słyszeć.

– Zrobiłem podobne testy w innych miejscach – przyznał Stan cicho. – Poza Wysoką Ósemką napięcie nie skacze. Pozostałe linie są czyste.

Rick zdobył się jedynie na szept: – Co to jest, Stan? Do diabła, wiesz, co to jest?

Przyjaciel wzruszył ramionami.

– Co mam powiedzieć? Nikt nie wie. Może to ten starzec, włóczęga. Może zdołał przenieść się w linię? A że jest samotny, szuka towarzystwa... A może coś przyleciało z promieniowaniem kosmicznym? Albo to coś, co stworzyli ludzie z kobaltu i wodoru. Albo w ciemnych głębinach ziemi nastąpił kolejny akt Stworzenia i narodził się nowy Adam. Lub demon, duch, Ogier Jim czy też Antychryst we własnej osobie... Nie mam pojęcia. Ale wiem, dlaczego to jest właśnie tutaj, dlaczego siedzi w Wysokiej Ósemce.

– Dlaczego?

– Pomyśl, Rick. Saskeega jest najważniejszym zaopatrzeniowcem Sand Creek Pool. A na wzgórzu jest jednostka będąca częścią maszynerii Apokalipsy. Nieważne, co myślimy, nieważne, co się stanie – ta linia musi pozostać nietknięta. To coś, co się w niej znajduje, mogło uciec, pomknąć przez cały kraj, polować, gdzie chciało. Musiało zwiać, gdy wybuchł przekaźnik numer siedem albo kiedy stopił się słup. Ale zawsze wraca do Wysokiej Ósemki, bo wie, że tu jest bezpiecznie.

Cameron dopiero teraz zaczął rozumieć, co wynika ze słów Stana. Obliznął wyschnięte usta.

– Stan... Jak to się skończy...?

Szef stał w półcieniu na granicy kręgu światła rzucanego przez lampę. Wzruszył ramionami.

– To nadal jedynie podejrzenia. Ale i tak wynika mi, że to się nie skończy. Pomyśl o liniach, Rick, wyobraź je sobie. Pomyśl, jak widzi je Judy – przewody wychodzące z elektrowni do podstacji, skąd rozgałęziają się niczym ulice, główne arterie

rozszczepiające się w mniejsze uliczki. Każda prowadzi do miast i wsi, do sklepów, kin, teatrów, fabryk, farm, szpitali... Te linie są niczym drzewo. Miliony gałęzi wyrastających z jednego pnia. I jeżeli na tych liniach pojawi się zło, a pojawiło się właśnie na Wysokiej Ósemce... Dotknie to wszystkich ludzi. Nie ma wyjścia. Nikt się nawet nie zorientuje, kiedy to się zacznie. Ta siła może zabrać naukowców, polityków, każdego, kto może zrozumieć, co się dzieje. Może nawet wywołać parę wojen dla własnego kaprysu. Jedno jest pewne: cokolwiek się stanie z ludźmi, Saskeega nadal będzie pracować, a linia do Sand Creek dostarczać energię. A kiedy nie zostanie ani jeden człowiek... Kto wie? Może wówczas Saskeega będzie pracować pod innym nadzorem? Gdybym nie był inżynierem, gdybym nie pracował w Saskeega i gdybym wierzył w to, co ci opowiedziałem, Rick, uciekłbym. Zamieszkałbym w Tybecie. W ten sposób udałoby mi się dożyć końca moich dni z dala od tego. Ale nie jestem wolnym człowiekiem. Muszę zatem stwierdzić, że wszystko, co mówiłem, to bzdury, głupie gadanie przesądneho wieśniaka, i wrócić do pracy.

Stan zapalił papierosa. Nagły rozbłysk ognika zapalniczki wydobył z ciemności twarz mężczyzny. Rick wzdrygnął się. Przyjaciół wydawał się śmiertelnie znużony.

– Możemy to zabić, Stan – rzucił Rick. – Odciąć linię od Saskeega do Wysokiej ósemki, odizolować ją i sprawić, że to coś zginie z głodu...

Stan zaśmiał się z goryczą.

– Zabić? Jak to sobie wyobrażasz? Że pobiegnę do Perkinsa albo do władz? I co im powiem? Odetnijcie linię na wzgórzu

Black Horse, odetnijcie z obu stron, bo w kablach załagł się Szatan i trzeba go zagłodzić? Wyobrażasz sobie, że to robię? I jak na to zareagują władze? Myślisz, że będą mnie słuchać? Już ci powiedziałem, to coś jest sprytne. Piekielnie sprytne. Nie ma ratunku.

– Zrób to sam. Wiesz, co się stało, możesz mnie wykorzystać... Jestem z tobą, chłopcy z brygad monterskich nam pomogą...

Stan milczał przez długą chwilę. Wreszcie oznajmił: – Zapomnę, że to powiedziałaś, Rick. Ostrzegam cię. I zabraniam ci, jako twój zwierzchnik, podejmować jakiegokolwiek działania, które mogłyby zaszkodzić Saskeega Power. Nadal jestem kierownikiem zmiany i – na Boga! – to moje zadanie, by dopilnować pracy w firmie. Czy to jasne, Rick?

Cameron potrząsnął głową. Nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o słowach Stana.

– Nie możesz pozwolić, by to się rozrosło. Aż strach pomyśleć, co się stanie, jeżeli to się jeszcze wzmocni...

Mainwaring uciszył go uniesieniem dłoni.

– Rick, jestem w impasie. Jestem w pułapce jak wszyscy. To pułapka, jaką tylko ludzkość mogła dla siebie wynaleźć. Mogła się zamknąć wcześniej. Zamyka się teraz. Więzi nas nasza technologia. Linie muszą pozostać nietknięte. Potrzebujemy ich. Bez nich jesteśmy zgubieni. Oczywiście z nimi również, niestety. Ale nie możemy cofnąć czasu. Nie możemy pozbyć się elektryczności tylko dlatego, że stała się wroga. Powiedziałem ci, co wiem. Ale nie kazałem w to wierzyć. Znaliśmy się w sytuacji, w której wiedza i wiara to dwie różne sprawy. Nie mogę sobie pozwolić na wiarę z powodu tego, kim jestem w Saskeega.

Nie potrafię w to uwierzyć, ponieważ instynktownie się temu sprzeciwiam, nie potrafię uwierzyć w sprawy, które wykraczają poza rozumowe wyjaśnienia. Uczono mnie, że to bezsens. Nie mogę upaść tak nisko.

Podszedł do jednej z półek i włączył drugą lampę, po czym kolejną. A potem ujął wiertarkę.

– Udowodnię, że to, co powiedziałem, jest prawdą. W ten czy inny sposób.

Nagle Rick poczuł lęk.

– Stan, co, u diabła, zamierzasz...

Stan włączył wiertarkę. Rozejrzał się, ale nic więcej nie pozostało do uruchomienia. W pomieszczeniu brzmiał trzask i warkot, w kręgach światła wirował kurz. A za oknem, w oddali, majaczyło wzgórze Black Horse, cień na tle nocy. Wydawało się, że wzniesienie ma z dziesięć mil.

– To świństwo może przyjść przewodami. Może dopaść ludzi w szpitalach. Dopadło Allison. Zmusiło ją do zrobienia czegoś, co do tej pory wzbudza we mnie dreszcz. A zatem to coś może też być tutaj. W lampach, w wiertarce. Przypuszczam, że to Coś, czymkolwiek jest, kieruje się logiką. Jak dotąd działało etapami, które da się wyjaśnić. A skoro jest logiczne, rozumie, że jestem jedynym człowiekiem, który może je skazać na śmierć. Uwolniłem cię od odpowiedzialności, Rick, a także, przynajmniej na teraz, od ryzyka. Jeżeli posłuchasz poleceń, jakie ci wydałem, nic ci nie grozi. Zatem jeżeli to Coś chce pozostać żywe, musi mnie dopaść. I musi to zrobić szybko. – Stan położył dłoń na wiertarce i spojrzął na wzgórze w oddali. – Wyzywam cię, draniu. Nieważne, co zrobisz, masz problem. Ponieważ jeżeli

mnie załatwisz, ludzie w końcu dowiedzą się, że istniejesz, i będą wiedzieć, jak cię zniszczyć...

Nic się nie stało. Wzgórze wznosiło się niczym ciemna chmura na tle gwiazdowego nieba, a wiertarka terkotała rytmicznie. Mężczyźni czekali. W końcu Stan wyłączył wiertarkę i lampy. Przenieśli się z Rickiem do salonu.

Wysłuchali wieczornych wiadomości. Były dziwne. W całych Stanach zaginęło ponad dziesięć tysięcy ludzi, zniknęli z domów i miejsc pracy podczas minionej doby. FBI rozpoczęło ogólnokrajowe śledztwo. Samolot rozbił się w Rockie, niemal pięćset mil od właściwego kursu. Kowboj, który sprawdzał ogrodzenia, widział coś dziwnego. Przysięgał, że natrafił na tłum obdartych ludzi o twarzach bez wyrazu, którzy przeszli obok niego bez słowa, kierując się Bóg wie dokąd. Pojawiło się wiele podobnych doniesień...

Stan wyciągnął mapy i zaznaczył na nich punkty. Kurs samolotu, wędrujące gromady ludzi... Połączył odcinki. Przecinały się w jednym miejscu.

Rick nie wierzył własnym oczom. Ale musiał uwierzyć.

– Na Boga, Stan – wyszeptał. – To się przemieszcza. Zaczęło się przemieszczać...

Stan tylko potrząsnął głową. Nie odpowiedział.

Przyjaciele namówili żony do wyjazdu na wschód. Nie powiedzieli, czego się obawiają, ale powtarzali raz za razem, że dzieje się coś niedobrego. Nie było łatwo, ale w końcu udało się przekonać kobiety. Ustalono, że Judy wyruszy z samego rana, a Rick pojedzie za nią najszybciej jak się da. A potem wszyscy udali się na spoczynek. Rick jednak nie mógł zasnąć przez całą noc.

Wstał o świcie, lecz Stan go uprzedził. Garaż okazał się pusty, szef pojechał do Saskeega.

Rick zajrzał do swojego domu. Panował tu spokój. Mężczyzna przebrał się, znalazł starą brzytwę i ogolił się szybko. Jakoś nie miał ochoty użyć maszynki elektrycznej. A potem wyszedł na ganek i zapatrzył się na dolinę, na wzgórze i na linie rozchodzące się we wszystkie strony niczym olbrzymia pajęczyna. Powtarzał sobie w duchu, że powinien się pakować, przygotować do wyjazdu. Ale to wszystko wydawało się po prostu zbyt szalone. Jakby rzucić pracę, dom, znajomych, karierę tylko dlatego, że miało się zły sen. Wokół panował przecież taki spokój. Powietrze było świeże i pachnące, niemożliwe, żeby przewodami przemykało Coś, co pragnie zmieść ludzkość z oblicza ziemi...

Rick pojechał więc do Saskeega. Zdziwiła go ilość patroli na drogach. Nikt nie wiedział, co się dzieje, ale Rick dostrzegł czołgi i uniesioną broń. Nie celowano jednak w niego. Mężczyzna usłyszał za to niepewne pytanie, czy zaczęła się nowa wojna.

Saskeega była pusta. Opuszczona. To wydawało się szaleństwem. Rick wyraźnie słyszał huk turbin, jaki zawsze rozbrzmiewał w tym miejscu. Brakowało nadzoru, ale elektrownia działała samodzielnie.

W oddali rozległy się syreny, ale nawet ten dźwięk wydawał się osamotniony. Jakby nie było nikogo, kto mógłby je wyłączyć. Rick przeszedł przez główną halę i zajrzał do gabinetu Perkinsa. Drzwi były uchylone, nikogo za nimi. Tylko przewrócone krzesło i rozrzucone na biurku i na podłodze papiery. Jakby dyrektor zerwał się nagle i wybiegł. Niewiele się dowiedziawszy, Rick pojechał do elektrowni.

Słońce zaczęło przygrzewać, zanosilo się na ciepły dzień. Rick wysiadł z samochodu i przebiegł przez żwirowy podjazd. Tylko chrzęst jego kroków zakłócał ciszę. Mężczyzna wszedł do dyspozytorni. Na szczęście zastał tam Donnella. Rick od razu zaczął wykrzykiwać pytania: gdzie, do cholery, jest personel zmiany, dlaczego Donnell nie wezwał pomocy. Rick miotał się jak oszalały, na czoło wystąpił mu pot. Donnell wyjaśnił, że telefony nie działają, a nie może wyjść i zostawić elektrowni bez nadzoru. Na Black Horse pojawiły się skoki napięcia, ale bezpieczniki nie przerwały linii. Pan Mainwaring był tutaj, ale pojechał do Wysokiej Ósemki i obiecał, że stamtąd zadzwoni, jednak jeszcze nie dzwonił...

Rick spojrział na wskaźniki głównego pulpitu, poruszały się rytmicznie. Budynek pulsował. Nie był to dźwięk, lecz raczej odczucie pracujących turbin, wytwarzających moc przekazywaną do linii i pędzącą do Black Horse. Donnell nie mógł ustać spokojnie. Przewody się psuły, a teraz znowu się zepsują, niedobrze się dzieje. Nie można pozwolić, by linie się spaliły, ale nie można ich też wyłączyć bez autoryzacji. Czy Rick może wydać Donnellowi pozwolenie na wyłączenie linii?

Cameron tylko zaklął. To była sprawa Donnella, nie jego. Inżynier wyglądał, jakby się miał rozpłakać. Zaczął pukać w kontrolki i wskaźniki, chyba nie wierzył własnym oczom. Nie wierzył, że to się dzieje naprawdę. Wtedy zadzwonił telefon.

Rick chwycił słuchawkę. Ale to nie był Stan, lecz Judy. Jednak niektóre telefony działały, nie wszystkie wysiadły. Judy chciała wiedzieć, czy wszystko w porządku, bo właśnie się pakuje, zaraz wyprowadzi samochód, czy wszystko w porządku?

Donnell chwycił Ricka za ramię. Mamrotał coś o muzyce. Cameron odepchnął inżyniera, a ten zaczął krzyczeć.

– Muzyka, Rick, znowu się zaczęła, jak poprzednim razem, wtedy też była muzyka, widziałem, jak poruszały się wskaźniki, wszyscy widzieliśmy, ale nie mogliśmy nic zrobić, tylko słuchać muzyki. Chryste, Rick, muzyka... – Opadł na kolana i objął się mocno ramionami. Zdaje się, że Donnell miał dość.

Rick czuł moc wibrującą pod podeszwami, a na linii czekała Judy. Nie wiedział, co robić, nie mógł nawet myśleć. Napięcie znowu zaczęło skakać, a on nic nie potrafił wymyślić.

– Słuchaj, Judy – powiedział w końcu. – Zabierz wszystko, co musisz, i wyjdź. Nie jest w porządku, dzieje się coś niedobrego. Więc po prostu pospiesz się, Judy...

I wtedy do niego dotarło. Żona się pakowała, a zatem dzwoniła z domu. Nie powinna tam być, mieli przecież wyjechać i zostawić wszystko...

– JUDY, NATYCHMIAST WYJDŹ Z DOMU...!

– Co...

Rick zakrztusił się, ale musiał jej powiedzieć.

– Linie, Judy. Jak mówiłaś, coś jest z nimi nie w porządku, więc nie podchodź do przewodów. Nie próbuj gotować, nie włączaj światła, nie dzwoń więcej. Po prostu wyjdź. Powiedz Jeff, że to ostrzeżenie ode mnie i Stana. Przekaż, że przyjedziemy do was najszybciej jak się da. Przyprowadzę Stana, przyprowadzę na pewno, nawet jeżeli miałbym go nieść. Ale wyjdź z domu! Rozumiesz, Judy, prawda? Rozumiesz?!

– Ta-ak...

– Grzeczna dziewczynka. A teraz skończ pakowanie i wynoś

się z domu. Zobaczymy się niedługo...

Odłożył słuchawkę i przerwał połączenie. Donnell krzyczał: – Słyszałem ją poprzednim razem, Rick, ale nie mogłem ci powiedzieć, bo uznałbyś mnie za wariata, straciłbym pracę, dlatego nie mogłem powiedzieć, co słyszałem...

– Na rany Chrystusa, zejdź mi z drogi... – Rick minął inżyniera i podniósł znowu słuchawkę. Zadzwoił do Wysokiej Ósemki. Nikt nie odpowiedział. Statyczne trzaski na linii były głośne, słychać było też zmieszane rozmowy, jak jęki i bełkotanie, niczym rozmowy armii szaleńców. Rick w życiu nie słyszał takich zakłóceń. Krzyknął: – Jest tam kto? No, już! Niech ktoś się odezwie! Słyszysz mnie ktoś...?

Zdawało mu się, że słyszy trzask podnoszonej słuchawki.

– Stan, to ty? Jesteś przy Wysokiej Ósemce?

Jęk. To zabrzmiało jak jęk. I słowa, niemal niesłyszalne wśród zakłóceń. Brzmiały jak: – Nie mogę... – A potem cisza.

Cameron przycisnął widełki.

– Stan? – wrzasnął. – Stan, słyszysz mnie? Elektrownia do Wysokiej Ósemki, JEST TAM KTOŚ...?

I Wysoka Ósemka odpowiedziała. Rick i Donnell ujrzeli na własne oczy, jak każdy wskaźnik na głównym panelu zatrzymał się w pozycji maksimum przy skoku napięcia...

Rick wydał odgłos jak zraniony koń. Doskoczył do panelu i rozłączył linie. Wskaźniki opadły martwe. Wówczas mężczyzna ruszył do samochodu.

Na wzgórzu Black Horse można się było dostać skrótem, który nie przecinał Freshet. Wyboista droga, nieco tylko lepsza od udeptanej ścieżki. Rick skierował na nią wóz, brał zakręty z

piskiem opon, obijał chromowane zderzaki o głazy na poboczu. Próbował pokonać odległość jak najszybciej, nie troszcząc się o nic więcej. Kiedy Cameron dotarł do Wysokiej Ósemki, linie znowu działały. Ktoś zapewne rozkazał Donnellowi, żeby je włączył. Albo same się włączyły. Rickowi nie robiło to różnicy. Ani też nie robiło to różnicy ludziom, którzy dotarli do przekaźnika wcześniej.

Przez całą noc musieli tu iść, nieszczęśnicy, pierwszy z obdartych tłumów... Leżeli na przewodach, transformatory śpiewały radośnie. A na ścianach widoczne były ciemne smugi, jak po owadach w pułapce. Ciała oblepiały przewody niczym zepsute owoce. Wokół wzgórza stał kordon wojska. Ciężko stwierdzić, ale zdaje się, że żołnierze znaleźli się na kablach jako pierwsi...

Rick parsknął śmiechem. Cichym chichotem, stłumionym i piskliwym. Śmiał się z ludzi, z Wysokiej Ósemki, z widoku, jaki miał przed sobą, i z obietnicy, którą dał Jeff. Przyrzekł, że przyprowdzi Stana, nawet jeśli miałby go nieść... Ale nie mógł go nieść. Rick nie mógł go nawet podnieść, bo przyjaciel by się złamał, był tak kruchy...

Rick opuścił wzgórze. Nigdy nie potrafił sobie przypomnieć, jak to zrobił. Musiał chyba przebiec ostatnie pół mili. Na dole, przy przekaźniku numer siedem, znajdował się spory plac. Parkowano tu i składowano różne materiały, gdy odbudowano stację. Rick miał szczęście, na placu stał samochód firmowy. I żadnego człowieka. Mężczyzna otworzył drzwi kabiny, załadował wszystko, czego potrzebował, na tył. Kiedy nie mógł już nic zmieścić, włączył silnik i ruszył do Freshet niczym

wysłannik z samego dna piekieł. Nie potrafił myśleć. Chciał tylko zobaczyć Judy, uciec stąd, zacząć od nowa.

Niestety, natrafił na problem. Blokadę drogową. Nie było jej, gdy wjeżdżał na wzgórze. Na jezdni stały słupki, za nimi żołnierze. Rick zatrzymał wóz i jeden z uzbrojonych mężczyzn podszedł do kabiny. Wyglądał, jakby nie wahał się użyć broni, gdy uzna, że trzeba. Rick krzyknął, że jest konserwatorem z Saskeega i ma pilną pracę. Pokazał przepustkę i żołnierz poszedł po sierżanta.

Cameron czuł, że zaraz oszaleje. Nie mógł czekać. Sierżant zbliżył się pośpiesznie. Wskazał kciukiem za siebie.

– Zjedź, przyjacielu...

I wtedy na drodze rozpętało się piekło. Zabrzmiały krzyki i strzały. Nadchodziła kolumna ludzi. Żołnierze strzelali nad głowami tłumu, próbując go zawrócić. Oczywiście na nic się to zdało, ludzie szli, jakby nic nie zauważyli.

Rick wcisnął hamulec i pozwolił, by fala przybyszów minęła jego samochód. Usłyszał uderzenie, twarz sierżanta rozplaszczyła się na bocznej szybie i znikła, gdy żołnierza porwał tłum, obojętnie przewracający słupki na drodze, przechodzący przez kordon i zabierający strażników ze sobą. Za plecami Rick usłyszał trzask, niebo przecięła iskra, zawył wiatr, a potem nastąpiła cisza. Nikt nie próbował atakować, najwyraźniej przybysze mieli ważniejsze sprawy na głowie niż człowiek w samochodzie.

Rick wrócił do domu. Samochód Jeff nadal stał na podjeździe. Mężczyzna zaparkował i wysiadł pośpiesznie. Przeczucie kazało mu zajrzeć do garażu. Brama była otwarta, ale stary pontiac

żony znikł. Rick próbował sobie wmówić, że nie szkodzi, pewnie Jeff i Judy pojechały pontiakiem do domu Stana, ale to nie pomagało. Rick czuł, jak na sercu zaciska mu się dłoń, aż przestał czuć cokolwiek. Powoli wszedł na ganek.

– Judy...? – zawołał.

Nic. Żadnej odpowiedzi. Z głębi domu dochodził szmer wody i jeszcze jeden dźwięk. Rick podążył w tamtym kierunku. Odgłos niósł się z salonu. Rick wszedł tam powoli. Na dywanie buczała suszarka do włosów, nadal podłączona do gniazdka w ścianie.

Jeff znalazł w kuchni. Nie do wiary. Kobieta siedziała pochylona przy zlewie. Cameron uniósł jej głowę. Z krawędzi zlewu spływała krew, na ścianie rozprysły się czerwone i różowe krople, różowy strumyk znikał w odpływie. Twarz Jeff była rozdarta od czoła do policzka, jakby ją drapnął wielki górski kot. Pobieгла do kuchni, by zatamować krwawienie, ale nie mogła, bo rany były za głębokie. Rick zostawił ją, nie mógł nic dla niej zrobić.

Wyprostował się sztywno. Wiedział tylko, że jeszcze nie może oszaleć. Jeszcze nie, choć przez chwilę.

Wiedział, co się stało, bez trudu mógł się domyślić. Judy zrobiła, co jej kazał Rick, wyłączyła urządzenia elektryczne, ale zapomniała o suszarce. Żona wzięła kąpiel, przebrała się i zaczęła suszyć włosy, a wtedy Wysoka Ósemka mogła przemówić, wszak urządzenie znajdowało się tuż przy twarzy Judy. Rick powinien pamiętać, powinien ostrzec żonę przed włączaniem suszarki...

Jeff próbowała ją powstrzymać. Kiedy Judy usłyszała... cokolwiek to było... poszła do pontiaca, a Jeff próbowała ją

zatrzymać, więc Judy rozorała jej twarz... Ale to nie była Judy, Judy nie zrobiłaby tego przyjaciółce, to nie była jego Judy, lecz to Coś, co zamieszkało w Wysokiej Ósemce... I tam właśnie poszła żona Ricka, zostawiła Jeff na ziemi i uruchomiła samochód, po czym pojechała – Boże, słyszysz mnie?! – pojechała do Wysokiej Ósemki...

Rick powinien był wcześniej to zrobić. Powinien ją zabrać stąd dawno temu, Judy przecież zawsze bała się linii, wiedziała, że pewnego dnia będzie musiała do nich iść.

To coś zabrało Stana i zabrało Judy, zabrało wszystkich bliskich Ricka. Wszystko, co miał. Powinno było również zabrać Ricka. Widziało, że Rick je nienawidzi, wiedziało, że może je zabić. To coś czaiło się teraz w domu, skryte w zwojach kabli, w obwodach elektrycznych, syte i rozleniwione. Ale wiedziało też, że musi się ruszyć, ponieważ Rick postanowił je zabić.

Rick wiedział, że musi zachować zdrowy rozsądek. W samochodzie miał pudełko zapalników i laski materiałów wybuchowych. Wystarczy je podłożyć na szczycie słupów z kablami łączącymi się z Wysoką Ósemką, by rozerwać linię i uwięzić to coś. A potem będzie można zrównać z ziemią Wysoką Ósemkę, rozbić na pył jej ohydne błękitne serce... Ale Rick nie chciał tego zrobić. Zapalniki miał przygotowane, sprawdził je, ale wiedział, że nie ma dość siły woli, by ich użyć. Nie chciał ich użyć, ponieważ musiałby wejść do budynku przekaźnika, zdjąć Judy z kabli...

I wtedy Rick to poczuł.

Zew Wysokiej Ósemki...

Zachwiał się, zamarł, po czym podniósł dłoń do czoła. Miał

wrażenie, jakby usłyszał wszystkie dźwięki naraz. To było niczym muzyka, ale nie muzyka. Jak wiatr wśród liści. Jak głosy. Jak rozmowy z matką... Przyjemne, coraz bardziej przyjemne i... uch...

Uch...

JAK JUDY...

Zew nie mógł opanować Ricka. To coś próbowało, ale nie dawało rady. Naciskało raz za razem, po czym wyślizgiwało się, by naprzec znowu, odszukać mężczyznę, przyszpilić go...

Rick znowu się poruszał, wbrew naporowi zewu. Zapalniki w dłoni, laski dynamitu w samochodzie i wiatr w koronach drzew, kojący, i Judy wołająca go z oddali. Byle tylko nie zapomnieć o zapalnikach, byle tylko nie zapomnieć... i ruch na szczycie wzgórza. Drgnienie i przyczajenie. Ruch, który nie był ruchem. Cząsteczki, które nie były cząsteczkami, choć łączyły się i formowały, pieniały się i wrzały...

I po raz pierwszy w przewodach pojawił się STRACH...

Brian W. Aldiss (ur. 1915) jest jednym z wiodących brytyjskich pisarzy SF od lat pięćdziesiątych, a także krytykiem i historykiem. Pierwszą nagrodę otrzymał za serię opowiadań zebranych w *Hothouse (1961)*, dziejących się na Ziemi w odległej przyszłości. Od tamtej pory Aldiss otrzymał wiele kolejnych nagród, w tym jedną za opowiadanie *The Saliva Tree (F&SF, wrzesień 1965)* i za pierwszą powieść z trylogii *Helliconia – Helliconia Spring (1981)*. W twórczości tego pisarza zawsze uderzało mnie to, że nie podążał za modnymi trendami. Rozwijał własne pomysły, nieważne, czy staroświeckie, czy nowoczesne. Podbił Nową Falę w latach sześćdziesiątych utworem *Report of Probability A (1968)* – który czekał prawie sześć lat na publikację – i pozostał niezwiązany z ruchem. Wiele z jego książek było zaliczanych do głównego nurtu, Aldiss zrobił dla SF więcej niż jakikolwiek inny pisarz brytyjski – zwrócił uwagę środowisk literackich na fantastykę naukową. Prezentowane opowiadanie jest przykładem eksperymentów literackich i koncepcyjnych Briana W. Aldissa. Do końca nie wiadomo, o czym tak naprawdę jest ta opowieść, a kiedy się ją przeczyta – nie da się zapomnieć.

Brian W. Aldiss

SKRAWKI

I

Tu w dole, w Bagnolandzie, rachuba czasu była niezwykle pomysłowa. Dwa A miał przed oczyma rząd wetkniętych w błoto patyków. Wielkimi gąbczastymi dłońmi, które czasami nie miały z nim nic wspólnego, chwycił kolejno patyk za patykiem, po drodze rachując niekiedy w liczbach, a niekiedy w takich abstrakcjach, jak lirogony, zardzewiałe mutry, pogrzebaczce i wodorosty. I tak parł wbrew nurtowi czasu, zajadle i szybko przez ciemność, aż odwieczna błogość zwierzęcego upodlenia otumaniła jego mózg i zapominał, o co mu chodzi. Rachuba ustępowała miejsca długim, melancholijnym kurczom duchowej niestrawności, które stanowiły jego procesy myślowe. I wspominając później tę chwilę, gdy nastąpiła zmiana, wiedział, że był to właśnie czas terażniejszy. Wtedy mógł zgadywać, jak dalece go wyprzedza bądź pozostaje za nim w tyle, i mógł też nadać temu czynnikowi odpowiednią nazwę, jakkolwiek ostatnio doszedł do wniosku, że wszystkie czynniki dadzą się sklasyfikować pod wspólnym terminem „Standard” i zgodnie z nim nazwał czas terażniejszy Chronologicznym Miernikiem

Standardowym.

Wyobrażał sobie Miernik Standardowy jako rosłego irlandzkiego gwardzistę z wąsami biegającymi wokoło rumianej pustki jego twarzy. Niekiedy, na przykład w dniu wypłaty albo na zakończenie defilady, ten Miernik Standardowy wygrywał kuranty, a śliczne kukułeczki wyskakiwały mu ze wszystkich otworów. Jako dodatkowy akcent humorystyczny Dwa A dodawał Miernikowi majtnięcia wahadłem jak w zegarze.

Dzięki temu genialnemu fortelowi stopniowo anulował czas, zostając pierwszym profesorem kwantów nocy. Jak dotąd owe eksperymenty nie kończyły się pełnym sukcesem, bo raz za razem jego macanie na oślepie udzielało się jego dłoniom i wracały one do niego uległe, ślizgając się w błocie. Dwa A gryzł je czasami, na co nie reagowały, a smak miały nieprzyjemny.

– Tyś jest intelektem – zdawały się mówić. – Ale myśmy narzędziami intelektu. Traktuj nas łaskawie.

II

Inny eksperyment dotyczył ciemności.

Leżenie plackiem w błocie stanowiło, niestety, kompromis, nawet po amputacji obu nóg. Dwa A musiał przyznać, że w jego upodleniu nie było nic ostatecznego, jako że zaczynał... nie, nikt by go nie zmusił do użycia wyrażenia „cieszyć się błotem”, jednak nikt mu też nie mógł zabronić, by użył wyrażenia „ambiwalencjować płetwiastą rękę, a może porękę?”, z tym że w pewnych kontekstach można je interpretować jako bliskoznaczne mniej więcej do wyrażenia „cieszyć się błotem”.

W każdym razie jak dotąd i głupio-głośno należało zakładać, że wszystko jest kompromisem. Ciemność szła na kompromis sama z sobą i z nim samym. Ciemność była słodka i ciepła, i mokra.

Kiedy Dwa A uświadomił sobie, że ciemność nie jest absolutna, że absolut abstrakcyjny znajduje się poza nią, wpadł we wściekłość – urojonymi piętami bił w błoto, sikał w nie z niejakim splendorem i siłą, i domagał się głośno ciemnych okularów.

Ciemne okulary nie sprawdziły się, ponieważ zaszły błotem tak mocno, że Dwa A nie mógł przez nie obserwować, czy ciemność się zwiększała, czy nie. W związku z tym założono mu hebanowe szkła kontaktowe i po tak wspaniałym akcie łaski Dwa A żywił nadzieję, że nareszcie osiągnie bezkompromisowy punkt odniesienia.

Nic z tego! Posiadał powieki, które dociśnięte do

wzmiankowanych szkieł wykreślały radosne desenie na powierzchni nocnej jego gałek ocznych. Deseń i ciemność nie mogą współistnieć i tak oto znowu górą był ten cholerny krótkowzroczny Gnojek Kompromis, sięgający do kolan szpilce i cuchnący jak szczurze wąsy, niemniej jednak Śmierdzący Bezgranicznie Pan Stworzenia. No dobra, jeszcze go nie pobito. Dwa A wypełnił Podanie Nr Sześć Zero Pięć Trzy Po Trzy Po Trzykroć Trzydzieści patyków i ławic piasku, pomnożone przez stare domniemanie o przywileju Osobnika Dwa A, mocium panie, od niedawna w Regimencie Miernika Standardowego, mocium panie, o poddanie go całkowitej, częściowej i bezkompromisowej Amputacji Pary Robakowatych Przydatków stanowiących własność wzmiankowanego Dwa A i do tej pory figurujących jako Powieki tegoż.

Tymczasem zanim przyjęto jego podanie i skalpele poszły w ruch, Dwa A dokonywał swoich okrutnych eksperymentów na ciemności.

Krzyczał, szeptał, gadał, mamrotał, wyrzekał, wyklinał, złorzeczył, puszczał wiatry, płatał figle, zjadał końcówki, biernikował imiesłowcy i jednym słowem w wielu słowach bez końca mawiał, namawiał, przemawiał, wymawiał i w ogóle uprawiał wokalną wojnę podjazdową z ciemnością. Wkrótce zapędził ciemność w kozi róg. Nie była wyposażona oralnie aż tak dobrze jak Dwa A, który popędził jej kota za pomocą „Trzech mądrych maniaków przybyło z Babilonu, bijąc bilon i niosąc w darze Frankensteina, złoto i zło” oraz innych takich dekompozycji o charakterze literacko-religijno-filozoficzno-medycznym.

Zatem moce ciemności nie miały mocy nad mocami pisku.

– Niech się stanie światłość – huknął Dwa A i stała się łatwość.

W ogłuszającym mroku nabitym ciasno zgłoskami ujrzał mglistą mulną marę Gasma.

– Niech się stanie ciemność – huknął Dwa A.

Ale spóźnił się, przegapił okazję, wyprowadził swój eksperyment poza bladość. Jako że w bladości i plugawości, widzialny czy niewidzialny, Gasm plugawo prezentował swoją prezencję. Zaś długości, szerokości i wysokości tkwiły w jego nagości jak ości.

III

I tak oto rozpoczęła się prawdziwa historia Bagnolandu. Teraz stało się możliwe prowadzenie eksperymentów nad starym arpeggio intelektualnym, ale również nad odmiennością osobowości, gwizdem dobywającą się ze środkowego rejestru odwiecznie wesolutkiego ornatu emocji. Ameby, wydawcy i kochankowie wchodzą w skład tej ogromnej orkiestry obiektów klasyfikowalnych, co do których czy też dla których odmienność osobowości jest ambrozją. Dwa A zabrał się teraz do szczegółowego badania zagadnienia, czy posiada OO z Gasmem. Przede wszystkim, rzecz jasna, nie wiedział, czy sam posiada O, ani, rzecz jasna, do kwadratu, jako że rozumuje naukowo, czy Gasm posiada O. Czy bez pierwszego O może istnieć drugie? Czy ktoś mógłby posiadać O minus O?

O, nieznośna lekkość badań naukowych. W przeciągu patyków chronologicznych, które minęły w czasie, kiedy Dwa A mozolnie przedzierał się przez gąszcz ciernistych pytań, bezwiednie opadła go zazdrość. Wbrew wrzaskom i hebanowym szkłom kontaktowym, dzięki którym bliźniacze przeciwieństwa jego zanegowanych negacji niby–ciemności znajdowały się mniej więcej prawie w apogeum całkiem dzielnej niby–walki z kompromisem, Gasm trwał niechlubnie widzialny i taplał się w bagnie nie dalej niż w wymiernej odległości. Amputacje Gasma identyczne były z amputacjami Dwa A, co znaczyło: przy miejscowym znieczuleniu i po dwóch aspirynach chirurgicznie usunięto owo zbiorowisko ganglionów, mięsa, krwi, kości,

paznokci, włosów i rzepki zwane w dalszym ciągu Nogami. Tu nie było żadnego powodu do zazdrości. Doprawdy Oni byli demokratyczni w każdym calu: jeden głos na jedną głowę, jedna głowa na dwie nogi; dwie głowy na cztery nogi. Ich chirurdzy to perły z oceanu równości. Nie dali Dwa A żadnego powodu do zawiści.

Ale. Mocą wyobraźni mógł sobie przedstawić, że amputacje Gasma inne były niż w rzeczywistości. Z łatwością (a w miarę zdobywania wprawy z łatwością jeszcze większą) mógł sobie wyobrazić, że Gasmowi amputowano jedną rękę i jedną nogę zamiast obu nóg. A taka amputacja była ciekawsza od amputacji Dwa A oraz od tego, że Gasm posiada płetwy.

A zatem wąż pojawił się nawet w błotnistym rajku Bagnolandu i wił się pomiędzy dwoma wydającymi okrzyki ciałami. OO stało się faktem.

IV

Dwa A zarzucił wszystkie inne eksperymenty, koncentrując się na katowaniu i katechizacji Gasma. Stopniowo Bagnoland zatracił swoją osobowość, przechodząc w Katowanie i Katechizację, inaczej K plus K. Dwa A był zmęczony fizycznie nowym drylem, a jeszcze bardziej znużony psychicznie, ponieważ podczas procedury czuł się zmuszony pytać nieustannie, dlaczego powinien robić to, co robi, miast błogo wylegiwać się w błocie ze swymi dłońmi. Katechizm był sformalizowany w ramach kilku tematów i oktaw, gdyż Dwa A wykrzykiwał pytania, a Gasm wyrzaskiwał odpowiedzi.

– Jak się nazywasz?

– Nazywam się Gasm.

– Nazwij parę innych nazw, które mógłbyś mieć na imię.

– Mógłbym mieć na imię Plus albo Shob, albo Fred, albo Syf, albo Drag, albo Złamas, albo Ból.

– Jakie dziwne dziedzictwo sprawiło, że mieścisz swoją świadomość w przestrzeni płuc, aorty, krwi, ciałek, pęcherzyków, obszaru krzyżo–biodrowego, żeber i czaszki?

– To dlatego, że gdybym mógł chodzić wyprostowany, chodziłbym wyprostowany we wspaniałej kompanii Wyższych Kręgosłupców, które wyrosły ze zwykłych błot, dinozaurów i dodo. Ci, którzy przyszli przed nami, to byli kręgogłupce i kręgodupce, ale my jesteśmy kręgosłupcami.

– Co będzie po nas?

– Po nas choćby potop.

- Jak wielki jest potop?
- Jak potop.
- Jak głęboki jest potop?
- Jak potop.
- Jak potopowy jest potop?
- Potopowy, potopowszy, najpotopowszy.
- Odmień przez osoby i przypadki.
- Przez przypadek odmieniam osobę.
- Z kim ty rano tyranizowałeś tyranozaura?
- To nie była góra. To moje kolano.
- A co będzie po kręgosłupcach?
- Nic nie będzie po kręgosłupcach, ponieważ my jesteśmy najwyższą formą cywilizacji.
- Wymień znamiona, na podstawie których można określić szczyty naszej cywilizacji.
- Jest dokładnie siedem szczytów, na podstawie których można cywilizować określenie naszego znamienia. Ujarzmienie ciała. Zmartwychwstanie wieżowca. Unieśmiertelnienie gatunków. Unicestwienie gatunków. Gloryfikacja pośladków. Somnamwolizm świadomości. Wszystkożerność seksu. Zakończenie Wojny Stuletniej. Kondensacja mleka. Rozmowa niemych. Konfiskata mnichów...
- Wystarczy! Wystarczy! Wymień teraz podstawową ideę naszej cywilizacji.
- Zainteresowania producenta i konsumenta są takie same.
- Co jest usprawiedliwieniem wojny?
- Wojna jest usprawiedliwieniem samej siebie.
- Czym jest żądza karmienia się sprawiedliwością?

– Objawem zachcianki smakowej.

– Zaśpiewajmy półtorapieśń miłosną głosami osiemdziesięciolatków.

W tym miejscu wystawili grzbiety z błota i zaśpiewali następującą bezmelodyjną śpiewkę:

Czynnika stałego w pięknie nie znajdziemy.

I chociaż rzeką ewolucji w dół nie popłyniemy, Dziwne są jej meandry, a dowodem tego Forma, format i fason biustu kobiecego.

Stożkowaty, spiczasty, płaski, ostry, bombiasty, Dzwoniasty, baniasty, grucha, owal, kopiasty, Każdy cycek rozacza piękno lub spodlenia Synkliny, antykliny, kotliny, wzniesienia.

Lecz od Peru po Timbaktu Biustu aspekty to efekty Mięśni piersiowych zwarcia – starcia Z dość stałym czynnikiem zwanym siłą ciężenia.

Opadli w muł, klepiąc się nawzajem po pośladkach.

V

Przez pewien czas trudno oczywiście było mieć pewność wszystkiego i niczego. Niepewności stały się niemal nieskończone, a spośród ich liczby najbardziej godna uwagi była niepewność, czy rzeczywiście katechizacja zachodziła na płaszczyźnie rzeczywistości cokolwiek szerszej od umysłu Dwa A; niepewność, czy katowanie rzeczywiście zachodziło na płaszczyźnie rzeczywistości cokolwiek szerszej od umysłu Dwa A; niepewność, czy katowanie, jeśli rzeczywiście zachodziło, to czy zachodziło za pomocą patyków. Ponieważ coraz pewniejsze stawało się, że Dwa A ani Gasm nie posiadali rąk, by władać patykami. Z drugiej zaś strony istniały dowody wskazujące jasno na przypadki, że jakiś rodzaj kary miał miejsce.

Gasm już przestał przypominać człowieka. Zdecydowanie przybrał kształt torpedy. Miał płetwy.

Dwa A odkrył ku swemu zaskoczeniu, że pojęcie płetw nie było dlań zaskoczeniem. Na pewien czas płetwy zaprzętnęły mu myśli. Mało tego, płetwy wyzwoliły w nim cały wodny sposób myślenia, zalewający go nowymi domysłami, podczas gdy niektóre ze starych zmieniały się w popłuczyny. Na przykład idea, że kiedykolwiek nosił ciemne okulary czy hebanowe szkła kontaktowe... Bzdura!

Szukał na oślep wyjaśnienia. Tak, doznał halucynacji. Tak, obecnie cała sekwencja myślowa sama się wyjaśniała i rozplątywała. Uległ był halucynacjom. Coś było nie w porządku z jego umysłem. Jego centra optyczne się zdecentrowały.

Zaczynały mu się jakby kolorować granice obszaru zakłóceń. Przyszło mu na myśl, że mógłby kiedyś zbadać tę celę czy zbiornik, w którym przebywał Gasm. Nie miała żadnych drzwi i okien. Być może tak jak i on sam uległa jakiejś pełnomorskiej przemianie.

Wydając przeciągłe, płynne westchnienie, Dwa A oderwał się powoli od dna. Wznosząc się, spojrział w górę. Dwa ludzkie topielce pływały na suficie, spoglądając na niego.

VI

Dwa A spłynął z powrotem na swoją dotychczasową łąkę mułu, tyle tylko zyskawszy, że przekonał się o zniknięciu rąk. Nic nie mogło mu zrekompensować tej straty z wyjątkiem długiego, silnego ogona, jaki mu wyrósł. Ten długi, silny ogon skłonił go do przeprowadzenia innego eksperymentu – ni mniej, ni więcej jak próby żywienia iluzji, że ogon jest prawdziwy, za pomocą wmówienia sobie, że istnieje część jego mózgu zdolna tenże ogon ożywić. Łatwiej zrobić, niż pomyśleć. Niczym więcej jak tylko wyimaginowanym machnięciem fantomatycznego przydatku, dzięki któremu pozęgłował nad Gasmem sterowanym kursem, nurkując pod, ale ogólnie rzecz biorąc, ignorując obu topielców. Odtąd przybrał sobie imię A dwa i już więcej nie zajmował się ani czasem, ani rękami, ani wydmami rąk i czasu.

Jakkolwiek miłe mu było błoto, milej było znajdować się ponad nim, tym bardziej że Gasm mógł zrobić to samo. Wyhodowali obaj nowe talenty – a może nowe talenty ich odnalazły? Teraz zapominali o pytaniach w momencie ich zadania, ponieważ na mocy cudu wzajemnego zrozumienia A dwa i Gasm zaczęli uważać siebie za ryby. A zaraz potem zaczęli roić o dopadnięciu obcych najeźdźców.

VII

Najważniejszym obiektem w laboratorium był ogromny zbiornik do połowy wypełniony wodą morską. Wzdłuż górnej krawędzi biegł metalowy pomost z poręczami, do którego prowadziły metalowe stopnie. Zarówno stopnie, jak i pomost wyłożono gumową wykładziną dla tłumienia dźwięków, a dwaj mężczyźni, którzy nim szli, mieli gumowe buty, aby zachować maksymalną ciszę. W pomieszczeniu panowała niemal zupełna ciemność.

Mężczyźni, których nazwiska brzmiały Roberts i Collison, przystanęli na pomoście, zaglądając przez okulary na podczerwień w głąb zbiornika. Chociaż mówili prawie szeptem, w głosach dała się słyszeć nuta triumfu.

– Myślę, że tym razem udało się nam, doktorze Collison – powiedział młodszy. – W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin oba osobniki wykazywały mniejszą apatię i większą świadomość swojej formy i celów.

Collison skinął głową.

– Zważywszy na okoliczności, dochodziły do siebie wyjątkowo szybko. Tak wiele zabiegów chirurgicznych i tak różnorodnych... Chociaż ja sam odegrałem główną rolę w operacjach, ciągle nie mogę wyjść ze zdumienia, że można było dokonać transplantacji więcej niż połowy mózgu ludzkiego w tak ogromnie odmienne środowisko metaboliczne.

Wpatrywał się w dół, na dwa mgliste kształty opływające zbiornik. W odruchu litości zauważył: – Kto wie jakie straszliwe

traumy przejść musiały te dwie dzielne dusze? Jakie deliria amputacji, życia, narodzin i śmierci, a wszystko przy nieświadomości gatunku, do jakiego należą...

Robertsowi nie spodobał się ton towarzysza. Odezwał się z ożywieniem: – To już za nimi. Bez wątpienia obaj porozumiewają się między sobą. Mikrofony podwodne złowiły ich język. Adaptacja zakończyła się pomyślnie. Teraz dojrzewają do drogi.

– Być może, być może. A jednak nadal zastanawiam się, czy mieliśmy prawo...

Roberts przerwał mu pełnym irytacji gestem, domyślając się, że Collison mówi tak, by się uspokoić. Wiedział, że stary jest w głębi duszy dumny i tylko pro forma zwrócił się do Roberts, jakby mówił do któregoś z dziennikarzy. Ale ci pojawią się później.

– Bezpieczeństwo świata wymagało tego drastycznego eksperymentu. Obcy statek kosmiczny „wylądował” rok temu w Północnym Atlantyku, nieopodal Bermudów. Nasze łodzie podwodne zbadały jego szczątki na dnie oceanu. Zdobyto dowody, że statek wylądował w tym miejscu celowo i że został zniszczony dopiero po opuszczeniu go przez przybyszów. To byli ludzie-ryby, stworzenia wodne. Ocean jest ich żywiołem i niewątpliwie to oni są odpowiedzialni za powodzie rozprzestrzeniające się na amerykańskich i europejskich wybrzeżach morskich oraz zalewające Indie Zachodnie. I niewątpliwie prasa bulwarowa ma rację, głosząc, że nadeszła inwazja z kosmosu.

– Nie wątpię, drogi kolego, że prasa ma rację, ale...

– Tu nie może być żadnych „ale”, doktorze Collison. Nie udało

nam się nawiązać żadnego kontaktu z przybyszami. Uniknęli najczulszych sond głębinowych. Nie ma również żadnego „ale” co do ich wrogich zamiarów. Wydaje się bardziej niż prawdopodobne, że wybili oni w jakiejś niepojętej rzezi populację węgorza w toni Morza Sargassowego. Zanim wywrócą nam do góry nogami wszystkie morskie ekosystemy, musimy ich odszukać i wydobyć od nich informacje, dzięki którym będzie można z nimi walczyć. Tu są nasi szpiedzy, tu, w tym zbiorniku. Przeszli posthipnotyczne szkolenie. Jeszcze parę dni i kiedy będą gotowi, wypuścimy ich do oceanu, by zdobyli te informacje i powrócili z nimi do nas. Tu nie ma „ale”, to równanie złożone wyłącznie z imperatywów.

Dwaj mężczyźni schodzili z wolna metalowymi schodkami. Po lewej minęli olbrzymi zbiornik, który połyskiwał rosą.

– Tak, jest tak, jak pan mówi – przytaknął ze znużeniem Collison. – Ale bardzo chciałbym poznać te szalone doznania rodzące się w owych skrawkach ludzkiego mózgu wciśniętych w rybie ciało.

– Proszę nie mieszać w to jeszcze etyki – rzekł Roberts stanowczo.

W mroku zbiornika dwa olbrzymie tuńczyki pływały niezmordowanie tam i z powrotem, gotowe do wykonania swojej misji.

John Morressy Poprzednie opowiadanie było dość wczesnym przykładem wykorzystania przez fantastykę koncepcji inżynierii genetycznej. Dopiero parę lat później do języka weszło słowo „klon”, a klonowanie stało się tematem gorących dyskusji. Zakładając nieuchronny rozwój tej dziedziny, John Morressy (ur. 1930) – znany zapewne bardziej z opowiadań fantasy o czarodzieju Kedrigernie, choć przecież od trzydziestu lat pisze też sf – opowiedział o przyszłości, gdzie klony są wszędzie.

John Morressy

TYLKO MOJE ŻYCIE

Odkąd agencja zaczęła działać, podzieliłem się robotą tak, by przynosiła mi wzajemną satysfakcję. Prowadziłem biuro, chodziłem w teren i wziąłem na siebie pracę koncepcyjną. I jak dotąd system działał znakomicie.

Nie do końca był to wynik doskonałej organizacji. Bardzo pomogło rozwikłanie paru spektakularnych spraw. Rozniosło się, że kiedy ma się kłopoty z klonami lub z interesami w branży rozrywkowej – a szczególnie gdy pojawia się kombinacja obu problemów – Agencja Detektywistyczna „Czterolistna Koniczynka” Joe’ego Kilborna, jedyne go właściciela i wykonawcy, jest miejscem, do którego należy się udać.

Dlatego nie byłem zaskoczony, kiedy Serena Siddons pojawiła się w biurze i celując we mnie palcem, oznajmiła: – Chcę cię, Kilborn.

– Jak wielu ludzi, proszę pani – odpowiedziałem, wstając. – Ostatnio mam sporo pracy.

– Jesteś mi potrzebny bardziej niż innym i chętnie za to zapłacę.

Posłałem jej biznesowy uśmiech i wskazałem fotel. Rozsiadła się wygodnie, odrzuciła na plecy imponującą grzywę srebrzystych włosów i zmierzyła mnie badawczym spojrzeniem

szmaragdowych oczu, po czym równie uważnie otaksowała biuro.

– Ma pani nade mną przewagę, nie sędzę, abyśmy się poznali...

– Nie zgrywaj idioty, młodzieńcze. Każdy w tym mieście wie, kim jestem.

Miała zupełną rację, ale nauczyłem się już dawno, że nie należy pokazywać klientom, jakie na mnie wywarli wrażenie, nawet jeżeli je wywarli. Większość ludzi przychodzących do biura miała ego wystarczająco duże, by wypełnić Central Park, a obecna klientka biła ich pod tym względem na głowę – bez trudu zawstydziłaby Napoleona.

– Gdybym wierzył własnym oczom, byłaby pani Sereną Siddons...

Posłała mi uśmiech mroźny jak styczniowy wieczór.

– Licząc zgrubnie, młodzieńcze, dwadzieścia dwa tysiące ludzi w tym mieście byłoby Sereną Siddons, gdyby mogło. Ja jestem Serena Siddons.

Nigdy wcześniej nie spotkałem jej osobiście. Serena Siddons była legendą i pracowała nad utrzymaniem tej legendy w życiu i w mediach. Zajmowała się tym jednak w zupełnie innych kręgach niż te, w których ja się obracałem. Serena Siddons związana była z teatrem – „z Broadwayem”, jak powszechnie mówiono dla odróżnienia, choć tylko po to chyba, by namieszać bardziej, od „nie z Broadwayem” lub nawet „poza Broadwayem”. Pewnie z tęsknoty za czasami starego, dobrego Times Square, gdzie trzydzieści lub czterdzieści teatrów rok w rok wystawiało sztuki i musicale na żywo. Kiedy przedstawienia na żywo odeszły w tę samą przeszłość co czarno-białe filmy i dwuwymiarowa

telewizja, Serena Siddons zorganizowała międzynarodową trupę objazdową. Po dwudziestu pięciu latach na scenie zrobiła sobie dwuletnią przerwę, by napisać autobiografię, potem zajęła się pisaniem scenariuszy, następnie reżyserowaniem i produkcją przedstawień oraz propagandą swoich sukcesów. Nie potrafiłem wymyślić ani jednego powodu, dla którego ta kobieta miałaby się pojawić w moim biurze, ale mogłem się założyć, że wiązało się to jakoś z teatrem.

– Miło mi panią poznać – powiedziałem uprzejmie. – Do czego jestem pani potrzebny?

– Mam inwestycję, Kilborn. Chcę ją chronić.

– Co to za inwestycja, proszę pani?

– Słyszałeś, jak sędzę, o Trio na Pokaz?

– To trupa aktorska, prawda?

– Troje najlepszych aktorów, jakich widziałam, Kilborn. Najlepszych w branży, przynajmniej do dzisiaj. Może najlepszych w ogóle.

– Klon, czy tak, proszę pani?

– Owszem. Ale to na pewno nie powinno cię obchodzić, Kilborn. – Zmrużyła te zimne zielone oczy.

– Ani trochę, proszę pani. Potwierdzam jedynie fakty.

– Podam ci wszystkie fakty, jakie tylko zechcesz. Zakładam, że słyszałeś również o Księżu Proteuszu?

Musiałem zastanowić się przez chwilę.

– To imitator, tak?

– Iście mistrzowskie niedomówienie, Kilborn. Księż Proteusz nie imituje, on naprawdę staje się innymi ludźmi. Może być mężczyzną, kobietą, dzieckiem. Może się stać wysoki lub niski,

gruby albo chudy – jaki tylko zechce. Jest najlepszy.

– Skoro pani tak mówi. Ale co to ma wspólnego z panią i ze mną?

Po raz pierwszy podczas naszej rozmowy Serena Siddons okazała zadowolenie.

– Przechodzisz od razu do sedna, Kilborn. To dobrze. A jak się to wszystko łączy? Podpisałam kontrakt z Trio na Pokaz i Księciem Proteuszem na wystawienie *Hamleta*. Na żywo, przed publicznością, na scenie. – Uśmiechnęła się zimno. – Zakładam, że słyszałeś o *Hamlecie*?

– To jakaś sztuka, czy tak, proszę pani?

– To Sztuka, Kilborn. W tym mieście nie było *Hamleta* na żywo od trzydziestu sześciu lat, czyli od czasu, gdy grałam Ofelię. A teraz zamierzam wystawić spektakl, który nie spadnie z afisza, dopóki aktorzy będą grali i dopóki choć jeden widz będzie ich oklaskiwał. Mówię o przejściu do historii teatru, Kilborn.

– Oczywiście, proszę pani. A jaka jest w tym moja rola?

– Mówię także o przedsięwzięciu za dwa miliardy dolarów, które będzie warte dziesięć miliardów przed końcem premiery. Albo dwadzieścia. A może pięćdziesiąt. Chcę, abyś miał oko na Proteusza i Trio do czasu, aż wszystko ruszy.

– Zatem nagra pani pokaz dla holo?

– Możesz być pewien, że nagram. Ale do tego czasu ryzyko utraty każdego zainwestowanego centa jest ogromne.

– Skoro potrzebny pani tylko ochroniarz, to może... – urwałem, bo właśnie wszedłem do biura.

Na widok klientki zatrzymałem się zaskoczony, a potem podszedłem, zdjąłem kapelusz i skłoniłem jej się uniżenie.

– *Madame Siddons*, czyni pani tej skromnej agencji ogromny zaszczyt – powiedziałem z głębokim szacunkiem. Zimne spojrzenie nieco się ociepliło, kiedy dodałem: – Jeżeli będzie pani miała z czymkolwiek kłopoty, *madame*, wystarczy, że mnie pani wezwie. Jestem do pani usług. To niezwykle honor ujrzeć na własne oczy najślawniejszą osobę współczesnego teatru.

Przyznaję, że jestem w tym dobry. Ucieszyłem się, że przyszedłem. Na tym właśnie polegał podział pracy, o którym wcześniej wspomniałem. Klienci w rodzaju Sereny Siddons byli raczej w moim typie niż w moim. A ja, nie wiedziałbym nawet, jak sobie z takimi poradzić.

– Rozmawiałem rano z porucznik Gutierrez. Pytała o dokumenty Gundersona – oznajmiłem.

Trzepnąłem się w czoło z jękiem.

– Zupełnie zapomniałem o sprawie Gundersona! Muszę przejrzeć akta i sprawdzić raporty... Nie zdążę...

– Proszę pozwolić, *madame*, że zajmę się dalszymi ustaleniami. Sprawi mi to niewymowną przyjemność – wtrąciłem, zwracając się do Sereny Siddons z wyczekującym uśmiechem.

Rzuciła mi zimne spojrzenie, a potem spojrzała na mnie ciepłej.

– Oczywiście, młodzieńcze – zezwoliła. – Nie chodzi mi o ochroniarza. Wiem, gdzie wynająć bodyguarda. Chcę ciebie, Kilborn.

Spojrzałem na nią uważnie, po czym zająłem fotel naprzeciw. Złożyłem palce w piramidkę i wbiłem wzrok w sufit.

– Oprócz takich oczywistości jak te, że przyszła tu pani w sprawach związanych z teatrem, kontraktem z klonem i

wysokim ryzykiem inwestycyjnym, nie umiem wydedukować nic więcej... – zawiesiłem głos – może poza pani początkową niechęcią do mnie i pośpiechem, z jakim pani wybrała właśnie moją agencję, oraz niepokojem o zdrowie pani białego kota.

Nawet ja byłem pod wrażeniem i żałowałem, że muszę wyjść z biura, przez co nie zobaczę miny *madame* Siddons. Nie żeby było w tym coś niezwykłego. „Gunderson” stanowił bardzo wygodne hasło, którego używałem między sobą, gdy chciałem się upewnić, że klient zostanie właściwie obsłużony. W tej chwili oznaczało to, że muszę odegrać przedstawienie, jak to wychodzę w pośpiechu, i zadowolić się podsłuchiwaniami.

Kiedy opuściłem biuro, oznajmiłem: – A teraz, jeżeli pani pozwoli, zacznijmy...

– Chwileczkę, młodzieńcze – przerwała mi Siddons. – Tak łatwo się nie wykręcisz. Komu zapłaciłeś, żeby mnie szpiegował?

– Szpiegował, *madame*?

– Tak właśnie powiedziałam. Szpiegował, do cholery! Kto to jest, Kilborn? Moja pokojówka? Kucharz? A może przekupiłeś całą moją służbę?

– Nie potrzebuję szpiegów – odparłem z godnością. – Polegam na obserwacji i dedukcji.

– I w ten sposób wydedukowałeś, że mam białego kota? I że moja kotka jest chora? – Serena Siddons roześmiała się i wyprostowała w fotelu, jakby miała wstać i wyjść.

– Na pani spódnicy są kępki sierści, *madame*. Z pewnością próbowano ją oczyścić, ale spieszyła się pani, więc nie dała pokojówce skończyć – wyjaśniłem.

Serena Siddons opadła z powrotem na fotel, więc podjąłem: –

Obecność białej sierści na czarnej spódnicy wskazuje, że troska o kota przemogła u pani dbałość o wygląd. Spora ilość kocich włosów każe natomiast przypuszczać, że zwierzę nie jest w najlepszej kondycji.

Milczała przez długą chwilę. Przesunęła dłonią po spódnicy, strzepnęła kilka kłaczków, a potem zapytała: – A co z resztą? Skąd wiedziałeś o innych sprawach?

– Widziała pani moje metody, zatem powinno być to oczywiste.

– Ale nie jest, a nie przyszłam tutaj, by bawić się w detektywa. Dopiero co wszedłeś. Skąd wiedziałeś, dlaczego tu jestem?

– Po pierwsze: pani zajmuje się teatrem, a najgłośniejsze sprawy prowadzone przez tę agencję dotyczyły właśnie teatru, zatem nieprawdopodobne by było, gdyby przyszła pani z innym problemem. Po drugie, właścicielem i pracownikiem „Czterolistnej Koniczynki” jest klon i wiadomo, że agencja wielokrotnie rozwiązała sprawy dotyczące klonów właśnie. Po trzecie, moje ceny są najwyższe w mieście, jeżeli chodzi o branżę detektywistyczną. Nie zajmuję się trywialnymi zleceniami.

– Twoje wyjaśnienia mają sens. To naprawdę jest bardzo proste.

– Wszystko zawsze jest proste, *madame* – kiedy się już to wyjaśni.

– Nie bądź przewrażliwiony, Kilborn. Musiałam się upewnić, czy mam przeciek. Chcę, aby przedsięwzięcie, które planuję, pozostało w absolutnej tajemnicy, dopóki nie będę gotowa na rozpoczęcie kampanii reklamowej.

Streściła wszystko, o czym mówiła mi wcześniej, zanim

wszedłem do biura. Byłem pod wrażeniem. Zawsze interesowałem się teatrem, a zapowiadało się, że to przedstawienie *Hamleta* będzie znaczące, może nawet tak znaczące, jak twierdziła Serena Siddons.

– Rzecz jasna, jestem zaszczycony, że wybrała pani właśnie moją agencję – zapewniłem. – Nadal jednak nie pojmuję, dlaczego nie wystarczy zwykły ochroniarz? Za sumę, którą trzeba mi będzie zapłacić, mogłaby pani wynająć cały pluton.

– Nie chcę zwykłych ochroniarzy, Kilborn. Gdyby to zależało ode mnie, nie przyszedłbym tutaj. Ale mam wspólników, którzy zainwestowali w to przedsięwzięcie duże pieniądze i teraz chcą zabezpieczeń. A skoro muszę zatrudnić ochronę, chcę mieć najlepszą.

– Bardzo rozsądnie – przyznałem.

– Poza tym jesteś klonem. Myślisz jak klon. Przez kilka najbliższych miesięcy Trio i Proteusz znajdą się pod ogromną presją. To ich pierwsza produkcja na żywo i pierwszy *Hamlet* w tym mieście od czasów, gdy byłem młoda. Nie chcę, by ktoś ich denerwował. Klony ufają klonom.

Pominałem milczeniem to śmieszne obiegowe przekonanie.

– Proteusz nie jest klonem – zauważyłem.

– Bardziej przypomina klona niż jakikolwiek znany mi solo – stwierdziła Siddons. – Jesteś poczwórnym klonem, Kilborn. Moi chłopcy to potrójny klon. Książę Proteusz natomiast był do tej pory tysiącem ludzi.

– Ale tylko jednym w danym momencie. To nie to samo.

– Może i nie to samo, co być prawdziwym klonem, ale temu doświadczeniu bliżej do przeżyć klona niż solo. Dogadasz się z

nim, Kilborn. Innym się to nie udało. A dla mnie i mojego przedsięwzięcia niezwykle istotne jest, by Proteusz i Trio mieli absolutnie święty spokój aż do premiery.

Z pewnością nie mogłem się z nią nie zgodzić w tej ostatniej kwestii. Ludzie show businessu nawet w najbardziej przyjaznych warunkach potrafili ulegać swoim temperamentom w o wiele większym stopniu niż inni. Zwłaszcza w obecnych czasach, gdy trwała walka o przywrócenie popularności przedstawień na żywo, a opinia publiczna nadal świetnie pamiętała skandal dotyczący Wielkiego Mulroneya, aktorowi klonowi nie mogło być łatwo. Zrozumiałem wówczas, w czym Agencja Detektywistyczna „Czterolistna Koniczynka” może okazać się pomocna. A poza tym zapewne była to jedyna okazja, żebym zobaczył *Hamleta* na żywo.



Dwa dni później pojawiłem się jeden po drugim u Sereny Siddons, by spotkać Trio na Pokaz. Pani Siddons zadbała o wszystko. Ponieważ się uparła, przyszedłem, udając reportera – specjalistę od prowadzenia wywiadów, tekściarza, mechanika sprzętu nagrywającego i analityka. Trio natomiast zjawił się w przebraniu fryzjera, instruktora szermierki i dietetyka.

Kiedy się zebraliśmy, Siddons przedstawiła nas sobie i zaproponowała drinki. Ze względu na tajemnicę służba dostała dzień wolny, więc musieliśmy obsłużyć się sami. Pozostałem przy wodzie mineralnej i spróbowałem dwudziestoczteroletniego scotcha. Trio pił podwójne martini,

bourbona z lodem i coś niebieskiego z parasolką.

Trio z martini przełamał lody w typowym dla klona stylu, pytając mnie: – Czy twój oryginał był detektywem?

– Dopóki nie urwało mu nóg – odpowiedziałem.

– To okropne!

– Jego własne słowa. – Zachowując kamienną twarz, pociągnąłem scotcha i przymknąłem oczy, delektując się smakiem trunku.

Trio zwrócił się do mnie: – Czy to był wypadek?

– W pewnym sensie. To był wypadek z bombą podłożoną w jego rollerze. Wybuchła.

Czasami niezbyt dobrze dają sobie radę w towarzyskich pogaduszkach. Wyczułem zakłopotanie Trio, więc podszedłem i wyjaśniłem: – Joe Kilborn przeżył i odpłacił tym, którzy podłożyli ładunek. Po tej sprawie porzucił policję i został prywatnym detektywem oraz zaczął studiować kryminalistykę. Napisał podręcznik o ewolucji elektronicznego orzecznictwa.

– Pisał też powieści detektywistyczne, prawda? – zauważył Trio.

– W ostatnich latach swojej kariery – potwierdziłem.

– A twój oryginał był barmanem albo dekoratorem? – zapytałem, wskazując na pstrokaty drink w dłoni Trio.

– Jestem klonem sir Herberta Three – oznajmił Trio.

– Najlepszego aktora swoich czasów – dodał Trio z dumą.

– Jednego z najlepszych aktorów wszech czasów. Wielka szkoda, że zachowało się tak niewiele nagrań z jego występów. Parę scen z *Henryka V*, jeden monolog z *Cyrano de Bergerac*... – Potrząsnąłem z żalem głową.

– Kiedy ostatni teatr w Londynie został zamknięty, sir Herbert poprzysiął, że nigdy więcej nie stanie na scenie – powiedział Trio.

– Ale udało mi się zdobyć holo z jego monologiem jako Cyrano. Mam też całego *Ryszarda III*, jeśli chcesz obejrzeć – zaproponował Trio.

Byłem zachwycony. Gra sir Herberta Three przeszła do legendy, ale jego niechęć do nagrywania przedstawień z jego udziałem sprawiła, że niewiele poza legendą pozostało. Dołałem sobie scotcha i dołączyłem do Trio i mnie. W tym samym czasie rozmawiałem na uboczu z naszą gospodynią.

– I jak wam idzie?

– Damy sobie radę, proszę pani. Ale trochę czasu zajmie, zanim poczujemy się swobodniej.

– Czemu? Wszyscy jesteście klonami. Czy to nie jest ważne, by się rozluźnić w swoim towarzystwie?

– Trio jest trójklonem, a ja czwórklonem. Potrójne klony mają reputację kłótliwych, podobno nigdy się ze sobą nie zgadzają. Zawsze dwóch na jednego. Poczwórne uczą się zgody. Nie zmagają się z bezwzględną przewagą w głosowaniu.

– Trio radzi sobie bardzo dobrze. Nigdy nie widziałam żadnej poważnej sprzeczki.

– Więc wszystko będzie dobrze, proszę pani – zapewniłem.

W tym samym czasie zagadnąłem Trio o *Hamleta*. Aż pękał z chęci, by się podzielić swoim entuzjazmem dla przedstawienia, do tego stopnia, że czasami mówił jeden przez drugiego i przerywał sobie w pół słowa. Jego entuzjazm ujął mnie tak, że nie tylko rzuciłem kilka żartobliwych komentarzy, ale i

słuchałem aktora z uwagą.

– Po raz pierwszy wieloaspektowa osobowość Hamleta zyska fizyczną manifestację na scenie. Zagram Hamleta, Laertes a i Fortynbrasa – powiedział Trio.

– I, rzecz jasna, Klaudiusza – uzupełnił Trio.

– I inne postaci również. Będę się nieustannie zmieniał – dodał Trio.

– Dzięki czemu różne cechy osobowości Hamleta będzie można wyeksponować w odpowiednich momentach – podsumował Trio.

– To chyba będzie trudne – zauważyłem. – O ile pamiętam, Hamlet, Laertes, Klaudiusz i Fortynbras pojawiają się razem w scenie finałowej, wraz z wieloma innymi ważnymi postaciami.

– To prawda. W paru innych scenach także będzie ten problem, ale już go rozwiązaliśmy. Będziemy musieli szybko się przebierać, ale do tego jesteśmy przyzwyczajeni. Będziemy też mieć do pomocy innych aktorów w najtrudniejszych momentach przedstawienia.

– Potrzebni nam będą do ról Horacego, Rozenkranca i Gildensterna, a także dworzan, ambasadorów i żołnierzy – wyjaśnił Trio. – Serena wynajęła pierwszorzędnych aktorów. Solo, rzecz jasna, ale naprawdę dobrzy.

– Zapomnieliście? – odezwała się nasza gospodyni, przyłączając się do rozmowy. – Proteusz też jest solo.

– Och, ale Proteusz jest jedyny w swoim rodzaju – stwierdził Trio.

– Też tak uważam. Cieszę się, że się zgadzamy – rzuciła chłodno Siddons.

– Dzięki niemu udało się uniknąć wielu trudności – ciągnął Trio niezrażony. – Zagra Ofelię...

– Ofelię?! – wyrwałem się zaskoczony.

– Proteusz jest bardzo wszechstronny – zapewnił mnie Trio. – Zagra też jedną z głównych ról, gdy w scenie będą musiały pojawić się równocześnie cztery postacie.

– Będzie też grał ważniejsze role drugoplanowe, takie jak Ozryk. I wystąpi jako Fortynbras w finale – dodał Trio.

Sam poziom komplikacji zrobił na mnie ogromne wrażenie, chociaż niespecjalnie obchodził mnie teatr i od lat nie przeczytałem żadnej książki.

– Jak zamierzasz nad tym zapanować i co rusz na siebie nie wpadać? – zapytałem.

– Wzięłam na siebie reżyserię, młodzieńcze. A kiedy ja reżyseruję, aktorzy na siebie nie wpadają – stwierdziła nasza gospodyni.

– Myślałem, że jest pani producentką – zdziwiłem się.

– Jestem. Zagram także Gertrudę. Myślę, że mogę coś wniesić do przedstawienia.

Skinąłem głową, podobnie jak ja, choć słowa Siddons niewiele dla mnie znaczyły. Popatrzyłem na pozostałych i uśmiechnąłem się szeroko.

– Przynajmniej jedna rola, której ten Proteusz nie będzie musiał dublować – mruknąłem.

– A gdzie Proteusz? – zapytałem. – Pojawi się?

– Niestety, nie może, Kilborn. Spotkacie się u niego – odrzekła Siddons. – Właściwie to już musisz ruszać.



Proteusz miał kamienicę w zaułku tuż przy rzece. Zbliżał się wieczór, kiedy mój roller zatrzymał się przy drzwiach. Zaczęło mżyć. Zapłaciłem kierowcy i spojrzałem na budynek.

Był to tradycyjny dom, z białymi tynkami i starannie zachowanymi lub profesjonalnie odrestaurowanymi zdobieniami. Ale nie interesowała mnie architektura. Przez najbliższe miesiące miałem pilnować Proteusza i musiałem wiedzieć, czy jego dom ułatwi mi zadanie, czy też je utrudni.

Budynek miał standardowy miejski system bezpieczeństwa, ale fortecą nie był. To mnie uspokoiło. Pilnowanie kogoś, kto jest przekonany o swojej nieśmiertelności i niewrażliwości na rany, bywa trudne, ale praca z osobą podrywającą się na najłżejszy szmer to czysty koszmar. Jednak ten dom wskazywał, że jego właścicielem jest osoba zainteresowana raczej ochroną swojej prywatności niż skóry. Spodobało mi się to.

Księżę Proteusz oczekiwał mnie. Brama uchyliła się z cichym kliknięciem, gdy tylko podałem nazwisko i kod, a masywne drzwi frontowe stanęły otworem ledwie parę sekund po tym, jak podszedłem. Za progiem powitał mnie wysoki, śmiertelnie poważny lokaj w liberii.

– Dobry wieczór, panie Kilborn. Pan zaraz zejdzie. Proszę tędy.

Poprowadził mnie przez ciemny hol z mnóstwem fotografii na ścianach do pogrążonej w półmroku biblioteki. W kominku buzował ogień. Prawdziwy ogień z prawdziwych polan. Mój szacunek dla Proteusza wzrósł. W dzisiejszych czasach tylko prawdziwi bogacze mogli sobie pozwolić na palenie drewnem, a

jedynie ktoś z klasą rozpaliby ogień w pustym pokoju, by prywatny detektyw poczuł się nieco przyjemniej.

Lokaj wziął mój płaszcz i kapelusz, a potem zapewnił mnie raz jeszcze, że pan przyjdzie za kilka minut. Tym lepiej. Dawało mi to trochę czasu, by się rozejrzeć.

Przyglądałem się właśnie książkom na regale przy oknie, gdy do biblioteki weszła niewysoka, pulchna kobieta w czerni. Miała siwiejące włosy zebrane w kok i matczyzny, ciepły głos.

– Napije się pan herbaty, panie Kilborn? Rozgrzeje pana, na pewno pan przemókł. Pogodę mamy dzisiaj paskudną.

– Dziękuję, proszę pani – odmówiłem. – Ale byłbym wdzięczny, gdyby odpowiedziała pani na kilka pytań.

– O matko jedyna... Czy coś się stało? – Nerwowo spłotła dłonie, zerkając na mnie z niepokojem.

– Skądże, proszę pani. Po prostu będę pracował z Księciem Proteuszem przez parę miesięcy i chciałem się dowiedzieć, co może mi pani powiedzieć o nim i o tym domu. Bardzo by mi się to przydało.

Kobieta przygarbiła się nieco.

– Nie jest pan reporterem, prawda?

– Nie, proszę pani, jestem prywatnym detektywem.

– Ach, rozumiem. Middleton nie powiedział, że jest pan detektywem, panie Kilborn, więc założyłam... Och, matko jedyna, bardzo pana przepraszam. – Znowu nerwowo wykręciła dłonie.

– Nie ma za co przepraszać, proszę pani. Czy Middleton to lokaj?

– Tak, panie Kilborn. Jest z nami już prawie sześć lat. A ja nazywam się Etherege. Georginia Etherege. Jestem gospodynią.

– A pan Etherege?

– Zmarł w dwa tysiące trzydziestym czwartym. – Spuściła oczy.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – odparłem z powagą. – Czy w domu przebywa zatem ktoś jeszcze poza panią, Middletonem i Księciem Proteuszem?

– No tak. Jest jeszcze Otway, kucharz. I dziewczyna, która pomaga w kuchni, biedulka...

– Dlaczego tak ją pani nazwała, proszę pani?

– Ida nie jest w pełni władz umysłowych, panie Kilborn. Ma urojenia. Uważa się za siostry Gish.

– To niedobrze – zgodziłem się, po żalobnym tonie głosu pani Etherege odgadując, że tak właśnie jest.

Zapewne powinienem wiedzieć, kim są lub były siostry Gish, jednak nie miałem najmniejszego pojęcia. Może to ja powinienem pilnować Księcia Proteusza, a nie ja, pomyślałem. Ale beze mnie Trio czułby się niezręcznie w moim towarzystwie. To jedna ze spraw, które należy przedyskutować, gdy wrócę do biura.

– Och, nie jest tak źle. Na szczęście były tylko dwie. Idzie niekiedy wydaje się, że raz jest Lillian, a raz Dorothy. Ale to nie przeszkadza jej w pracy – zapewniła pani Etherege.

– A zatem nigdy nie jest obiema w tym samym czasie?

– Och, nie, nie. I przez większość czasu jest po prostu naszą biedną Idą.

Skinąłem głową, starając się przybrać minę pełną współczucia. Należało pamiętać, że solo też miewają problemy. Na dodatek solo nie mają zwykle nikogo, kto by ich wysłuchał i okazał

zrozumienie. Kiedy solo zaczyna rozmawiać ze sobą, ludzie uważają, że zwariował.

– Chciałby pan z nimi porozmawiać? – zapytała pani Etherege.

– To znaczy z Otwayem lub Idą? – dodała szybko.

– Może zanim wyjdę, proszę pani. Na razie zaczekam na Księcia Proteusza.

– Oczywiście. Ach, jest jeszcze jedna osoba. Przypuszczam, że dzisiaj ją pan zobaczy.

– Kto to taki, proszę pani?

– Millwood. Zajmuje się interesami pana. Uczestniczy we wszystkich spotkaniach biznesowych. W tej chwili jej nie ma, ale zapewne spotka ją pan jeszcze dzisiaj – powiedziała pani Etherege, wycofując się do wyjścia. – Na pewno nie chce pan herbaty?

– Na pewno, proszę pani.

Wyślizgnęła się bezszelestnie z pokoju i zostawiła mnie samego. Zrobiło się zbyt ciemno, by czytać tytuły książek na półkach, więc przysunąłem sobie fotel do kominka i wyciągnąłem nogi do ciepła. Prawdziwe drewno i ogień stanowiły rzadkość. Należało zatem rozkoszować się nią, póki nadarzała się okazja.

Minęło kilka minut i wówczas zorientowałem się, że nie jestem sam. Pośród cieni na progu pojawiła się postać odziana w czerń. Wejście Księcia Proteusza było równie ciche jak wyjście gospodyni.

Chciałem wstać, ale powstrzymał mnie gestem.

– Proszę nie wstawać, panie Kilborn – powiedział stłumionym, monotonnym tonem z doskonałym akcentem właściwym

wyższym sferom. – Lubię, kiedy moi goście czują się swobodnie.

– Zaskoczył mnie pan, Książę.

– To mój zawód, by zaskakiwać... zdumiewać... zachwycać. Proszę powiedzieć, panie Kilborn, co pan myśli o mojej służbie?

– Spotkałem jedynie lokaja i gospodynię. Jak dla mnie wyglądali na porządnych ludzi.

– Cieszę się, że to słyszę, panie Kilborn. – Książę nie wyszedł z cienia w drzwiach. Zresztą w bibliotece było tak ciemno, że nawet gdyby podszedł bliżej, niczego by to nie zmieniło. Nie kwapił się, by zapalić światło.

Przypomniałem sobie, co czytałem o Księciu Proteuszu. Bardzo cenił własną prywatność. W zasadzie miał niemal patologiczną obsesję na punkcie prywatności. Kiedy nie pracował, pozostawał niewidzialny. Unikał fotografów, nie udzielał wywiadów, nikogo do siebie nie zapraszał. Byłem zapewne pierwszą osobą z zewnątrz, którą wpuścił do domu, i raczej nie dał mi sposobności, by się rozejrzeć dokładniej. Trudno powiedzieć, czy to się działo naprawdę, czy nie, ale też mało mnie to obchodziło. Zastanawiałem się jedynie, czy to mi ułatwi pracę, czy wręcz przeciwnie.

Proteusz zaśmiał się cicho i rzekł: – Zatem nie dostrzegł pan nic niezwykłego u pani Etherege i Middletona?

– Nie.

– Cóż, rozmawia pan z mistrzem, panie Kilborn. Na pewno nie chce pan herbaty? – to był głos pani Etherege, bez żadnych wątpliwości. Zdawało mi się również, że książę zrobił się niższy i bardziej pulchny, gdy nerwowo splótł dłonie. A potem nagle jakby urósł i nadał się sztywno.

– To nieopisana przyjemność, sir – zabrzmiał głęboki głos lokaja Middletona – że nie uznał nas pan za podejrzane czarne charaktery.

– Naprawdę jestem pod wrażeniem, Książę – powiedziałem, starając się za wszelką cenę nie okazać, jak bardzo jestem pod wrażeniem. Niemal zacząłem wątpić we wszystko, co widziałem.

– To mój zawód – stwierdził Proteusz swoim normalnym głosem, a przynajmniej głosem, którego użył na początku. – Jestem w tym dobry. A pan jest dobry w swoim zawodzie?

– Jak dotąd nieźle sobie radzę. Przypuszczam, że słyszał pan o sprawie Wielkiego Mulroneya?

– W rzeczy samej, słyszałem. Prawdziwa tragedia.

– Mogło być gorzej. Udało mi się zapobiec morderstwu.

– Chodziło mi o tragedię, jaką jest utrata takiego talentu, panie Kilborn. Wielki Mulroney był utalentowanym klonem, ale zmarnował swój dar, rozmienił na drobne. Smutno mi na myśl, czego mógłby dokonać, gdyby miał szansę.

– Prawie udało mu się dokonać morderstwa. Chciał zabić swojego impresario.

Proteusz ponownie roześmiał się cicho.

– Nie rozumiemy się, panie Kilborn. Ale to nieważne. Serena wyjaśniła mi powód pańskiej wizyty. Nie wydaje mi się, żebym potrzebował ochrony, ale nie chcę też robić trudności. Jest pan tu mile widziany, o ile nie będzie pan przeszkadzał mi w pracy i nie naruszy mojej prywatności. Czy to jasne?

– Jak słońce.

– Millwood zapozna pana z moim terminarzem i zwyczajami panującymi w tym domu, dostarczy panu również wszelkich

niezbędnych informacji. Dobrej nocy, panie Kilborn.

Odwrócił się, by odejść, ale zatrzymałem go jeszcze: – Mam tylko jedno pytanie, Książę.

– Nie mam czasu, panie Kilborn. Proszę przepytac służbę, jeśli pan chce.

– Chodzi właśnie o pańską służbę. Czy Middleton i pani Etherege istnieją naprawdę, czy tylko grał pan przede mną? I czy w ogóle jest ktoś taki jak Millwood?

Zatrzymał się, nadal skryty w cieniu i niemal niewidzialny.

– Millwood istnieje naprawdę. Co do pozostałych... Twierdzi pan, że jest dobrym detektywem. Proszę zatem samemu się dowiedzieć.

I zniknął, zanim zdążyłem odpowiedzieć. Wstałem z fotela, próbując pozbierać myśli. Co nie było łatwe. Wcielenia Middletona i pani Etherege były bez skazy i nie miałem pewności, czy nie jest to Proteusz w przebraniu. Ale czemu miałyby to robić? Żeby mnie przetestować? Jeżeli tak, to oblałem z kretesem. A może był to taki żarcik albo sposób Proteusza, by nie wyjść z wprawy, albo po prostu – by trzymać świat na odległość wyciągniętego ramienia. Niezależnie od powodów zapowiadało się, że Książę Proteusz nie będzie łatwym podopiecznym. Oczywiście miałem dość inteligencji, by odkryć jego machinacje, ale teraz czułem się głupio. Uznałem zatem, że najmądrzej dać sobie spokój na dziś wieczór. Może to ja powinienem się zająć Księciem. Proteusz i tak nie zauważy różnicy. Solo nigdy nie zauważali.

A wtedy do biblioteki weszła kobieta i wszystkie myśli o zmianie ochroniarza wyleciały mi z głowy. Wysoka, szczupła, ze

wspaniałą figurą i majestatem królowej. Delikatny zapach perfum przywodził mi na myśl wiosnę, kwiaty i ciepły deszcz. Jasnomiodowe włosy opadały jej na ramiona, podkreślając błękitne bystre oczy i idealny owal twarzy. Ujrzałem ją w świetle płomieni i wiedziałem, że dla tej kobiety zrobiłbym wszystko. Zakochałem się od pierwszego wejrzenia i chociaż nie miałem żadnego doświadczenia z dozgonną miłością, czułem, że to właśnie to. Na szczęście przywykłem, by nie zdradzać emocji, więc kiedy wstałem, by się przedstawić, głos mi nie zdrzął.

Jej głos pasował do wyglądu. Cichy, lekko ochryply, idealnie brzmiący przy ogniu w przytulnym pokoju.

– Jestem Morgana Millwood, panie Kilborn. Miło mi pana poznać. – Wyciągnęła dłoń. – Usiądźmy przy kominku. Czy wystarczy takie światło?

– W zupełności, proszę pani – odparłem. Morgana Millwood miała na sobie niebieską sukienkę z miękkiej, opinającej ciało tkaniny. Kiedy patrzyłem na tę kobietę na tle płomieni, wyobraziłem sobie, że to bogini, która przypadkiem zstąpiła z niebios okryta płaszczem nocy i gwiazd. Szalone myśli. Nigdy podobnych nie miałem – ale jedno spojrzenie na Morgane Millwood zmieniło mnie w poetę.

– Proszę mi mówić po imieniu. Mogę panu mówić Joe?

– Będzie to dla mnie przyjemność.

Żadne z nas się nie ruszyło. Staliśmy przy kominku, patrząc sobie w oczy i nie mówiąc słowa. Potem nagle zaczęliśmy mówić równocześnie, w nerwowym pośpiechu i zaraz roześmialiśmy się zawstydzeni. Morgana położyła mi dłoń na ramieniu.

– Joe, przepraszam. Nie wiem, co mi się stało – szepnęła.

Nie znam się na subtelnościach. Ująłem jej dłoń i powiedziałem: – Jeżeli to samo co ze mną, nie przepraszaj.

A potem nagle trzymałem ją w ramionach. Nie potrafię opisać tego, co czułem. Jeżeli się to przeżyło, zna się to uczucie. Jeżeli nie – słowa nie pomogą. Morgana dotknęła dłońmi mojej twarzy i spojrzała mi w oczy, a później roześmiała się tak radośnie i niewinnie, że zakochałbym się w niej wtedy, gdybym już nie był zakochany.

– Joe, co się z nami dzieje? Nie jesteśmy dziećmi. Powinniśmy rozmawiać o interesach – stwierdziła.

– Pomówmy o nich później.

– Teraz, Joe. Nie będą nas potem dręczyć niezalutowane sprawy.

Usiedliśmy przy ogniu, przysunąwszy fotele tak blisko siebie, jak się dało. Morgana opisała mi rutynowy dzień w domu. Ciężko mi było skupić się na obowiązkach, ale na szczęście odruchy powstrzymały mnie od pragnienia, by zapomnieć raz na zawsze o Księciu Proteuszu, Trio na Pokaz, Serenie Siddons i reszcie świata poza Morganą Millwood.

Proteusz wiódł życie zorganizowane precyzyjnie jak szwajcarski zegarek. Wszystko było zaplanowane, a plan był święty. Aktor większość dnia spędzał w swoim sanktuarium na czwartym piętrze – kombinacji sceny, studia, sali gimnastycznej i gabinetu – do którego reszta ludzkości nie miała prawa wstępu. Nawet Morgana nie przestąpiła progu tego pomieszczenia. Śniadanie Proteusz jadł codziennie kwadrans po dziewiątej, potem znikał na górze. Pani Etherege przynosiła mu lunch o pierwszej piętnaście i zostawiała na stole przy wejściu do

sanktuarium. Książę odstawiał tacę dokładnie o drugiej, czasami z nietkniętym jedzeniem. Wychodził o wpół do piątej i szedł do teatru, studia lub gdziekolwiek, gdzie grał. Zawsze wracał do domu na lekką kolację o północy, po czym znikał, zapewne by się położyć spać. I tak dzień w dzień. Wszystko kręciło się wokół tego planu i kilku rygorystycznych zasad: żadnych gości, żadnych pytań, żadnego kontaktu z mediami.

Byłem przekonany, że praca dla takiego maniaka rutyny może doprowadzić do szaleństwa, ale Morgana chwaliła sobie ten rygor i twierdziła, że pani Etherege, Middleton i reszta personelu się z nią zgadzają. Jeżeli się pilnowało własnego nosa, punktualnie wykonywało swoje obowiązki, Proteusz o nic nie pytał i hojnie płacił. I – dodała – praca dla kogoś tak sławnego i tajemniczego miała w sobie coś ekscytującego.

– A zatem Middleton i pani Etherege są prawdziwi – powiedziałem. – Przez chwilę nie byłem pewien. Proteusz jest tak dobry, że nabrałby mnie bez trudu. Ale dlaczego to zrobił? Nie musiał mi imponować.

Morgana wzruszyła ramionami.

– Może dla zabawy.

– Może. Ale nie nabrałby mnie, gdyby się wcielił w ciebie. Próbował kiedyś?

– Nie wiem. To jedna z jego zasad: nikt z personelu nie ogląda jego gry. Nie wolno nam nawet zbliżać się do teatru.

– To znaczy, że nigdy nie widziałaś go na scenie?

– Nikt z nas nie widział. Proteusz twardo się trzyma tej zasady.

– A co z nagraniami? Muszą być taśmy, holo...

– Bardzo niewiele, a i te Proteusz zniszczyłby, gdyby mógł. Nie

pozwała, by jego pracę nagrywano. Uważa, że przedstawienie powinno być oglądane na żywo albo wcale.

– Pracujesz dla bardzo dziwnego człowieka, Morgano.

– Nie tak bardzo, Joe. Proteusz przeszedł trudną drogę. A teraz, gdy teatr powraca w wielkim stylu, Książę może stawiać warunki. Jest dosłownie rozrywany.

– A co z *Hamletem*? W umowie jest przecież zagwarantowane nagranie sztuki na holo i taśmy. Czy Proteusz o tym wie?

– Oczywiście. Jest skłonny do kompromisu, tylko ten jeden raz, ponieważ gra w *Hamlecie* to wyjątkowa okazja i szansa. To mu bardzo pomoże w karierze. Ale nie będzie żadnych nagrań, dopóki Proteusz nie uzna, że gra jest bez zarzutu. To też jest w umowie.

Spojrzała na mnie żarliwie i ujęła za rękę. Zapach jej perfum popieścił mi nozdrza jak wiosenna bryza.

– Pomyśl, jakie było jego życie, Joe. Proteusz wcielał się we wszystkich gigantów sceny w ich najwspanialszych rolach. Był *Hamletem* Barrymore'a, Oliviera i Gielguda. Jose Ferrerem i Walterem Hampdenem jako *Cyrano*, Jasonem Robardsem w roli Hickeya [postać z filmu *The Iceman Comet* Sidneya Lumeta, na podstawie sztuki Eugene'a O'Neilla pt. *Przyjdzie na pewno*], Laurette Taylor w roli Amandy Wingfield [postać ze sztuki *Szklana menażeria Tennessee Williamsa*]. Proteusz zawsze grał kogoś, kto grał rolę, zawsze nosił na scenie jedną maskę więcej niż inni aktorzy. Jego poczucie rzeczywistości musi się różnić od mojego czy twojego. Spróbuj zrozumieć, Joe. Proteusz potrzebuje zrozumienia.

Żadne z tych nazwisk nic dla mnie nie znaczyło, ale było jasne,

że dla Morgany są one ważne – a poza tym załapałem ogólny obraz sytuacji Księcia Proteusza. Ten człowiek trafił na sam szczyt, ale – jak większość ludzi, którzy odnieśli sukces – po drodze się zmienił i te zmiany musiały boleć. Klon może mieć tysiące twarzy, ale wszystkie będą identyczne. To daje poczucie bezpieczeństwa. Dla solo każda twarz jest inna. Nic dziwnego, że tak wielu z nich wariuje.

– Postaram się go zrozumieć, kochanie. Ze względu na ciebie. Dużo myślisz o Proteuszu, prawda?

– Proteusz dużo dla mnie zrobił, Joe. Zawsze będę mu za to wdzięczna.

– Jak bardzo?

– Nigdy go nie kochałam tak jak kobieta mężczyznę, jeżeli o to pytasz. Do dziś nikogo nie kochałam. Nadal nie mogę uwierzyć, że to mi się przydarzyło. W chwili gdy cię ujrzałam...

Popatrzyła na mnie, a w jej wielkich oczach czaiło się niedowierzanie. Potrząsnęła głową.

– Uwierz. To samo przydarzyło się mnie – powiedziałem.



Morgana i ja uznaliśmy, że na razie będziemy dyskretni. W mojej branży zakochanie się w kliencie uważane jest za brak profesjonalizmu, nie chciałem również niepokoić Proteusza.

Jak się okazało, nietrudno było utrzymać nasz związek w sekrecie. W nadchodzących dniach zapowiadało się mnóstwo pracy. W efekcie widywałem się ze mną dwa, trzy razy na tydzień i spotkania trwały zaledwie tyle czasu, by zdać relację z

tęgo, co się dzieje, oraz wymienić informacje. Morgana miała wolne, gdy Proteusz ukrywał się w swoim sanktuarium – nie mogliśmy jednak opuszczać domu. Kiedy zaczęły się próby z Trio, musiałem towarzyszyć Księciu, a Morgana nie mogła zbliżyć się do teatru. Przez te pokręcone zasady nie mieliśmy dość czasu dla siebie. Próby trwały czasami do późnej nocy lub do rana, potem Proteusz dyktował Morganie swoje uwagi o przedstawieniu i grze, żeby mogła je uporządkować i dać mu przy śniadaniu wydruki – z trudem udawało mi się w ciągu dnia znaleźć chwilę na spotkanie z ukochaną. Szalone godziny pracy wykańczały ją, ale nie narzekała. Wiedziała, że Książę jest perfekcjonistą. Poza tym to była jej praca i chciała wykonywać ją dobrze.

Oglądanie Proteusza na scenie pozwoliło mi spojrzeć na niego z nowej perspektywy. Pewnie, był dziwakiem, ale znał się na swojej profesji. Kiedy pojawił się jako Ofelia – szesnastolatka, słodka i niewinna – wydawał się drobny i kruchy. Wyglądał jak młodsza siostra, dziewczynka z sąsiedztwa i prześliczna księżniczka z bajki. A niedługo potem stał się łysym, przysadzistym grabarzem z wystającym brzuchem i pijackim akcentem w ochrypłym głosie, przerywanym suchotniczym kaszlem. A pod koniec przedstawienia grał Fortynbrasa, surowego zawodowego żołnierza, sześć na sześć stóp (wzrost i szerokość w barach), którego niedźwiedziovata postura z trudem zmieściłaby się w drzwiach.

Oczywiście grał też inne postaci. Wszyscy grali. Po chwili straciłem rozeznanie, kto w kogo się wciela. Ale Proteusz na scenie był prawdziwym cudem. Nikt nie umiałby tak się

zmieniać – karleć i rosnąć, tyć i szczupleć, niemal z sekundy na sekundę. A przynajmniej to sobie wmawiałem. Ale Proteusz potrafił dokonać tej sztuki, a co gorsza – po każdej próbie miałem wrażenie, że idzie mu coraz lepiej. Wydawało mi się to upiorne. Szczególnie wtedy, gdy po próbie wracaliśmy do domu prywatnym rollerem Księcia. Miałem wrażenie, że aktor zaczyna się zmieniać na moich oczach.

Nie żebym był w stanie to zauważyć, gdyby się stało. Proteusz mógłby się nawet zmienić w ośmiornicę, a ja nie miałbym pojęcia, ponieważ w pojeździe było ciemno, a Księżę nosił kapelusz nasunięty na oczy i podniesiony wysoko kołnierz płaszcza. Obecność drugiej osoby w rollerze przeszkadzała mu, nawet jeżeli byłem to tylko ja, choć siedziałem z przodu i mogłem zobaczyć Proteusza tylko wtedy, gdy mocno się wykręciłem, a i to niedokładnie. Za każdym razem, gdy się odwracałem, Księżę kulił się i malał, jakby chciał się wtopić w siedzenie. Ten człowiek kochał tajemnicę tak samo jak perfekcję.

Jak bardzo uwielbiał sekrety, okazało się pewnego dnia, kiedy zrobiłem przegląd akt każdego, kto brał udział w przygotowaniach do przedstawienia *Hamleta*. Wydrukami dotyczącymi Sereny Siddons można by wytapetować biuro i zostałyby jeszcze sporo na oklejenie ścian w holu. Trio miało równie grubą teczkę. Informacje o Księciu Proteuszu zajęły dwie kartki. I to w większości puste.

Byłem wściekły.

– Popatrz na to! Data urodzenia: brak. Miejsce urodzenia: brak. A to nawet nie wierzchołek góry lodowej!

– Mówiłem, że on ceni sobie prywatność – przypominałem i

roześmiałem się z mojej reakcji na te słowa.

Ale mnie to nie rozbawiło. Tajemniczość Proteusza stanowiła dla mnie wyzwanie, dla mojej inteligencji. Byłem gotów siedzieć przy terminalu do dnia Sądu Ostatecznego, byle tylko dobrać się do danych o przeszłości Proteusza.

– W czym problem? – zapytałem. – Taka anonimowość kosztuje. Jeżeli Proteusz za to płaci, niech ma.

– On po prostu podtrzymuje swój *image* tajemniczego nieznajomego. To czysty biznes – dodałem.

Nadal mi się to nie podobało.

– Nikt nie jest tak tajemniczy, chyba że coś ukrywa.

Uśmiechnąłem się do siebie, po czym stwierdziłem: – Więc może to Wally Zunkfuddle z North Pinhole w Montanie. Przecież ludzie często zmieniają nazwisko, gdy zostają aktorami, prawda?

– Zwłaszcza gdy nazywają się Wally Zunkfuddle – dodałem.

Niezbyt mnie to uspokoiło, ale nie było powodu, by się sprzeczać, ani też kopać głębiej dla ujawnienia tożsamości Proteusza. Zresztą brakowało czasu na dodatkowe śledztwo.

Próby przebiegały gładko, do premiery pozostał tylko tydzień. Nie mogłem się doczekać. Nawet jeżeli nie pojawiły się kłopoty, podopieczni zajmowali mi niemal każdą wolną chwilę. Udawało mi się łapać ledwie cztery godziny snu na dobę, a między pilnowaniem Proteusza i krótkimi spotkaniami z Morganą nie miałem nawet tyle.

Morganie też nie było łatwo. Im bliżej przedstawienia, tym więcej pracy żądał Proteusz. Kobieta leciała z nóg. Ten tydzień spędziliśmy, widując się przez dziesięć minut co najwyżej, gdy udawało nam się usiąść na chwilę w bibliotece. Trzymałem

Morganę za rękę, gdy opierała głowę na moim ramieniu. Byliśmy zbyt zmęczeni, by robić coś więcej niż rozmowa, a i rozmowa ograniczała się raczej do krótkich zdań. Bardzo krótkich.

Nie powiedziałem nikomu o Morganie. Nawet mnie. Zapewne podejrzewałem, że coś mnie dręczy, ale chyba nic nie zauważyłem. A już na pewno nie podejrzewałem, że chodzi o kobietę. Zastanawiałem się, co powiem na wieść, że zamierzam się ożenić. Małżeństwa między klonem i solo nie były tak bardzo rzadkie, ale jak dotąd się tym nie przejmowałem. Do teraz.

Ostatniej nocy przed premierą *Hamleta* oświadczyłem się Morganie i zostałem przyjęty. Oboje byliśmy wykończeni, ale nigdy nie zapomnę, jak trzymałem ją w ramionach tylko po to, by mieć ją blisko, wdychając aromat jej perfum, i nigdy w życiu nie czułem się szczęśliwszy. Wtedy już nieźle ją poznałem, opowiedziała mi o sobie rzeczy, jakich nikomu nie mówiła. Zawsze mi się wydawało, że kobietom pięknym i inteligentnym jest w życiu łatwo. Od Morgany dowiedziałem się, że wcale nie.

Była podrzutkiem, opuszczonym dzieckiem mieszkającym u rodzin zastępczych, niektórych dobrych, niektórych złych. W ostatniej było najgorzej, tak bardzo, że uciekła, gdy miała piętnaście lat. Była zdana tylko na siebie i już wtedy piękna, a to przynosiło więcej kłopotów niż korzyści. Uroda doprowadziła ją do show businessu, a po jakimś czasie do imitatora, który właśnie zaczynał karierę, objeżdżając małe prowincjonalne kluby. Została jego tymczasową asystentką. Z czasem zarówno umiejętności imitatora, jak i okazje do występów na żywo urosły znacząco i artysta przyjął pseudonim Książę Proteusz. Morgana została przy nim, gdy wspinał się na szczyty.

– Proteusz będzie za tobą tęsknił, gdy go zostawisz po tylu latach – zauważyłem.

– Nie sądzę, Joe. Kto wie czy nie odejdzie na emeryturę po *Hamlecie*? Teraz może sobie na to pozwolić.

– Nie potrafię sobie wyobrazić tego faceta na emeryturze.

– A jednak może właśnie tak zrobi. A jeśli tak się stanie, Proteusz zniknie bez śladu.

– Jemu z pewnością mogłoby się to udać. Ale dlaczego?

– Jest zmęczony, Joe. Wypalony.

– Nie on jeden.

Ziewnęliśmy oboje i roześmialiśmy się, bardzo cicho, niemal niesłyszalnie i ze znużeniem.

– Jeszcze tylko jedna noc – powiedziała Morgana.

– Potem nadal będziesz wypruwać sobie żyły dla Proteusza.

– Po premierze będziemy mieli dla siebie o wiele więcej czasu. Mam przeczucie, że Proteusz zgodzi się wcześniej na nagrania holo. To nie potrwa długo, a jak się skończy, będziemy mieli czas, żeby ustalić datę ślubu.

– Jutro wezmę swoją licencję – tak na wszelki wypadek, gdyby przedstawienie okazało się klapą – powiedziałem.



Ale kiedy nadeszło jutro, nie miałem nawet czasu zjeść śniadania. Serena Siddons pojawiała się w domu Proteusza non stop, sprawdzając, czy jej gwiazda dobrze się czuje. Ja natomiast widziałem Morgane może dwa razy przez łącznie czterdzieści sekund. Resztę dnia spędziła, pomagając Proteuszowi w

przygotowaniach do występu. Cały dom się zmienił. Middleton biegał po schodach w tę i z powrotem jak nastolatek, pani Etherege zaglądała kolejno do pokojów, załamując ręce, a Ida zmywała i odkurzała wszystko w zasięgu wzroku – zrobiła to nawet dwa razy: raz jako Dorothy, raz jako Lillian. Ale ekipa teatralna była jeszcze gorsza.

Kiedy nareszcie zaczęło się przedstawienie, padałem z nóg. Zająłem zarezerwowane dla mnie miejsce w trzecim rzędzie, podczas gdy ja usiadłem pod ścianami i poszedłem do loży impresario. Spodziewałem się, że zasnę, jak tylko zgasną światła – praca nie praca, czułem się jak trup. Lecz nie zasypia się na takim przedstawieniu. Było wspaniałe.

Trio był tak dobry, jak się spodziewano, ale mnie szczególnie interesował Proteusz. Ilekroć wychodził na scenę, przyciągał mój wzrok, a był na scenie niemal cały czas. Tego wieczoru zrobił coś, czego nie pokazał w trakcie prób. Zagrał Ofelię jako Morgana. Nie można się było pomylić – naśladował jej głos i każdy, najdrobniejszy nawet, charakterystyczny gest. Dziwnie się czułem, siedząc na widowni i patrząc, jak mojej ukochanej dzieje się krzywda, a jednocześnie pamiętając, że Morgana jest bezpieczna w domu na obrzeżach miasta i czeka na mnie. Kiedy na scenie Ofelia się utopiła, serce mi się ścisnęło boleśnie i ogarnęło mnie przerażające przeczucie, że oto nadchodzi zagłada i utracę kobietę, którą kocham.

Nie podobało mi się to, co zrobił Proteusz, ale nie mogłem zaprzeczyć, że jest nadzwyczajnym aktorem. Niedługo po scenie, w której Ofelia popada w szaleństwo, zmienił się w grabarza z czerwonym nosem i obwisłym brzuchem. A w finałowej scenie

sztuki, gdy główne postaci giną na skutek zdrady i kłamstw, przemaszerował dumnie między trupami jako Fortynbras. Krótka scena, ale Proteusz uczynił ją niezapomnianą, wyjątkową, wielką. Oto pojawił się mężczyzna, który walczył i nigdy nie otrzymał za to najwyższej nagrody, który musiał cierpieć w milczeniu i znosić w pokorze brak sławy i uznania, ale teraz nagle wszystko to spadło mu z nieba. Sposób, w jaki Proteusz zagrał, sprawił, że Fortynbras wydawał się gigantem – dumnym i pewnym siebie, człowiekiem, którego wiara w siebie nigdy się nie zachwiała i nareszcie zyskała potwierdzenie w oczach świata.

Kiedy światła sceny zgasły, zapadła absolutna cisza. A potem aplauz eksplodował i trwał, trwał... Stawał się coraz głośniejszy i potężniejszy, a jednak nadal panowała ciemność. Wstałem z fotela i przekradłem się za kulisy, by sprawdzić, co jest nie tak. Tego nie było w scenariuszu.

Pierwszą osobą, na jaką się natknąłem, była Serena. Wspierała się na moim ramieniu. Pomimo grubego scenicznego makijażu wyglądała, jakby się postarzała o lata. Nagle doznałem tego samego przecucia zagłady, jakie ogarnęło mnie podczas sceny ze śmiercią Ofelii.

Serena złapała mnie za rękaw.

– On nie żyje. Wszystek nie żyje. Zamordowano go – wyszeptała z drżeniem.

– Kto?

– Trio. Cała trójka.

– Co się stało? – zwróciłem się do mnie.

– Miecz. Był ostry jak brzytwa i posmarowano czymś

końcówkę – odpowiedziałem.

– Zatem sprawca trzymał się scenariusza.

– Nie. Wino nie było zatrute, bo Serena też byłaby martwa. Ktoś chciał zabić Trio i tylko jego. Trio grał Hamleta, Laertes a i Klaudiusza. I tylko on dotykał miecza – wyjaśniłem.

– Co teraz zrobimy? – jęknęła Serena.

– Zostaw to mnie. Ale najpierw chcę, abyś dała najlepszy występ w swoim życiu... jeśli możesz – powiedziałem.

Serena na chwilę ukryła twarz w dłoniach, a potem westchnęła i skinęła głową.

– Mogę.

Ująłem ją za ramiona.

– Wyjdź na scenę i powiedz publiczności, że dziś wieczór nie będzie żadnych bisów. Podaj dowolny powód, wymyśl coś, Sereno, albo nie tłumacz nic, ale spraw, by widownia wyszła z teatru spokojnie i żeby nie wybuchła panika.

– Ale jak? Co mam powiedzieć? – spytała, chwając się.

– Improvizuj. Dasz sobie radę – zapewniłem.

Serena wzięła głęboki wdech, a potem wyprostowała się i popatrzyła mi w oczy.

– Zrobię to – oznajmiła. A potem odwróciła się i ruszyła na scenę opanowana i chłodna jak królowa.

Kiedy tylko zniknęła mi z oczu, powiedziałem: – Wezwę wydział zabójstw i przypilnuję ciał oraz narzędzia zbrodni. Zapewniono mnie, że nikt z ekipy scenicznej nie opuści teatru.

– Czy to rozsądnie pozwolić odejść publiczności?

– Nie ma sensu trzymać jej tutaj. Zresztą tego morderstwa nie mógł dokonać nikt z widowni. Nikt nie wchodził za kulisy po

rozpoczęciu przedstawienia.

– Miecz mógł zostać zatruty wcześniej – zauważyłem.

– Nie. Sprawdziałem rekwizyty podczas antraktów i były w porządku.

– Miecz był tępy?

– Na ostrze założona została przezroczysta pochwa, osłaniająca je na długości około piętnastu cali. Zdjęto ją tuż przed sceną pojedynku – wyjaśniłem.

– Kto mógł to zrobić?

Wzruszyłem ramionami.

– W zasadzie każdy. Każdy poza Trio.

Przecucie zagłady ogarnęło mnie ponownie. Potrząsnąłem głową i rzuciłem: – Jak mogę mieć pewność, że wszyscy trzej Trio są Trio? Jednym z nich może być Książę Proteusz.

– W tej scenie Trio grał Hamleta, Laertesa i Klaudiusza, i tylko on zginął. Proteusz grał Fortynbrasa.

– A jeżeli zdecydowali się zamienić rolami w ostatniej chwili? W trakcie prób robili to wielokrotnie, tak samo podczas przedstawienia. Mogli to zrobić również w scenie finałowej.

– Ale po co?

– Kto wie co aktorom przychodzi do głowy.

– To możliwe – przyznałem. – I łatwo to sprawdzić. Wystarczy, że znajdę Fortynbrasa i...

Zdyszany strażnik podbiegł do mnie i wysapał: – Panie Kilborn, sir, przepraszam. Nie wiedziałem. Pozwoliłem mu wyjść.

– Komu?

– Panu Trio, sir. Spieszył się, a ja nie wiedziałem, że coś się

stało. Po prostu minął mnie i wyszedł w pośpiechu.

– Jesteś pewien, że to był Trio? – zapytałem.

– Tak, sir. Jestem pewien.

Miałem rację. Z nieznanego powodu Proteusz w scenie pojedynku zamienił się rolą z jednym z Trio, a teraz nie żył. Ale dlaczego zrobił to podczas premiery? Dlaczego w ogóle to zrobił? Czy jego śmierć nastąpiła w wyniku starannie przygotowanego wcześniej planu, czy też morderca pomylił tożsamość ofiary? Zresztą nieważne – okaże się to, dopiero gdy wszyscy potencjalnie zamieszani w zbrodnię zostaną przesłuchani i przebadani. Jak na razie głównymi podejrzanymi byli aktorzy i ekipa techniczna, ludzie, którzy pracowali, by widownia uwierzyła, że fantazja jest prawdziwsza od rzeczywistości.

– Sprawcą nadal może być Proteusz – powiedziałem. – Mógł wcielić się w Trio i oszukać strażnika.

– Okaże się, kiedy zmyją makijaż z ciał ofiar – westchnąłem.

Zastanawiałem się nad przebiegiem wydarzeń, kiedy pojawił się drugi strażnik. Ścisnął przy piersi spore zawiniątko, które wcisnął mi w dłoń.

– Znalazłem to pod schodami, panie Kilborn. To kostium – wyjaśnił.

– Kostium Fortynbrasa – dodałem.

– To może być dowód na zamianę ról. Niech się przyjrzę.

Obejrzałem uważnie strój. Wyglądał na ciężki, lecz taki nie był. Większość jego masy stanowiło wypełnienie z lekkiego materiału, które służyło do nadania sylwetce aktora masywniejszej, atletycznej postury żołnierza i bohatera. Kiedy się pochylałem nad przebraniem, wyczułem nieznaczny, lecz

znajomy zapach. Wypuściłem kostium, jakby parzył, i zatoczyłem się, cofając o parę kroków. Wtedy dobiegł mnie łomot braw i pochwalnych okrzyków publiczności, zagłuszając moje zaskoczone pytania. Kiedy aplauz ucichł, poczułem, że ściskam moje ramię, a Serena spogląda na mnie, jakby zobaczyła upiora.

– Coś nie tak? – zapytałem.

– Muszę iść. Potrzebuję godziny, potem spotkamy się w domu Proteusza – odrzekłem.



Wślizgnąłem się wejściem dla służby i skierowałem od razu na czwarte piętro. Morgana już tam była, przy biurku, przeglądała dokumenty. Na podłodze stała niewielka walizka. Kobieta, gdy mnie zobaczyła, zaskoczona poderwała głowę.

– Joe! Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie.

– Wyszedłem przed końcem. Mam dość *Hamleta* na długi czas.

– Więc... Nie widziałeś finału?

Roześmiałem się.

– Przecież wiem, jak się kończy! Ale co ty tutaj robisz? Myślałem, że nikomu nie wolno tu wchodzić.

– Proteusz mnie tu wezwał, Joe. Powiedział, że ma niespodziankę dla mnie... dla nas.

– Dla nas?

– Opowiedziałam mu o nas, Joe. Ucieszył się. Nigdy nie widziałam, żeby był tak szczęśliwy.

– Ja nigdy nie widziałem, żeby Proteusz był szczęśliwy. Wyglądał mi na wyczerpanego, szczególnie przez ostatnie parę

dni.

– Też to zauważyłeś?

– Trudno było nie zauważyć. Proteusz był tak nerwowy i spięty... Wydawało się, że zaraz kogoś zabije.

Skrzywiła się.

– Nie mów tak, Joe.

– Przepraszam. Co to za niespodzianka?

– Och, Joe! To nie do wiary! Książę Proteusz jest najlepszym, najhojniejszym i najbardziej życzliwym człowiekiem, jakiego znam. Spójrz!

Podawała mi list. Przeczytałem go szybko i gwizdnąłem cicho. W liście Książę Proteusz przekazywał połowę swojej gaży z *Hamleta* Morganie Millwood.

– Możemy być razem do końca życia, Joe. Tylko my dwoje. Możemy zamieszkać, gdzie nam się spodoba. Możemy wyjechać choćby zaraz, dziś wieczór, i nikt się nie dowie, jak zniknęliśmy.

Podeszła do mnie, przytuliła się i pocałowała mnie czule. Odetchnąłem aromatem jej słodkich perfum. Pragnąłem, by ta chwila trwała wiecznie. Wiedziałem jednak, że nic tyle nie trwa.

– Joe, wyjedźmy teraz. Zaraz – wyszeptwała Morgana.

Ująłem ją za rękę i poprowadziłem do fotela.

– Usiądź, Morgano, muszę ci coś powiedzieć.

– Później, Joe. Teraz po prostu stąd chodźmy.

– Okłamałem cię. Obejrzałem *Hamleta* do końca.

– Och? I co z tego? Myślałam, że chciałeś mi wyznać coś ważnego.

– Tak uczyniłem. Teraz twoja kolej. Usiądź.

Usiadła, spoglądając na mnie spod lekko zmarszczonych brwi

ze szczerym zdziwieniem.

– Chcę, abys powiedziała mi prawdę o tym imitatorze. To jedyna rzecz, której nie potrafię zrozumieć.

– Joe, o co ci chodzi? Co próbujesz mi powiedzieć?

– Ten imitator umarł sam czy także jego zabiłaś?

Wyszeptała moje imię, bardzo cicho, omal niedosłyszalnie, a potem odwróciła głowę i wbiła wzrok w ciemność okrywającą jeden z kątów pokoju. Przysunąłem sobie krzesło i usiadłem naprzeciw Morgany.

– Sprawdźmy, co już wiem. Byłaś dzieckiem z twarzą anioła i ciałem, którego pożąдали wszyscy napotkani przez ciebie mężczyźni – wszyscy oprócz jednego. Tamten był inny. Owszem, widział twoją urodę, ale widział też coś jeszcze, czego inni nie dostrzegli. Talent, jaki trafia się raz na milion. I ten mężczyzna pomógł ci rozwinąć ten dar.

– Nie zabiłam go, Joe. Nie w sposób, w jaki myślisz. Zawsze będę mu wdzięczna.

– Co się stało?

– Uczynił mnie swoją asystentką i zaczął uczyć wszystkiego, co sam umiał. Znał teorię, ale nie miał zdolności. A ja się z tym urodziłam, przychodziło mi to naturalnie – byłam jak kameleon. Po trzech miesiącach to ja grałam, a on mi asystował. Ludzie przestali go zauważać, nie fatygowali się nawet, by z nim rozmawiać, chyba że pytali o mnie. Próbował robić dobrą minę do złej gry, ale pewnego wieczoru w San Francisco po prostu wybrał się na spacer przez most i nigdy nie dotarł na drugi brzeg.

– I wtedy narodził się Książę Proteusz.

– Nie. To stało się później. Wiedziałam, że mam talent, ale musiałam się jeszcze wiele nauczyć, jeżeli miałam być najlepsza, a chciałam być najlepsza. Zaoszczędziłam już wtedy trochę pieniędzy, więc mogłam zapłacić najlepszym nauczycielom. Ciężko pracowałam. Podróżowałam do Europy i na Wschód, a kiedy uznałam, że jestem gotowa, wróciłam jako Księżę Proteusz. Kiedy ludzie zaczęli mnie wypytywać, uśmiechałam się i odsyłałam ich do mojej asystentki, Millwood, która niewiele mogła powiedzieć. Im bardziej byłam tajemnicza, tym większą zyskiwałam sławę.

– Dlaczego Księżę Proteusz? Czemu nie Księżniczka?

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Jeszcze jedna maska, Joe. Czułam się za nią bezpieczniej.

– Kiedy się dowiedziałeś, skąd wziął się u ciebie ten talent? Na pewno się zastanawiałaś...

– Geniusz, Joe. Nie talent, czysty geniusz – poprawiła. – Tak, zastanawiałam się, skąd się wziął, niemal oszalałam z pragnienia, by się dowiedzieć. Wydałam fortunę na poszukiwania, kim byli moi biologiczni rodzice, ale bezskutecznie. – Ujęła mnie za rękę. – Prywatni detektywi, których wynajęłam, nie dorastali ci do pięt.

– Dziękuję, staram się. A zatem kiedy odkryłaś prawdę?

– Dopiero kiedy podpisałam kontrakt z Sereną i po raz pierwszy spotkałam Trio. To było jak grom z jasnego nieba, Joe. Wiesz, jak to jest. Potrafimy to wyczuć.

– Ale Trio nie czuł.

– Wtedy byłam już Księciem Proteuszem. Bezpieczna za swoją nieprzeniknioną maską. – Twarz Morgany ściągnęła się i

stwardniała, cofnęła dłonie. – Poza tym Trio nawet nie byłby w stanie domyślić się prawdy. Tak jak mój oryginał, był mizoginem.

– Sir Herbert Three nie nienawidził kobiet, Morgano. Był żonaty cztery razy i miał setki kochanek. Nie umiał się trzymać z daleka od kobiet.

Morgana spojrzała na mnie badawczo, a potem potrząsnęła głową i roześmiała się cicho, bez cienia radości.

– Znam te opowieści lepiej niż ty, Joe. Sir Herbert Three wierzył w krótką miłość i szybkie rozstanie, zostawiał za sobą złamane serca, traktował kobiety jak przedmioty jednorazowego użytku, które brał, a potem zgniatał i wyrzucał. Miał żony i romanse, ale żadna kobieta nie była godna, by urodzić mu dziecko. W ostatniej woli zażądał, by go sklonowano. Chciał czterech męskich dziedziców, cztery doskonałe kopie samego siebie, niepokalane kobiecym łonem. – Odchyliła się na oparcie fotela. Uśmiechnęła się, a potem roześmiała i w tym śmiechu brzmiała czysta satysfakcja. – Ale nie wszystko poszło zgodnie z planem. Jeden z chromosomów zbuntował się przeciw planom sir Herberta. Tak oto powstało trzech chłopców. I ja – mały brudny sekret, który należało ukryć przed światem.

– Nie musiałaś go zabijać, Morgano – powiedziałem.

– Nie chciałam, Joe. Przysięgam, nie chciałam. Czekałam, aż okaże choć cień rozpoznania. Byliśmy sobie bliżsi niż rodzeństwo, bliżsi niż bliźnięta – ale Trio widział we mnie tylko Księcia Proteusza. Pozostał zimny, Joe, zimny jak lód! Myślałam o tych wszystkich latach, gdy byłam sama, przerażona... o rzeczach, jakie robiłam, by utrzymać się przy życiu... podczas gdy Trio był razem, nigdy nie czuł tej koszmarnej samotności. I

wtedy zapragnęłam go zabić, jednego po drugim.

Zerwała się z fotela i wyprostowała, zaciskając pięści, sztywna i spięta.

– Myślałam o tym każdego dnia. Zaplanowałam to w najdrobniejszych szczegółach. Ale tak naprawdę wcale nie chciałam tego zrobić, Joe. Dzisiejszego wieczoru dałam mu ostatnią szansę. Zdjęłam maskę. Zagrałam Ofelię jako ja. Byłam pewna, że Trio zobaczy, kim naprawdę jestem. Pragnęłam tylko jednego słowa, drobnego znaku, że mnie poznaje... a kiedy nic się nie stało, powiedziałam sobie, że Trio nie zasługuje, by żyć. Miałam sposobność i żadnych trudności: byłam Ozrykiem, jak pamiętasz. Rozdałam rapiery. „Dotknięcie było jawne” [*William Shakespeare Hamlet*] – krzyknęła nadętym głosem Ozryka, a potem odwróciła się do mnie. – I to cała historia, Joe. Już wiesz. Rozwiązałeś zagadkę. A teraz chodźmy jak najdalej stąd, gdzieś, gdzie nikt nas nie znajdzie. Chodź, Joe. Przecież mnie pragniesz?

Zmierzyłem ją spojrzeniem od stóp do głów i zatrzymałem się na oczach.

– Tak, Morgano, pragnę cię. Pragnę jak nikogo innego na świecie. Ale między nami stoi teraz prawo.

– Joe! – wyszeptała miękko. – Joe, nie pozwól, żeby to się tak skończyło. Proszę, Joe.

Wyciągnęła do mnie rękę. Już, już nasze dłonie prawie się dotknęły, gdy z hukiem otwarły się drzwi. W progu stanął porucznik Chupka z wydziału zabójstw i ja – w samą porę.

– Oto twój morderca, Chupka – powiedziałem. – Morgana Millwood, znana również jako Księżę Proteusz. Naprawdę nazywa się Herbert Three.

– Świetnie, Kilborn – odrzekł Chupka. Skinął głową, a wtedy dwie policjantki chwyciły Millwood pod ramiona i wyprowadziły. Nie obejrzała się na mnie.

– Szybko poszło – stwierdziłem. – Morgana miała bardzo dobry powód, żeby zabić Trio.

– Zawsze taki mają, czyż nie? – Chupka uniósł kapelusz i rozejrzał się po pokoju. Niewielka walizka przyciągnęła jego wzrok. – Zdaje się, że nasza zabójczyni była gotowa do wyjazdu. Sama?

– Nie wiem. Będziesz musiał ją zapytać. – Wzruszyłem ramionami.

– Nieźle, Kilborn. Jak udało ci się tak szybko to rozwikłać?

– To proste – powiedziałem.

– Proste?

Wzruszyłem ramionami.

– Millwood zabiła Trio i musiała uporać się z konsekwencjami.

Chupka pokiwał głową.

– Ta-ak. Piękna kobieta, swoją drogą. Co za szkoda. Popatrzyłem uważnie na drzwi, za którymi zniknęła, i mruknąłem: – Śliczna. Kobieta o twarzy, dla której mężczyzna mógłby umrzeć.

– Trio umarł – warknął Chupka. A zwróciwszy się do mnie, dodał: – Ale dopadłeś ją, Kilborn. Dobra robota. Musisz być z siebie dumny.

Nie odpowiadając, podszedłem do okna. Nie byłem z siebie dumny. Czułem się tak jak nigdy dotąd, jak zapewne może się czuć tylko solo. Czułem się samotny.

Eric Frank Russell (1905–1978) zaczął publikować science fiction w 1937 głównie w Stanach Zjednoczonych, gdzie jego powieść *Sinister Barrier*, wydawana w magazynie „Unknown”, 1939, stała się przebojem. Miał umowę z wydawcą „Unknown” i czołowego czasopisma „Astounding” (do dziś obecnego na rynku jako „Analog”), Johnem W. Campbellem Jr. – był jego ulubionym pisarzem i większość jego utworów ukazała się w latach czterdziestych i pięćdziesiątych właśnie w tych magazynach. Jednak Russellowi niezbyt udawała się publikacja własnej twórczości gdzie indziej, w latach sześćdziesiątych zmęczył się próbami i zniknął z fantastyki naukowej. Jeśli się dobrze poszuka, można trafić na jego zbiór *Deep Space* (1954) lub *Far Stars* (1961), albo późniejszą kolekcję opowiadań *The Best of Eric Frank Russell* (1978). Russell otrzymał nagrodę Hugo za błyskotliwą, pełną angielskiego humoru satyrę na biurokrację w kosmosie: *Allamagoosa* (Elemelek, 1955), a choć utwór ten nie jest typowym przykładem twórczości tego pisarza, typowa jest lekkość stylu i trafność opisu oraz zaskakujące ujęcie wcale nie tak nietypowych zagadnień. Prezentowane opowiadanie jest pod tym względem podobne.

Eric Frank Russell

I WŚLIZGNĘ SIĘ DO OBOZU TWEGO...

Morfad usiadł w kajucie na śródkręciu i wbił ponure spojrzenie w ścianę. Martwił się i nie bardzo umiał to ukryć. Obecna sytuacja była równie frustrująca jak gigantyczna pułapka na szczury, z której nie można uciec, chyba że z pomocą innych szczurów.

Jednak inni nie zamierzali nawet kiwnąć palcem – ani ze względu na Morfada, ani na siebie, to pewne. Jak niby miał przekonać ludzi do działania, skoro nawet nie zdają sobie sprawy, że po uszy wpadli w tarapaty?

Szczur biega wokół pułapki tylko wtedy, gdy zdaje sobie sprawę z jej istnienia. Dopóki jednak pozostaje w błogosławieństwie niewiedzy, nie zrobi nic. Na przestrzeni całej swojej historii rzesze inteligentnych istot nie zrobiły nic. Pięćdziesięciu sceptycznych Altairian najpewniej nie zajmie się czymś, z czym nie poradziło sobie trzy miliardy Terran.

Nadal siedział w kajucie, gdy pojawił się Haraka z wieścią: – Ruszamy o zachodzie słońca.

Morfad nie powiedział słowa.

– Szkoda będzie odchodzić – dodał Haraka. Był kapitanem

statku, wielkim i krzepkim, po prostu chodzący ideał Altairianina. Rozcierając giętkie palce, dorzucił jeszcze: – Mieliśmy szczęście, że odkryliśmy tę planetę, nadzwyczajne szczęście. Zawarliśmy braterstwo z istotami, które mają inteligencję porównywalną do naszej i podróżują w kosmosie jak my, a przy tym są przyjazne i chętne do współpracy.

Morfad nie odpowiedział.

– Przyjęli nas serdecznie i otwarcie – mówił Haraka z entuzjazmem. – Kiedy nasi przeczytają raporty z ekspedycji, będą zachwyceni. Bez wątpienia czeka nas wspaniała przyszłość. Terrańsko–altairski sojusz będzie niezwyciężony. Razem zbadamy i zasiedlimy Galaktykę.

Morfad milczał.

Haraka opanował entuzjazm i zmarszczył brwi.

– Co z tobą, mizeraku?

– Jakoś nie szaleję z radości.

– Tyle widzę. Twoja twarz jest jak kwaśny shamsid ze starego, wyschniętego krzewu. I to w chwili naszego triumfu! Jesteś chory?

– Nie. – Morfad obrócił się powoli i spojrzał kapitanowi w oczy. – Wierzysz w zdolności parapsychiczne?

Haraka wzdrygnął się zaskoczony.

– Nie wiem. Jestem kapitanem, wyszkolonym inżynierem nawigatorem, nie wypada mi udawać, że znam się na nadprzyrodzonych umiejętnościach. Pytasz osobę, która nie ma stosownych kompetencji, by udzielić odpowiedzi. A ty? Wierzysz w zdolności parapsychiczne?

– Tak. Teraz już tak.

– Teraz? Czemu teraz?

– Bo muszę.

Morfad zawahał się, zanim dokończył z nutką desperacji w głosie: – Odkryłem, że jestem telepatą.

Haraka przyjrzał mu się z lekkim niedowierzaniem.

– Jak to: odkryłeś? To znaczy, że masz tak od niedawna?

– Właśnie.

– Od kiedy?

– Od kiedy przybyliśmy na Terrę.

– Nie rozumiem – przyznał Haraka, zbity z tropu. – Chcesz mi powiedzieć, że jakieś szczególne właściwości Terry sprawiły, że możesz czytać mi w myślach?

– Nie. Nie mogę czytać w twoich myślach.

– Ale przed chwilą powiedziałeś, że stałeś się telepatą.

– Zgadza się. Mogę słyszeć myśli tak wyraźnie jak słowa wykrzyczane wprost do ucha. Ale nie twoje myśli ani nikogo z załogi.

Haraka pochylił się, na twarzy odmalował mu się głęboki namysł.

– Ach, słyszysz myśli Terran, tak? I to, co usłyszałeś, zaniepokoiło cię? Morfad, jestem twoim kapitanem, twoim dowódcą. Masz bezwzględny obowiązek podzielić się ze mną podejrzeniami dotyczącymi Terran. – Odczekał chwilę, nie kryjąc zniecierpliwienia. – No już! Gadaj!

– Nie znam tych humanoidów ani lepiej, ani gorzej od ciebie – stwierdził Morfad. – I mam wszelkie powody, by wierzyć, że ich przyjazne nastawienie jest szczere. Jednak nie mam pojęcia, co naprawdę myślą.

- Do stu tysięcy supernowych, powiedziałaś, że...
- Nie rozumiemy się – przerwał Morfad. – Słyszę myśli. A czy Terran, to zależy, jak zdefiniujesz pojęcie „Terranie”.
- No dobra – westchnął Haraka. – Czyje myśli słyszysz?
- Prostując się, Morfad oznajmił beznamiętnie.
- Myśli terrańskich psów.
- Psów? – Haraka cofnął się, posyłając towarzyszowi zdumione spojrzenie. – Psów? Mówisz poważnie?
- Nigdy nie byłem bardziej poważny. Mogę słyszeć tylko myśli psów. Nie pytaj mnie dlaczego, bo nie mam pojęcia. To kaprys losu, przypadek, dziwactwo...
- I słyszysz myśli psów, odkąd wylądowaliśmy na Ziemi?
- Tak.
- A co dokładnie słyszałaś?
- Kwiaty obcej mądrości rzucające mi pod stopy – wyznał Morfad. – I im dłużej nad nimi rozmyślam, tym bardziej jestem przerażony.
- Spróbuj więc mnie przestraszyć i podaj parę przykładów – poprosił Haraka, tłumiąc śmiech.
- Cytat: najwyższym sprawdzianem dla inteligencji jest umiejętność życia jej przedstawicieli tak, jak im się podoba, i osiągnięcie tego stanu bez wysiłku oraz wkładu pracy – wyrecytował Morfad. – Cytat: sztuka władania polega na ukryciu działań tak, by pozostały poza wszelkimi podejrzeniami. Cytat: najskuteczniejszą, najsubtelniejszą i najpotężniejszą bronią we wszechświecie jest pochlebstwo.
- He?
- Cytat: jeżeli obiekt potrafi myśleć, to lubi myśleć, że jest

bogiem – wystarczy traktować go jak bóstwo, a dobrowolnie stanie się niewolnikiem tego, kto okaże mu cześć.

– O nie – oburzył się Haraka.

– O tak! – stwierdził z naciskiem Morfad. Machnął ręką, wskazując najbliższy iluminator. – Tam na zewnątrz żyje trzy miliardy bóstw. Ich czciciele łąszą się do nich, adorują i spoglądają z uwielbieniem w oczy. Bogowie są bardzo łaskawi dla tych, którzy ich kochają – prychnął, by podkreślić wagę dalszych słów. – Kochankowie dobrze to wiedzą – wszak miłość nic nie kosztuje.

– Chyba oszalałeś – odezwał się Haraka niepewnie.

– Cytat: prawdziwie skuteczna władza to taka, z której istnienia rządzeni nie zdają sobie sprawy – jeszcze jedno prychnięcie. – Czy to brzmi jak brednie szaleńca? Nie sądzę. To ma sens. To działa. I doskonale się sprawdza nawet w tej chwili.

– Ale...

– Popatrz na to. – Morfad rzucił na kolana kapitana nieduży przedmiot. – Poznajesz?

– Tak, miejscowi nazywają to krakersem.

– Właśnie. Żeby go wyprodukować, Terranie orzą pola, nieważne, deszcz czy słońce, potem sieją zboże, a na koniec zbierają plony przy pomocy maszyn, które inni Terranie budują w pocie czoła. Zebrane z pól ziarno jest przewożone i magazynowane, potem mielone na mąkę. Do mąki dodaje się różne składniki, wyrabia się i piecze ciasto, aż wreszcie pakuje i rozwozi krakersy po całym świecie. Kiedy humanoidalny Terranin chce krakersa, musi na niego zapracować.

– No to co...

– Kiedy pies chce krakersa, siada, macha ogonem, wyciąga łapę i okazuje uwielbienie swojemu bogu. I tyle. Tylko tyle.

– A niech cię! Przecież psy są stosunkowo głupie...

– A przynajmniej takie sprawiają wrażenie – stwierdził Morfad oschle.

– Nie potrafią zrobić nic efektywnego.

– To zależy, jak się zdefiniuje efektywność.

– Przecież psy nie mają rąk.

– I nie potrzebują ich – mają rozum.

– Czyżby? – Haraka wyraźnie się zdenerwował. – My, Altairianie, wynaleźliśmy i skonstruowaliśmy statki do podróży międzygwiazdnych. Terranie osiągnęli to samo. Terrańskim psom natomiast nie udało się nic podobnego i nie uda przez następne miliony lat. Kiedy jakiś pies wykaże dość rozumu i umiejętności, by dotrzeć na inną planetę, zjem swoją kapitańską czapkę.

– Możesz zacząć od razu – rzucił Morfad. – Mamy dwa psy na pokładzie.

Haraka parsknął lekceważąco.

– Terranie podarowali je nam na pamiątkę.

– Bez wątpienia podarowali nam psy, ale na czyj rozkaz?

– To był całkowicie spontaniczny gest.

– Doprawdy?

– Próbujesz zasugerować, że to psy podsunęły Terranom ten pomysł? – upewnił się Haraka.

– Wiem, że to zrobiły – odrzekł Morfad ponurym tonem. – Zważ, że nie dano nam dwóch samców lub pary samic. Och, nie, mój panie, nic z tego! Pies i suka. Ofiarodawcy powiedzieli, że

będziemy mogli je hodować. I tym sposobem wkrótce nasze światy opromieni dozogonna miłość najlepszych przyjaciół człowieka.

– Bzdury! – oburzył się Haraka.

– Ograniczasz się do nieaktualnego, przestarzałego przekonania, że podbój musi wiązać się z agresją – zaproponował Morfad. – Nie przyszło ci do głowy, że całkowicie obca rasa będzie używać całkowicie obcych metod? Psy stosują własną taktykę. To wbrew ich naturze i zdolnościom, by podbić nas przy pomocy statków i broni, z wielkim hukiem i zamieszaniem. O nie! Zgodnie z ich naturą i zdolnościami psy podkradną się i popatrzą na nas z oddaniem, w ich oczach zabłyśnie czysta adoracja, jakbyśmy byli bohaterami. Ani się obejrzymy, a będzie nami rządzić horda łaszących się lizusów.

– Chyba wiem, jak nazwać stan twojego umysłu – skrzywił się Haraka. – Cierpisz na kynofobię.

– Mam powody.

– Całkowicie wyimaginowane.

– Wczoraj zajrzałem do salonu kosmetycznego dla psów. I ktoś to kąpał, czesał, pudrował i perfumował klientów? Inne psy? Ależ skąd! To humanoidki były zajęte strojeniem czworonogów. Czy to też sobie wyimaginowałem?

– Widocznie Terranie są ekscentryczni. To jeszcze nic nie znaczy. My też mamy trochę własnych śmiesznych przywar.

– I tu masz całkowitą rację – zgodził się Morfad. – Znam jedną z twoich wad. Jak zresztą cała załoga.

Haraka zmrużył oczy.

– Możesz mi to śmiało powiedzieć wprost. Nie boję się tego, co

inni o mnie sądzą.

– Proszę bardzo, sam chciałeś. Sporo uwagi poświęcasz Kashimowi. Zawsze masz czas, by go wysłuchać. I tak naprawdę słuchasz tylko jego. Wszystko, co mówi Kashim, ma znaczenie – dla ciebie.

– Jesteś zazdrosny o Kashima, co?

– Ani trochę – zapewnił Morfad z odrazą. – Brzydzą się nim z tych samych powodów, z jakich i reszta nim gardzi. Kashim to zawodowy lizus. Przez cały czas ci nadskakuje, łasi się do ciebie, winduje ci ego. Urodzony pochlebca, który traktuje cię jak terrański pies. A ty to uwielbiasz, pławisz się w tym oddaniu. Dla ciebie to jak narkotyk, któremu nie potrafisz się oprzeć. I to działa, więc nie próbuj zaprzeczać – wszyscy to wiedzą.

– Nie jestem głupcem. Wiem, jaki jest Kashim. I nie ma na mnie aż tak wielkiego wpływu, jak ci się wydaje.

– Cztery miliardy psów żyje na garnuszku Terran, którzy także są przekonani, że te zwierzęta nie potrafią zrobić nic istotnego.

– Nie wierzę ci.

– Oczywiście, że nie wierzysz. Nie liczyłem, że uwierzysz. Skoro Morfad ci o tym mówi, zatem Morfad musi być albo oszustem, albo wariatem. Gdyby powiedział ci o tym Kashim, płaszcząc się u twoich stóp, połknąłbyś haczyk i uwierzył w każde słowo. Kashim ma umysł terrańskiego psa i stosuje logikę terrańskiego psa.

– Opieram swoje zwątpienie na bardziej solidnych podstawach.

– Czyli jakich? – zainteresował się Morfad.

– Niektórzy Terranie są telepatami. Gdyby zatem ta bajka o

ukrytym panowaniu psów była prawdą, wiedzieliby o tym już dawno. I na ich świecie nie pozostałby przy życiu ani jeden pies.
– Haraka przerwał znacząco, nim dokończył: – Ale Terranie nie wiedzą.

– Terrańscy telepaci odbierają tylko myśli przedstawicieli własnej rasy, nie psów. Ja słyszę psy, ale nie odbieram myśli żadnego innego gatunku. I jak już mówiłem, nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Wiem tylko, że się dzieje.

– Niewiele w tym sensu.

– Pewnie tak. Chyba nie mogę cię winić, że przyjąłeś takie właśnie stanowisko. Znalazłem się w trudnym położeniu: jestem jedynym słyszającym w królestwie głuchych.

Haraka przez długą chwilę zastanawiał się głęboko.

– Przypuśćmy, że uwierzę ci na słowo... Co twoim zdaniem miałbym zrobić?

– Odmów przyjęcia psów – odpowiedział twardo Morfad.

– Łatwo powiedzieć... Dobre stosunki z Terranami są dla nas niezwykle ważne. Jak mogę odmówić przyjęcia podarunku ofiarowanego ze szczerego serca, nie obrażając przy tym ofiarodawców?

– No dobrze, to nie odrzucaj prezentu, ale poproś o zamianę: niech to będzie para samców lub suk. Ułagodź Terran, powołując się na przepisy Altairu, które zabraniają wwozu obcych zwierząt zdolnych do naturalnego rozrodu.

– Nie mogę. Już za późno. Przyjeliśmy psy i wyraziliśmy wdzięczność za dar. Poza tym ich zdolność do rozmnażania jest nieodłączną częścią podarunku, intencją darczyńców jest, by psy się rozmnożyły – podarowano nam zupełnie nowy gatunek.

– Co ty nie powiesz? – westchnął Morfad.

– Z tych samych powodów nie możemy zapobiec rozmnażaniu się psów, kiedy wrócimy do domu – tłumaczył Haraka. – My i Terranie będziemy się teraz często odwiedzać. Gdyby nasi sojusznicy odkryli, że para nie ma młodych, z pewnością by się uzalili i z sentymentu hojnie obdarowali nas tuzinem kolejnych osobników. Albo I setką. I sytuacja tylko by się pogorszyła.

– Racja. – Morfad wzruszył ramionami z rezygnacją. – Ale jeżeli zamierzasz wymyślać obiekcje dla każdego potencjalnego rozwiązania, to równie dobrze możemy się poddać bez walki. Opuśćmy ręce i zmieńmy się w kolejny gatunek rządzony przez psy. Cytuję ponownie: prawdziwie skuteczna władza to taka, z której istnienia rządzeni nie zdają sobie sprawy. – Posłał Harace pełne goryczy spojrzenie. – Gdyby to ode mnie zależało, poczekałbym, aż znajdziemy się daleko w kosmosie, i wyrzuciłbym zwierzęta w próżnię.

Haraka uśmiechnął się triumfalnie, pewien, że teraz ma okazję raz na zawsze rozprawić się z mrzonkami Morfada.

– Gdybyś to uczynił, byłby to niepodważalny dowód, że uległeś urojeniom.

Westchnąwszy głęboko, Morfad zapytał: – Dlaczego?

– Ponieważ pokonałbyś dwóch czołowych przedstawicieli rasy panów. I tyle, jeśli chodzi o psią dominację, co? – Haraka uśmiechnął się szyderczo. – Słuchaj, Morfad. Według tego, co mówisz, tylko ty wiesz coś, czego nikt inny nie wie, ani nawet nie podejrzewa. A zatem stanowisz śmiertelne zagrożenie dla całego psiego gatunku. Nie miałbyś szans, by zostać przy życiu, ponieważ mógłbyś pokrzyżować psie plany albo rozgłosić

prawdę. Powinieneś być zatem martwy jak nie przymierzając przedpotopowa skamielina.

Kapitan ruszył do wyjścia, ale jeszcze obrócił się w progu.

– A na moje oko jesteś wcale żywy. – I zatrzasnął drzwi.

– Nie wpadło ci do głowy, że chociaż ja słyszę ich myśli, to nie znaczy, że psy słyszą moje? – rzucił za nim Morfad. – I wątpię, żeby słyszały, to przecież zupełny przypadek...

Rozległo się tylko zgrzytnięcie zamka.

Morfad skrzywił się ze znużeniem, dwadzieścia razy przemierzył kajutę w tę i z powrotem, aż wreszcie opadł na krzesło i ponownie zaczął rozmyślać, jak tu się wykaraskać z tarapatów.



– Najskuteczniejszą, najsubtelniejszą i najpotężniejszą bronią we wszechświecie jest pochlebstwo.

O tak. Morfad starał się zrozumieć jak najdokładniej znaczenie tej myśli, by poradzić sobie z czworonożnymi wojownikami, posługującymi się z niesamowitą sprawnością najpotężniejszą bronią wszechświata: z zawodowymi pochlebcami, lizusami, płaszczącymi się i łaszącymi, czczącymi ludzi jak bogów. Przez niezliczone pokolenia psy doprowadziły do perfekcji sztukę, przeciw której zapewne nie było skutecznej obrony.

Jak powstrzymać inwazję, jak ją odeprzeć, jak jej przeciwdziałać?

– Tak, Boże!

– Oczywiście, Boże!

– Cokolwiek powiesz, Boże!

Jak ochronić się przed zdradziecką, podstępną taktyką psów? Jak ją wskazać, wyizolować...?

Na wszystkie gwiazdy! Oczywiście! Izolacja! Wystarczy poddać psy kwarantannie! Najlepiej na Pladaminie, bezużytecznej planecie, której nikt nie chce. Psy mogłyby się tam rozmnażać bez ograniczeń i objąć rządy nad chwastami oraz robactwem. A wścibskim turystom z Terry zawsze będzie można powiedzieć: – Psy? Och, jasne, nadal je mamy, nawet całkiem sporo. Świetnie im się powodzi. Dostały śliczną planetę, cały świat tylko dla nich. Nazywa się Pladamina. Jeżeli chcą państwo je odwiedzić, możemy to zorganizować.

Wspaniały pomysł. Nie tylko rozwiąże problem, ale też nie narazi na szwank dobrych stosunków z Terranami. Idealne załatwienie sprawy nie tylko na teraz, ale i po wsze czasy. Kiedy już psy znajdą się na Pladaminie, żadnemu nie uda się samodzielnie umknąć. A turystów z Terry, którzy przywiozą więcej psów, zawsze można będzie przekonać, żeby zostawili zwierzęta w psim raju stworzonym przez Altairian. Tam psy nie będą mogły rządzić nikim poza innymi psami, a jeżeli im się to nie spodoba, to niech się udławiają.

Nie warto przedstawiać tego planu Harace, kapitan nie krył swoich uprzedzeń. Lepiej zaczekać do powrotu i porozmawiać z władzami. Nawet jeżeli trudno im będzie uwierzyć w słowa Morfada, to mimo wszystko podejmą konieczne środki zapobiegawcze w myśl zasady, że lepiej się zabezpieczyć, niż żałować. Tak, władze w trosce o bezpieczeństwo z pewnością umieszczą psy na Pladaminie.

Stanąwszy na krześle, Morfad wyrzął przez iluminator na kosmodrom. W oddali tłoczyli się Terranie, chcąc ujrzeć na własne oczy odlot i pomachać na pożegnanie. Na obrzeżach tłumy Morfad dostrzegł małego, dziwacznie przystrojonego psa ciągnącego młodą Terrankę na cienkim, lekkim łańcuszku.

Biedna dziewczyna, pomyślał Morfad. Pies prowadzi, ona idzie za nim, a wydaje jej się, że jest dokładnie na odwrót.

Morfad znalazł aparat do zdjęć w kolorze, sprawdził ustawienia i ruszył korytarzem do otwartej śluzy. Miło będzie mieć fotografie Terran żegnających Altairian. Tuż przy krawędzi Morfad potknął się o czworonożne, krępe stworzenie z puszystym ogonem, które nagle wbiegło mu pod nogi – i poleciało na złamanie karku przez otwarty właz. Spadał tak szybko, że nie zdążył nawet puścić aparatu, a w uszach świszczał mu wiatr.

W tłumie na kosmodromie zabrzmiał przeszywający krzyk kobiety.



– Pogrzeb opóźnił nas o dwa dni – rzekł Haraka. – Będziemy musieli nadrobić stracony czas przy najbliższej sposobności.

Zamyślił się na długą chwilę.

– Szkoda mi Morfada. Był błyskotliwy, ale pod koniec zaczął się załamywać. Cóż, dobrze, że na ekspedycję spadło tylko jedno nieszczęście.

– Mogło być gorzej, kapitanie – odpowiedział Kashim. – Nieszczęście mogło przytrafić się panu. Każdego ranka dziękuję niebiosom, że tak się nie stało.

– Tak, to mogło spotkać mnie. – Haraka przyjrzał mu się uważnie. – Czy to by cię zasmuciło, Kashimie?

– Bardzo, kapitanie. Nie wydaje mi się, żeby ktoś jeszcze z załogi odczuwał równie głęboki smutek jak ja, gdyby panu coś się stało. Szanuję pana i podziwiam tak...

Urwał, gdy do kajuty wkroczył miękko czworonóg i położył pysk na kolanie dowódcy. Pies wbił w Harakę pełne oddania i miłości spojrzenie. Kashim zmarszczył brwi z rozdrażnieniem.

– Dobry piesek! – Haraka podrapał zwierzę za uszami i z zadowoleniem spojrzał na merdający entuzjastycznie ogon.

– Szanuję pana i podziwiam – powtórzył Kashim nieco głośniejszym głosem – tak bardzo, że...

– Dobry piesek! – Zapominając o całym świecie, Haraka przesunął dłoń na szyję ulubieńca i zaczął go drapać pod brodą.

Kashim popatrzył na „dobrego pieska” z nieskrywaną nienawiścią. Pies beznamiętnie łypnął na niego orzechowym okiem. Od tej chwili los Kashima był przesądzony.

Clifford D. Simak (1904–1988) należy do moich ulubionych pisarzy dlatego, że zawsze mówił za siebie. Nikt inny nie tworzył takiej fantastyki naukowej jak Simak. Jeżeli chciał, potrafił napisać powieść o zaawansowanym technologicznie świecie, ale zwykle nie chciał. Najbardziej interesowali bowiem tego pisarza zwykli ludzie z ich zwykłymi robotami i zwykłymi obcymi, których mieli na co dzień. Typowa opowieść w stylu Simaka wymaga samotnika na wsi, któremu przytrafia się coś niezwykłego. Simak przywołuje ten motyw raz po raz, czasami dowcipnie, czasami z powagą, lecz zawsze z niezwykłą świeżością. Udało mu się ująć ten motyw w powieści, wystarczy sprawdzić nagrodzony majstersztyk *Way Station* (Stacja Tranzytowa, 1963). Napisał też opartą na tym motywie nagrodzoną minipowieść *The Big Front Yard* (Wielkie frontowe podwórko, „*Astounding*”, wrzesień 1958) oraz nagrodzone opowiadanie *Grotto of The Dancing Deers* (Grota Tańczących Jeleni, „*Analog*”, kwiecień 1980). Ach, i potrafił na tym samym motywie stworzyć serię opowiadań, tak – oczywiście nagrodzoną, pt. *City* (1952). Stowarzyszenie Amerykańskich Pisarzy Fantastyki Naukowej w 1976 uznało Clifforda D. Simaka za wielkiego mistrza gatunku i wątpię, czy kiedykolwiek będzie podobny do niego twórca.

Clifford D. Simak

ŚMIERĆ W DOMU

S tary Mose Abrams natknął się na obcego, kiedy zaganiał skrowy z pastwiska. Nie wiedział, rzecz jasna, że to obcy; dla niego była to po prostu żywa istota, która znajdowała się w potrzebie, a stary Mose – chociaż sąsiedzi nie mieli o nim najlepszego zdania – nie należał do ludzi, którzy potrafili przejść obojętnie obok cierpiącego stworzenia i pozostawić je w lesie na pastwę losu.

Istota wyglądała paskudnie – zielona, lekko połyskująca, pokryta gdzieniegdzie purpurowymi plamkami – i budziła odrazę nawet z odległości dwudziestu stóp. A ponadto cuchnęła.

Wpełzła, a raczej próbowała wpełznąć w kępę krzaków, lecz nie za bardzo jej się udało. Zdołała ukryć w zaroślach tylko przednią część tułowia. Liczne wyrostki, które zapewne stanowiły odpowiednik rąk i nóg, od czasu do czasu spazmatycznie szarpały ziemię, jakby stworzenie usiłowało wczołgać się głębiej, ale nic z tego nie wychodziło. Obcy był na to zbyt słaby.

Mose usłyszał także ciche pojękiwania, a w zasadzie delikatny świst, jak gdyby wiatr hulał pod szerokim blaszanym okapem. Ale w tym ledwo uchwytnym jęku krył się tak silny ładunek emocji, skarga pełna strachu i desperacji, że staremu zjeżyły się

włosy na głowie.

Przez chwilę stał bez ruchu, próbując wymyślić sposób na udzielenie pomocy; potem jeszcze dłużej zbierał się na odwagę, chociaż wszyscy z sąsiedztwa twierdzili, że czego jak czego, ale odwagi to mu nie brakuje. Jednak w tej sytuacji sama odwaga nie wystarczała, potrzebna była jeszcze spora dawka lekkomyślności.

Wszak Mose miał przed sobą obce, a w dodatku potrzebujące pomocy stworzenie, którego nie można było zostawić w tym stanie. Zbliżył się więc i uklęknął. Chociaż trudno było patrzeć na tego potwora, jednak odpychający wygląd wywoływał również fascynację – w pewnym sensie obca istota przyciągała wzrok właśnie dlatego, że wyglądała odrażająco. Poza tym, jako się rzekło, nieopisanie wprost cuchnęła.

Mose jednak nie należał do osób wrażliwych. Nikt z sąsiedztwa nie nazwałby go szczególnie przeczulonym. Niemal od dziesięciu lat, od śmierci żony, mieszkał sam na zaniedbanej farmie, a sposób, w jaki prowadził gospodarstwo, kobiety z okolicy uważały za po prostu skandaliczny. Raz do roku – oczywiście, jeśli przyszła mu ochota – Abrams wygarniał z domu furę śmieci, ale potem nie obchodziło go, że wokół walają się odpadki.

Właśnie dlatego smród bijący od obcej istoty nie zrobił specjalnego wrażenia na farmerze, choć na innego człowieka mógłby podziałać odstraszająco. Jedyne wygląd stworzenia nieco go przeraził. Minęło sporo czasu, zanim stary zdobył się na wyciągnięcie ręki i dotknięcie obcego. I dopiero wtedy przeżył zaskoczenie. Wydawało mu się, że skóra istoty będzie zimna,

wilgotna i pokryta śluzem – tymczasem była ciepła i szorstka, sprawiała wrażenie czystej i suchej, przypominała w dotyku młodą, niedojrzałą kolbę kukurydzy.

Stary wsunął dłonie pod ciało obcego, ostrożnie wyciągnął je z kępy krzaków i odwrócił na wznak, by ujrzeć jego twarz. Ale istota nie miała twarzy. Ciało zwieńczała kulista narośl, przypominająca pęk kwiatowy tkwiący na łodydze – choć obcy w niczym nie przypominał rośliny, wokół narośli zaś wiły się powoli dziesiątki wypustek, niczym robaki rojące się na żerowisku. Na taki widok trudno było opanować odruch, by poderwać się na równe nogi i rzucić do panicznej ucieczki.

Mose zdołał jednak stłumić strach.

Kłęczał obok stworzenia, wpatrując się w narośl zamiast twarzy, wokół której wiły się glisty. Czuł dojmujący chłód, żołądek niczym winda przesuwiał się to w górę, to w dół, a kiedy Mose przekonał się, że to właśnie owe wijące się macki wydzielają duszący odór, gardło ścisnęło mu się w jeszcze silniejszym przerażeniu.

Był jednak człowiekiem upartym. Zresztą jedynie człowiek uparty i wytrwały mógł mieszkać samotnie na zapuszczonej farmie. A Mose był nie tylko uparty, lecz również na swój sposób niewrażliwy. Miał jednak miękkie serce, zwłaszcza gdy stykał się z cierpieniem.

Po dłuższej chwili uniósł obcą istotę. Wyprostował się, ważąc ją w ramionach, po czym stwierdził, że da radę. Stworzenie nie było ciężkie, ważyło nie więcej niż trzymiesięczne prosię.

Mose wyszedł na leśną ścieżkę i skierował się do domu. Odniósł wrażenie, że smród stał się nieco mniej odrażający.

Wciąż jeszcze starzec odczuwał strach, lecz już nie tak paraliżujący, a lodowaty chłód opuścił jego ciało.

Stworzenie chyba także nieco się uspokoiło, choć nadal cicho pojękiwało. Zdawać by się mogło, że nawet wtuliło się w ramiona człowieka – mniej więcej w taki sam sposób, w jaki przestraszone i wygłodniałe dziecko przytula się do pierwszej napotkanej dorosłej osoby, która okaże mu odrobinę życzliwości.

Stary Mose dotarł do farmy i przystanął na podwórzu, zastanawiając się, gdzie najlepiej umieścić obcego: w domu czy w stodole. Niejako naturalnym miejscem wydawała się stodoła, ponieważ stworzenie to nie było człowiekiem. Miało w sobie jeszcze mniej ludzkich cech niż pies, kot czy też chore jagnię.

Jego wahanie nie trwało jednak długo. Mose wszedł do domu i złożył ciężar na barłogu, który nazywał łóżkiem, znajdującym się w kuchni tuż przy piecu. Ułożył obcego płasko, jakby na wznak, przykrył lepiącą się od brudu derką, a następnie otworzył drzwiczki paleniska i rozdmuchał żarzące się węgle, aż strzeliły pierwsze płomyki ognia.

Przysunął krzesło do łóżka, usiadł i z wyteżoną uwagą jął przyglądać się obcej istocie. Stworzenie leżało spokojnie, znalazłszy się w znacznie bardziej komfortowych warunkach niż naga ziemia w lesie, przestało też pojękiwać. Mose pochylił się i przez derkę ostrożnie obmacał obcego, a czynił to z tak wielką troskliwością, że nawet jego samego to zdumiało. Zaczął się zastanawiać, co mógłby dać gościowi do jedzenia, po chwili jednak uznał, że nawet gdyby znalazł właściwe pożywienie, nie umiałby nakarmić podopiecznego, ponieważ nie potrafił się zorientować, czy obcy w ogóle ma usta.

– Teraz nie musisz się już martwić – powiedział Mose. – Jesteś pod moim dachem, więc wszystko będzie dobrze. Nie wiem o tobie nic, ale będę się tobą opiekował najlepiej jak umiem.

Powoli zapadał zmrok. Stary wyjrzał przez okno: krowy, po które właśnie szedł na pastwisko, gdy znalazł obcego, same wróciły do obejścia.

– Muszę wydoić krowy i zająć się paroma sprawami w gospodarstwie – zwrócił się znów do istoty w łóżku. – Ale to nie potrwa długo. Szybko wrócę.

Dorzucił jeszcze do ognia, żeby płyta kuchenna porządnie się nagrzała, powtórnie sprawdził, czy stworzenie jest dokładnie przykryte, wreszcie wziął bańkę na mleko i wyszedł do obory.

Najpierw nakarmił owce i świnię, potem dorzucił koniom siana i wydoił krowy. Zajrzał do kurnika w poszukiwaniu jajek, a wychodząc, zamknął go na noc. Na koniec napompował wody do zbiornika i dopiero wtedy wrócił do domu.

W kuchni panowała ciemność. Mose zapalił lampę naftową stojącą na stole, był bowiem zdecydowanym przeciwnikiem elektryczności. Kiedy Okręgowy Urząd Elektryczności kładł w okolicy kable, Mose odmówił podpisania zbiorowej umowy. Większość sąsiadów śmiertelnie się za to na niego obraziła, ale starego niewiele to obeszło.

Popatrzył na stworzenie spoczywające w łóżku. Nie wyglądało ani lepiej, ani gorzej niż wówczas, kiedy przyniósł je do domu. Gdyby to było chore jagnię czy niedomagające cielę, Mose na pierwszy rzut oka rozpoznałby, jak się zwierzak czuje. Ale istota była zupełnie obca i stary nie umiał ocenić jej stanu.

Przygotował sobie skromną kolację i usiadł przy stole. Przy

jedzeniu zastanawiał się, czym nakarmić chorego. Myślał też, w jaki sposób można by ulżyć jego cierpieniom. Kiedy niósł obcego, wyczuwał ciepłość jego ciała. Ale co ta temperatura oznaczała, czy była prawidłowa, czy też nie, o tym Mose nie miał najmniejszego pojęcia.

Przemknęło mu przez głowę, by zwrócić się do kogoś o pomoc, ale gdy uzmysłowił sobie, że miałby o nią prosić, samemu nie wiedząc dobrze, na czym owa pomoc miałaby polegać, szybko porzucił ten pomysł. Spróbował także wyobrazić sobie, jak by się czuł w jakiejś odległej, nieznannej krainie, wymęczony i schorowany, gdzie nikt nie potrafiłby mu pomóc, ponieważ nikt by nie wiedział, kim jest Mose i co można dla niego zrobić.

Ta myśl przyspieszyła podjęcie decyzji – stary wstał i podszedł do telefonu. Przez chwilę się wahał, czy zadzwonić do lekarza, czy do weterynarza, w końcu zdecydował się jednak na lekarza, ponieważ chory leżał w łóżku. Gdyby Mose położył go w stodole, zadzwoniłby do weterynarza.

Aparat podłączony był do wspólnej linii okręgowej, więc słyszalność była raczej marna, do tego Mose miał przytępiony słuch, korzystał więc z tej drogi komunikacji bardzo rzadko. Wiele razy stary farmer powtarzał sobie, że jest to jeszcze jedna z tych elektrycznych nowinek, które tylko mącą ludziom w głowach, wiele razy też zamierzał pozbyć się urządzenia. Teraz jednak dziękował opatrności, że tego nie zrobił.

Telefonistka połączyła go ze starym Bensonem. Bardzo źle się nawzajem słyszeli, lecz doktor zdołał w końcu zrozumieć nazwisko. Pojął tylko tyle, że potrzebna jest jego wizyta, i obiecał przyjechać.

Nadal dręczony wątpliwościami Mose odwiesił słuchawkę i przez chwilę stał w bezruchu. Nagle poraziła go myśl, że może w lesie, w leszczynowych chaszczach, są jeszcze inne podobne stworzenia. Nie miał pojęcia, co to za istoty, skąd się tutaj wzięły i co zamierzały robić, stary uznał jednak, że obcy leżący w jego łóżku musi być przybyszem z bardzo odległych stron. Stąd nasuwał się wniosek, że owych istot mogło być więcej, gdyż nikt czy też nic nie lubi długich samotnych podróży.

Mose zatem zdjął z haka jeszcze jedną lampę naftową, zapalił ją i ciężkim krokiem wyszedł na podwórze. Noc była ciemna jak kłębowisko czarnych kotów i wąty płomyk lampy grzął w mroku. Jednak Mose znał swoje podwórze jak własną kieszeń.

Ruszył ścieżką w stronę lasu. Okolica była odludna i ponura, lecz gęstwina drzew pogrążona w mroku nie przerażała starego. Dotarł do miejsca, w którym znalazł stworzenie, i zaczął się rozglądać, unosząc latarnię, by oświetlić dokładniej kępę leszczyny. Nie natrafił jednak na żadną inną obcą istotę.

Coś jednakowoż znalazł – przedmiot przypominający ogromną klatkę dla ptaków splecioną z grubych metalowych prętów, który uwiązał w większej płataninie krzewów. Mose próbował wyciągnąć klatkę, ale nie dał rady.

Rozejrzał się, zastanawiając, jak tak duża klatka znalazła się w krzakach. Wkrótce odkrył, że w gęstych koronach drzew jest wąski prześwit, w którym słabiutko migotały odległe gwiazdy.

Mose nie miał już teraz żadnych wątpliwości, że stworzenie spoczywające obecnie w jego łóżku obok pieca przybyło na Ziemię w tym niezwykłym pojeździe ze splecionych prętów. Przez chwilę przyglądał się urządzeniu, szybko jednak

zrezygnował, uświadomił sobie bowiem, że ta historia jest nieprawdopodobna i raczej trudno dopatrywać się w niej logiki.

Niedługo potem wrócił na farmę. Ledwie zdołał zgasić lampę i odwiesić ją na miejsce, gdy usłyszał warkot zbliżającego się samochodu.

Na widok Mose'a czekającego w drzwiach doktor uniósł brwi ze zdumienia.

– Nie wyglądasz mi na chorego – stwierdził. – A w każdym razie nie na tyle, żeby ciągać mnie po nocy na to pustkowie.

– Nie jestem chory – przyznał Mose.

– Więc o co chodzi? – doktor zaczął się irytować. – Po co, u diabła, do mnie dzwoniłeś?

– Jest tu ktoś, kto potrzebuje opieki – rzekł Mose. – Mam nadzieję, że pan będzie w stanie mu pomóc. Próbowałem sam, ale nie mam pojęcia, co i jak zrobić.

Doktor przekroczył próg, a Mose starannie zamknął za nim drzwi.

– Co tu tak cuchnie? Coś ci zgniło? – zapytał doktor.

– Nie, to właśnie on tak śmierdzi. Na początku cuchnął jeszcze bardziej, ale już się przyzwyczailem.

Doktor ujrzał wreszcie stworzenie spoczywające w łóżku. Podszedł powoli. Mose usłyszał, jak lekarz głośno wciągnął powietrze – stał nad łóżkiem sztywny, jak rażony gromem. Zaraz jednak pochylił się nieco i rozpoczął uważne oględziny obcego.

Kiedy się wyprostował i odwrócił do Mose'a, miał taką minę, jakby tylko nieopisane zdumienie nie pozwoliło mu wybuchnąć niepohamowanym gniewem.

– Cóż to jest, Mose?! – wycedził.

– Nie mam pojęcia. Napotkałem to stworzenie w lesie, było chore i cierpiące, nie mogłem zostawić go bez pomocy.

– A skąd wiesz, że to jest chore?

– Tego jestem pewien – odparł stary. – Bardzo potrzebuje pomocy. Obawiam się, że może być umierające.

Doktor ponownie odwrócił się do łóżka, zsunął derkę i sięgnął po lampę, żeby dokładnie obejrzeć chorego. Wodził wzrokiem to w górę, to w dół, ostrożnie dotykał palcem różnych części ciała, cmokając pod nosem, jak to lekarz badający pacjenta.

W końcu nasunął brudne okrycie na obcego, a lampę odstawił na stół.

– Nie mogę dla niego nic zrobić, Mose – rzekł.

– Ale jest pan przecież lekarzem...

– Lekarzem od ludzi, Mose. Nie wiem, co to za stworzenie, ale na pewno nie jest to człowiek. Boję się nawet zgadywać, co może czemuś takiemu dolegać. Zresztą nawet gdybym zdołał rozpoznać jego chorobę, nie potrafiłbym przewidzieć, co może być dla niego bezpieczne, a co nie. Nie umiem nawet powiedzieć, czy to coś jest zwierzęciem. Wiele rzeczy wskazuje, że ta istota ma więcej wspólnego z rośliną.

Po chwili zapytał jeszcze o miejsce i sposób znalezienia przybysza. Mose opowiedział o wszystkim, pominął jednak milczeniem odnalezienie klatkopodobnego pojazdu – sprawa wydawała się już dość fantastyczna i nieprawdopodobna, by jeszcze mnożyć szczegóły. Samo odkrycie obcej istoty i przyniesienie jej do domu było wystarczająco wielką sensacją.

– Coś ci powiem – rzekł doktor. – Masz tutaj coś, co wykracza całkowicie poza zakres ludzkiej wiedzy. Wątpię, czy

kiedykolwiek w historii odnajdywano na Ziemi podobne stworzenia. Nie mam pojęcia, co to może być, i nawet nie będę próbował zgadywać. Na twoim miejscu skontaktowałbym się z uniwersytetem w Madison. Może uda ci się dotrzeć do kogoś, kto na temat tego stworzenia będzie umiał powiedzieć coś sensownego. A jeśli naukowcy nic nie wymyślą, to przynajmniej zbadają całą sprawę. Będą chcieli poznać tę istotę.

Mose podszedł do kredensu, wyciągnął pudełko od cygar po brzeżki wypełnione srebrnymi dolarówkami i zapłacił za wizytę. Doktor wsunął monety do kieszeni, mamrocząc, że stary jest ekscentrykiem. Mose upierał się bowiem przy srebrnych dolarówkach.

– Papierowe pieniądze nie wydają mi się prawdziwe – wyjaśnił doktorowi. – Lubię chłód srebrnych monet i ich brzęk. To nadaje im wartość.

Po jakimś czasie doktor odjechał. Chyba wcale nie był aż tak bardzo wściekły, jak Mose się tego obawiał. Zaraz po jego wyjściu stary przysunął krzesło jak najbliżej łóżka i usiadł obok chorego.

To nie w porządku, pomyślał, aby żywe stworzenie cierpiało tak bardzo i nikt nie mógł mu pomóc, nikt nie wiedział nawet, w jaki sposób ulżyć jego cierpieniom.

W zamyśleniu wsłuchiwał się w tykanie zegara, rozbrzmiewające echem w pogrążonej wśród nocnej ciszy kuchni, i w trzaskanie polan pod płytą kuchenną.

Za każdym razem, gdy jego spojrzenie padało na przybysza, ogarniała Mose'a nieuzasadniona nadzieja, że obcy wydobrzeje i pozostanie z nim na farmie. Może nie będzie miał innego wyjścia, skoro jego ptasia klatka była zniszczona. Ta nadzieja

wypełniła serce starca ciepłem, przy obcej istocie czuł się trochę mniej samotny.

Naraz Mose uzmysłowił sobie, jak bardzo był osamotniony przez ostatnie lata. Dopóki żył Towser, w domu nie panowała aż tak przerażająca cisza. Po jego śmierci stary nosił się z zamiarem kupna innego psa, ale nigdy się na to nie zdecydował. Nie potrafił sobie wyobrazić, że jakkolwiek pies byłby godzien zająć miejsce Towsera, na samą myśl farmer czuł się, jakby zdradzał przyjaciela. Co prawda mógłby tym razem kupić sobie kota, lecz bał się, że ten z kolei za bardzo przypominałby mu o Molly: żona niezwykle lubiła koty i dopóki żyła, zawsze po domu kręciły się dwa lub trzy rozpieszczone zwierzaki.

Od kilku lat Mose mieszkał zupełnie sam; została mu tylko stara farma, upór i srebrne dolarówki. Doktor pewnie także pomyślał, podobnie jak reszta sąsiadów, że wypełnione srebrem pudełko po cygarach schowane w kredensie to cały majątek starego. Nikt nie miał pojęcia, że pod deskami podłogi sypialni znajdował się okazały żelazny kociołek wypełniony po brzegi takimi samymi srebrnymi monetami. Mose uśmiechnął się pod nosem na tę myśl. Wyobraził sobie rozszerzone ze zdumienia oczy sąsiadów, gdyby dowiedzieli się o jego skarbie. Nie było jednak nikogo, kto by im o tym powiedział. A gdyby ktoś chciał sprawdzić majątek starego, musiałby rozebrać dom własnymi rękami.

Długi czas Mose bujał się na twardym krześle, głowa mu się kiwała, powieki opadały. W końcu usnął – nienaturalnie usztywniony, z brodą zwieszoną nisko na piersi i rękoma splecionymi na brzuchu, jakby chciał w ten sposób uchronić się

przed chłodem.

Kiedy się ocknął, kuchnię zalegał jeszcze mrok poprzedzający świt. Lampa migotała na stole, a ogień pod płytą wygasł niemal doszczętnie. Obcy nie żył.

Mose nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Stworzenie było zimne i sztywne, a jego skóra pergaminowa, jakby wyschnięta – przypominała kolbę kukurydzy spaloną na słońcu i wietrze, kiedy zakończył się okres wzrostu.

Starzec naciągnął derkę na obcego i choć było jeszcze za wcześnie na prace w obejściu, ruszył do obory i przy świetle lampy naftowej wykonał wszystko, co miał do zrobienia tego ranka.

Po śniadaniu zagrzał wodę, umył twarz i ogolił się – po raz pierwszy od wielu lat uczynił to w dzień powszedni. Założył świąteczne ubranie, przycesał włosy, wyprowadził z szopy rozklekotany samochód i pojechał do miasta.

Tam odnalazł Eba Dennisona, który pracował w urzędzie miejskim i zarazem był sekretarzem rady komunalnej.

– Chciałbym kupić parcelę na cmentarzu, Eb – powiedział.

– Przecież masz już grób rodzinny – zdziwił się Eb.

– No właśnie, rodzinny. Jest tam miejsce tylko dla Molly i dla mnie.

– To po co ci jeszcze jeden? Przecież nie masz już nikogo bliskiego.

– Znalazłem go w lesie – odparł szczerze Mose. – Udzieliłem mu schronienia, lecz umarł w nocy. Chciałbym go pochować.

– Jeżeli znalazłeś martwego człowieka w lesie, to lepiej zawiadom od razu koronera i szeryfa – ostrzegł go Eb.

– Wszystko w swoim czasie – mruknął wymijająco Mose. – A więc co z tym grobem?

Dennison, chcąc jak najprędzej pozbyć się kłopotu, sprzedał Mose’emu parcelę na cmentarzu.

Zakupiwszy grób, stary udał się do przedsiębiorstwa pogrzebowego Alberta Jonesa.

– Znowu śmierć przyszła do mojego domu, Al – powiedział. – Zmarł nieznajomy, którego znalazłem w lesie. Wygląda na to, że nie miał nikogo bliskiego, więc chciałem się zająć jego pochówkiem.

– Czy masz świadectwo zgonu? – zapytał Jones, który w przeciwieństwie do innych przedsiębiorców pogrzebowych nie zwykł był patyczkować się z klientami.

– Nie, jeszcze nie mam.

– A doktor obejrzał zmarłego?

– Ostatniej nocy widział go doktor Benson.

– Powinien był od razu wypisać świadectwo. Zadzwoń do niego.

Połączył się z doktorem Bensonem, lecz już po chwili rozmowy jego twarz przybrała kolor purpury. W końcu cisnął słuchawkę na widełki i rozwścieczony odwrócił się do Mose’a.

– Nie wiem, co kombinujesz – syknął. – Doktor powiedział mi, że ten twój gość wcale nie był człowiekiem. Ja nie zajmuję się kotami, psami i innymi...

– On nie był ani psem, ani kotem.

– To mnie nie obchodzi. Zmarły musi być człowiekiem, żebym się zajął jego pochówkiem. I nie próbuj pogrzebać go na naszym cmentarzu, bo to wbrew prawu.

Mose wyszedł z biura głęboko rozczarowany i skierował się na wzgórze, do jedyne go w miasteczku kościoła.

Zastał pastora w gabinecie, zajętego przygotowywaniem kazania. Mose usiadł cicho na brzeжку krzesła i zaczął miętosić w dłoniach znoszony kapelusz.

– Pastorze, opowiem panu całą historię, od początku do końca – rzekł.

Tak też uczynił. Potem dodał: – Nie wiem, co to za stworzenie, chyba nikt się już tego nie dowie. Zmarło jednak w moim domu i trzeba mu wyprawić ceremonię pogrzebową, bo tylko tyle możemy dla niego zrobić. Nie można pochować go na cmentarzu miejskim, myślę więc, że będę musiał znaleźć jakieś stosowne miejsce na farmie. Chciałbym, żeby pastor przyjechał i powiedział nad grobem kilka słów.

Pastor zamyślił się głęboko.

– Przykro mi, Mose – odezwał się po chwili. – Myślę, że to niemożliwe. Jestem przekonany, że Kościół nie pochwaliłby takiego postępowania.

– Wiem, że ta istota nie była człowiekiem – rzekł stary. – Ale to mimo wszystko stworzenie boże.

Pastor znów się zamyślił, po czym wypowiedział głośno kilka nic nieznaczących uwag, wynikało z nich jednak, że nie ma najmniejszego zamiaru uczestniczyć w nietypowym pogrzebie.

Mose wsiadł zatem do samochodu i wrócił na farmę, rozmyślając w drodze o ludziach pozbawionych sumienia.

Z szopy wyjął łopatę oraz dużą szufłę, poszedł do ogrodu i w kącie przy ogrodzeniu własnoręcznie wykopał grób. Później długo przerzucał rupiecie w komórce, szukając desek, z których

dałoby się zbić trumnę, niewiele jednak znalazł poza kilkoma listwami odłożonymi kiedyś na nową budę dla psa.

Niezadowolony z poszukiwań wrócił do domu. W sypialni na tyłach, nieużywanej od wielu lat, przetrząsnął kufer, chcąc znaleźć odpowiednio duży kawałek materiału do owinięcia zwłok, skoro zabicie trumny okazało się niemożliwe. Natrafił na stary lniany obrus. Mose uznał, że się nada, i zabrał biały płótno tkaniny do kuchni.

Zsunął z martwego ciała derkę i przyjrzał się jeszcze raz obcemu. Na myśl o jego śmierci – w osamotnieniu, z dala od rodzinnych stron, bez jednej bliskiej duszy, która mogłaby towarzyszyć mu w ostatniej godzinie życia – straszliwy żal ścisnął serce Mose'a. Przybysz leżał nagi, bez ubrania, bez choćby jednego przedmiotu, który symbolizowałby, kim był zmarły.

Mose rozpostarł obrus na podłodze przy łóżku, dźwignął martwe stworzenie i ułożył na lnianym całunie. W tej samej chwili dostrzegł na ciele obcego kieszeń, a raczej coś, co można by nazwać kieszenią: wąską szczelinę w tej części ciała, która mogła być odpowiednikiem środka klatki piersiowej. Przesunął po niej dłonią i wyczuł pod palcami jakiś twardy przedmiot. Przez chwilę klęczał bez ruchu obok martwego przybysza, nie wiedząc, co ma czynić.

W końcu ostrożnie wsunął palce w szczelinę i wydobył na światło dzienne ukryty tam przedmiot. Była to kula, niewiele większa od piłeczki tenisowej, która wyglądała tak, jakby wykonano ją z mlecznobiałego szkła. Przez jakiś czas przyglądał jej się, po czym wstał i podszedł bliżej okna, żeby zbadać ją

dokładniej.

Kula nie kryła w sobie niczego nadzwyczajnego. Przypominała zwykłą ozdobę z mlecznego szkła, tak samo chropowatą i zimną w dotyku jak ciało martwego przybysza.

Pokręcił głową, po czym wsunął z powrotem kulę na swoje miejsce i szczelnie owinął ciało obrusem. Przeniósł je do ogrodu, ułożył w prowizorycznym grobie, stanął u wezgłowia i po odmówieniu kilku symbolicznych słów zaczął przysypywać zmarłego pylistą ziemią.

Początkowo miał zamiar usypać tradycyjną mogiłę i umieścić na niej krzyż, lecz w końcu się rozmyślił. Nie chciał kusić ciekawskich. Wiedział, że plotka szybko się rozniesie i zaczną przychodzić tu ludzie w poszukiwaniu miejsca, gdzie pogrzebał ciało obcego przybysza znalezionego w lesie. Stwierdził więc, że nie robi mogiły ani nie postawi krzyża. Tak powinno być lepiej. Jakiż zresztą napis miałby umieścić na krzyżu?

Zrobiło się już późne popołudnie i zaczął mu doskwierać głód, zrezygnował jednak z przerwy na posiłek: miał jeszcze tyle rzeczy do zrobienia. Poszedł na łąki, odwiązał Bess, zaprzągnął ją do wózka i wyruszył w głąb lasu.

Przywiązał kobyłę liną do ptasiej klatki, która utkwiała w gęstej kępie leszczyny, i po jakimś czasie wyciągnął ją na otwartą przestrzeń. Załadował klatkę na wózek, przywiózł na swoje wzgórze, po czym zaciągnął ją do szopy z maszynami i ukrył w najdalszym kącie, tuż za paleniskiem kowalskim.

Wreszcie wyprzągnął Bess, zagonił ją do pługa i przeorał cały ogród – choć nie była ku temu pora – by nikt nie mógł odgadnąć, gdzie został wykopany grób obcej istoty.

Kończył właśnie orkę, kiedy na podwórze zajechał szeryf Doyle. Zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Szeryf należał do ludzi o łagodnym charakterze, trudno go było jednak zaliczyć do tych, którzy najbłahszą rzecz owijają w bawełnę. Przystąpił więc od razu do sprawy.

– Doszły mnie słuchy, że znalazłeś kogoś w lesie – powiedział.

– Zgadza się – odparł Mose.

– Słyszałem też, że ten ktoś umarł w twoim domu – ciągnął szeryf.

– Dobrze pan słyszał, szeryfie.

– Chciałbym zobaczyć zwłoki, Mose.

– To niemożliwe. Właśnie go pochowałem i nie mam zamiaru wyjawiać, w którym miejscu.

– Nie chciałbym przysparzać ci kłopotów, Mose. Uczyniłeś jednakże coś, co jest niezgodne z prawem. Nie można tak po prostu pogrzebać człowieka, którego znalazło się w lesie i który zmarł w twoim domu.

– Czy rozmawiał pan z doktorem Bensonem? – zapytał Mose.

Szeryf skinął głową.

– Powiedział mi, że było to stworzenie, jakiego nigdy przedtem nie widział, a w każdym razie nie był to człowiek.

– Myślę, że to wszystko wyjaśnia – odrzekł stary. – Nie był to człowiek, zatem nie może być mowy o zaginionej osobie, a skoro to stworzenie nie należało do nikogo, więc nie może być też mowy o naruszeniu praw własności. Bo przecież nikt nie zgłosił się do pana z informacją o zaginięciu podobnego stworzenia, prawda?

Szeryf w zamyśleniu potarł podbródek.

– Tak, masz rację, nikt nie złożył skargi. Może faktycznie nic się nie stało. Czyżbyś studiował prawo, Mose?

– Nie, nie studiowałem prawa, nigdy niczego nie studiowałem. Po prostu posługuję się zdrowym rozsądkiem.

– Doktor wspomniał mi, że może ludzie z uniwersytetu chcieliby obejrzyć to coś.

– Już panu mówiłem, szeryfie – odparł Mose. – Ta istota pojawiła się nie wiadomo skąd i umarła. Nie mam pojęcia, co to było za stworzenie, i nie mam zamiaru ściągać tu nikogo, kto mógłby prowadzić jakiegokolwiek badania. Dla mnie była to po prostu obca istota, która bardzo potrzebowała pomocy i zapewne posiadała swoją godność, a więc jej śmierć należało we właściwy sposób uszanować. Kiedy wszyscy odmówili mi pomocy przy wyprawieniu choćby najprostszego pogrzebu, sam musiałem zrobić to, co uważałem za słuszne. Nic więcej.

– W porządku, Mose – rzekł szeryf. – Niech będzie po twojemu.

Odwrócił się i wsiadł do samochodu. Mose stał obok zaprzężonej do pługą Bess i przyglądał się, jak szeryf odjeżdża. Funkcjonariusz musiał być trochę zdenerwowany obrotem sprawy, gdyż prowadził samochód nieco za szybko.

Stary wyprzągnął konia, odprowadził go na pastwisko, po czym wrócił do zwykłych gospodarskich zajęć.

Po skończeniu pracy przygotował sobie obfitą kolację. W końcu usiadł obok płyty kuchennej i zasłuchał się w rozbrzmiewające echem w pustym domu tykanie zegara oraz trzask dREW w palenisku.

Przez całą noc znów dręczyło go poczucie bezgranicznego osamotnienia.

Następnego dnia wczesnym popołudniem, kiedy Mose orał rżysko pozostałe po zbiorze kukurydzy, przyjechał jakiś dziennikarz i łażąc obok niego sąsiednią bruzdą, gadał niemal bez przerwy. Mose'owi niezbyt się to podobało, w tym gadaniu było zbyt dużo nachalności i zbyt wiele głupich pytań, nie wysiłał się więc z odpowiedziami.

Kilka dni później przyjechał człowiek z uniwersytetu i pokazał staremu wycinek z gazety – reportaż napisany przez tamtego dziennikarza, przedstawiający Mose'a jako wiejskiego półgłówka.

– Proszę mi wybaczyć – rzekł naukowiec. – Chyba wszyscy pismacy są niezbyt poczytalni, nie należy się więc za bardzo przejmować tą pisaniną.

– A czy ja się przejmuję? – spytał Mose.

Facet z uniwersytetu także zadawał mnóstwo pytań, a poza tym co chwila wyjaśniał, jak niezwykle ważna dla nauki byłaby możliwość oględzin ciała zmarłego przybysza.

Stary tylko kręcił głową.

– Niech spoczywa w pokoju – mówił. – Chcę, żeby wszystko pozostało tak, jak jest.

Wreszcie gość odjechał, z pewnością rozczarowany, nie wydawał się jednak wściekły.

Przez kilka kolejnych dni gospodarstwo odwiedzali jacyś przygodni łowcy sensacji, pojawiło się też kilku sąsiadów, których Mose nie widywał od dobrych paru miesięcy. Dla wszystkich jednak miał tylko jedną odpowiedź i wszyscy po krótszym czy dłuższym myszkowaniu na farmie odchodzili z kwitkiem, a stary znów zostawał w swym zapuszczonym domu sam jak palec.

Wielokrotnie przychodziło mu na myśl, że powinien jednak kupić sobie jakiegoś psa, lecz zawsze w jego pamięci odżywały wspomnienia o Towserze i natychmiast odrzucał ten pomysł.

Któregoś dnia, pracując w ogrodzie, znalazł maleńką roślinkę wyrastającą dokładnie w tym miejscu, gdzie pochował przybysza. Była to dziwna, nieznana mu roślina i w pierwszej chwili chciał ją wyrwać.

Lecz nie zrobił tego, ponieważ roślina go zaintrygowała. Niczego podobnego dotychczas nie widział na oczy. Postanowił w końcu pozwolić jej wyrosnąć, chciał się bowiem przekonać, jak naprawdę wygląda. Gruba, mięsista łodyga dźwigała ciężkie, ciemnozielone, poskręcane liście, przypominające nieco liście zajęczej kapusty, pokazującej się w lesie zaraz na początku wiosny.

Pojawił się jeszcze jeden gość, najdziwniejszy ze wszystkich. Był to ciemnowłosy, energiczny mężczyzna, który przedstawił się jako prezes stowarzyszenia miłośników latających talerzy. Interesowało go przede wszystkim, czy Mose rozmawiał z istotą, którą odnalazł w lesie. Przecząca odpowiedź wyraźnie go rozczarowała. Chciał także wiedzieć, czy nie został odnaleziony pojazd obcego, lecz w tym miejscu Mose zełgał bez mrugnięcia okiem. Przestraszył się jednak, że nachalny gość może dokładnie przeszukać obejście i znaleźć pojazd ukryty w szopie za piecem kowalskim. Ten jednakże zrobił mu wykład o szkodliwości ukrywania przed społeczeństwem niezwykle ważnych informacji.

Po jakimś czasie Mose, doprowadzony do ostateczności, poszedł do sypialni i wyciągnął zza drzwi starą fuzję. Prezes

klubu miłośników latających talerzy pożegnał się raczej pospiesznie i wkrótce nie było po nim nawet śladu.

Życie na farmie potoczyło się swoimi torami, po zbiorach zbóż przyszła kolej na sianokosy, a tymczasem dziwna roślina w ogrodzie wyrosła nadszpiewanie i zaczęła przybierać swe normalne kształty. Stary Mose, kiedy po raz pierwszy uświadomił sobie prawdę, nie chciał wierzyć własnym oczom. Każdy wieczór spędzał teraz w ogrodzie, przyglądając się roślinie, i coraz częściej rozmyślał, czy długotrwałe osamotnienie nie miało przypadkiem ujemnego wpływu na jego zdrowie psychiczne.

Nadszedł wreszcie poranek, kiedy Mose zastał ją przed drzwiami domu. Wyraźnie czekała tu na niego. Ale stary nawet zbyt nie zdziwił. Przez wiele dni obserwował niezwykłą roślinę, niemal się z nią zaprzyjaźnił – i choć sam nie śmiał przyznać tego nawet przed sobą, w głębi ducha wierzył, że jego przypuszczenia okażą się prawdziwe.

I teraz oto stało przed nim identyczne stworzenie jak tamto, które kiedyś odnalazł w lesie, tyle że to nie znajdowało się na łożu śmierci, nie było chore i cierpiące, lecz młode i pełne sił.

W gruncie rzeczy nie była to dokładnie taka sama istota. Kiedy przyjrzał jej się bliżej, dostrzegł różnice – nie wiedział jednakże, czy są to odrębności pomiędzy młodym a starym organizmem, różnica, jaka dzieli ojca i syna, czy też wynikająca wyłącznie z praw ewolucji.

– Dzień dobry – odezwał się Mose, nie widząc nic dziwnego w tym, że rozmawia z rośliną. – Cieszę się, że wróciłeś.

Obcy nie odpowiedział, ale dla starego nie miało to większego

znaczenia; wcale nie oczekiwał odpowiedzi. Najważniejsze było dla niego, że znów miał na farmie kogoś, do kogo mógł otworzyć usta.

– Muszę wykonać trochę prac w gospodarstwie – powiedział. – Czy miałbyś ochotę mi towarzyszyć?

Nie czekając, ruszył do obory. Stworzenie poszło za nim, niemal depcząc mu po piętach. Przyglądało się beznamiętnie wykonywanym przez Mose'a czynnościom, a ten niemal bez przerwy mówił do przybysza, powtarzając w duchu, że jest to o wiele bardziej przyjemne niż rozmowa z samym sobą.

Szykując śniadanie, postawił na obrusie drugi talerz i przysunął drugie krzesło, stwierdził jednak z żalem, że obca istota nie jest przystosowana do siadania i nie potrafi skorzystać z miejsca przy stole.

To samo dotyczyło jedzenia. Początkowo Mose się zmartwił, że przybysz nie może zasmakować jego gościnności, ale w końcu wytłumaczył sobie, że taki potężny, silny, wyrosnięty młodzieniec zatroszczy się o siebie i znajdzie sobie pożywienie, więc nie należy się martwić.

Po śniadaniu farmer poszedł do ogrodu tylko po to, aby się upewnić, że dziwnej rośliny nie ma na dawnym miejscu, a przybysz oczywiście podreptał za nim. Na ziemi leżała jedynie pomarszczona, opadła skorupa, jakby łuska, która do tej pory służyła obcemu za kołyskę.

Później Mose skierował się do szopy. Kiedy tylko stworzenie ujrzało klatkę, rzuciło się do niej, dokonało szczegółowych oględzin, a po jakimś czasie odwróciło się do starego i wykonało gest, który bez wątplenia musiał oznaczać głęboką wdzięczność.

Mose podszedł bliżej i położył dłonie na jednym ze skręconych, powyginanych prętów. Stworzenie także się przysunęło, oparło macki z drugiej strony tego pręta, po czym obaj zaczęli ciągnąć do siebie. Metal poddał się nieco, ale nie starczyło im sił, by w ten sposób wyprostować zniekształconą klatkę.

Przestali się mocować; popatrzyli na siebie. Właściwie nie patrzyli, jako że obca istota nie miała oczu. Wykonała kilka szybkich ruchów odroślami, jednakże Mose nie zrozumiał, o co jej chodzi. Po chwili przybysz położył się na podłodze i w jednoznaczny sposób pokazał, jak pręty klatki były pierwotnie umocowane do podstawy.

Przez jakiś czas Mose się zastanawiał, w jakim celu tak, a nie inaczej rozmieszczono elementy, lecz nie potrafił sobie tego wyjaśnić. W jego pojęciu takie umocowanie prętów nie miało najmniejszego sensu.

Trzeba było najpierw nacisnąć z jednej strony, pod odpowiednim kątem, by pręt odgiął się i przyjął pierwotny kształt, potem trzeba było nacisnąć mocniej pod innym kątem, by przesunąć go nieco na bok. Po trzecim naciśnięciu – o ile Mose dobrze rozumiał obcego – pręt powinien już znaleźć się we właściwym położeniu. Bóg jeden wie dlaczego przeprowadzone w takiej kolejności operacje miały naprawić klatkę.

Stary rozpalił ogień w piecu kuźni, dosypał szufłę węgla i zaczął poruszać miechami, podczas gdy stworzenie przyglądało mu się w bezruchu. Lecz kiedy chciał przysunąć klatkę, by wepchnąć odgięty pręt w palenisko, obcy stanął między nim a ogniem i nie pozwolił. Mose zrozumiał, że nie wolno rozgrzewać

tego metalu – z takich czy innych powodów, których nigdy nie będzie mu dane poznać ani zrozumieć. Ostatecznie, pomyślał, ta istota powinna wiedzieć lepiej, w jaki sposób obchodzić się z tym dziwnym przedmiotem.

Odwrócił więc klatkę, sięgnął po młot i zaczął nim bić pod takim kątem i z taką siłą, jak wyjaśniał mu to przybysz. Metal na zimno poddawał się opornie, a obcy bez przerwy pokazywał, gdzie i w jaki sposób ma właściwie uderzać. Po pewnym czasie pręt został wyprostowany i odgięty na tyle, że roślina sprawiała wrażenie zadowolonej.

Mose uznał, że teraz będą musieli poświęcić więcej czasu na umocowanie pręta, lecz ten w zadziwiający sposób błyskawicznie wskoczył na swoje miejsce. Zabrali się więc z przybyszem do kolejnego i tym razem poszło znacznie szybciej, Mose nabrał już bowiem wprawy.

Mimo wszystko była to ciężka i wyczerpująca praca. Do końca dnia udało się wyprostować i wsadzić na miejsce zaledwie cztery pręty.

Przez cztery kolejne dni trwała naprawa dziwnego pojazdu; wszystkie prace polowe Mose'a zostały odłożone na później.

Ale stary nie narzekał. Miał się teraz do kogo odezwać, a jego dom nie świecił już pustkami.

Kiedy wreszcie wszystkie pręty zostały umieszczone na swoich miejscach, przybysz wsunął się do środka i zaczął majstrować przy narośli umieszczonej na środku podstawy klatki. Z grubsza mogła ona uchodzić za wielofunkcyjny drążek sterowy. Mose przyglądał się temu ze zdziwieniem i doszedł do wniosku, że ta jedna dźwignia musi służyć do kierowania pojazdem.

Przybysz był wyraźnie rozczarowany. Wszedł z klatki i przemierzył szopę w poszukiwaniu jakiegoś elementu, którego widocznie brakowało w pojeździe. Podeszedł w końcu do Mose'a i wykonał błagalny, świadczący o bezradności gest. Stary pokazał mu przedmioty z żelaza i stali, wyciągnął pudło, w którym trzymał zużyte butelki, szklane i plastikowe; demonstrował też drobne przedmioty metalowe i wiele innego śmiecia. Znalazł kawałeczki miedzi i aluminium, lecz stworzeniu chodziło o coś zupełnie innego.

W głębi ducha Mose się ucieszył. Trochę mu było wstyd, ale kłopot obcego sprawił mu radość.

Nie miał bowiem najmniejszych wątpliwości, że jeśli klatka zostanie naprawiona, przybysz odleci z Ziemi. Przez cały czas stary pomagał naprawić pojazd, nie mógł bowiem w takiej sytuacji odmówić. Lecz teraz, kiedy klatka nie dała się jednak uruchomić, był zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Pomyślał, że stworzenie będzie musiało zostać tu na zawsze. Ucieszył się, że będzie miał z kim porozmawiać i samotność w opustoszałym domu stanie się przez to bardziej znośna. Było to wspaniałe uczucie: mieć znów obok siebie kogoś bliskiego, a ów przybysz wydawał mu się całkiem niezłym towarzyszem, wcale nie gorszym od Towsera.

Następnego ranka, kiedy Mose szykował śniadanie, sięgnął do kredensu po pojemnik z płatkami owsianymi, lecz potrącił przy tym pudełko od cygar, które z brzękiem upadło na podłogę. Spadła pokrywka, a srebrne dolarówki potoczyły się po całej kuchni.

Kątem oka dostrzegł, jak przybysz szybkim ruchem pochwycił

jedną z monet. Uniósł ją w górę, po czym odwrócił się do Mose'a, ściskając dolara między palcopodobnymi odrostkami, a gdzieś ze środka gromady wypustek wijących się na jego makówkopodobnej głowie doleciało kłaśnięcie.

Obcy pochylił się, podniósł kilka następnych monet, przycisnął je do swego ciała, po czym wykonał niezwykły, jakby taneczny ruch. Serce Mose'a zamarło, domyślił się bowiem, że tamten znalazł w końcu metal, którego poszukiwał: srebro.

Łącząc na czworakach po kuchni, pomógł stworzeniu pozbierać rozsypane monety. Wrzucili je z powrotem do pudełka po cygarach, Mose nałożył pokrywkę, po czym wręczył pudełko roślinie.

Stworzenie chwyciło je, zważyło w mackach i zamarło, wyraźnie rozczarowane. Po chwili wysypało wszystkie monety na stół, poukładało je w równych piramidkach, a jego rozterka stała się jeszcze bardziej widoczna.

A może jemu wcale nie chodzi o srebro? – pomyślał Mose. Może się pomylił i wziął biały metal za jakiś inny?

Nasywał płatków owsianych do rondelka, zalał je wodą i postawił na kuchni. Kiedy się zagotowały, nałożył na talerz, napełnił kubek kawą, przeniósł wszystko na stół i usiadł do śniadania.

Obcy nadal stał przed nim. Przesuwał i przekładał ułożone w stosiki srebrne dolarówki. Kiedy wreszcie Mose popatrzył na niego, tamten jednoznacznie machnął macką ponad spiętrzonymi monetami na znak, że potrzeba mu znacznie więcej tego metalu. Pokazywał kolejne piramidki monet, a potem unosił mackę wysoko, co miało znaczyć, że gdyby potrzebne dolarówki

ułożyć w tak wysokie stosy, wówczas miałby wystarczającą ilość srebra.

Mose zeszywniał z łyżką pełną owsianki zawieszoną w pół drogi pomiędzy talerzem i ustami. Przed oczami stanął mu żelazny kociołek napełniony po brzegi srebrnymi monetami, ukryty pod deskami podłogi w salonie. Nie mógł tego zrobić; dolarówki stanowiły cały jego majątek – a w tej chwili jedyną liczącą się rzecz w życiu Mose’a, jeśli nie brać pod uwagę przybysza z kosmosu. Nie mógł więc dać mu pieniędzy tylko po to, by tamten je wykorzystał do naprawienia pojazdu i odlotu.

Stary zjadł powoli talerz owsianki, nie czując wcale jej smaku, po czym wypił dwa kubki kawy. Przez cały ten czas obcy stał po przeciwnej stronie stołu, pokazując, jak wiele jeszcze monet mu potrzeba.

– Nie mogę tego zrobić dla ciebie – odezwał się w końcu Mose.
– Uczyniłem już wszystko, czego miałeś prawo oczekiwać po jakiegokolwiek żywej istocie. Znalazłem cię w leśnej głuszy, zapewniłem ci schronienie i opiekę. Próbowałem ci pomóc, ale gdy nie byłem w stanie niczego zrobić, znalazłem ci zaciszne miejsce wiecznego spoczynku. Pochowałem cię i zabezpieczyłem grób tak, aby nie odnalazł go nikt z ciekawskich. Nie wyrwałem cię potem, kiedy zaczynałeś rosnąć. Więc nie spodziewasz się chyba, że bez końca będę ci wszystko dawał.

Przemowa nie odniosła żadnego skutku. Stworzenie nie słyszało jego słów, a stary i tak nie umiał się przekonać, że postępuje słusznie.

Podniósł się wreszcie zza stołu i poszedł do salonu. Obcy ruszył za nim. Mose poluzował deski w podłodze, wydobył

kociołek, a stworzenie, ujrzawszy zawartość naczynia, uszczęśliwione owinęło się dookoła mackami i jakby przysiadło.

Razem przenieśli ciężar do szopy z maszynami. Tu Mose rozpalił ponownie ogień w palenisku i wstawił do niego cały kociołek. Z żalem spoglądał, jak żar roztopia jego ciężko zaoszczędzone dolary.

Chwilami odnosił wrażenie, że ten przejmujący żal nie pozwoli mu doprowadzić całej roboty do końca. Zdołał się jednak jakoś opanować.

Przybysz wyciągnął ze swej klatki dziwne urządzenie, postawił je na ziemi obok kuźni, zaczerpnął żelazną łyżką roztopionego srebra z kociołka i zaczął nalewać po trochu z różnych stron, formując z uwagą detale za pomocą stalowych szczypiec Mose'a.

Praca z powodu swej delikatnej natury trwała dosyć długo. Gdy w końcu obcy ją zakończył, na dnie kociołka pozostała zaledwie odrobina płynnego srebra. Teraz stworzenie przetransportowało mechanizm do klatki i umocowało go na dawnym miejscu.

Było już późne popołudnie i Mose musiał zająć się codziennymi gospodarskimi obrządkami. Miał nawet nadzieję, że pod jego nieobecność roślina wytaszczy swą klatkę i odleci. Był bowiem zły na przybysza. Ofiarował mu wszystko, co mógł, a tamten nawet nie próbował okazać wdzięczności. Stary sądził, że potrafi w jakimś stopniu odczytywać uczucia tamtego, ale nie doszukał się nawet próby podziękowania mu za jego poświęcenie. Jednakże nie umiał się zbyt długo złościć.

Kiedy wyszedł z obory, dźwigając dwie bańki napełnione

mlekiem, stworzenie czekało na niego na podwórzu. Podreptało za nim do domu i kręciło się w pobliżu Mose'a, podczas gdy ten próbował coś do niego mówić. Nie bardzo jednak wychodziło mu składanie słów w sensowne zdania. Nie mógł odpędzić od siebie myśli, że przybysz niedługo odejdzie, że pryśnie radość obcowania z inną żywą istotą, a zastąpi ją znane już i napawające lękiem poczucie osamotnienia.

Teraz w dodatku Mose nie miał już nawet pieniędzy, które mogłyby stanowić zabezpieczenie w dokuczliwej samotności.

Tej nocy, kiedy leżał w łóżku, przygnębiające myśli nie dawały mu spać. Próbował sobie wyobrazić jeszcze bardziej przerażające poczucie samotności niż to, jakiego kiedykolwiek przedtem doznawał na tej zapuszczonej farmie. Próbował ogarnąć myślami straszliwą, wyniszczającą samotność, jaka musi doskwierać tam, w olbrzymiej pustej przestrzeni międzygwiazdnej. Miażdżącą samotność istoty poszukującej jakiegoś miejsca czy choćby bratniej duszy, której istnienie zostało jedynie mglistym śladem we wspomnieniach, tkwiącym na samej granicy świadomości, lecz było czymś absolutnie niepodważalnym, a zatem stanowiło bodziec do prowadzenia poszukiwań.

Mose nie był nawykły do tego typu rozważań, toteż po jakimś czasie zrozumiał, że nie są to jego myśli i muszą pochodzić od tego dziwnego przybysza, który przebywał razem z nim w pokoju.

Przyszło mu do głowy, żeby wstać z łóżka. Wytężył całą wolę, ale nie potrafił się na to zdobyć. Zdołał jedynie unieść nieco głowę, lecz po chwili opadł z powrotem na poduszkę i w

nienaturalny sposób zasnął szybko kamiennym snem.

Następnego ranka, kiedy Mose zjadł śniadanie, poszli oboje do szopy i wytaszczyli ptasią klatkę na podwórze. W ukośnych promieniach wschodzącego słońca niezwykle pojazd wydał się Mose'owi jeszcze bardziej dziwny i obcy.

Stworzenie podeszło do klatki i zaczęło się wsuwać do wnętrza między dwoma prętami, lecz po chwili zawróciło, podeszło bliżej i stanęło twarzą w twarz ze starym.

– Żegnaj, przyjacielu – odezwał się Mose. – Będzie mi ciebie bardzo brakowało.

Poczuł szczypanie pod powiekami.

Obcy wyciągnął jedną z macek. Mose uścisnął ją, a wtedy poczuł, że w jego dłoni znajduje się przedmiot, okrągły i gładki, który przybysz przekazał mu na pożegnanie.

Stworzenie szybko cofnęło mackę, odwróciło się i prześliznęło między prętami klatki. Sięgnęło do umieszczonej na środku dźwigni i zaraz cały pojazd przemienił się w kulę oślepiającego światła. Kiedy Mose przejrzał na oczy, klatki już nie było.

Stał samotnie na podwórzu i wpatrywał się w to miejsce, gdzie zniknął przybysz. Próbował sobie przypomnieć wszelkie odczucia i myśli – wszystko, co przekazał mu obcy tej ostatniej nocy w pokoju.

Nie miał wątpliwości, że owo stworzenie znajdowało się już tam, wśród tchnących lodowatą samotnością, nieogarnionych bezkresów przestrzeni międzygwiazdnej, że wyruszyło na poszukiwania tego miejsca, przedmiotu czy też istoty, której żaden ludzki umysł nie byłby w stanie sobie wyobrazić.

Powoli starzec odwrócił się i podreptał do domu, żeby wziąć

skopki do obory i wydoić krowy.

Przypomniawszy sobie jednak o ofiarowanym przedmiocie i rozwarł dłoń, którą do tej pory kurczowo zaciskał. Między palcami spoczywała niewielka kryształowa kula, dokładnie taka sama, jaką wcześniej znalazł w ciele martwego przybysza, którego pochował w ogrodzie. Różniły się tylko tym, że tamta była zadymiona i martwa, ta natomiast błyszczała życiem, jakby zamknięto w niej światło płonące w nieznanej dali ognia.

Kiedy Mose przyglądał się kuli, opanowało go uczucie bezgranicznej radości, szczęścia, jakiego niewiele zaznał w życiu – jakby otaczało go liczne grono najlepszych przyjaciół. Zacisnął dłoń, lecz poczucie szczęścia nie zniknęło. Nie potrafił tego zrozumieć, nie istniały żadne sensowne powody, dla których miałby się czuć szczęśliwy. Jedyna rozumna istota opuściła jego farmę, przepadł skarb ukryty pod podłogą, nie miał w rzeczywistości żadnych przyjaciół, a jednak czuł, że przepełnia go radość życia.

Wsunął kryształową kulę do kieszeni i ruszył sprężystym krokiem do sieni po skopki. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo długiego czasu pooraną zmarszczkami twarz Mose'a rozpromienił szeroki uśmiech, farmer zaczął cicho pogwizdywać przez zęby.

Przyszło mu na myśl, że może dlatego jest tak szczęśliwy, ponieważ ostatecznie przybysz nie odleciał bez pożegnania, wyciągnął do niego dłoń, jakby chciał na swój sposób powiedzieć: do widzenia.

A podarunek – bez względu na to, jaka była jego rzeczywista wartość i w jakim stopniu mógł się okazać użyteczny dla

człowieka – miał dla Mose’a ogromne znaczenie, albowiem stanowił dowód przyjaźni, jaka się zawiązała między nim i obcym. Od tak wielu lat po raz pierwszy ktoś zadał sobie trud, by pomyśleć o najbliższym chociaż prezencie dla starego, samotnego człowieka.



Z bezdennej głębiny przestrzeni, z nieskończonego oceanu mroku emanowało uczucie samotności, oddzielenia od Przyjaciela. Mogło minąć jeszcze bardzo wiele czasu, zanim w pobliżu znajdzie się inna bratnia istota.

Może i postąpił nierozsądnie, lecz tamten stary był dla niego taki dobry, tak bardzo mu pomógł, a poza tym wydawał się tak żałośnie samotny. Ktoś, kto wybiera się w długą podróż, musi wyruszać ze spokojnym sumieniem. A wędrowiec nie miał przecież niczego poza Przyjacielem, co mógłby podarować...

Stephen Baxter Zaczęłam tę antologię zupełnie nowym opowiadaniem i takim też kończę. Stephen Baxter (ur. 1957) jest jednym z najlepszych pisarzy science fiction w Wielkiej Brytanii. Jego pierwsze opowiadania pojawiały się w „Interzone” od 1987 roku, przedstawiając wówczas cykl Xeelee, *ale zagranicznych czytelników autor zainteresował utworem Statki czasu (1995), będącym kontynuacją Wehikułu czasu Wellsa. Od tamtej pory Baxter napisał wiele wysoko cenionych powieści fantastycznonaukowych, jak choćby Voyage (1996) czy Titan (1997) a także był wraz z Arturem C. Clarkiem współautorem utworu The Light on Other Days (2000). Ostatnio rozpoczął serię Manifold – zaplanowaną jako epicka eksploracja aspektów paradoksu Fermiego: czy jesteśmy sami we wszechświecie? Autor koncentruje się na osobie astronauty Reida Malenfanta i jego rodziny. Pierwsza część cyklu nosi tytuł Time: Manifold One (1999). Prezentowane opowiadanie jest najnowszym z tej serii.*

Stephen Baxter

REFUGIUM

Celso i ja zostaliśmy wyrzuceni z *Sally Brind*. Frank Paulis przeniósł nas na krańce Obłoku Oorta, w mglisty pas daleko od słońca, przez który ogromne komety prześlizgują się gładko i zwinnie jak ryby głębinowe.

Przed nami w świetle gwiazd lśnił obcy wehikuł.

Wewnątrz mojego kasku zapalił się malutki ekran, na którym pojawił się wizerunek Paulisa. Paulis był stary, około osiemdziesiątki, ale oczy miał bystre i przenikliwe.

Nawet teraz zacząłem błagać:

– Paulis, nie każ mi tego robić.

Za Paulisem ubranym w płaszcz kąpielowy unosiły się kłęby pary. Starzec siedział w swoim spa wewnątrz *Brind* – luksusowy raj, z którego Celso i ja zostaliśmy wydaleny na długie sto dni, bo tyle zajęła droga tutaj.

– Twój dziad byłby zawstydzony, gdyby cię zobaczył, Michaelu Malenfancie. Straciłeś prawo wyboru, kiedy pozwoliłeś, by cię wystawiono na sprzedaż w licytacji dłużników.

– Po prostu miałem seryjnego pecha.

– Seryjny pech trwający piętnaście bezproduktywnych lat i rosnące nieustannie góry paskudnych długów?

W brązowych oczach Celso odmalowała się litość.

– Nie jęcz, przyjacielu.

– Paulis, nie obchodzi mnie, kto był moim dziadkiem. Sam widzisz, że żaden ze mnie astronauta. Mam czterdziestkę, na litość boską! I nie jestem najbystrzejszym facetem pod słońcem...

– To prawda, ale nieistotna. Nadrzędnym celem tego eksperymentu jest wysłanie ludzi tam, gdzie jeszcze nie byli. Kogo konkretnie, to bez znaczenia. Spójrz na Babel, Malenfancie.

Obcy statek był dziesięciostopowym balonem wysadzonym rubinami. Celso zaczął już sprawdzać jego wnętrze.

– Pamiętaj o swoim zadaniu – powiedział Paulis. – Jak widzisz, to pusta sfera. Właz jest otwarty. Wiemy, że kiedy go zamkniesz, automatycznie włączy się przyspieszenie. Mamy dowody, że to urządzenie może osiągnąć prędkość wielokrotnie większą od prędkości światła. Milion razy większą, w rzeczy samej.

– Niemożliwe – stwierdził Celso.

Paulis tylko się uśmiechnął.

– Oczywiście nie wszyscy w to wierzą. Ale co za wspaniała przygoda! Żałuję, że nie mogę wam towarzyszyć.

– Akurat, ty zasuszony stary draniu.

Paulis z satysfakcją pociągnął z oszronionej szklanki.

– Malenfant, jesteś tu przez swoje własne wady osobowości.

– Jestem tu przez ludzi takich jak ty.

Celso ujął mnie za ramię.

– Za około dwie minuty – oznajmił Paulis radośnie – pilot *Sally Brind* wyjdzie ze śluzy i zastrzeli was bez zmrużenia oka. Chyba że będziecie wewnątrz tego Bąbla, za zamkniętym włazem.

Celso pociągnął mnie do lśniącej kuli.

– Nie zapomnę ci tego, Paulis – rzuciłem jeszcze. – Będę o tobie

myślał w każdej cholерnej minucie...

Ale Paulis tylko się wyszczerzył.



Nazywam się Reid Malenfant.

Znasz mnie, Michaelu. I wiesz, że zawsze byłem niepoprawnym marzycielem, nie tylko astronautą. Między innymi prowadziłem kampanię na rzecz udostępnienia asteroid dla prywatnych ekspedycji wydobywczych. Mam nadzieję, że znasz mojego przyjaciela, Franka J. Paulisa, który nie tylko stanął u mojego boku, ale zrealizował to, o czym ja tylko mówiłem.

Jednak nie o tym chcę napisać. Nie tutaj, nie w tym liście. Chcę, by to była bardziej osobista wiadomość. Chcę, abys zrozumiał, że Twój dziadek poświęcił życie jednej tylko idei.

Dla mnie zaczęło się to od pozornie prostego pytania: do czego potrzebne są gwiazdy?



Paulis zainstalował w Bąblu podstawowy sprzęt umożliwiający przetrwanie. Celso zdążył już zdjąć skafander i był zajęty zamykaniem naszej przenośnej śluzy.

Przez siatkowate ściany Bąbla spojrzałem jeszcze raz na *Sally Brind*. Do dziobu w kształcie masywnego stożka kierował się lądownik Paulisa, rufa, gdzie mieściły się systemy napędu i reaktor jądrowy otoczony osłonami, kształtem przypomiwała

nieregularnego pająka.

Przy naszym małym, zabawkowym statku *Brind* wyglądała topornie, niczym prymitywnie wyciosana w kamieniu bryła.

Zaczynałem nienawidzić tej przekłetej *Brind*. Podczas miesięcy, gdy opuszczaliśmy orbitę księżyca, okręt stał się dla mnie więzieniem. Ale teraz, kiedy przyglądałem się, jak ten ogromny statek dryfuje bezwładnie w przestrzeni, wyglądał jak dom.

Zdjąłem skafander. Okazało się, że mam opuchlizny i obrzęki od nagromadzonych płynów ustrojowych – na końcach palców, w miejscach, gdzie skóry dotykały zamki, i tam, gdzie hermetyczny kombinezon nie pasował tak dobrze, jak powinien. Coś, o czym wśród astronautów nie mówi się głośno. Ale nie czułem bólu, nie miałem zaniku mięśni i dysfunkcji stawów, przynajmniej na ile mogłem się zorientować.

– Raport – zabrzmiał nam w uszach głośny rozkaz Paulisa.

– Jedynym instrumentem jest tu tablica, jakby cienki ekran – powiedział Celso. Ze spokojem przesunął rejestrator danych nad urządzeniem. Na ekranie widniała sieć na tle świecących punktów, wyglądających jak gwiazdy.

– Twoje przypuszczenia?

– To może być obraz celu podróży. A jeżeli to są kosmiczne struny – Celso skrzywił się oschle – to polecimy dalej, niż przypuszczałem.

Zastanawiałem się, o czym on, do cholery, mówi? Przyjrzałem się dokładniej świetlnym punktom na ekranie. Okazało się, że to małe spirale.

Galaktyki?

Celso kontynuował obchód.

– Sprzęt podtrzymywania życia działa jak należy.

– Dałem wam dość, abyście mogli przetrwać przez dwa miesiące – oznajmił Paulis. – Jeżeli nie wrócicie do tego czasu, prawdopodobnie nie wrócicie wcale.

Celso pokiwał głową.

– Już pora – stwierdził Paulis. – Malenfant, zamknij właz.

– Zapłacisz za to, Paulis – odwarknąłem.

– Zabawne, ale nie sądzę, by spędzało mi to sen z powiek. – A potem jego głos zadźwięczał stalą: – Zamykaj właz, Malenfant. Chcę zobaczyć, jak to robisz.

Celso położył mi dłoń na ramieniu.

– Nie przejmuj się, przyjacielu.

Z zaskakującą godnością nacisnął guzik w ścianie. Właz zespolił się z kadłubem, zamykając nas we wnętrzu wehikułu.

Bąbel zadrżał. Wsparłem się o delikatną ścianę.

Głos Paulisa urwał się nagle. Słońce zniknęło. Na nieboskłonie zapulsowało jarzeniowe, jasnoblękitne światło. Nie odczuwałem żadnego ruchu.

Ale nagle – niemożliwe – na zewnątrz ukazała się planeta, duża stalowosina kula. Wodny świat. Ziemia?

Wyglądała jak Ziemia, ale iskierka nadziei zaraz zgasła i zdałem sobie sprawę, że to nie jest Ziemia.

Twarz Celso napięła się, gdy rozglądał się przez ściany Bąbla. Na cienkim ekranie migały coraz to nowe obrazy.

– Duży świat, masywniejszy od Ziemi – czym się różni? Większa grawitacja. Uwięzione więcej ciepła. Grubsza skorupa, ale bardziej gorąca i elastyczna; mnóstwo wulkanów. W tak

silnej grawitacji nie mogą się utrzymać wypiętrzenia... Głębokie oceany, żadnych gór dość wysokich, by wystawały nad powierzchnię wody – życie skupia się w głębinach, przy ciepłych podwodnych prądach...

– Nie rozumiem – przerwałem.

– Jesteśmy bardzo daleko od domu.

– To widzę – wydusiłem.

Celso popatrzył na mnie i uspokajająco położył mi dłonie na ramionach.

– Michaelu, zostaliśmy właśnie przeniesieni do systemu innej gwiazdy. Sądzę, że...

Nagły ruch. Jakby przemykające za szybą uliczne latarnie, a potem plama przymglonego blasku, która przepłynęła nam pod nogami.

– Ach. Zdaje się, że przyspieszyliśmy – mruknął Celso.

Z cichym kliknięciem kadłub zrobił się przezroczysty jak szkło.

Uliczne latarnie okazały się gwiazdami.

A plama światła miała żółtobiałe wybrzuszenie, wokół którego zwijały się spiralne smugi ramion.

To była Galaktyka. I zostawała daleko w tyle.

Dotarłem tak szybko tak daleko.

Skuliłem się w pozycji embrionalnej i nie poruszyłem przez bardzo długi czas.



Jako dziecko kładłem się na wilgotnej od rosy trawie i patrzyłem w gwiazdy, usiłując wyczuć, jak Ziemia obraca się pode mną.

Cudownie było żyć, do licha – cudownie być dziesięciolatkiem. Michaelu, jeżeli czytasz ten list i masz dziesięć lat, spróbuj kiedyś tego, co ja. A nawet jeżeli masz setkę, i tak spróbuj.

Już jako dziecko wiedziałem, że Ziemia jest tylko kawałkiem skały na skraju jednej z wielu galaktyk. I nie potrafiłem uwierzyć, że tam w oddali nie ma nikogo, kto by na mnie spoglądał. Czy to możliwe, że tylko w jednym miejscu powstało życie – że tylko tutaj istniały oczy i umysły zdolne do obserwacji i podziwu?

A jeżeli tak, to jaki pożytek z gwiazd? Te wszystkie słońca i światy, krążące w nieskończonej pustce, ta wielka złożoność kreacji rozwijającej się od Wielkiego Wybuchu...

Nawet wtedy postrzegałem kosmos jako ostatnią granicę – niebiosa do zdobycia dzięki ludzkiej zaradności. Nadal w to wierzę. Ale czy to wszystko? Czy kosmos tak naprawdę to tylko pusta scena dla kłótni i przepychanek ludzkości?

A co, jeżeli się zniszczymy? Czy wszechświat zmieni się w ogromny zepsuty mechanizm, całkowicie pozbawiony życia i rozumu? Jaki będzie z tego pożytek?

O wiele później dowiedziałem się, że ten „argument użyteczności” pochodzi aż od czasów rzymskich – z pierwszego wieku naszej ery, od Lukrecjusza. Obcy rozum musi istnieć, ponieważ w przeciwnym razie gwiazdy byłyby bezcelowe. Prawda?

Jasne. Lecz jeżeli tak, to gdzie jest ten obcy rozum?

Założę się, że Ciebie również dręczy to pytanie, Michaelu. Inaczej nie byłbyś prawdziwym Malenfantem!



Celso przemawiał do mnie uspokajająco i w końcu przestałem się kulić. Przestrzeń wypełniały kłęby i smugi światła. Za ścianami przepływała opasła szara chmura. Po chwili z pomocą Celso udało mi się zrozumieć perspektywę tego, co widzę. To galaktyki tworzyły świetlne wzory. A szara chmura była supergromadą galaktyk.

Poruszaliśmy się na tyle szybko, że gromada zaczęła niknąć w tyle.

– Musimy przemieszczać się w hiperprzestrzeni – wyjaśnił Celso. – Skaczemy z miejsca na miejsce. A może to jakiś rodzaj teleportacji. To, co widzimy, jest tylko iluzją stworzoną dla naszej wygody.

– Nie chcę wiedzieć.

– Ale powinieneś być przygotowany na to wszystko – zauważył Celso łagodnie. – Widziałeś obraz, dalekie galaktyki, kosmiczne struny.

– Celso... – Nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymałem pragnienie, by ukryć głowę w ramionach. – Błagam. Nie pomagasz mi.

Popatrzył na mnie beznamiętnie. Blask mijanej gromady galaktyk oświetlał jego ostry profil; ten człowiek pasował do wyobrażeń, jak powinien wyglądać ambasador ludzkiej rasy. Nienawidziłem takich jak on.

– Jeżeli budowniczości tego Bąbla przenoszą nas na takie odległości, nie ma się czego obawiać. Są potężni i na pewno potrafią z łatwością utrzymać nas przy życiu.

- Albo z jeszcze większą łatwością rozwalić nam głowy.
- Nie masz się czego bać, poza własnymi ludzkimi słabościami. Pociągnąłem łyk cienkiej kawy z hermetycznej butelki.
- Zaczynasz mówić jak Paulis.
- Przepraszam – roześmiał się Celso, a potem z nieskrywaną fascynacją wrócił do oglądania dryfującej w oddali supergromady.



Tylko pomyśl, Michaelu. Życie na Ziemi zaczęło się najwcześniej, jak tylko było to możliwe – ledwie skały ostygły i woda zebrała się w oceany. Zaraz potem życie zaczęło się rozprzestrzeniać po świecie coraz prędzej i dalej. I w niedługim czasie sięgnęliśmy po inne światy. To na pewno nie może być wyjątkowa cecha charakterystyczna tylko dla ziemskich stworzeń.

Zatem jak to się stało, że na nikogo się nie natknęliśmy?

Oczywiście wszechświat jest wielki. Ale nawet wlokąc się w prostych statkach rozwijających zaledwie ułamek prędkości światła – statkach, jakie bez trudu potrafimy już dziś konstruować – możemy skolonizować Galaktykę w ciągu kilkudziesięciu milionów lat. W najgorszym razie w ciągu stu milionów.

Sto milionów lat – wydaje się, że to niewyobrażalnie długo. Przez sto milionów lat dinozaury władały Ziemią. Jednak Galaktyka jest stukrotnie starsza. Zatem od narodzin gwiazd

można by ją skolonizować wielokrotnie, było dość czasu.

Pamiętaj, wystarczyłoby, żeby wyewoluował choć jeden gatunek w kosmosie, który wykształciłby inteligencję i pragnienie, by skolonizować inne światy, a kolonizacja ruszyłaby pełną parą i ciężko sobie wyobrazić, co mogłoby ten proces powstrzymać.

Ale jako dziecko na łące nie potrafiłem dostrzec wśród gwiazd śladu obcej inteligencji.

Wysoko rozwinięte cywilizacje powinny być łatwo zauważalne. Przecież my nieustannie wysyłamy w kosmos przekazy radiowe. A dzięki gigantycznym radioteleskopom powinniśmy natrafić na braci w rozumie. A jednak tak się nie dzieje.

Zdaje się, że otacza nas tylko pustka i cisza. Coś jest nie w porządku.

Nazywa się to „paradoksem Fermiego”.



Podróż była długa. A co gorsza, nie wiedzieliśmy, jak długo potrwa i co znajdziemy u jej końca – i czy w ogóle możliwy będzie powrót. Do tego musieliśmy kisić się w małym, błyszczącym Bąblu.

Celso miał niewyczerpane pokłady cierpliwości. Próbując zapomnieć o strachu, jaki czułem, odgryzłem się złośliwie, próbując go wkurzyć.

– Ty też masz parę „ludzkich słabości” – powiedziałem. – Inaczej nie skończyłbyś jak ja, na licytacji dłużników.

Celso skłonił szlachetną głowę.

– To prawda. Ale poszedłem tam dobrowolnie.

Zakrztusiłem się kawą.

– Moja żona ma na imię Maria. Oboje pracowaliśmy przy podmorskich uprawach glonów pod Nowym San Francisco.

Skrzywiłem się.

– Wyraży współczucia.

– Byliśmy biedni, choć staraliśmy się ze wszystkich sił zdobyć wykształcenie. Pewnie nie zdajesz sobie sprawy, że w nowożytnej Kalifornii życie nie jest łatwe dla tych, którzy nie są rasy kaukaskiej...

Jego rodzice przenieśli się ze wschodu do Kalifornii, gdy Celso był jeszcze bardzo mały.

– Rodzice kochali Kalifornię – a przynajmniej marzenie o Kalifornii – miejscu nadziei, tolerancji i dostatku, społeczeństwie przyszłości, wzorowym Złotym Stanie. – Uśmiechnął się. – Ale umarli rozczarowani. Zaś marzenie o Kalifornii umarło dziesiątki lat wcześniej...

Jak mi opowiedział, wszystko zaczęło się od Propozycji 13 przegłosowanej w 1978 roku. Nastąpił bunt podatkowy, ludzie zaczęli ograniczać wpłaty na publiczne inwestycje. Wkrótce przegłosowano kolejne inicjatywy: zmniejszenie podatków, ograniczenie budżetu ogólnego, obcięcie dofinansowania szkół, wprowadzenie bardziej surowych przepisów i ukrócenie dobroczynności, zakazanie imigrantom dostępu do usług socjalnych.

– Przez pięćdziesiąt lat Kalifornią rządziły władze wybierane przez balotaż. I nietrudno zauważyć, kogo faworyzowali rządzący. Biali stali się mniejszością w dwa tysiące piątym, resztę populacji stanowili Latynosi, Azjaci, czarni i podobni. Balotaż stał

się bronią białych wyborców, których liczba drastycznie zmalała. Łatwo się domyślić skutków.

Potrafiłem mu współczuć i rozumieć. Jako dziecko radykałów – na dodatek pozostające pod silnym wpływem dziadka, sławnego Reida Malenfanta – nasiąknęłam mocno utopizmem. Moi rodzice uważali, że przyszłość będzie lepsza niż teraźniejszość, że ludzie staną się mądrzejsi i bardziej szczodrzy, pokonają swoje ograniczenia i niedoskonałości, nauczą się żyć w harmonii i dobrobycie. Ocalić świat i żyć w pokoju. Tego rodzaju slogany i jeszcze więcej.

Ale to nie działało w ten sposób. Tam, dokąd zmierzała Kalifornia, wkrótce podążyła reszta ludzkiego gatunku – spadając w otchłań egoizmu, krótkowzroczności, bigoterii, nienawiści i chciwości – podczas gdy nasza planeta pogrążała się w gównie.

– Ale – zauważył Celso – twój dziadek przynajmniej próbował.

– Próbował i przegrał. Reid Malenfant marzył o ocaleniu Ziemi dzięki kopalniom w kosmosie. Jedna wielka bzdura. Bogactwo pochodzące z kopalń na asteroidach czyniło bogatych bogatszymi – ludzi takich jak Paulis – ale nie przyczyniało się do poprawy sytuacji na Ziemi, tworzyło jedynie coraz więcej uchodźców ekonomicznych. Nie zdało się też na nic dziadkowi, który powinien być dla mnie wzorem, jak wszyscy uważali. To on stał się głosem przeszłości, opowiadającym o straconych marzeniach.

– Czy naprawdę nie ma już dla nas nadziei? – zapytał Celso. – Czy nie umiemy osiągnąć większego uduchowienia, nie potrafimy się ocalić?

– Jedyne, co możesz zrobić, przyjacielu, to zatroszczyć się o

siebie.

Celso pokiwał głową.

– Tak. Moja żona i ja szukaliśmy sposobu, by zapewnić godne życie naszemu synowi, Fernando. Znaleźliśmy wyjście – jedno z nas musiało się wystawić na sprzedaż w licytacji.

– Zrobiłeś to ze świadomością ryzyka, że możesz trafić w łapy kogoś takiego jak ten drań Paulis albo znaleźć się na drodze prosto do piekła jak teraz?

– Wiedziałem, że pieniądze Paulisa zapewnią mojemu Fernando miejsce w słońcu – dosłownie. Maria zrobiłaby to samo. Ciągnęliśmy losy.

– Ach. – Pokiwałem głową ze zrozumieniem. – I ty przegrałeś. Popatrzył na mnie zagadkowo.

– Nie. Ja wygrałem.

Nie potrafiłem spojrzeć mu w oczy. Naprawdę nienawidzę takich ludzi jak Celso.

– Powiedz mi, jak ty się tu znalazłeś – poprosił łagodnie. – Ale tym razem chciałbym usłyszeć prawdę.

– Paulis mnie kupił.

– Przepisy dotyczące licytacji dłużników są bardzo rygorystyczne. Paulis nie mógł wysłać cię na tak nieprzewidywalne w skutkach przedsięwzięcie wbrew twojej woli.

– Kupił mnie. Ale nie za pieniądze.

– A za co?

Westchnąłem.

– Za dziadka. Paulis go znał. Miał list, który Reid Malenfant napisał przed śmiercią. List do mnie...



Paradoks pojawia się wówczas, gdy z dwóch podobnych i pozornie wiarygodnych ciągów myślowych wynika sprzeczność. W historii paradoksy stanowiły żyzny grunt, na którym wyrastały nowe sposoby myślenia o świecie. Jestem pewien, że paradoks Fermiego mówi nam coś ważnego o naturze wszechświata, w jakim żyjemy.

Jednak, Michaelu, żadne z dwóch podstawowych rozwiązań paradoksu nie przynosi ani objawienia, ani ukojenia.

Może po prostu naprawdę jesteśmy sami w kosmosie.

Albo jesteśmy pierwsi. A może ostatni. A skoro powstanie inteligentnego życia w Systemie Słonecznym trwało tak długo, prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek wyewoluuje kolejny rozum, wydaje się bardzo niewielkie. Jeżeli poniesiemy porażkę, będzie to porażka wszech czasów. Jeżeli umrzemy – rozum, świadomość i dusza umrą wraz z nami: nadzieje, marzenia i miłość, to wszystko, co czyni nas ludźmi, obróci się wniwecz. I nie będzie nawet komu nas opłakiwać...



Celso, czytając, z powagą kiwał głową.

– Wyobraź sobie, jak to jest dorastać w cieniu dziadka, który jest zmarłym bohaterem. A jedyne, co ma mi do przekazania, to wykład na temat przeklętego paradoksu Fermiego. Wiesz, Reid Malenfant był frajerem. Przez całe życie ludzie nim

manipulowali. Ludzie pokroju Franka Paulisa, który wykorzystał dziadka do wprowadzenia drapieżnego kapitalizmu poza Ziemią.

– To cyniczne, co mówisz. Bądź co bądź ten projekt, pierwsze badanie i użycie Bąbli przez ludzkość, jest finansowany z prywatnych środków – i to Paulis je wyłożył. Chyba jest pod pewnym względem podobny do twojego dziadka, ma w sobie tę samą... ach, ciekawość.

– Mój dziad miał głowę nabitą bzdurami.

Celso przyjrzał mi się z uwagą.

– Mam nadzieję, że dowiemy się tak wiele, że zaspokoilibyśmy ciekawość Reida Malenfanta. I że nie przypłacimy tego życiem.

A potem wrócił do pracy.



Ludzie wystrzelili pierwsze statki kosmiczne w połowie dwudziestego wieku. Były to amerykańskie sondy typu „Pionier” i „Voyager”. Cztery z nich wystartowały po 1970 roku i miały dotrzeć do planet zewnętrznych Układu Słonecznego. Kiedy wykonały główne zadanie, bezradnie podryfowały w otwarty kosmos. Próbniki działały przez długie lata, przesyłając dane o warunkach na światach, do których dotarły. Ale i tak te sondy nie zaleciały jeszcze daleko, nawet najszybszej z nich dotarcie do sąsiedniej gwiazdy zajmie tysiąclecia.

Pierwszą prawdziwą sondą międzygwiazdną był japońsko-europejski „D’Urville”; zminiaturyzowany robot wielkości krążka hokejowego i rozwijający ogromne przyspieszenia. „D’Urville” przesłał obrazy systemu Alfa Centauri już po dziesięciu latach.

Sonda znalazła system skalistych planet z mnóstwem asteroid. Żaden ze światów nie był zamieszkały, ale na jednym pozostały ślady inteligentnego życia.

Z orbity „D’Urville” sfotografował budowle i miasta, kopalnie i zapewne farmy układające się niezmiennie w sześciokątne wzory.

Jednak wszystko to było opuszczone. Szarozółta miejscowa roślinność pochłaniała domy, ale ich kształty były jeszcze wyraźnie widoczne. „Miasta i wioski”: przypominały nasze. Rozminęliśmy się z mieszkańcami tego świata zapewne o tysiąclecie. Bolesne odkrycie.

Co się stało? Nie było śladów wojny, katastrofy kosmicznej, eksplozji wulkanu czy zniszczeń środowiska naturalnego ani żadnych innych oznak zdarzeń, które mogłyby spustoszyć planetę. Wyglądało to tak, jakby mieszkańcy nagle wstali i odeszli, a ich świat zmienił się w kosmiczną *Marie Celeste* [brygantyna pływająca pod amerykańską banderą, jeden z najśłynniejszych statków widm; 5 listopada 1872 wyszła z portu w Nowym Jorku, 4 grudnia znaleziono ją około 400 mil od Gibraltaru – bez dziesięcioosobowej załogi, ale z nietkniętym wyposażeniem i ładunkiem; do dziś zniknięcie załogi pozostaje niewyjaśnioną zagadką].

Ale wokół planety orbitowało kilka Bąbli, lśniących na niebie, niczym boje rozpraszające mrok.

Po „D’Urville” kolejne sondy wysłane do innych gwiazd znalazły mnóstwo pozbawionych życia światów, ale też kilka opuszczonych. Niektóre wyglądały, jakby porzucono je niedawno – jak Alfa a-IV, inne wręcz przeciwnie. Zawsze jednak były to

opuszczone planety.

I wszędzie znajdowaliśmy Bąble, migoczące kusząco światłami, unoszące się wokół pustych światów jak pszczoły nad kwiatami.

Po pewnym czasie jedna z mikrosond została wysłana do wnętrza Bąbla.

Właz został zamknięty. Bąbel wystrzelił z oszalamiającą prędkością i nigdy więcej go nie widziano.

Niedługo potem odkryto Bąble w Obłoku Oorta, w naszym Układzie Słonecznym. Miały otwarte włazy. Wyraźnie na nas czekały.

Paulis pobudził moją ciekawość.

– Skąd się wzięły Bąble? Dokąd odlecą? I dlaczego nigdy nie wracają? Zarząd Bootstrap, mojej kompanii, uważa, że odpowiedzi na te pytania mogą się bardzo opłacać. Nasze sondy nie wróciły. Ale tobie może się uda.

A może nie.

Niewiele czasu zajęło Corneliusowi Taine'owi wywnioskowanie, że Bąble muszą mieć coś wspólnego z ciszą, jaka panowała na niebie obserwowanym przez mojego dziadka.



...A może nie jesteśmy sami, lecz po prostu nie umiemy dostrzec innych cywilizacji. Czemu nie?

Może wszechświat jest jednak dla nas łaskawy. Może poddawani jesteśmy jakiejś kwarantannie – albo zamknięto nas w zoo.

A może po prostu cywilizacje ulegają samozniszczeniu w wojnach atomowych lub przez zniszczenie środowiska naturalnego.

Albo zabija je coś z zewnątrz, zanim rozwiną się za bardzo. Roboty zabójcy, czające się wśród gwiazd, mordujące obce cywilizacje dla siebie tylko znanych, starożytnych celów.

Albo jest coś innego, czego sobie nawet nie potrafimy wyobrazić.

Każdy wniosek, jaki przychodzi mi do głowy, przeraża mnie, Michaelu.



Podeksycytowany Celso wyrwał mnie z rozmyślań.

– Podróżujemy od paru dni i przemierzyliśmy chyba z pół wszechświata, ale wydaje mi się, że jesteśmy już prawie u celu. – Wskazał na ekran. – Tutaj jest kwazar. Bardzo jasny, bardzo odległy. A tu – niemal niedostrzegalnie przesunął rękę – widać ten sam kwazar.

– Cóż za radość.

Uśmiechnął się.

– Taki podwójny widok jest typowy dla kosmicznych strun. Światło zakrzywia się wokół nich. Widzisz?

– Nawet nie wiem, co to są kosmiczne struny.

– Defekty czasoprzestrzeni. Pozostałości po Wielkim Wybuchu, w którym narodził się wszechświat... Znasz się choć trochę na kosmologii, Michaelu?

– Nie za bardzo. – To raczej nie jest temat rozmów przy pokerze.

– Wyobraź sobie, że wszechświat ma tylko kilka lat. Jest niewielki, zaledwie parę lat świetlnych średnicy, energetyczna zupa. Stygnie gwałtownie. Zaczynają działać znane nam prawa fizyki. Wszechświat staje się grudami uporządkowanej materii, jak... jak zamrożona powierzchnia stawu.

Ale w tym wszechświecie są defekty, wady, niczym pęknięcia w lodzie. Rozumiesz? Woda przepływa przez te pęknięcia, kawałki lodu tworzą krę. Tak samo w kosmosie istnieją miejsca, wielkie kanały, którymi nadal przepływa energia, jak w najwcześniejszych chwilach istnienia wszechświata. Pamiątki lekkomyślnej młodości.

– I te kanały to właśnie kosmiczne struny?

– Struny są nie grubsze od średnicy atomów wodoru. Są bardzo ciemne i gęste – wiele ton na cal. – Udał, że naciąga sznur. – Nieskończenie długie mkną przez kosmos niemal z prędkością światła, tworząc zawirowania. To jak echo. Wiry uwalniają energię i znikają. Ale wcześniej tworzą jądra, wokół których powstają galaktyki.

– Naprawdę? A co z tą pierwotną energią?

– Wzdłuż strun płyną silne ładunki elektryczne. Kosmiczne struny to oczywiście nadprzewodniki.

To brzmiało nieco groźnie. Poczułem skurcz w żołądku – prymitywny instynktowny odruch, całkowicie nieodpowiedni i niepotrzebny w tych warunkach. Znajdowałem się co prawda w dziczy, ale międzygalaktycznej.

Jednak teraz pojawiło się nareszcie coś nowego. Popatrzyłem w miejsce, które wskazał Celso – widniała tam niewielka świetlna kreska. Przesuwała się jak żuk na ciemnym tle kosmosu.

– Co to jest? Paciorek ślizgający się po strunie?

Celso chwycił ekran, starając się powiększyć obraz.

Szczęka mu opadła.

– Przyjacielu – rzekł cicho – myślę, że ani trochę się nie pomyliłeś.

To był jeden z wielu takich paciorków, jak zaraz się przekonałem. Przeklęta struna wyglądała jak tani koralikowy naszyjnik.

Jednak wkrótce perspektywa uległa zmianie. Najbliższa kreska okazała się walcem. Przypominała wycelowaną w nas różdżkę. A tak naprawdę była tunelem w nieskończoność, który połknął nas i Bąbel.



Lecieliśmy po osi walca, a za nami podążało cieniutkie pasmo z paciorkami zabawkowych gwiazd – pasmo, które musiało być kosmiczną struną. Kolorowe plamy gwiazd migotały w korytarzu, przemykały nam przed oczyma jak plakaty w tunelu metra do piekła.

Przyłgnałem do kadłuba Bąbla. Nawet Celso pobladł.

– No jasne! – wykrzyknął, ale zaraz zamilkł. Nie rozległ się żaden dźwięk, miało się jedynie wrażenie, że taki dźwięk powinien zaistnieć. – Nadal nie ma się czego bać. Nasza prędkość musi być znacznie mniejsza niż w otwartej przestrzeni. I, jak sędzę, zwalniamy cały czas.

Zerknąłem z obawą.

Opadaliśmy na dno tunelu. Te przerażające plamy światła

spłaszczyły się i wtopiły w migające pod nami krajobrazy.

Zwolniliśmy na tyle, że można już było dostrzec szczegóły.

Model gigantycznego słońca. W jego świetle wyrastały grzyby wielkości kontynentów i wznosiły się niczym ogromne pasma górskie.

Kolejne słońce wydawało się karzełkiem w porównaniu z poprzednim. Pod nim na wewnętrznej powierzchni tunelu falowały oceany wodoru i helu. Zdaje się, że dostrzegłem stworzenie przypominające ogromnego wieloryba. Funkcję krwi pełniła u niego zapewne nadprzewodząca ciecz.

I tak to szło – słońce za słońcem, pejzaż za pejzażem. Tunel metra wypełniony światami.

Ciemne oczy Celso błyszcząły zachwytem.

– Ten korytarz musi się rozciągać na miliony mil. Tyle miejsca...

Opadaliśmy coraz niżej i niżej. Słyszeliśmy świsty, gdy zanurzyliśmy się w atmosferę. Najbliższe słońce wyglądało znajomo i zapraszająco, w zbliżającym się krajobrazie dominował błękit i zieleń.

Ogromne zakrzywione podłoże spłaszczyło się do pejzażu pełnego drzew, trawy i rzek. I nagle wylądowaliśmy – tak po prostu.

Grawitacja powróciła z hukiem. Upadliśmy na podłogę Bąbla.

Bez wahania Celso założył skafander, nadmuchał śluzę i otworzył właz.

W oddali zamajaczyły trawiaste wzgórza w nadchodzącym zmierzchu, na niebie rozbłysnął biały karzeł. Ukryłem twarz w ścianie Bąbla.



Celso przyszedł po mnie wieczorem.

(Wieczór? Zabawkowe słońce przesunęło się jak po sznurku, przygasając podczas opadania. W nocy krajobraz rozsmarowany po wewnętrznej stronie nieba wyglądał zupełnie jak ziemski).

– Musisz wiedzieć, że rozumiem – powiedział łagodnie Celso. – Powinieneś pogodzić się z sytuacją. I musisz zrobić to sam. Poczekam na ciebie.

Tylko mocniej zacisnąłem powieki.



Następnego ranka usłyszałem gwizdanie.

Wyprostowałem się z pozycji embrionalnej. Włożyłem skafander i wydobyłem się z Bąbla.

Celso siedział nad strumykiem, łowiąc ryby na kawałek drutu i żyłkę. Zdjął skafander. I całą resztę. Rozebrał się do szortów. Kiedy podszedłem, przerwał pogwizdywanie.

Odpiąłem kask. Powietrze miało dziwaczny zapach, ale przecież jestem mieszczuchem. Nie było tu smogu, nie było ludzi. Za to wyczułem zapach ryby złowionej przez Celso.

Spryskałem twarz wodą ze strumienia. Wydawało się, że jest czysta i nadaje się do picia.

– Chyba potrzebuję wyjaśnień – odezwałem się.

Celso sprawnie wyciągnął kolejną rybę (a przynajmniej stworzenie wyglądało jak ryba).

– To proste – rzekł. – Żyłka to nić z ubrania, haczyk zrobiłem z części opakowania naszego sprzętu. Za przynętę służą kawałki koncentratu z racji żywnościowych. Później możemy wykopać trochę robaków i...

– Nie chodzi mi o wędkowanie.

– Możemy jeść tutejsze ryby, tak samo jak możemy oddychać tutejszym powietrzem. – Uśmiechnął się. – Choć te nie przypominają żadnego znanego mi gatunku. Ale biochemicznie nie różnią się niczym od ryb żyjących w morzach i rzekach na Ziemi. Czy to nie cudowne? Oni wiedzieli, że przybywamy, przywiedli nas tutaj, przeprowadzili przez cały wszechświat... i zaopatrzyli strumienie w ryby...

– Nie po to pokonaliśmy taki kawał drogi, żeby jeść cholerne ryby. Co tu się dzieje, Celso?

Celso zawiąnął nić na dłoni i wstał. A potem nagle chwycił mnie za ramiona i rozpromienił się w uśmiechu.

– Przyjacielu mój, Michaelu Malenfancie, jesteś bohaterem.

– Bohaterem? Nic nie zrobiłem, tylko się zwlokłem z łóżka.

– Ale dla ciebie przekroczenie progu Bąbla było wielką i straszną podróżą, prawda? – Potrząsnął mną lekko. – Rozumiem. Musimy zrobić wszystko, na co nas stać, czyż nie? Chodź. Poszukamy drewna na ognisko, zrobię ruszt i będziemy mieć wspaniały posiłek. – Boso ruszył po trawie, jakby od urodzenia nie robił nic innego.

Z ponurym pomrukiem podążyłem za nim.



Celso wypatroszył rybę kawałkiem metalu. Mnie by się to nie udało, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Mięso smakowało cudownie.

Tej nocy usiedliśmy przy dogasającym ognisku. Rzecz jasna, na nieboskłonie nie było gwiazd, tylko smugi światła na horyzoncie, jak zwielokrotniona zorza.

Celso rozejrzył się.

– Tylko ten jeden segment mógłby pomieścić dziesiątki tysięcy planet takich jak Ziemia. Tyle miejsca... A my minęliśmy więcej niż setki takich segmentów – światów w tunelu. Mogę sobie wyobrazić, że jest tu miejsce dla każdej formy życia we wszechświecie, może to schronienie dla wszystkich logicznie możliwych form życia...

Spojrzałem w górę, w niewidzialne wnętrze tunelu.

– Chyba zaraz mi powiesz, że to miejsce jest zbudowane wokół kosmicznej struny. A energia dla tych wszystkich sztucznych słońc pochodzi z prądów przepływających po strunach od Wielkiego Wybuchu.

– Tak mi się wydaje. To także zasilanie dla pól grawitacyjnych, jakie tu mamy – choć może ich wytworzenie nie jest wcale takie trudne. Może walec się obraca wokół własnej osi i wytwarza grawitację dzięki sile odśrodkowej?

– Ale różne części tego walca musiałyby się obracać z różną prędkością. No, wiesz, niektórzy z mieszkańców mogą przecież pochodzić z małych księżyców, inni z gazowych gigantów...

– Masz rację. – Celso klepnął mnie w plecy. – Jeszcze będzie z ciebie naukowiec.

– Po moim trupie. – Wyprostowałem się z westchnieniem.

Ogarnęła mnie tęsknota za smogiem i niewiedzą. – Ale w jakim celu to wszystko powstało?

– Wydaje mi się, że gatunki rozumne są skazane na wymarcie. Nawet ludzkość... Nie zawsze pracowałem przy uprawie glonów. Kiedyś miałem większe ambicje. – Uśmiechnął się. – Chciałem zostać antropologiem. Teraz wydaje mi się, że bardziej odpowiadałaby mi paleoantropologia. Wymarłe homy.

– Homy?

– Przepraszam, żargon naukowy. Hominidy. Przodkowie ludzi. Jako student pracowałem w pustynnych wąwozach Kenii. Miałem zaszczyt dokonać jednego z kluczowych znalezisk w Olduvai. Był to ostro zakończony kawałek kości barwy wulkanicznych kamyków i nie większy od mojego kciuka. Ale był to kawałek czaszki. Po hominidach nie zostało wiele skamieniałości, Michaelu. Bardzo rzadko znajduje się na przykład żebra. Setki tysięcy lat temu, nim ludzie zaczęli grzebać zmarłych, drapieżniki rozgryzały żebra i rozrywały je w drzazgi, by dostać się do wnętrza. Przez długie miesiące uczyłem się, jak rozpoznawać skamieliny, niewielkie drzazgi na rumowisku... Cóż, wierz mi, byliśmy bardzo podekscytowani. Oznaczyliśmy miejsce znaleziska i zaczęliśmy przesiewać ziemię, by wyłuskać drobne kawałki kości spośród kamieni i żwiru. Po tygodniach pracy plon naszych poszukiwań można by zmieścić w pudełku wielkości paczki papierosów. Ale to właśnie było przełomowe znalezisko w dziedzinie paleoantropologii. Znaleźliśmy szczątki kobiety. Kobiety *Homo erectus*. Jej gatunek powstał przypuszczalnie przed dwoma milionami lat i wymarł ćwierć miliona lat temu. *Homo erectus* miał ciało podobne do

współczesnego człowieka, ale mniejszy mózg. Jednak odniósł sukces. Migrował z Afryki i zaludnił stary kontynent.

– Fascynujące, Celso – stwierdziłem oschle. – A morał z tego...

– *Homo erectus* wymarł, Michaelu. Tego właśnie nauczyła mnie przygoda z paleoantropologią. Na Ziemi żyła inna odmiana człowieka – i wymarła. A wszystko, co po niej zostało, to odłamki kości, z których musimy wydedukować całą resztę: jak wyglądali ci praludzie, jak się zachowywali i reagowali, jakie mieli struktury społeczne, język, kulturę, umiejętności wytwarzania narzędzi... Wszystko, co wiemy o *Homo erectus* albo wydaje nam się, że wiemy. Wymarcie. Brutalne, bezkompromisowe zakończenie, odcinające przeszłość od przyszłości. A inteligentny gatunek nie potrafi pogodzić się łatwo, że taki los spotkać może inną rasę rozumną. To, co nadaje życiu wartość po śmierci – pamięć, osiągnięcia – przepada. I nie będzie nawet komu nas opłakiwać. Rozumiesz?

Celso był szczerze wzruszony i podniecony. Zazdrościłem mu tej siły uczuć.

– Ale co to ma wspólnego z budowniczymi tego tunelu?

Rozciągnął się na trawie i spojrzał w puste, bezgwiazdne niebo.

– Myślę, że budowniczy planowali z wyprzedzeniem. Sądzę, że to refugium, jak nazwaliby to ekolodzy. Miejsce, gdzie można się schronić przed nadchodzącą zimą, przed długą epoką lodowcową wszechświata – azyl dla skazanych na zagładę, schronisko dla wymierających gatunków.

Westchnął.

– Wydaje mi się, że twój dziadek, Michaelu, zrozumiałby, co

znaczy wymarcie.

Spoglądałem w ogień, myśli bezwładnie dryfowały mi w głowie. Celso myślał o losie ludzkości. A ja myślałem tylko o sobie. Nie prosiłem się tutaj.

– Może dla ciebie to jest w porządku: słońce, drzewa, trawa, ryby, tajemniczy obcy. Ale ja jestem mieszczuchem.

– Współczuję ci, przyjacielu. Ja też jestem daleko od rodziny. To była długa noc i bynajmniej nie wesoła.



Słońce wspięło się po swoim sznurku nad horyzont, z trawy uniosła się i rozwiała mgła po rosie.

Przetarłem oczy, plecy miałem sztywne, nie przywykłem do spania na gołej ziemi, bez materaca.

W pobliżu unosiły się dwa Bąble. Kołysały się leniwie na wietrze.

Jeden był nasz – w otwartym włazie widziałem sprzęt potrzebny do przetrwania. W drugim, jak mi się zdawało, dostrzegłem dwie ludzkie sylwetki.

Potrząsnąłem Celso za ramię, by go obudzić.

– Mamy towarzystwo.

Podeszliśmy do drugiego Bąbla. Jego właz zaczął się otwierać.

Wewnątrz stała kobieta i tulący się do niej kościsty, mały chłopiec. Wyglądali na przerażonych. Kiedy zauważyli Celso...

No, mam w sobie resztki przyzwoitości. Poszedłem na długi spacer nad strumień.

Po godzinie wróciłem do połączonej rodziny. Przyrządzali

rybę na śniadanie i rozmawiali radośnie.

Celso uśmiechnął się szeroko.

– To mój przyjaciel, Michael Malenfant. Poznaj moją żonę, Marię, a to mój syn, Fernando.

Maria nadal miała na sobie brudny od glonów kombinezon.

– Bąbel przyleciał nagle i zabrał mnie z pracy, a Fernando ze szkoły – wyjaśniła. Spojrzałem na nią ze zdumieniem.

– Bąble przyleciały na Ziemię?

Zdaje się, że tak: ogromna flota przybyła z Obłoku Oorta, zapewne armada, która wyruszyła, gdy tylko zakończyliśmy z Celso naszą lekkomyślną wycieczkę.

– Było ich tyle, że rozświetliły niebo – uśmiechnął się chłopiec.

– To logiczne, oczywiście – stwierdził Celso. – Obcy chcą utrwalić więzi rodzinne.

– Ciekawe, skąd wiedzieli, kogo zabrać?

– Przypuszczam, że nas badali. A raczej Bąbel nas badał podczas podróży. Każdy, kogo mieliśmy w pamięci, został zapewne wybrany. Zagadki ludzkiego serca i umysłu muszą być łatwe dla budowniczych tak monumentalnej konstrukcji jak ten walec.

– Baliśmy się okropnie – wyznał Fernando z dumą, żując kawałek rybiego mięsa, wydłubany spomiędzy ości kręgosłupa.

– Założę się.

Wyobraziłem sobie, jak Bąbel opada nad uprawę glonów, przepływa między pasmami alg...

– I co teraz? Myślisz, że tu zostaniesz?

Celso wziął głęboki oddech.

– O tak.

– Lepsze to niż uprawa glonów, co?

– Chodzi o coś więcej. To będzie doskonałe miejsce pod budowę domu i wychowanie Fernando. Wkrótce pojawią się tu inni ludzie. Będziemy uprawiać ziemię, zbudujemy miasta. – Ujął mnie za ramię. – Ale ty wyglądasz na zmartwionego, przyjacielu. Jestem szczęśliwy, ale nie powinienem z tego szczęścia zapominać o tobie. Czy podczas podróży nie wspominałeś kogoś bliskiego, na kim ci zależy?

W moim życiu, polegającym na skakaniu z miejsca na miejsce, nigdy nie znalazłem czasu, by związać się z kimś na tyle blisko, by wzbudzał tęsknotę.

Celso uścisnął mi ramię.

– Zostań z nami.

Jego syn obdarzył mnie uśmiechem.

Po raz kolejny nie potrafiłem spojrzeć w łagodne, życzliwe oczy Celso.



Michaelu, większość życia spędziłem na rozmyślaniu o paradoksie Fermiego. Ale nigdy nie zastanawiałem się nad podtekstami.

Samotni we wszechświecie czy nie – dlaczego w ogóle nas to obchodziło?

Myślę, że teraz już wiem. To dlatego, że czujemy się samotni. Na Ziemi żaden gatunek nie jest nam bliższy niż szympansy; a na niebie nie dostrzegamy nikogo podobnego do nas.

Ale poza tym – każdy człowiek jest samotny. Byłem sam od

śmierci Twojej babci, Emmy. A teraz i ja umieram, Michaelu. Czyż istnieje większa samotność niż samotność w godzinie śmierci?

To dlatego obchodzi nas paradoks Fermiego. Dlatego mnie obchodzi.

Michaelu, spoglądam na Ciebie w tym przeklętym pokoju szpitalnym; właśnie się urodziłeś, jesteś niemowlęciem i nie będziesz mnie pamiętał. Ale cieszę się, że mogłem Cię poznać. Mam nadzieję, że zdobędziesz większą wiedzę niż ja. Że będziesz mądrzejszy. I szczęśliwszy. I że nie będziesz sam.



– Zdaje się, że poznaliśmy rozwiązanie paradoksu Fermiego – stwierdziłem. – Gdy tylko inteligentne życie rozwinie się na jakiejś konającej planecie, jak Ziemia, pojawiają się Bąble, by ewakuować jej mieszkańców. I zostają tylko zapalone światła, choć nikogo nie ma w domu. Na tym to właśnie polega.

– Ale cóż to za ogromne przedsięwzięcie – zauważył Celso. – Pamiętaj, że kluczowym problemem w paradoksie Fermiego była stałość zjawiska. Jeżeli istnieje mechanizm, który eliminuje inteligentne życie z gwiazd i planet, musi działać bezbłędnie i obejmować zasięgiem cały wszechświat, musi być wszechwiedzący i wszechwładny.

– I po to we wszechświecie jest pełno Bąbli.

– Tak. – Posłał mi uśmiech. – A może jest tylko jeden...

– Ale dlaczego? Po co zadawać sobie tyle trudu, po co budować ten... ten ogromny rezerwat?

Celso wyszczerzył się radośnie.

– Wymarcie, Michaelu. To niebezpieczny wszechświat dla tak kruchych istot jak my. Gdyby zostawić nas samopas, chyba nie udałoby się nam przetrwać dłużej niż kilka, kilkanaście stuleci. Może Bąble pojawiły się w samą porę? Pamiętaj, że życie tak łatwo może zniszczyć przypadek – uderzenie meteorytu, zjawiska wulkaniczne, niestabilność płyt tektonicznych czy wybuch pobliskiej supernowej lub zderzenie z gwiazdą neutronową, nie wspominając o kolizji galaktyk. A jeżeli nawet tak się nie stanie, to w końcowym rozrachunku gwiazdy zgasną, rzecz jasna, a źródła energii się wyczerpią... Lecz tutaj możemy schronić się przed zagładą, Michaelu, tu uciekinierzy mogą znaleźć ocalenie. Jest bowiem źródło energii, które się nie wyczerpie: energia uwięziona w kosmicznych strunach. Właśnie dlatego obcy zbudowali tutaj azyl i rozrzućili Bąble niczym sieci. Refugium jest buntem przeciw zagładzie – działaniem, które zapewni życiu i rozumnym gatunkom przetrwanie na niewyobrażalnie długi czas...

Skrzywiłem się, spoglądając na fałszywe słońce.

– Ale czy to nie jest tchórzliwy odwrót? Ta wielka kloaka życia nie jest naszym światem. Uciec tu oznacza koniec walki i dążeń, koniec ambicji i niezależności naszego gatunku.

Wyobraziłem sobie Bąble tłoczące się wokół Ziemi jak antyciała w miejscu infekcji. Przypomniałem sobie ludzkie miasta, Nowy Jork, Londyn, Pekin, porzucone i zarośnięte, jak opustoszałe ruiny na Alfa Centauri a-IV.

Ale Celso odpowiedział:

– Niezupełnie. Obcy chyba myślą o nas jak o swoich dzieciach. Przypuszczam, że podobnie jak ja o Fernando. Tutaj też czekają

nas przygody. Zaprojektujemy latające pojazdy i ruszymy poznawać ten świat. Nic nas ani naszych potomków nie powstrzyma przed wyprawami w głąb tego tunelu, korytarza, który opasuje wszechświat, nic nas nie powstrzyma przed poznaniem i spotkaniem z innymi inteligentnymi gatunkami. Bo tutaj, w tym refugium, ludzki gatunek może trwać wiecznie... Tylko pomyśl. – Spojrzał mi badawczo w oczy. – Nie wiedziałem, że jesteś taki niespokojny, Michaelu. Najpierw heroizm, a teraz zamiłowanie do włóczęgi. Przemierzyłeś cały kosmos, a u kresu podróży odkryłeś siebie. Może geny twojego dziadka mają na ciebie wpływ?

– Jeżeli jest pan samotny, proszę pana – odezwał się chłopak z ustami pełnymi jedzenia – dlaczego nie wróci pan do domu?

Uśmiechnąłem się.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

– Niekoniecznie. Pamięta pan ekran w Bąblu? Ten, który pokazuje cel podróży?

– Widok na kosmiczne struny... Co z nim?

– W pana Bąblu się zmienił.

Celso popatrzył na syna, a potem pobiegł do wehikułu.

– On ma rację – wydyszał.

Na ekranie widniała Ziemia: kontynenty, szaro-błękitne oceany – nie do pomylenia z żadną inną planetą, piękna.

Pocałowałem tego cholernego dzieciaka.

Celso pokiwał głową.

– Oni wiedzą, że chcesz odejść. – Wzdrygnął się. – Przeznaczenie gatunku jest oczywiste, to jest miejsce dla ludzkości, a nie owo piękne, lecz kruche błękitne cacko. Ale

jednostki mają wolność wyboru...

Z oddali zbliżył się drżący kształt. Kolejny Bąbel wylądował na równinie. Ledwie to zauważyłem.

Bez wahania wskoczyłem w otwarty właz.

– Słuchaj – powiedziałem do Celso – jesteś pewien, że nie chcesz wrócić? Życie tutaj będzie ciężkie.

Celso spojrzał na swoją rodzinę.

– Nie dla nas. Żegnaj, mój przyjacielu. Ach, jeszcze to. – Podał mi swój rejestrator. – Dzięki danym, jakie tu zebrałem, staniesz się bogatym człowiekiem.

Kolejny Bąbel opadł na trawę.

Ani trochę mnie to nie obeszło. Trzasnąłem w przycisk zamykający właz. Mój Bąbel uniósł się powoli.

Przez siatkowe ściany dostrzegłem, jak kolejny przybysz wydostaje się niezdarnie z wehikułu i upada w dziką trawę. Rozpoznałem go od razu. Człowiek, który sprawił, że wspominałem go przez całą podróż do tunelu.

Frank J. Paulis miał na sobie płaszcz kąpielowy. Szlochał.

Celso podchwycił moje spojrzenie i puścił do mnie oko. Paulis będzie musiał wykopać wiele robaków, zanim dostanie pozwolenie na powrót do swojego spa, kompanii Bootstrap i rozwijającego się imperium. Żałowałem, że nie było mnie przy tym, jak pojawił się cholerny Bąbel i porwał Paulisa na przejażdżkę.

Lecz może Paulis dostał to, czego chciał. Odpowiedź – przynajmniej w tym wszechświecie. Mój dziadek na pewno byłby zadowolony, a przynajmniej tak mi się wydaje.

Krajobraz rozmył się i zniknął w oddali, a ja leciałem wśród

zabawkowych, sztucznych gwiazd.